

David Downhill

Dworzec ZOO

Tytuł oryginału ZOO Station

Przełożyła Dorota Strukowska

Pamięci

Marthy Pappenheim (1900-2001) która uciekła z Niemiec w 1939 roku i zajęła się niesieniem pomocy dzieciom tych, którym się to nie udało,

oraz

Yvonne Pappenheim (1912-2005) która poślubiła brata Marthy, Fritza, i poświęciła życie zwalczaniu niesprawiedliwości

Od autora

Jest to fikcyjna opowieść, jednak dołożono wszelkich starań, aby utrzymać ją w ramach historycznego prawdopodobieństwa. Wzmianki o planowanym przez nazistów wymordowaniu osób upośledzonych umysłowo zostały oparte głównie na wyczerpującej pracy historycznej Michaela Burleigha *Death and Deliverance*, i nawet najbardziej absurdalne sytuacje wspominane na marginesie są przygnębiająco autentyczne.

W siną dal

Pozostały jeszcze dwie godziny 1938 roku. W Gdańsku przez cały dzień popadywał śnieg, i gromada dzieciaków bawiła się tocząc bitwę na śnieżki przed składami zboża, ciągnącymi się wzdłuż starego nabrzeża. John Russell przystanął, żeby popatrzeć na nie przez chwilę, po czym poszedł dalej brukowaną ulicą w stronę niebieskich i żółtych świateł.

Nie można było powiedzieć, żeby w „Barze Szwedzkim” panował tłok, zaś te nieliczne twarze, które odwróciły się ku niemu, niekoniecznie przepelniał duch radosnego święta. Tak naprawdę większość z tych ludzi sprawiała wrażenie, jakby wołała przebywać teraz gdzieś indziej.

Trudno się było temu dziwić. Bożonarodzeniowych dekoracji nie zdjęto, tylko pozwolono im spaść, i teraz stały się one elementem podłogi - razem z plamami topniejącego

śniegowego błota, dryfującymi niedopalkami oraz, tu i tam jakąś stłuczoną butelką. Bar sływał z brutalności wielonarodowych burd, ale w tę szczególną noc grupki Szwedów, Finów i Łotyszy wydawały się wyzbyte energii potrzebnej do wszczęcia kolejnej rozróby. Zazwyczaj można było mieć pewność, że jeden czy dwa stoliki zajęte przez niemieckich marynarzy zapewnią niezbędną iskrę, lecz teraz Niemców reprezentowały jedynie dwie podstarzałe prostytutki, a i one zbierały się do wyjścia.

Russell zajął wysoki stół przy barze, zamówił sobie goldwassera[1] i zaczął przeglądać egzemplarz *New York Herald Tribune* sprzed miesiąca, który z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu akurat tam leżał. Znalazł w nim jeden z jego własnych artykułów, tekst o nastawieniu Niemców do ich zwierzęcych ulubieńców. Towarzyszyło mu urocze zdjęcie sznaucera.

Widząc, że Russell czyta, jakiś samotny Szwed siedzący dwa stołki dalej zapytał go idealną angielszczyzną, czy mówi w tym języku. Russell przyznał, że owszem.

- Jest pan Anglikiem! - wykrzyknął Szwed i dźwignął swoje pokaźne cielsko na stół obok Russella.

Rozmowa przerodziła się z przyjaznej w sentymentalną, a potem, w ekspresowym tempie, w rzewną. Trzy goldwassery później Szwed opowiadał mu, że on, Lars, nie jest prawdziwym ojcem swoich dzieci. Vibeke nigdy się do tego nie przyznała, ale on wiedział, że tak jest. Russell obdarował go pokrzepiającym poklepaniem po ramieniu, a Lars runął do przodu. Jego głowa wydała głuche łupnięcie, spotykając się z wypolerowaną powierzchnią kontuaru.

- „Szczęśliwego Nowego Roku” - mruknął Russell. Lekko przesunął głowę Szweda, żeby łatwiej mu się oddychało, i zebrał się do wyjścia. Na zewnątrz niebo zaczynało się przejaśniać, a powietrze było niemal dostatecznie zimne, żeby go otrzeźwić. W protestanckim kościele marynarzy grały organy. Żadnych hymnów, tylko powolną pieśń żałobną, jak gdyby organista osobiście żegnał odchodzący rok. Do północy pozostał kwadrans.

Russell szedł z powrotem przez miasto, czując wilgoć przesączającą się przez dziury w butach. Na Langermarkt było pełno par, śmiejących się i piszczących, gdy ludzie chwyтали się nawzajem, łapiąc równowagę na śliskich chodnikach.

Przeciął Breitgasse[2] i dotarł na Holzmarkt akurat w chwili, gdy dzwony zaczęły oznajmiać Nowy Rok. Plac był wypełniony świętującymi ludźmi, i czyjaś natarczywa ręka wciągnęła Russella do kręgu imprezowiczów tańczących i śpiewających na śniegu. Kiedy piosenka się skończyła i krąg się rozproszył, młoda Polka po jego lewej wyciągnęła się w górę i musnęła wargami jego usta. Jej oczy promieniały szczęściem. Russell pomyślał, że rok

1939 zaczyna się lepiej niż się tego spodziewał.

* * *

Recepcja w jego hotelu świeciła pustkami, zaś odgłosy świętowania dobiegające z kuchni na zapleczu sugerowały, że nocna zmiana bawi się na własnym, prywatnym przyjęciu. Russell pomyślał, żeby zrobić sobie gorącą czekoladę i wysuszyć buty w jednym z piecyków, ale zmienił zdanie. Wziął klucz, wdrapał się po schodach na trzecie piętro i powłókł się korytarzem do pokoju. Gdy zamykał za sobą drzwi, boleśnie dotarło do niego, że lokatorzy sąsiednich pokoi nadal witają Nowy Rok - wspólnym śpiewaniem po jednej stronie, a po drugiej seksem, od którego trzęsła się podłoga. Russell zdjął przemoczone buty i skarpety, osuszył mokre stopy ręcznikiem i opadł na podrygujące łóżko.

Rozległo się dyskretne, ledwie słyszalne pukanie do drzwi.

Przeklinając, dźwignął się z łóżka i otworzył.

Mężczyzna w pogniecionym garniturze i rozpiętej koszuli wpatrywał się w niego.

- Pan John Russell - mężczyzna odezwał się po angielsku, jak gdyby przedstawiał sobie Russella. Rosyjski akcent był nieznacznym, lecz łatwy do rozpoznania. - Czy mógłbym chwilę z panem pomówić?

- Jest trochę późno... - zaczął Russell. Twarz mężczyzny wydała mu się mgliście znajoma. - Ale czemu nie? - dał za wygraną, gdy śpiewacy za ścianą utworzyli nowy i głośniejszy chór. - „Dziennikarz nie powinien nigdy rezygnować z rozmowy” - mruknął głównie do siebie, wpuszczając mężczyznę. - Proszę, niech pan siada - zaproponował.

Gość rozsiadł się i założył nogę na nogę, podciągając przy tym nogawkę.

- Spotkaliśmy się już wcześniej - powiedział. - Dawno temu. Nazywam się Szczepkin. Jewgienij Grigorowicz Szczepkin. My...

- Tak - Russell przerwał mu, gdy pamięć podsunęła mu właściwe wspomnienie. - Panel dyskusyjny na temat dziennikarstwa na piątym Zjeździe. Lato '24.

Szczepkin skinął głową, przytakując.

- Pamiętam pański wykład - oznajmił. - Pełen pasji - dodał, omiatając wzrokiem pokój i na parę sekund zatrzymując spojrzenie na rozpadających się butach gospodarza.

Russell przysiadł na krawędzi łóżka.

- Jak sam pan powiedział, to było dawno temu.

On i Ilse poznali się na tej konferencji, puszczając w ruch dziesięcioletni cykl małżeństwa, rodzicielstwa, separacji i rozwodu.

W 1924 roku włosy Szczepkina były czarne i kręcone; teraz były krótko przycięte i siwiejące. Russell domyślał się, że obaj są starsi niż obecne stulecie. Szczepkin trzymał się całkiem nieźle, zważywszy na to, co zapewne przeszedł przez ostatnie piętnaście lat. Miał urodziwą twarz o nieokreślonej narodowości, z ciemnobrązowymi oczami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, orli nos oraz idealnie wykrojone wargi. Mógłby uchodzić za obywatela większości europejskich krajów, i zapewne tak robił.

Rosjanin zakończył lustrację pokoju.

- To okropny hotel - stwierdził.

Russell zaśmiał się.

- O tym chciał pan rozmawiać?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- A zatem, co pana sprowadza?

- Ach. - Szczepkin znowu podciągnął nogawkę. - Jestem tutaj, żeby zaproponować panu pracę.

Russell uniósł brew.

- Pan? Kogo właściwie pan reprezentuje?

Rosjanin wzruszył ramionami.

- Mój kraj. Związek Pisarzy. To bez znaczenia. Będzie pan pracował dla nas. Wie pan, kim jesteśmy.

- Nie - odpowiedział Russell. - To znaczy, nie jestem zainteresowany. Ja...

- Niech się pan tak nie spieszy - powstrzymał go Szczepkin. - Proszę mnie wysłuchać. Nie prosimy, żeby robił pan cokolwiek, czemu mogliby się sprzeciwiać pana niemieccy gospodarze. - Rosjanin pozwolił sobie na uśmiech. - Pozwoli pan, że powiem dokładnie, o co nam chodzi. Chcemy cyklu artykułów na temat pozytywnych aspektów nazistowskiego reżymu. - Przerwał na moment, na próżno czekając, aż Russell zażąda wyjaśnień. - Nie jest pan Niemcem, ale mieszka pan w Berlinie - ciągnął dalej. - Swego czasu cieszył się pan reputacją lewicowego dziennikarza, i chociaż ta reputacja, powiedzmy, zbladła, nikt nie oskarżyłby pana o bycie orędownikiem nazistów...

- Ale wy chcecie, żebym właśnie tym był.

- Nie, nie. Chcemy pozytywnych aspektów, nie pozytywnego ogólnego obrazu. To by nie było godne zaufania.

Russell był zaintrygowany - na przekór samemu sobie. Może z powodu tych goldwasserów.

- Potrzebne wam tylko moje nazwisko na tych artykułach? - spytał. - Czy chcecie, żebym je także napisał?

- Och, ależ my chcemy, żeby pan je pisał. Podoba nam się pański styl, cała ta ironia.

Russell pokręcił głową - Stalin i ironia jakoś nie wydawały się do siebie pasować.

Szczepkin błędnie odczytał jego gest.

- Panie Russell - powiedział - pozwoli pan, że wyłożę karty na stół.

Russell uśmiechnął się szeroko.

W zamian Szczepkin zaoferował cierpkie skrzywienie ust.

- Cóż, w każdym razie większość z nich. Widzi pan, jesteśmy świadomi pańskiej sytuacji. Ma pan syna Niemca i niemiecką przyjaciółkę, i chce pan pozostać w Niemczech, jeżeli będzie to możliwe. Oczywiście, jeśli wybuchnie wojna, będzie pan musiał wyjechać, bo inaczej zostanie pan internowany. Jednak dopóki ta chwila nie nadejdzie... a być może nie nadejdzie, cuda się zdarzają... więc dopóki nie nadejdzie, chce pan zarabiać na utrzymanie jako dziennikarz, bez denerwowania swoich gospodarzy. Jaki mógłby być lepszy sposób? Napisze pan miłe rzeczy o nazistach... Nie za miłe, oczywiście, artykuły muszą być wiarygodne, ale ze zwróceniem uwagi na ich dobre strony.

- Czy gównem ma dobre strony? - Russell zastanawiał się na głos.

- Ależ panie Russell - upierał się Szczepkin - przecież sam pan wie. Wyeliminowanie bezrobocia, ożywione poczucie wspólnoty, zdrowe dzieci, wycieczki dla robotników, samochody dla przeciętnego człowieka...

- Powinien pan pracować dla Józia Goebbelsa.

Szczepkin posłał mu spojrzenie pełne udawanego wyrzutu.

- Dobrze - stwierdził Russell. - Rozumiem, o co panu chodzi. Pozwoli pan, że zadam pytanie. Istnieje tylko jeden powód, żebyście chcieli tego rodzaju artykułu: urabianie własnych ludzi do jakiegoś paktu z diabłem. Zgadza się?

Szczepkin poruszył się, wymownie wzruszając ramionami.

- Dlaczego? - nie ustępował Russell.

Rosjanin chrząknął.

- Dlaczego paktować z diabłem? Nie wiem, co myśli władza.

Ale mogę się domyślać, i pan także.

Russell rzeczywiście mógł.

- Zachodnie mocarstwa starają się pchnąć Hitlera na wschód, więc Stalin musi go

pchnąć na zachód? Czy mówimy o jakimś pakcie o nieagresji, czy o czymś więcej?

Szczepkin zrobił urażoną minę.

- Cóż więcej mogłoby to być? Każdy pakt z tym człowiekiem może być wyłącznie chwilowy. Wiemy, co to za jeden.

Russell pokiwał głową. To miało sens. Zamknął oczy, jak gdyby mógł w ten sposób odpędzić katastrofę. Za ścianą, na wprost niego muzykujący sąsiedzi zaintonowali jedną z tych rzewnych polskich pieśni, które nawet posągowi mogłyby wycisnąć łzy.

Po drugiej stronie ściany, za nim, zapadła cisza, lecz jego łóżko nadal drżało jak kamerton.

- Chcielibyśmy również pewnych informacji - Szczepkin mówił dalej niemal przepaszająco. - Nic wojskowego - dodał prędko, widząc wyraz twarzy Russella. - Żadnych statystyk uzbrojenia ani tych planów okrętów, które zawsze musi odnajdywać Sherlock Holmes. Nic w tym rodzaju. Po prostu, chcemy mieć lepsze pojęcie o tym, co myślą zwyczajni Niemcy. Jak przyjmują zmiany warunków pracy, jak prawdopodobnie zareagują, jeśli nadejście wojna; tego typu rzeczy. Nie chcemy tajemnic, tylko pańskich opinii. I nic na papierze. Może je pan przekazywać osobiście, raz na miesiąc. Twarz Russella zdradzała sceptycyzm.

Szczepkin nie popuszczał.

- Zostanie pan dobrze wynagrodzony, bardzo dobrze. W dowolnej walucie, w dowolnym banku, dowolnym kraju, który pan wybierze. Mógłby pan sobie wynająć lepsze mieszkanie...

- Lubię swoje mieszkanie.

- Mógłby pan kupować rzeczy dla swojego syna, dla dziewczyny. Mógłby pan oddać buty do naprawy.

- Ja nie...

- Pieniądze - to tylko dodatek. Kiedyś był pan z nami...

- Dawno, dawno temu.

- Tak, wiem. Ale troszczył się pan o innych ludzi. Słyszałem, co pan mówił. To się nie zmienia. A jeżeli my pójdziemy na dno, to nic nie pozostanie.

- Cynik mógłby powiedzieć, że wybór między wami to żaden wybór.

- Cynik mógłby się mylić - odparł Szczepkin, wyprowadzony z równowagi i może trochę rozgniewany. - Musieliśmy przelewać krew, tak. Ale niechętnie, i z wiarą w lepszą przyszłość. Oni to lubią. Ich koncepcja postępu to europejskie państwo niewolnicze.

- Wiem.

- Jeszcze jedno. Jeżeli pieniądze i polityka pana nie przekonują, niech pan pomyśli o tym. Będziemy wdzięczni, a mamy wpływy prawie wszędzie. Zaś człowiek taki jak pan, w pańskiej sytuacji, będzie potrzebował wpływowych przyjaciół.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

Szczepkin podniósł się.

- Niech pan o tym pomyśli, panie Russell - powiedział, wyjmując kopertę z wewnętrznej kieszeni marynarki i kładąc ją na nocnym stoliku. - Tu są wszystkie szczegóły: ile słów, daty dostarczenia, wynagrodzenie i tak dalej. Jeżeli zdecyduje się pan na te artykuły, proszę napisać do naszego attaché prasowego w Berlinie, mówiąc mu, kim pan jest i że sam pan wpadł na ten pomysł. On poprosi pana o wysłanie jednego artykułu pocztą. Gestapo go przeczyta i przepuści. Wtedy otrzyma pan pierwszą zapłatę oraz sugestie przyszłych tematów. Przedostatnie litery słów w pierwszym zdaniu utworzą nazwę miasta, poza granicami Niemiec, do którego może pan stosunkowo łatwo dotrzeć. Może Praga albo Kraków. Ostatni weekend miesiąca spędzi pan w tym mieście. I proszę dopilnować, żeby dokonywać rezerwacji hotelu co najmniej z tygodniowym wyprzedzeniem. Kiedy już się pan tam znajdzie, ktoś się z panem skontaktuje.

- Pomyślę o tym - odpowiedział Russell, głównie po to, żeby uniknąć dalszego sporu.

Chciał spędzać weekendy z synem Paulem oraz swoją sympatią Effi, a nie ze Szczepkinami tego świata.

Rosjanin skinął głową i wyszedł, nie czekając na odprowadzenie do drzwi. Jak gdyby na sygnał, polski chór zamilkł.

Russell został wyrwany ze snu przez donośny gwizd lokomotywy. A przynajmniej tak mu się w pierwszej chwili wydawało. Gdy leżał już obudzony, słyszał narastający gwar cienkich głosików. Brzmiało to jak szkolne podwórze pełne przerażonych dzieci. Narzucił coś na siebie i zszedł na dół. Nadal panował mrok, ulica była opustoszała, a szyny tramwajowe skrywała dziewicza Effi, warstwa śniegu. W holu, przy kasach na dworcu Hauptbahnhof, kilkoro przyszłych pasażerów kulilo się na siedzeniach, odwracając oczy i modląc się, żeby nie znaleźć się w złym miejscu w nieodpowiednim czasie. Russell minął barierę, przy której brakowało biletera. Na dworcu towarowym, za peronem, w głębi stały ciężarówki oraz pociąg, który ciągnął się poza kraniec dworca. Pod żółtymi światłami zgromadzili się ludzie, sądząc z wyglądu głównie rodziny, ponieważ była tam chmara dzieci. I byli też mężczyźni w mundurach. Brunatne Koszule.

Nagły ostry gwizd dalekiej lokomotywy wywołał upiorne echo wśród kręcącej się ludzkiej cizby, jak gdyby wszystkie dzieci wrzasnęły jednocześnie.

Russell pokonał schody podziemnego korytarza po dwa stopnie naraz, prawie spodziewając się, że tunel będzie zablokowany. Nie był. Wyłonił się na jego drugim końcu, wkraczając wprost w kłębiący się tłum nawołujących i wrzeszczących ludzi. Domyślił się już, co się dzieje - to był *Kindertransport*, jeden z pociągów wynajętych do przetransportowania dziesięciu tysięcy żydowskich dzieci, które Wielka Brytania zgodziła się przyjąć po *Kristallnacht*, Kryształowej Nocy. Pisk nasilił się w chwili, gdy strażnicy zaczęli oddzielać dzieci od rodziców, i obie grupy były teraz rozganiane w przeciwne strony przez powarkujące Brunatne Koszule. Rodzice cofali się, zalewając łzami, gdy ich dzieci zapędzano do pociągu - niektóre gorączkowo wymachiwały, inne szły niechętnie, jak gdyby obawiały się przyjąć rozstanie do wiadomości.

Dalej w głębi peronu trwała gwałtowna dysputa między Truppführerem SA a kobietą z czerwonym krzyżem na rękawie.

Oboje wrzeszczeli na siebie, on po niemiecku, ona angielszczyzną z akcentem z północy. Kobieta nie posiadała się z gniewu, omal nie napluła w oczy Brunatnej Koszuli, i było oczywiste, że ten panuje nad sobą ostatkiem sił; był bliski uderzenia jej pięścią w twarz. Kilka kroków dalej inna kobieta pomagała podnieść się jednej z matek z posadzki peronu. Krew ciekła jej z nosa.

Russell energicznie podszedł do nich i mignął swoją prasową akredytacją Ministerstwa Spraw Zagranicznych, co przynajmniej dało mężczyźnie nowy obiekt do wyładowania złości.

- Co pan tu robi, do cholery? - krzyknął Truppführer. Miał koszmarnie świńską twarz oraz pasującą do niej posturę.

- Próbuję pomóc - Russell odpowiedział spokojnie. - Mówię po angielsku.

- No to powiedz pan tej angielskiej suce, żeby się zabierała z powrotem do pociągu z małymi żydziakami, gdzie jej miejsce.

Russell zwrócił się do drobnej brunetki, która nie mogła mieć wiele więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Nie warto na niego krzyczeć - wyjaśnił jej po angielsku. - Nic dobrego pani z tego nie przyjdzie. Właściwie to tylko pogorszy sprawę.

- Ja... - wydawało się, że zabrakło jej słów.

- Wiem - odparł Russell. - Nie potrafi pani uwierzyć, że ludzie mogą się tak zachowywać. Ale wielu tak robi. Przez cały czas. Jak gdyby na podkreślenie tych słów Truppführer znowu zaczął się wydzierać. Kiedy kobieta odpowiedziała krzykiem, chwycił ją za rękę, a ona kopnęła go w goleń. Zdzielił ją w twarz wierzchem dłoni z ogromną siłą,

okręcając ją i powalając na twarz, w śnieg leżący na peronie. Jęknęła i potrząsnęła głową.

Russell stanął między nimi.

- Słuchaj pan - powiedział do mężczyzny - to może dla pana oznaczać sąd polowy, jeżeli nie będzie pan ostrożny. Führer nie chce, żebyście dawali Anglikom tego rodzaju propagandowe zwycięstwo. Wiem, to tylko żydki, i na pewno pan uważa tak jak ja, że powinniśmy wsadzić wszystkich dorosłych razem z nimi do tego cholernego pociągu i pozbyć się robactwa raz na zawsze, ale to Führer o tym decyduje, a nie my.

Brytyjka chwiejnie podnosiła się na czworaki.

Szturmowiec rzucił swojej ofierze ostatnie spojrzenie, wydał z siebie prychnięcie, z którego dumny byłby każdy złoczyńca z pantomimy, i pomaszerował wzdłuż peronu.

Russell pomógł kobiecie wstać.

- Co mu pan powiedział? - spytała, ostrożnie obmacując puchnący policzek.

- Odwołałem się do lepszej części jego natury.

- Musi być ktoś... - zaczęła.

- Nie ma - zapewnił ją Russell. - Prawo nie chroni Żydów ani nikogo, kto działa na ich rzecz. Proszę się po prostu zaopiekować dziećmi. Wyglądają, jakby im było tego potrzeba.

- Nie musi mi pan mówić...

- Wiem, że nie. Ja tylko próbuję...

Spojrzała ponad ramieniem Russella.

- On wraca.

Trupführerowi towarzyszył Sturmführer, niższy mężczyzna w okrągłych okularach i z pyzată twarzą. Bez mundurów - zakładając, że kiedykolwiek je zdejmują - Russell wzięłyby ich za sklepikarza oraz urzędnika pomniejszego szczebla. Prawdziwa elita Gdańska.

- Dokumenty - zażądał Sturmführer.

- Są w moim pokoju w hotelu.

- Nazwisko?

- John Russell.

- Jest pan Anglikiem?

- Jestem angielskim dziennikarzem. Mieszkam w Rzeszy i posiadam pełną akredytację Ministerstwa Propagandy w Berlinie.

- Sprawdźmy to.

- Oczywiście.

- A co pan tutaj robi?

- Przyszedłem zobaczyć, co się dzieje. Jak to dziennikarz. Interweniowałem w sporze

między pańskim kolegą a tą pracownicą Czerwonego Krzyża, ponieważ uznałem, że jego zachowanie szkodliwie wpływa na reputację Rzeszy.

Sturmführer namyślał się przez chwilę, po czym zwrócił się do swojego podwładnego.

- Jestem pewien, że mój kolega wyraża ubolewanie z powodu wszelkich nieporozumień - oznajmił znacząco.

Trupführer popatrzył na kobietę.

- Przepraszam - rzucił sztywno.

- On przeprasza - przekazał jej Russell.

- Niech mu pan powie, żeby poszedł do diabła - odparła.

- Przyjmuje pańskie przeprosiny - Russell powiedział dwóm Brunatnym Koszulom.

- Dobrze. Teraz ona musi wracać do pociągu, a pan musi pójść z nami.

Russell westchnął.

- Powinna pani wsiadać do pociągu - zwrócił się do kobiety. - Protestami niczego pani nie uzyska.

Wzięła głęboki wdech.

- W porządku - powiedziała, jak gdyby nic nie było w porządku.

- Dziękuję - dodała jeszcze, wyciągając rękę.

Russell uściskał jej dłoń.

- Niech pani opowie o tym prasie, kiedy wróci pani do cywilizacji - poradził. - Powodzenia.

Patrzył, jak wspina się po stopniach i znika w wagonie.

Wszystkie dzieci znajdowały się już w pociągu; większość z nich przyciskała buzie do okien i gorączkowo ścierała z szyb parę z oddechów, żeby po raz ostatni spojrzeć na rodziców. Kilkoro zdołało otworzyć rozsuwane wywietrzniki i wcisnąć głowy w wąskie szczeliny. Niektóre krzyczały, inne prosiły. Większość płakała. Russell oderwał wzrok od okien akurat w porę, by zobaczyć, jak mała dziewczynka zwinnie wyskakuje z wagonu i pędzi po peronie. Szturmowiec przy drzwiach okręcił się, żeby ją złapać, lecz poślizgnął się przy tym na śniegowej brei i runął na peron twarzą w dół. Gdy gramolił się, żeby wstać, chłopiec w wieku około dziesięciu lat przebiegł obok niego.

Ramiona dziewczynki ciasno oplotły szyję klęczącej matki.

- Esther, musimy wsiąść do pociągu - chłopiec odezwał się gniewnie, ale zarówno córka jak i matka za bardzo płakały, żeby go zauważyć. Pełne udręki apele ojca o rozsądek („Ruth, musimy ją puścić; Esther, musisz jechać z bratem”) również nie znalazły posłuchu.

Szturmowiec z twarzą czerwoną ze złości chwycił garścią długie czarne włosy

dziewczynki i szarpnął. Szok sprawił, że oderwała ręce od szyi matki, i mężczyzna zaczął ją wlec po błotnistym peronie do pociągu. Matka wrzasnęła rozzdzierająco i pobiegła za nimi. Mężczyzna puścił dziewczynkę i grzmotnął gumową pałką w twarz matki. Osunęła się do tyłu, a strużka krwi pociekła jej na kołnierz płaszcza. Gdy szturmowiec zamachnął się, żeby ponownie zdzielić kobietę, jej mąż złapał za pałkę, ale dwie inne Brunatne Koszule przygniotły go do ziemi i na jego głowę posypał się grad ciosów. Chłopiec podniósł zawodzącą siostrę i zapędził ją z powrotem do pociągu.

Nadbiegło więcej szturmowców, jednak nie musieli się trudzić. Tak samo jak Russell, obserwujący to rodzice byli zbyt zszokowani, żeby zaprotestować, a co dopiero interweniować.

- Nie chcę jechać - odezwał się ktoś cicho za Russellem.

Odwrócił się, żeby znaleźć właścicielkę głosu. Stała na oparciu siedzenia w pociągu, z buzią wykręconą w otwartej szczelinie wywietrznika, a jej brązowe oczy wypełniały łzy. Nie mogła mieć więcej niż pięć lat.

- Proszę, czy może pan powiedzieć policjantom, że ja nie chcę jechać? Nazywam się Fräulein Gisela Kluger.

Russell podszedł do wagonu, zastanawiając się, co u licha mógłby odpowiedzieć.

- Obawiam się, że musisz pojechać w tę podróż - odezwał się. - Twoja matka i ojciec uważają, że będziesz bezpieczniejsza w Anglii.

- Ale ja nie chcę - oznajmiła, i dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach.

- Wiem, ale... - Kolejny gwizd przeszył powietrze na peronie; kłęb pary wydostał się z lokomotywy. - Przykro mi - powiedział bezradnie Russell.

Pociąg szarpnął i ruszył. Na twarzy dziewczynki mignęła chwilowa panika, a po niej pojawił się wyraz, który Russell miał zapamiętać na długo - mieszały się w nim wyrzut, niezrozumienie oraz smutek, jakiego żaden pięciolatek nie powinien doświadczać. Gdy pociąg odjeżdżał, mała ręka wysunęła się przez okno i pomachała.

- Przykro mi - mruknął Russell.

Jakaś ręka chwyciła go za ramię. Trupführer.

- Ty, Anglik. Idziesz z nami.

Został poprowadzony za Sturmführerem wzdłuż peronu.

Większość matek i ojców w dalszym ciągu skupiało całą uwagę na znikającym pociągu, wbijając wzrok w czerwone światła, ostatni obraz rodziny. Odesłali własne dzieci. Żeby ocalić ich życie, uczynili z nich sieroty.

Jedna z kobiet, zamknawszy oczy, klęczała w śniegu, wydobywając z siebie cichy,

żałobny skowyt. Ten dźwięk towarzyszył Russellowi, gdy wyprowadzano go z peronu. Odgłos łamiącego się serca.

Na dworcu towarowym Truppführer pchnął go w kierunku samochodu.

- Mój hotel jest po drugiej stronie ulicy - zaprotestował Russell.

- Zabierzemy pańskie dokumenty - odpowiedział Sturmführer.

Gdy wtłaczali go do samochodu, Russell zdał sobie sprawę, że koperta Szczepkina wciąż leży na jego nocnym stoliku.

Gdańsk budził się; kiedy jechali z powrotem, w stronę centrum miasta, sklepikarze oczyszczali swoje kawałki chodnika ze śniegu, który napadał przez noc.

Russell wypatrywał, dokąd jadą - modląc się, żeby to nie były jakieś koszary SA z dala od ludzkich siedzib i uszu. Gdy zaparkowali przed komisariatem policji przy Hundegasse[3], ledwie zdołał ukryć westchnienie ulgi.

Truppführer wywłócił go z auta i brutalnie pchnął w kierunku wejścia do budynku. Russell poślizgnął się na śniegu i upadł na schody, uderzając piszczelą o twarde krawędzie stopni. Jednak nie miał czasu obejrzeć obrażeń - Truppführer już popychał go naprzód.

Wewnątrz umundurowany policjant tulił w dłoniach filizankę parującej kawy. Podniósł wzrok bez większego zainteresowania, westchnął i sięgnął po rejestr.

- Nazwisko?

Russell podał mu je.

- Jestem Anglikiem - dodał.

Na mężczyźnie nie zrobiło to wrażenia.

- Wszyscy musimy skądś pochodzić. Niech pan opróżni kieszenie.

Russell zrobił, jak mu kazano.

- Kto tu rządzi? - spytał. - Policja czy SA?

Policjant obrzucił go pogardliwym spojrzeniem.

- Niech pan sam zgadnie - zasugerował.

Russell poczuł ucisk w żołądku.

- Chcę mówić z konsulem brytyjskim - powiedział.

- Nie ma takiej potrzeby - odezwał się za jego plecami Truppführer.

- Nazwa pańskiego hotelu i numer pokoju?

Uzbrojony w tę informację, wyszedł na zewnątrz. Russell przez moment mógł dojrzeć przebłysk szarego światła po wschodniej stronie nieba.

Próbował apelować do oficera dyżurnego, ale za swoje starania otrzymał tylko wzruszenie ramionami. Przywołano młodszego policjanta, żeby zabrał go na dół, gdzie dwa rzędy cel ciągnęły się po obu stronach kiepsko oświetlonego korytarza. Miały wykafelkowane posadzki i ceglane ściany, czarne do wysokości pasa, a wyżej białe.

Brakowało jeszcze tylko rozbryzgu krwi, żeby dopełnić nazistowską paletę barw.

Russell osunął się na podłogę, opierając plecy o ścianę w głębi celi. Pocieszał się, że nie ma potrzeby się obawiać. Przecież nie uszkodziliby trwale zagranicznego dziennikarza.

Zrobią to, jeżeli uznają go za szpiega. Co Szczepkin włożył do tej przeklętej koperty? Jeżeli minione doświadczenia Russella ze stalinowską bezpieką - NKWD - były choć trochę miarodajne, to istniała instytucjonalna niechęć do mówienia czegokolwiek wprost, granicząca z paranoją. No i nie chcieliby zostawiać mu niczego, co potencjalnie mógłby wykorzystać przeciwko nim. Jak na razie były to dobre wieści.

Ale co z językiem, w jakim napisany został ten cholerny list? Jeżeli był po rosyjsku albo jeśli wspomniano o rublach, to by wystarczyło zbirom takim jak Trupführer.

Russell powtarzał sobie, żeby zachować spokój. Wychodził już z sytuacji gorszych niż ta.

Z łydki sączyła mu się krew, lecz nie wyglądało to zbyt groźnie. Miał mdłości, chociaż trudno było stwierdzić, czy ich powodem był głód czy strach.

Zapewne jedno i drugie.

Wydawało się, że upłynęła więcej niż godzina, zanim usłyszał kroki na schodach. Ciężkie buciory, kilka par.

Przesuwana płytką na drzwiach jego celi brzęknęła przy otwieraniu i ponownie przy zamknięciu. Buciory poszły dalej. Kolejny brzęk, ale tym razem drzwi się otworzyły. Jakiś głos zaprotestował. Russellowi zdawało się, że go rozpoznał. Żyd, który próbował bronić żony. Głos nasilił się i raptownie umilkł, pozostawiając echa w głowie Russella. Co go uciszyło? Pięść? Kolano? Pałka? Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Na nowo zapanowała przytłaczająca cisza, która nie niosła ukojenia. W końcu drzwi otworzyły się z chrobotem, jakiś komentarz wywołał śmiech, buciory wróciły na korytarz. Russell poczuł, że wstrzymuje oddech, gdy kroki kierowały się w jego stronę, lecz tylko zadudniły obok i dalej na schodach, zostawiając go wpatrującego się we własne rozdygotane dłonie. Przyciskając ucho do drzwi nie usłyszał żadnych jęków bólu, a jedynie bezruch nieświadomości. Lub śmierci.

Czas upływał. Russell wybiegł z hotelu bez zegarka, więc kiedy w końcu przez otwór wsunęło tacę z jedzeniem, zastanawiał się, czy to lunch czy kolacja. Buciory już nie powróciły i wraz z każdą mijającą godziną Russell nabierał coraz większej otuchy. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, skręciło go w żołądku, ale był to tylko policjant, który go tu przyprowadził.

- Tędy, Herr Russell - powiedział mężczyzna, wskazując ruchem głowy na schody.

„W celach katują ludzi”, mówił sobie Russell. „Na górze musi być lepiej”. Dwa korytarze i dwie kondygnacje schodów wyżej został wprowadzony przez drzwi z napisem „Kriminalinspektor Tesmer”. Sam Tesmer miał wypomadowane czarne włosy, niebieskie oczy, wąskie wargi i wyraźnie widoczny jednodniowy zarost.

- Proszę siadać - odezwał się do Russella.

Po raz ostatni spojrzął na paszport Anglika, a następnie przesunął go na drugą stronę biurka razem z dziennikarską akredytacją. Nie było nigdzie widać koperty Szczepkina.

- Wszystko jest w porządku - powiedział Tesmer z powierzchownym i nieprzekonującym uśmiechem. - Przykro mi, że zajęło to tyle czasu.

Russell sięgnął po swoje dokumenty.

- Mogę iść? - zapytał, starając się, by ulga w jego głosie nie zaniechła się słyszeć.

- Tylko jedno pytanie.

- Tak? - Russell pomyślał, że za tymi oczami nie ma życia. Oto człowiek, z którym trzeba się mieć na baczności.

- Dlaczego przybył pan do Gdańska, Herr Russell? Żeby napisać o żydowskich dzieciach?

- Nie. Nie miałem pojęcia, że *Kindertransport* wyjeżdża stąd. Zatrzymałem się w hotelu naprzeciwko dworca, i wrzawa mnie obudziła. Po prostu - przeszedłem przez ulicę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- A więc dlaczego pan przyjechał?

Rzeczywiście, dlaczego? Ponieważ czuł, że to miejsce go przyciąga, tak jak dobrego dziennikarza zawsze przyciąga historia, która się liczy. Miasto opanowane przez zbirów i głupców, i właśnie dlatego skazane na klęskę.

Gdańsk był Europą w małej skali. Historią dla każdego. Niemal każdego.

- Znaczki - oznajmił, nagle przypominając sobie rozmowę podsłuchaną w Café Weitzke. Obie tutejsze poczty, niemiecka i polska, wypuszczały znaczki dla uczczenia zwycięstw sprzed stuleci jednego kraju nad drugim. - Od czasu do czasu pisuję do czasopism filatelistycznych, a tutejsze dwie poczty wprowadzają interesujące nowe zagadnienia. Mam

nadzieję porozmawiać jutro z poczmistrzami. Tesmer wydawał się być rozczarowany, niczym rybak, który uświadamia sobie, że połów jest za mały, żeby się najeść.

- Miłego pobytu - powiedział szorstko.

Znalazłszy się na zewnątrz, Russell odkrył, że jest już prawie dziesiąta wieczorem. Bar zaopatrzył go w kanapkę i jakże potrzebnego drinka, po czym Russell powlókł się z powrotem do hotelu przez przeważnie opustoszałe ulice. Koperta Szczepkina leżała tam, gdzie ją zostawił.

Tyle, że była otwarta. Russell wyjął pojedynczą kartkę i przeczytał list. Chcieli cztery artykuły o długości od tysiąca dwustu do półtora tysiąca słów, dostarczane w odstępie dwóch tygodni, począwszy od połowy stycznia.

Kwota była hojniejsza niż się spodziewał - tyle, ile zwyczajny radziecki robotnik zarabiał w ciągu całego Planu Pięcioletniego. Przyszło mu do głowy, że samochód odmieniłby jego soboty z synem, Paulem.

List był po niemiecku, obiecywana zapłata w markach. Nie padła żadna wzmianka o tym, skąd nadeszła propozycja ani czego miały dotyczyć artykuły.

- Boże, błogosław NKWD - Russell mruknął do siebie.

Następnego dnia obudził się około dziesiątej. Za oknem gęsty śnieg sypał kaskadami, niemal zasłaniając dworzec naprzeciwko. Russell skorzystał z telefonu w lobby, żeby zadzwonić na obie poczty, i udzielono mu audiencji u ich poczmistrzów późnym popołudniem. Kiedy wyszedł z Café Weitzke przy Langgasse7, posiliwszy się jajecznicą, grzybami po kaszubsku i mokką, wciąż było dopiero południe. Miał pięć godzin do zabicia.

Śnieg prawie przestał padać, ale niebo nadal był ciężkie od chmur. Gdy Russell stał, zastanawiając się, co robić, nagle zabrzmiała muzyka z głośników, którymi upstrzone było miasto. Noworoczna przemowa Hitlera do narodu, jak przypomniał sobie Russell.

Gdańsk nie stanowił jeszcze części niemieckiej Rzeszy, ale niech by ktoś spróbował to powiedzieć nazistom. Russella niekiedy bawiło słuchanie Hitlera. Jawna bezczelność tego człowieka bywała zabawna, zaś świadomość, że miliony dawały się porwać jego absurdalnej żądzy krwi nadawały całemu doświadczeniu niewybaczalnie emocjonujący aspekt. Gdyby Führer oznajmił, że grawitacja to żydowski podstęp, przed zachodem słońca miliony Niemców ćwiczyłyby lewitację.

Russell nie był w dobrym nastroju. „Parę godzin nad morzem”, pomyślał. Na plaży nie powinno być żadnych megafonów.

Akurat zapowiedziano Hitlera, kiedy tramwaj z tabliczką informującą, że zmierza do Brösen, wyłonił się z Langgasser Tor[4] na Langgasse. Russell zajął miejsce po prawej i

spoglądał przez okno, gdy tramwaj okrążył Holzmarkt, skręcał w prawo w Elisabethwall10 i mijął jego hotel na końcu Stadtgraben.

Do Brösen miał około sześciu kilometrów. Russell odbył taką samą podróż w 1935 roku, podczas swojej ostatniej wizyty w Gdańsku. Pracował wtedy nad cyklem artykułów o rozrywkach Niemców, i było to w środku lata. Kurort pękał w szwach od urlopowiczów, ale jemu właśnie o to chodziło.

Nie dzisiaj. Było równie ciemno jak przez cały ranek, a iskry z wiszących nad głowami drutów rozświetlały fasady domów po obu stronach ulicy, gdy tramwaj z brzękiem i piskiem sunął przez miasto. Jednak megafony nadal dawały się słyszeć. Kiedy przejeżdżali przez dalej leżące przedmieścia Langfuhr i Saspe, Russell wychwycił urywki słów wypowiedziane przez znany głos oraz jeden dłuższy fragment, w którym Führer wylewnie składał narodowi niemieckiemu gratulacje za jego „cudowną postawę” w 1938 roku. Zapewne mówił o *Kristallnacht*.

Zanim tramwaj dotarł do Brösen, niebo wyraźnie pojaśniało.

Russell wysiadł przed zamkniętym kasynem, gdzie samotny głośnik robił, co w jego mocy, żeby zniekształcić przekaz Führera. Russell przez krótką chwilę przysłuchiwał się trzaskom, porażony myślą, że on i Hitler dzielą bardzo osobisty moment. Ten ostatni obiecywał pomoc przy „wprowadzeniu ogólnego pokoju na świecie”.

Russell zastanawiał się, jak wiele ironii może przełknąć jeden naród. Przeszedł wzdłuż straganów pozabijanych deskami i zamkniętych na kłódkę kabin, by znaleźć się na zasypanej śniegiem plaży. Ostatni zapis pomiaru temperatury wody z zeszłego sezonu wciąż czytelnie widniał na tablicy przy budce ratownika, obok plakatu wyjaśniającego tajniki sztucznego oddychania. Mężczyźni na plakacie co do jednego nosili pasiaste kostiumy kąpielowe oraz wąsy niczym oddział komiksowych Führerów.

Morze było stalowoszare, niebo prawie równie ciemne - ołowiane z żółtawym zabarwieniem. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Parę kilometrów dalej na wschód dwie boje świetlne wyznaczały koniec gdańskiego kanału do morza. Russell zaczął iść w ich kierunku. Po lewej latarnia morska ożywała blaskiem wraz z każdym obrotem.

Na północy ciemniejsza linia zaznaczała wysunięte ramię Półwyspu Helskiego. Między nimi plamka frachtowca powoli przesuwała się w poprzek zatoki.

Przyszło mu na myśl, że historia ze znaczkami była jak stworzona dla niego. Opowieść, która bawiła i nie potępiała. Opowieść o głupocie, i do tego dosyć uroczej. Mógł zaszyć kilka ironicznych akcentów tuż pod powierzchnią tekstu dla tych, którzy mieli ochotę je wylapać, i pozostawić wystarczająco dużo wskazówek dotyczących rzeczywistej sytuacji

dla tych, którzy już ją rozumieli. Będą gratulowali sobie umiejętności czytania między wierszami, a jemu, że w taki sposób pisze. Zaś on będzie mógł przez kilka kolejnych miesięcy trwać na rozdrożu, dopóki Hitler czegoś nie zmałuje. „Zbyt wiele metafor”, powiedział sobie. „I za mało satysfakcji”.

Pomyślał o prawdziwej historii Gdańska. Dziesięć lat temu by ją napisał, i zrobiłby to dobrze. Ale nie teraz. Wystarczy jeden krok za daleko, a ropuchy z Ministerstwa Propagandy każą go deportować - zanim zdąży powiedzieć „Heil Hitler”. Pożegnałby się z synem, zapewne na cały czas trwania wojny. I przypuszczałnie także z Effi. Dostyc często powtarzała mu, że pojechałaby z nim do Anglii, albo jeszcze lepiej do Ameryki, lecz on miał wątpliwości, czy naprawdę miała taki zamiar; czy dobrowolnie zostawiłaby siostrę, rodziców, agenta i chmurę przyjaciół - żeby żyć w nowym kraju, gdzie nikt jej nie zna.

Porzucił ścieżkę i szedł skrajem wody, wypatrując kamyków do puszczenia kaczek. Uświadomił sobie, że ma ochotę przyjąć ofertę Szczepkina, chociaż nie był pewien, dlaczego. Tylko w połowie połknął argument, że pomagając Rosjanom będzie szkodził nazistom. Gdyby naprawdę chciał stanąć do walki z Hitlerem, istniały bardziej skuteczne sposoby, choć większość z nich deprymująco wiązała się z poświęceniem. Pieniądze to miły akcent, lecz ryzyko byłoby bardzo wysokie. Naziści nadal ucinali szpiegom głowy. Rzucił płaski kamyk między dwie fale. Czy mógł ufać Szczepkinowi? Oczywiście - że nie. Rosjanie mogli chcieć tego, co mówili, że chcą - niczego więcej, niczego mniej - ale nawet jeżeli tak, to na tym się nie skończy. Nie da się napisać paru artykułów dla Stalina, zrealizować czeki i żyć sobie dalej jakby nigdy nic. Będzie się na liście jako jeden z ich ludzi, ktoś, kogo się wzywa, gdy potrzeba czegoś jeszcze. A kiedy już raz trafi się na listę, odmowa bywa źle przyjmowana.

Musiał się też liczyć z nastawieniem swojego własnego kraju. W tej chwili nie potrzebował Anglii, ale przy obecnym rozwoju wypadków wkrótce mogła być mu niezbędna, zaś pisanie dla Stalina raczej nie zyskałoby sympatii w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Mógł skończyć prawie wszędzie jako persona non grata. Dlaczego w ogóle o tym pomyślał?

Wiedział, dlaczego. Parę tygodni przed Bożym Narodzeniem Paul opowiedział mu o ćwiczeniu, jakie nowi rekruci zmuszeni byli podjąć w *Jungvolk*[5]. Zabierano ich gdzieś za miasto bez map i zachęcano do tego, by odnaleźli drogę do domu najlepiej jak potrafią. Nazywało się to *Fahrt ins Blau*, podróżą w siną dal.

Pomysł przemawiał do Paula, tak jak zapewne do większości jedenastoletnich chłopców. Przemawiał także do Russella. Gdyby wyruszył w tę podróż w nieznane, na przykład jako pomocnik Szczepkina, to kto wie, może zdołałby odnaleźć znów swoją drogę do domu.

Rzucił ostatni kamyk, duży, który odbił się raz i zatonął. Słabe światło dnia przygasalo. Frachtowiec i Półwysep Helski zostały wessane w szare otoczenie, a jasny snop światła z latarni budził drgające odbicia na ciemniejącym morzu. Russell stał pośrodku niczego, zagubiony w przestrzeni. Z przemarzniętymi stopami.

Obaj poczmistrze byli krótkowidzami z małymi wąsikami, w statecznych garniturach. Polak nie mógł się już doczekać zaszczytu rozpowszechniania swoich nowych znaczków. Podwładny został posłany po próbki i powrócił z królem Jagiełłą i królową Jadwigą. Polska królowa, jak wyjaśnił poczmistrz, odrzuciła niemieckiego księcia, żeby poślubić Litwina Jagiełłę. Połączone królestwo zmusiło Prusaków do zaakceptowania pierwszego Polskiego Korytarza oraz dwunarodowego statusu Gdańska. Co prawda wszystko to wydarzyło się na początku piętnastego wieku, ale - i tutaj poczmistrz rozsiadł się na krześle z zadowolonym uśmiechem - współczesne odniesienia powinny być oczywiste. Nawet dla Niemca.

Niemiecki poczmistrz miał własną próbkę. Jego znaczek przedstawiał piękną miniaturę ukazującą dzielnych gdańszczan, gromiących polskie wojska króla Stefana Batorego w 1577 roku.

- Niemieckie miasto obronione przez niemieckie oddziały - oznajmił z zadowoloną miną.

Russell powtórzył pytanie, jakie zadał już na polskiej poczcie: „Czy te znaczki nie są nieco prowokacyjne? Czy władze cywilne nie powinny starać się zredukować napięcia między swoimi krajami, zamiast wykorzystywać znaczki do podsycania dawnych waśni?” Obaj udzielili takiej samej odpowiedzi. „Jak”, zapytali, „ktokolwiek mógłby traktować znaczki pocztowe tak poważnie?”.

Pociąg Russella odjeżdżał z Hauptbahnhof o dziesiątej. Po opłaceniu kuszetki, na którą z trudem mógł sobie pozwolić, prawie dwie godziny przesiedział w wagonie restauracyjnym nad jednym sznappsem połyskującym złocistymi cętkami. Czuł się niespokojny i niezdecydowany. Polscy celnicy sprawdzili jego wizę tuż przed Tczewem, a

władze niemieckie zbadały jego paszport we Flatow[6], po drugiej stronie Korytarza. Nie miał z nimi problemów - jeżeli gdańskie SA zamierzało złożyć raport z jego wizyty, zapewne do tej pory zmagало się z pisownią.

Pomyślał o *Kindertransport*. Zastanawiał się, gdzie się w tej chwili znajduje. Najpewniej nadal sunie na zachód przez Niemcy. Policzek Angielki będzie teraz fioletowy. Russell liczył na to, że kobieta uda się do prasy, kiedy tylko wróci, i narobi prawdziwego rabanu. Nie żeby wyszło z tego cokolwiek dobrego. Wystarczyło jej pięć minut, żeby się dowiedzieć, na czym polega nazizm, ale nic nie zastąpi osobistego doświadczenia. Jeżeli się ludziom opowiada - nie wierzą.

„Nikt”, zawsze mówiły ich oczy, „nie mógłby być aż tak zły”.

Russell przeszedł przez pociąg do swojego przedziału sypialnego.

Dwie niższe kuszetki były puste, zaś jedną z dwóch wyższych zajmował łagodnie pochrapujący niemiecki młodzian. Russell usiadł na kuszetce pod nim, odsunął skraj zasłonki i wpatrywał się w zamrożone pola Pomorza.

Położył się na plecach i zamknął oczy. Spojrzała na niego Fräulein Gisela Kluger.

Napisze artykuły dla Szczepkina. Zobacz, dokąd zaprowadzi go ta podróż. W siną dal? Albo w czarną przepaść.

Ha! Ho! He!

Tuż przed ósmą rano pociąg w kłębach pary pokonał wiadukt nad Friedrichstrasse i wjechał na dworzec o tej samej nazwie. Kierujący się na wschód pociąg kolejki miejskiej pozbywał się swego porannego ładunku po drugiej stronie peronu. Russell stanął za schodami, czekając, aż tłum się przerzedzi. Po drugiej stronie torów jakiś rozzłoszczony miejscowy potrząsał automatem do sprzedaży prażonych migdałów, na próżno licząc, że otrzyma z powrotem swoją monetę.

Urzędnik kolejowy interweniował, i obaj mężczyźni stali krzycząc na siebie.

„Berlin wita”, pomyślał Russell.

Zszedł po schodach do podziemnej hali dworca, kupił gazetę w kiosku w poczekalni i znalazł sobie miejsce w dworcowym bufecie.

Widok sąsiada, tęgiego mężczyzny w mundurze ORPO[7], wpychającego sobie do ust wielkie plastry krwistej kiełbasy, nie dodał Russellowi apetytu. Zadowolił się więc bułką z masłem i dżemem owocowym do dużej białej kawy.

Gazeta zasłaniała go przed amatorem półsurowego mięsa, lecz nie przed nazistowską

rzeczywistością. Posłusznie przeczytał najnowsze przemówienie Goebbelsa o żywiowości nowoczesnej niemieckiej kultury, ale nie znalazł niczego nowego. Z dniem 1 stycznia weszło w życie jeszcze więcej antyżydowskich przepisów: prowadzenie samochodów, praca w handlu detalicznym oraz rzemiosło zostały dodane do listy rzeczy verboten, zakazanych. „Co pozostało?”, zastanawiał się Russell.

Emigracja, jak sądził. A więc dlaczego tak bardzo utrudnia się biedaczyskom wyjazd?

Przejrzał resztę. Więcej wiosek *Judenfrei*[8], więcej kilometrów autostrad, więcej oburzenia na zachowanie Polaków w korytarzu. W kinach nowa epepeja o Uboocie, dzieci zbierają stare puszki na Pomoc Zimową, nowy przepis na comiesięczne danie jednogarnkowe. Rzesza, która przetrwa tysiąc lat. Sześć już z głowy, zostało dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery.

Russell pomyślał o skorzystaniu z metra, ale uznał, że przyda mu się trochę gimnastyki. Wyszedłszy na Friedrichstrasse zastał pozostałości po ostatnich opadach śniegu, spływające do rynsztoków. Wstążka bladego słonecznego światła rozjaśniała górne piętra po wschodniej stronie ulicy, ale sama jezdnia nadal tonęła w mroku. Niewielkie grupki ludzi gromadziły się przy drzwiach sklepów, wkrótce mających otworzyć podwoje; wielu z nich rozmawiało w głośny, natarczywy sposób, który nieberlińczycy uważali za tak irytujący.

Trzy kilometry dzieliły go od wynajętego mieszkania w pobliżu Hallesches Tor.

Russell przeciął aleję Unter den Linden przy Café Bauer i pomaszerował na południe przez dzielnicę finansową w kierunku estakady dźwigającej metro nad Mohrenstrasse. Berlin nie był pięknym miastem, lecz rzędy szarych kamiennych budowli miały w sobie solidność i obiecywały niezawodność.

Na jednym rogu Leipzigerstrasse stragan z frankfurterkami wypuszczał w powietrze kłęby pary, zaś na drugim astrolog, z którym Effi czasami się konsultowała, pracowicie rozstawiał swą płócienną budę. Mężczyzna twierdził, że sporządził wykres dla Hitlera w czasach, zanim ten został Führerem - jednak odmawiał ujawnienia, co w nim było. Russell podejrzewał, że nic dobrego. Uszedł jeszcze kilometr i skręcił z Friedrichstrasse, przecinając boczne ulice do Neuenburgerstrasse i swojej kamienicy. Przejście na południe od Leipzigerstrasse było niczym schodzenie po drabinie społecznej, zaś okolica, w której mieszkał, wciąż miała nadzieję, że zjrzy do niej dwudziesty wiek. Większość budynków miała po pięć pięter, a każda para kamienic szczyliła się wysokim ceglanym łukiem prowadzącym do ciemnej studni podwórza. Na jego podwórku rosła sponiewierana brzoza, nadal otulona śniegową opończę.

Drzwi dozorczyń stały otworem, sącząc światło do ciemnego korytarza.

Russell zapukał. Frau Heidegger wyłoniła się prawie natychmiast, a jej marsowa mina zamieniła się w uśmiech, gdy zobaczyła, kto to taki.

- Herr Russell! Mówił pan, że wróci wczoraj. Zaczynaliśmy się martwić.

- Próbowałem zatelefonować - skłamał - ale...

- Ach, Polacy - Frau Heidegger powiedziała z rezygnacją, jak gdyby niczego lepszego nie można się było spodziewać po jej sąsiadach ze wschodu. Wytarła ręce w fartuch i wpuściła go do środka. - Niech pan wejdzie, musi się pan napić kawy.

Zgodzić się było łatwiej niż odmówić. Zajął wskazane miejsce w jej salonie i rozglądał się wokół, gdy gospodyni ponownie podgrzewała - Bóg jeden wie, który raz - swój nieśmiertelny dzbanek kawy. Adventowy wieniec z czterema wypalonymi świecami wciąż wisiał na żyrandolu. Na orzechowej komodzie dwie talie kart spoczywały obok drogiego radia ludowego. Russell uświadomił sobie, że to wtorek - dzień, w którym Frau Heidegger i trzy jej odpowiedniczki z pobliskich kamienic grywały w skata. Dozorczyńni wróciła z kawą i niewielkim stosikiem przesyłek: pocztówką od Paula, przypuszczalnie bożonarodzeniową kartką od matki z USA, listem od amerykańskiego agenta oraz formalnym listem z berlińskim stemplem pocztowym.

- Były do pana dwa telefony - oznajmiła dozorczyńni, zerkając przez pincenez na mały karteluszek. - Pańska narzeczona - Frau Heidegger zawsze określała Effi w ten sposób, pomimo że nigdy nie padła żadna wzmianka o planowanym małżeństwie - mówi, że w czwartek wieczorem wróci wyjątkowo późno i spotka się z panem w Café Uhlandeck w piątek w południe. Czy to się zgadza?

- Tak.

- I jakiś Herr Conway, tak? Chciałby, żeby pan do niego oddzwonił najszybciej jak to możliwe.

- Zadzwoń do niego, kiedy tylko wypiję kawę - odpowiedział Russell, upijając pierwszy kontrolny łyk. Była przypalona, ale tak mocna i słodka, że trudno było to zauważyć.

Frau Heidegger opowiadała mu, jak niedawno przyłapała jednego z lokatorów - Niemca z Sudetów mieszkającego na pierwszym piętrze, którego Russell ledwie znał - na otwieraniu okna. Było to surowo zakazane, kiedy działało ogrzewanie, i lokatorowi upiekło się wyłącznie dlatego, że pochodził „z gór” i trudno się po nim spodziewać rozsądnego zachowania. Russell pomyślał, że mężczyzna nie wie, jakie miał szczęście; jego własne mieszkanie na czwartym piętrze czasami przypominało rozgrzany piec. Podczas pewnego ciepłego tygodnia w grudniu regularnie nastawiał budzik na trzecią rano, kiedy dozorczyńni najpewniej spała i mógł otworzyć okna na oścież, żeby wpuścić życiodajny haust chłodnego

powietrza. Przełknął kolejny łyk kawy, mimowolnie zastanawiając się, czy Ministerstwo Wojny byłoby zainteresowane zastosowaniem jej jako broni.

- Dziękuję, Frau Heidegger - powiedział, ostrożnie odstawiając w połowie pełną filiżankę na spodek i podnosząc się z krzesła. - Dziś rano już wypilem dwie - dodał jako usprawiedliwienie.

- Dobrze, że pan wrócił - stwierdziła, idąc za nim do drzwi. Nie zamknęła ich jednak, zapewne dlatego, że coś mogłoby ją ominąć.

Russell podszedł do telefonu u podnóża schodów. Aparat był źródłem wielkiej dumy Frau Heidegger, kiedy zainstalowano go tu kilka lat wcześniej - jej kamienica jako pierwsza przy Neuenburgerstrasse otrzymała połączenie. Jednak wkrótce okazało się, że to wątpliwe błogosławieństwo. Powszechna skłonność do dzwonienia o wszelakich porach dnia i nocy wymusiła wprowadzenie capstrzyku, i teraz słuchawka leżała zdjęta z widełek od dziesiątej wieczorem do ósmej rano. W tym czasie nadal można było z niego korzystać dla wychodzących połączeń, ale Boże dopomóż każdemu, kto zapomniałby ponownie zdjąć słuchawkę. Russell podniósł ją i wykręcił numer ambasady brytyjskiej.

Doug Conway pracował w wydziale handlu, a przynajmniej tak twierdził. Russell poznał go w BlauWeiss Club, gdzie angielskojęzyczni expatrianci grywali w tenisa, rozmawiali o tym, jak okropni są ich niemieccy gospodarze i narzekali na brak rzetelnej pomocy domowej. Russell nie znosił tego miejsca, ale czas tam spędzony dobrze służył jego interesom. Jako dziennikarz nawiązał tam mnóstwo użytecznych kontaktów; jako dorywco pracujący nauczyciel angielskiego otrzymał namiary na kilku klientów. Miał nadzieję, że Doug Conway znalazł mu kolejnego.

- Dzisiaj mam urwanie głowy - oznajmił mu Conway. - Ale mogę wcisnąć wczesny lunch. Wertheim o wpół do pierwszej?

- Świetnie - Russell zgodził się i odwiesił słuchawkę. Zaczął wspinaczkę po czterech kondygnacjach schodów prowadzących do jego mieszkania. Na górze przystanął dla nabrania tchu, zanim otworzył drzwi, i po raz któryś z kolei pomyślał o przeprowadzeniu się do kamienicy z windą. Jego pokój był zagracony i gorący, więc zostawił frontowe drzwi otwarte i zaryzykował uchYLENIE okna na parę milimetrów.

Wyciągnąwszy się na podniszczonej sofie, przejrzał pocztę. Pocztówka od Paula zaczynała się słowami „Drogi Tato”, ale chłopiec zdawał się koncentrować głównie na gwiazdkowych prezentach, jakie otrzymał od ojczyma. Napisał jednak, że nie może się doczekać meczu w sobotę, więc Russell jeszcze raz wyjrzał przez okno, żeby przekonać sam siebie, że pogoda się poprawia i mecz się odbędzie.

W kopercie z Ameryki znajdowała się świąteczna kartka od jego matki. Nad zdjęciem przedstawiającym zasypany śniegiem Times Square napisała tajemnicze zdanie: „To mógłby być dobry rok na to, żeby mnie odwiedzić”.

Zapewne miała na myśli sytuację w Europie, chociaż równie dobrze mogła zarazić się nieuleczalną chorobą. Z pewnością nie powiedziała mu, gdyby tak było.

Otworzył urzędowe listy. Ten z Ameryki zawierał czek na pięćdziesiąt trzy dolary i dwadzieścia siedem centów, należność za artykuł o wycieczkach „Siła przez radość”, który przyjęło z tuzin amerykańskich gazet. To były dobre wieści. List z Berlina okazał się ostatecznym i dosyć obraźliwie napisanym żądaniem zapłaty za naprawę maszyny do pisania, która wynosiła ponad połowę dolarowych wpływów.

Rozglądając się po pokoju i patrząc na aż nazbyt znajome meble i poźółkłe białe ściany, na plakat z pierwszego filmu Effi, wyblakły kolaż z fotografii oraz zakurzone, przeładowane półki z książkami, poczuł, jak ogarnia go fala przygnębienia.

Największy w mieście Wertheim zajmował teren dwukrotnie większy niż oplakiwany nieistniejący Reichstag, a jego fronton ciągnął się na trzysta trzydzieści metrów.

Wewnątrz mógł się poszczycić osiemdziesięcioma trzema windami, stu tysiącami żarówek i tysiącem telefonicznych numerów wewnętrznych. Russell wiedział to wszystko, ponieważ rok czy dwa wcześniej napisał artykuł o sklepie. Teraz bardziej liczyło się to, że restauracja oferowała dobre jedzenie i obsługę po bardzo umiarkowanych cenach, oraz że znajdowała się zaledwie pięć minut piechotą od ambasady brytyjskiej przy Wilhelmstrasse.

Doug Conway już zajął stolik i zdążył wypić do połowy gin z tonikiem. Wysoki mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, z gładkimi blond włosami i jasnoniebieskimi oczami, wyglądał niczym stworzony do życia w nazistowskim Berlinie, chociaż w rzeczywistości stanowił całkiem przyzwoitą reprezentację rasy ludzkiej. Wykształcony w państwowych szkołach i niskiego stanu jak na standardy ambasady - jego ojciec był nadzorcą zieleni miejskiej w Leeds - przybył do Berlina akurat w czasie, gdy naziści objęli władzę. Jego śliczna młoda żona, Phyllis była zapewne bystrzejsza od niego, i kiedyś żartem powiedziała Russellowi, że zamierza podpalić BlauWeiss Club, zanim opuści Berlin. Gusta Conwaya w kwestii jedzenia nie odbiegały daleko od jego korzeni. Wyglądał na cierpiącego, kiedy Russell zamówił golonkę z kiszoną kapustą. Dla siebie wybrał duszone mięso z

jarzynami oraz ziemniaczane purée.

- Mam dla ciebie uczennice na lekcje angielskiego, jeżeli chcesz - oznajmił Russellowi, gdy czekali na posiłek. - To żydowska rodzina nazwiskiem Wiesner. Ojciec jest... był... lekarzem. Jego żona przez większość czasu choruje, chociaż nie wiem, na co. Najpewniej ze zgryzoty. Po Krzyształowej Nocy ich syn został zabrany do Sachsenhausen i nie widzieli go od tamtej pory, chociaż słyszeli, że wciąż żyje. I są dwie córki, Ruth i Marthe, nastolatki, trzynasto i piętnastolatka, albo coś koło tego. To właśnie je miałbyś uczyć. Musiał dostrzec, że Russell ma wątpliwości.

- Oddałbyś mi prawdziwą przysługę, gdybyś się tego podjął - nalegał Conway. - W 1934 doktor Wiesner prawdopodobnie uratował życie Phyllis. Były komplikacje przy narodzinach naszej córki, i nie moglibyśmy trafić na lepszego lekarza. Nie tylko był skuteczny, on wręcz stawał na głowie, żeby pomóc. A teraz nie może praktykować, oczywiście. Nie wiem, co zamierza zrobić... nie wiem, co ktokolwiek z nich może zrobić... ale najwyraźniej liczy na wysłanie córek do Anglii albo do Stanów, i przypuszczalnie uważa, że będą miały większe szanse, znając angielski. Obawiam się, że nie mam pojęcia, jaka jest jego sytuacja finansowa. Skoro nie może zarabiać, i przy tych wszystkich nowych podatkach... cóż... Ale jeżeli nie będzie mógł zapłacić twojej normalnej stawki, to ja wszystko wyrównam i dopłacę do tego, na co on może sobie pozwolić. Tylko mu nie mów, że to robię.

- Mogłoby go ucieszyć, że ktoś się przejmuje - odpowiedział Russell.

- Nie wiem, czy...

- Pójdę i zobaczę.

Conway uśmiechnął się.

- Miałem nadzieję, że to powiesz. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni złożoną kartkę i podał ją przez stół. - Tu jest jego adres.

Mieszkał we Friedrichshain; raczej nie była to typowa okolica dla wysoko cenionych żydowskich lekarzy.

- Kiedyś mieszkał w Lützow - wyjaśnił Conway. - Teraz, oczywiście, wszyscy oni gniotą się w najbiedniejszych dzielnicach. Jak w średniowiecznych gettach.

Podano potrawy, i przez chwilę obaj jedli w milczeniu, po czym wymienili wieści o dzieciach i niemieckich szkołach, do których uczęszczały. Conway i jego żona obejrzeni też musical Effi i wyraźnie tego żalowali, chociaż Conway był zbyt dobrze wychowany, żeby powiedzieć to wprost.

Przy kawie Russell zapytał, jak ambasada wyobraża sobie kilka najbliższych miesięcy.

- Nieoficjalnie?

- Nieoficjalnie.

- Tkwiemy na ostrzu noża. Jeżeli nasz koleżka z wąsikami jest zadowolony z tego, co dostał, to świetnie. Ugodowcy powiedzą: „A nie mówiłem, on może sobie być paskudnym małym gnojkiem, ale da się nad nim zapanować”. Ale jeżeli sięgnie po więcej, po Gdańsk albo Korytarz, albo resztę Czechosłowacji, wtedy to Churchill i jego kumple powiedzą: „A nie mówiłem”. I będzie wojna. - Doug, jak przekonujecie Brytyjczyków, że dla Czechów nie warto było walczyć, ale dla Polaków tak? Czesi mieli swego rodzaju funkcjonującą demokrację. Polacy byłiby zupełnie jak ci tutaj, gdyby mieli talent organizacyjny.

Conway skrzywił się.

- To będzie należało do polityków. Jednak powiem ci, czym Londyn naprawdę się martwi. Jeżeli Hitler przez parę lat będzie się grzecznie zachowywał i jeśli utrzyma produkcję czołgów, U - bootów i bombowców na obecnym poziomie, to do '41 albo '42 będzie niewyciężony. To prawdziwy koszmar. Jeżeli o nas chodzi, z czysto militarnego punktu widzenia im prędzej się coś wydarzy, tym lepiej.

U Wienerów nie było telefonu, zatem Russell nie mógł sprawdzić, czy pora jego wizyty będzie dogodna. Jednak, jak zauważył Conway, doktor niespecjalnie miał dokąd wychodzić. Nie istniało żadne metro dojeżdżające do robotniczych slumsów Friedrichshain, więc Russell pojechał tramwajem numer 13 od Bramy Brandenburskiej do Spittelmarkt i stamtąd tramwajem numer 60 na Alexanderplatz i dalej na Neue Königstrasse. Wraz z każdym mijanym kilometrem miasto podupadało w oczach, i zanim Russell dotarł do celu, jego większość wydawała się być na sprzedaż. Wzdłuż chodnika ciągnęły się prowizoryczne stoliki, uginające się pod stertami dobytku, który potencjalni przyszli żydowscy emigranci starali się upłynnić.

Dzieła zebrane Dickensa po niemiecku wystawiono na sprzedaż za kilka reichsmarek, świetnie wyglądające skrzypce kosztowały niewiele więcej.

W porównaniu z kamienicą Wiesnerów jego własna wydała się należeć do klasy średniej. Ulica była brukowana, ściany oblepione ogłoszeniami o aukcjach i listami przedmiotów na sprzedaż. Na chodniku grupka boleśnie wychudzonych dziewczynek skakała po narysowanej kredą trasie, grając w „piekło i niebo”. Na podwórzu, przy budynku Wiesnerów, na ścianie w głębi wciąż widniał nikły zarys wielkiego sierpa i młota oraz mocno wyblakły slogan: „erst essen, dann miet” - najpierw jedzenie, potem czynsz.

Wiesnerowie zajmowali dwa ciasne pokoje na drugim piętrze. W przeciwieństwie do przewidywań Conwaya, doktora nie było w domu. Wyszedł jednak tylko zbadać sąsiada, i starsza z dwóch córek została posłana, żeby go sprowadzić. Russellowi pozostała pogawędka

z żoną doktora oraz ich młodszą córką, Ruth. Frau Wiesner, drobna kobieta o związanych do tyłu blond włosach i zmęczonych szarych oczach, kompletnie nie wyglądała na Żydówkę, podczas gdy Ruth była uderzająco podobna do Effi, zarówno w kwestii wyglądu, jak też - w opinii Russella - usposobienia. Effi często bywała mylnie brana za Żydówkę, i różni pracodawcy nalegali, żeby zawsze nosiła przy sobie Fragebogen, dokument zaświadczący o jej aryjskim pochodzeniu. Zaś ona, oczywiście, z wielką przyjemnością machała nim ludziom przed nosem, wytykając ich pomyłkę.

Doktor Wiesner pojawił się po kilku minutach, i wyraźnie wyglądał na zgnębionego. Jego żona i obie córki raptownie wycofały się do sąsiedniego pokoju i zamknęły za sobą drzwi. Russell domyślał się, że doktor ma około pięćdziesiątki i szybko się starzeje. Przechesał dłonią rzędzące włosy i od razu przeszedł do rzeczy. Jak mówił Conway, miał nadzieję wysłać córki do krewnych w Anglii. Starał się o uzyskanie dla nich wiz oraz zezwoleń na wyjazd, a w międzyczasie chciał, żeby uczyły się angielskiego.

- Sam mówię trochę - powiedział w tym języku - i spróbuję im pomóc, ale potrzebny im odpowiedni nauczyciel.

- Uczyłem około dwadzieścioro niemieckich dzieci - odparł Russell.

Wiesner chrząknął.

- Niemieckich dzieci - powtórzył. - Obawiam się, że moje dzieci nie są już dłużej uważane za niemieckie.

Russell nie odpowiedział.

- Zastanawia się pan, dlaczego zostaliśmy - mówił dalej Wiesner.

- Codziennie sam zadaję sobie to pytanie i mam wiele odpowiedzi, ale żadna z nich nie jest nic warta. Moja żona nie jest Żydówką - dodał - więc moje dzieci są tylko w połowie Żydami, czyli Mischlinge[9], jak nazywają je naziści, i może sądziłem, że... Cóż, byłem głupcem. - Sięgnął za siebie i podniósł kartkę z półki pełnej płyt. Ku zaskoczeniu Russella, była to strona z Der Stürmer. - Niech pan tego posłucha - powiedział doktor, poprawiając okulary na nosie i odsuwając kartkę niemal na odległość wyciągniętej ręki. - „Nawet jeżeli Żyd tylko raz spał z aryjską kobietą, błony jej waginy stają się tak przesiąknięte obcym nasieniem, że kobieta ta nigdy więcej nie będzie w stanie urodzić dziecka czystej krwi aryjskiej”. - Opuścił kartkę i spojrzał na Russella. - Kto mógłby uwierzyć w taki pseudonaukowy nonsens? To nawet nie trzyma się kupy z ich własnymi niedouczonymi zasadami. Z pewnością to rasa panów powinna posiadać silniejszą krew, a nie ludzie, którymi pogardzają.

Dostrzegł coś w twarzy Russella.

- Przykro mi. Nie wiem, dlaczego to panu mówię. Po prostu tak ciężko to zaakceptować.

- Rozumiem - odrzekł Russell.

- A dlaczego pan, Anglik, pozostał w Niemczech? - zapytał go Wiesner.

Russell pokrótce opisał mu własną sytuację.

- To trudne - przytaknął doktor. - Ale to dobra wiadomość dla moich córek, jeżeli zgodziłby się pan je uczyć.

- Ile lekcji ma pan na myśli?

- Tyle, ile tylko pan zdoła. I równie często.

- Trzy razy w tygodniu? Poniedziałek, środa, piątek? To się jednak będzie musiało czasem zmieniać. W tym tygodniu nie mogę w piątek, ale mógłbym we czwartek.

- Cokolwiek pan ustali. A teraz trudniejsza część. Mam trochę pieniędzy, ale niezbyt wiele. I... tu muszę panu zaufać... posiadam pewne cenne znaczki. Mogę panu pokazać wycenę w obecnym katalogu i dodać kolejne dziesięć procent.

To była hojna oferta, lecz Russell nie mógł się na to zgodzić.

- Wartość katalogowa w zupełności mi wystarczy.

Było już prawie ciemno, kiedy wyszedł z kamienicy Wiesnerów, a jazda tramwajem do domu w porze wieczornego szczytu wydawała się nie mieć końca. Zanim Russell dotarł do Hallesches Tor, miał już ochotę na kolację, zaś jego ulubiona piwiarnia pod linią metra oferowała upragnione klopsiki i placki ziemniaczane. Przy drugim piwie postanowił nie sprzedawać żadnego ze znaczków od Wiesnera, chyba żeby naprawdę musiał. Da je Paulowi, którego kolekcji przyda się kilka rzadkich okazów.

Oczywiście, zakładając, że jego syn je przyjmie. Paul zawsze martwił się sytuacją finansową ojca - za niepokój ten Russell od czasu do czasu, acz bez przekonania, starał się obwiniać swoją byłą żonę Ilse.

Spojrzał na zegarek. Musiał wrócić do domu, żeby zatelefonować do Paula, zanim chłopiec położy się spać. Gdy wychodził z piwiarni, pociąg metra z turkotem wjechał na stację znajdującą się nad nią i wkrótce potok ludzi sunął w dół po żelaznych schodach, wydychając obłoczki żółtej pary w mroźnym wieczornym powietrzu. To był jeden z tych berlińskich dni, kiedy pogoda zdawała się nie móc zdecydować, co wybrać, w jednej chwili zwracając się ku ciepłu z zachodu, a w następnej sięgając po wschodni chłód. Skręciwszy w swoją ulicę Russell zauważył coś, co wyglądało na pusty samochód zaparkowany naprzeciwko jego kamienicy. To było dość niezwykle - bardzo niewielu ludzi w tej okolicy mogło sobie pozwolić na auto. Russell pomyślał, żeby przejść na drugą stronę ulicy i zajrzeć

do środka, ale uznał, że popada w paranoję. Nie zrobił niczego, czym naraziłby się władzom. A przynajmniej jeszcze nie.

Powitał go powiew gorącego powietrza, gdy otworzył bramę kamienicy. Wieczorek karciany u Frau Heidegger trwał w najlepsze, a głośny śmiech sugerował sporą liczbę pustych butelek.

Russell wykręcił numer domu w Grunewald, po czym przyłożył sobie słuchawkę do jednego ucha, a drugie zatkał palcem. Tak jak mógł się spodziewać, Ilse odebrała telefon. Zadali sobie typowe pytania, udzielili oczywistych odpowiedzi, przez cały czas z nutą zakłopotania, którego, jak się zdawało, nigdy nie zdołali się wyzbyć. Rodzina właśnie dopiero co powróciła z Hanoweru, i kiedy Paul podszedł do telefonu, wciąż był pod wrażeniem cudów autostrady i nowego horcha[10] należącego do ojczyzna. Co do soboty, to jego normalne lekcje zostały zastąpione zebraniem *Jungvolk*, a te trwały do pierwszej.

- Mama mówi, że wtedy możesz mnie odebrać.

- Dobrze. - „Effi będzie zadowolona”, pomyślał Russell. Nie będzie musiał wychodzić, kiedy ona jeszcze smacznie śpi.

- I dalej idziemy na mecz Viktorii?

- Oczywiście. Spodziewam się, że stryj Thomas i Joachim także przyjdą.

Gawędzili jeszcze przez parę minut, póki głos Ilse w tle nie oznajmił, że czas się skończył. Czując to samo, co zawsze - połączenie radości i frustracji, Russell ruszył po schodach na górę. Na półpiętrze zatrzymał go inny mieszkający tutaj dziennikarz, młody Amerykanin nazwiskiem Tyler McKinley.

- Zdawało mi się, że słyszę twoje zmęczone kroki - odezwał się po angielsku. - Wejdz na moment. Chcę cię o coś zapytać. Prościej wydawało się powiedzieć „tak” zamiast „nie”. Pokój McKinleya nie był szczególnie przegrzany - podobnie jak inni lokatorzy, Amerykanin wykorzystał wieczór karciany, żeby odświeżyć powietrze - jednak przepelniał go fajkowy dym z koszarnej bałkańskiej mieszanki, w którą McKinley zaopatrzył się podczas weekendowej wycieczki do Triestu.

- Jak było w Gdańsku? - spytał gospodarz, chociaż Russell widział, że rozpierają go emocje związane z jego własnym materiałem. McKinley miał w sobie coś uroczonego, ale też niesamowicie irytującego. Russell miał nadzieję, że nie odbiera go tak tylko dlatego, że McKinley ze swoją na poły religijną wiarą w dziennikarską krucjatę przypominał mu jego samego z dawno minionych czasów. To właśnie jest problem z młodymi - ich głupstwa przywołują wspomnienia naszych własnych.

- Interesująco - odpowiedział, chociaż zupełnie nie przypominało to tego, co miał na

myśli McKinley. Rozważał opowiadanie mu o wojnie znaczków, lecz mógł sobie wyobrazić wyraz niezrozumienia i lekkiej drwiny, jakie by tym wzbudził.

Młodszy mężczyzna przebywał w Berlinie już od jakiegoś czasu.

- Jestem na tropie naprawdę interesującej historii - oznajmił. - Nie chcę jeszcze niczego mówić - dodał prędko - ale... Czy wiesz cokolwiek o KdF, *Kanzlei des Führers*?

- To prywatna kancelaria wielkiego szefa.

- Czy to biuro rządowe?

- Nie, to biuro partii, chociaż niezależne. Nie jest powiązane ze zgrają Bormanna w Monachium.

McKinley był wyraźnie podekscytowany.

- A więc z kim jest powiązane?

Russell wzruszył ramionami.

- Z nikim. O ile wiem, podlega bezpośrednio Hitlerowi.

- Zatem gdyby chciał zrobić coś po cichu, to byłoby idealne narzędzie.

- Ehę.

McKinley rozpromienił się, jak gdyby właśnie sam przyznał sobie złotą gwiazdkę.

- Chcesz mi opowiedzieć, o co ci chodzi? - zapytał Russell, zaciekawiony na przekór samemu sobie.

- Jeszcze nie - odparł Amerykanin, lecz nie potrafił się powstrzymać przed zadaniem jeszcze jednego pytania. - Czy nazwisko Knauer coś ci mówi?

- Obrońca w Tennis Borussia kilka lat temu?

- Co? Och, piłkarz. Nie, nie wydaje mi się. - Sięgnął po zapalniczkę, by na nowo zapalić fajkę. - Ale dzięki za pomoc.

- Proszę bardzo - powiedział Russell, otwierając drzwi, żeby wyjść.

W jego pokoju na ostatnim piętrze panował ukrop, lecz na szczęście nie było dymu. Domyślając się, że skat potrwa jeszcze parę godzin, otworzył okno na oścież i potoczył wzrokiem po dachach. W oddali czerwone światło na szczycie Funkturm mrugało nad miejskim krajobrazem.

Russell zasiadł do maszyny do pisania, wkręcił kartkę i powtórzył sobie, że list, który właśnie miał napisać jest - przynajmniej dla Rosjan - jedynie pokretnym sposobem powiedzenia „tak”. Jego prawdziwymi czytelnikami miało być gestapo.

„Udawać niewinnego”, pomyślał. Gestapo uzna, że Russell próbuje wystrychnąć Sowietów na dudka, i założy, że jest po prostu cyniczny.

Rozpoczął od podkreślenia szczęśliwego zbiegu okoliczności, że narodowy socjalizm

oraz Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich mają wspólne kluczowe słowo - socjalizm. „To powinno ubawić jednych i drugich”, pomyślał. Mogą wydawać się sobie wrogie, ciągnął dalej, ale wyraźnie łączy je istotna kwestia: determinacja socjalizmu, żeby służyć wszystkim ludziom. Cóż mogłoby być lepszego niż pokój? I cóż bardziej pomoże pokojowi od wzajemnego zrozumienia? Gdyby radzieckim obywatelom zaoferowano, w formie cyklu artykułów, jaśniejszy obraz tego, co osiągnął narodowy socjalizm dla zwyczajnych obywateli niemieckich, wówczas szanse na pokój by wzrosły. Jako Anglik posiadający długie doświadczenie w tematyce niemieckiej, Russell znajdował się w idealnej pozycji, by wyjaśnić to cudzoziemcom.

Ponadto miał ważny osobisty powód, by pragnąć pokoju - gdyby wybuchła wojna, dodał rozrzewniająco, on i jego urodzony w Niemczech syn mogliby zostać rozdzieleni na długie lata.

- Oto ja - mruknął do siebie - narzędzie propagandowe do wzięcia. Gestapo to kupi.

Przepisał na kopertę adres z listu od Szczepkina, wygrzebał znaczek z szuflady biurka i oparł gotową wiadomość na maszynie do pisania. Słyszając dobiegające z podwórza głosy wychodzących dozorczyń rzucił się do okna i pośpiesznie je zamknął.

„Łóżko”, pomyślał zmęczony. Łazienka piętro niżej, którą dzielił z McKinleyem i dwoma innymi mężczyznami - przedstawicielem firmy papierniczej z Hamburga oraz kelnerem z gór Harzu - przynajmniej teraz była pusta, chociaż wiszący w powietrzu odór dymu z fajki McKinleya sugerował wcześniejsze dłuższe posiedzenie. Spod drzwi Amerykanina wciąż sączyło się światło i Russell mógł dosłyszeć łagodne stukanie jego maszyny do pisania; te nowsze maszyny były znacznie cichsze niż jego antyk.

W łóżku ponownie przeczytał pocztówkę od Paula i wrócił do czytania powieści detektywistycznej, którą zapomniał zabrać do Gdańska. Nie mogąc sobie przypomnieć, kto był kim, zgasił światło i nasłuchiwał przytłumionego ruchu ulicznego z pobliskiej Lindenstrasse. Führerowi zapewne wolno było spać przy otwartych oknach.

Następnego dnia była środa, więc Russell odbył długą podróż do Friedrichshain na swoją pierwszą lekcję z pannami Wiesner. Starsza córka Marthe była z początku onieśmielona, lecz entuzjazm Ruth okazał się dostatecznie zaraźliwy, aby się otworzyła. Obie bardzo słabo znały angielski, ale praca z nimi była przyjemnością, okazały się chętne do nauki i znacznie inteligentniejsze niż rozpieszczone dziewczęta z przedmieść Grunewald i Wilmersdorf, które Russell nauczał w przeszłości.

Jednak w czwartek obie dziewczynki wyglądały, jakby zobaczyły ducha, i Russell zastanawiał się, czy otrzymały złe wieści o bracie w Sachsenhausen. Kiedy zapytał, czy nic

im nie jest, pomyślał, że Marthe zaraz się rozpłaczę, lecz ona wyraźnie wzięła się w garść i wyjaśniła, że poprzedniego wieczoru brat wrócił do domu.

- Ależ to cudownie... - zaczął Russell.

- Albert nie jest taki jak dawniej - przerwała mu Ruth, oglądając się przez ramię na drzwi do pozostałych pomieszczeń. - Nie ma włosów i się nie odzywa - wyszeptwała.

- Zacznie - Marthe powiedziała siostrze, obejmując ją ramieniem.

- On tylko widział straszne rzeczy, ale nie jest ranny, nie naprawdę. A teraz przestań, musimy się uczyć angielskiego. Dla dobra wszystkich.

I uczyły się, o wiele szybciej niż jakikolwiek z uczniów, których Russell mógł sobie przypomnieć. Ani matka, ani brat nie wyszli z drugiego pokoju, zaś doktor Wiesner w oba dni przebywał poza domem. W czwartek zostawił Russellowi trzy znaczki w kopercie leżącej na najnowszym katalogu Stanleya Gibbonsa z Anglii. Russell nie fatygował się, żeby sprawdzać wyceny.

Kiedy wrócił na Neuenburgerstrasse, nadszedł telegram od jego londyńskiego agenta, informujący o potrzebie zrobienia na wyłączność fotografii do jego planowanego tekstu o nowej kancelarii Hitlera.

Po szybkim obiedzie Russell powłókł się do studia fotograficznego mieszczącego się aż w Neukölln tylko po to, by odkryć, że fotograf, Ślżak nazwiskiem Zembski, z którego usług korzystał w przeszłości, właśnie stracił urzędową akredytację - po tym, jak wszczął burdę podczas jednego z myśliwskich przyjęć u Goeringa. Zembski ważył ponad dziewięćdziesiąt kilo i raczej trudno byłoby go przemycić do nowego architektonicznego koszmarka Führera. Okazał się jednak chętny, by wypożyczyć jeden ze swoich lepszych aparatów. Po krótkim instruktażu Russell zabrał Leicę z powrotem do Hallesches Tor.

W korytarzu Frau Heidegger czekała na niego - albo na kogokolwiek. Jej mąż zginął podczas ostatniej wojny („To pan mógł go zastrzelić”, jak często powtarzała Russellowi), zaś szwagier dopiero co do niej zajrzał, przynosząc mnóstwo przerażających wieści o kolejnej. Dozorczynie zakładała, że wojna rozegra się gdzieś z dala od jej progu, lecz ta iluzja właśnie została okrutnie zgruchotana. „Na miasta spadną bomby i zrównają je z ziemią”, powiedział szwagier. „Na równo, jakby je ktoś wyprasował żelazkiem”.

Russell uspokoił ją, że owszem, angielskie, francuskie albo rosyjskie bombowce mogą teraz dotrzeć do Berlina, jednak gdyby spróbowały, większość z nich zostałaby zestrzelona, ponieważ siły obrony powietrznej są przez cały czas udoskonalane.

Nie wyglądała na przekonaną, ale on sam też nie był. „Ilu Europejczyków”, zastanawiał się, „ma jakiegokolwiek pojęcie, czym będzie wojna, do której zmierzają?”

Piątkowy ranek był słoneczny i mroźny. Po późnym śniadaniu złożonym z bułek i kawy w miejscowej kafejce Russell poszedł na zachód, wzdłuż kanału Landwehr.

Miał się spotkać z Effi dopiero za parę godzin, więc się nie spieszył, zatrzymując się, żeby przeczytać poranną gazetę na ławce w pobliżu dwukondygnacyjnych mostów, dźwigających tory metra i kolei ponad niemrawą brunatną wodą. Barki wyładowane węglem perkotały, mijając go i pozostawiając za sobą cienki ślad oleju.

Russell przeszedł ścieżką dla pieszych około kilometra, oddalając się od kanału w miejscu, gdzie wpływał pod Potsdamerstrasse. Niemal dokładnie dwadzieścia lat wcześniej w pobliżu tego miejsca wyłowiono z wody ciała Róży Luxemburg i Karla Liebknechta, zaś na pustym placu po drugiej stronie drogi, aż do zeszłego listopada wznosiła się synagoga. Róża, rzecz jasna, uosabiała wszystko, czym gardzili naziści - była Żydówką, komunistką oraz kobietą, która nie zgodziła się siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Russell był zdumiony, że nie ogłoszono żadnych oficjalnych obchodów rocznicy jej śmierci.

Idąc skrótem przez boczne ulice dotarł w końcu do zwieńczonej kopułą stacji metra przy Nollerndorfplatz i zaczął iść Kleiststrasse w kierunku dalekich strzelistych wież Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma.

Gdy tory metra, wzdłuż których szedł, zaczęły znikać pod ziemią, sklepy stopniowo stawały się coraz większe i bogatsze, a markizy kawiarnianych ogródków coraz bardziej dekoracyjne. Pomimo zimna większość krzeseł na zewnątrz była zajęta; mężczyźni i kobiety siedzieli w płaszczach albo ciasno opatuleni ogromnymi kocami, pałaszując ciastka z bitą śmietaną i popijając parującą kawę.

Zarówno chodnik jak i jezdnia były teraz zatłoczone. Rzeka kupujących płynęła w obie strony wchodząc i wychodząc z domu towarowego KaDeWe przy Wittenbergplatz. Samochody i tramwaje jechały zderzak w zderzak węższą Tauenzienstrasse, przepychając się przy neogotyckiej bryle Kościoła Pamięci, z jego zastanawiająco świeckimi mozaikami, mającymi uczyć wysoce wątpliwą chwałę zwycięstw dawnych niemieckich cesarzy.

Mijając kościół i rozmyślając o swojej rozmowie z Frau Heidegger, Russell doznał nagłej wizji poszarpanych iglic wyłaniających się ze strzaskanego dachu - przyszły Berlin wyobrażony na podstawie jego wspomnień z północnej Francji.

Zaczął iść po gwarным Kurfürstendamm, albo Ku'damm, jak wszyscy go nazywali.

Od Café Uhlandeck, gdzie miał się spotkać z Effi, dzieliło go dziesięć minut spacerem, i wciąż miał jeszcze godzinę czasu do zabicia. Jego uwagę przyciągnęła afrykańska papuga w sklepie ze zwierzętami - był to prezent tego rodzaju, jakie Effi uwielbiała, jednak wątpił w jej zdolności do porządnego opiekowania się zwierzątkiem. Po pierwsze, zbyt często przebywała poza domem; po drugie, to przecież Effi.

Kobieta w futrzanym płaszczu wyszła ze sklepu z dwoma rasowymi sznaucerami. Oba miały emaliowane swastyki przymocowane do obroży, i Russell zastanawiał się, czy w budach mają przypięte zdjęcia Führera. Czy zostałyby to uznane za oznakę szacunku, czy wręcz przeciwnie? Polityczna etykieta w Trzeciej Rzeszy przypominała pole minowe.

Minął przerobioną na „aryjską” fabrykę Grünfeld oraz plac po kolejnej zniszczonej synagodze. Album ze zdjęciami takich miejsc, pomyślał, mógłby stać się bestsellerem w nazistowskich Niemczech. „*Judenfrei*: zapis fotograficzny”. Stronica za stronicą spalonych synagog, a po nich zdjęcia „przedtem i teraz” firm zamienionych na aryjskie. Przedmowa Führera, która zapewne okazałaby się dłuższa niż sama książka.

Szczęśliwy autor przypuszczalnie otrzymałby zaproszenia na myśliwskie weekendy Goeringa oraz orgie z biczami Streichera. Russell zatrzymał się i obserwował tramwaj, który dzwoniąc przecinał skrzyżowanie. Dlaczego tego ranka czuł taki gniew? Czy to przez *Kindertransport* i Wiesnerówny? A może to tylko sześć lat gromadzącego się obrzydzenia? Cokolwiek to było, niczemu nie służyło.

Znalazłszy się w Café Uhlandeck usiadł przy jednym ze stolików na zewnątrz i wypatrywał w stronę Ku'damm, szukając wzrokiem znajomej sylwetki Effi. Poznał ją na kilka dni przed Bożym Narodzeniem w 1933 roku, gdy zbierał materiały o Leni Riefenstahl dla hollywoodzkiego brukowca. Podczas przyjęcia w wytwórni ktoś wskazał mu smukłą, czarnowłosą kobietę przed trzydziestką i powiedział Russellowi, że jej nazwisko brzmi Effi Koenen oraz że zagrała u boku Riefenstahl, zanim aktorka stała się reżyserką. Jej rola w tamtym filmie, jak Effi poinformowała go z wielką uciechą, składała się z „pięciu kwestii, dwóch uśmiechów, jednej nadąsanej minki i dystyngowanego wyjścia”. Uważała Riefenstahl za dobrą aktorkę, lecz nie znosiła „Triumfu woli” za jego brak humoru. Russell zaprosił ją na obiad, i - ku jego zdumieniu - ona się zgodziła. Dogadywali się cudownie - w restauracji, gdy podchmieleni wracali potem pieszo do jej mieszkania i w jej wielkim miękkim łóżku. Pięć lat później nic się nie zmieniło.

Mieszkanie Effi znajdowało się o parę przecznic od Ku'damm; trzypokojowy apartament, który jej zamożni rodzice odkupili na początku lat dwudziestych od jakiejś ofiary Wielkiej Inflacji i podarowali jej jako prezent na dwudzieste piąte urodziny. Jej kariera

aktorska przebiegała z przeciętnymi sukcesami - jakiś film tu, sztuka tam, musical, jeżeli nie było żadnych innych ofert - nie przynosząc jej majątku ani szczególnej sławy. Towarzysząc jej Russell widział, że bywała niekiedy rozpoznawana na ulicy, lecz niemal zawsze z powodu roli, jaką zagrała w filmie z 1934 roku - żony szturmowca pobitego na śmierć przez komunistów. To była rola na „siedemnaście kwestii, jeden uśmiech, jeden wrzask i dystygowaną pozę podczas pogrzebu”.

Obecnie występowała w „Barbarossie”, musicalowej biografii dwunastowiecznego władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, Fryderyka I. Jako żona jednego z jego generałów śpiewała dwa utwory: radosnego pożegnania, gdy rycerze odjeżdżali na krucjatę, oraz oplakiwania tych, którzy nie powrócili do domu. Podobnie jak większość obsady, była dość kiepską śpiewaczką, lecz przy tej produkcji nikt nie zaprzętał sobie głowy troską o muzyczną jakość, porządny scenariusz czy wpadające w ucho piosenki. Był to - jak ujęła to jedna z pierwszych berlińskich recenzji - „hymn do świadomości narodowej”.

Ku wyraźnemu zniesmaczeniu Effi sztuka przyciągnęła ogromną publiczność, zarówno w samym Berlinie podczas tygodni przed Bożym Narodzeniem, jak i w całej Rzeszy w karnawale. Tego wieczora rozpoczynał się drugi sezon w Berlinie i Effi spodziewała się, że widownia znów będzie pełna: „Ci wszyscy, którzy za pierwszym razem nie mogli uwierzyć, jakie to złe, wrócą, żeby się upewnić”. Russell nie widział jej prawie od dwóch tygodni i to było bardzo długo. Na ogół spędzali ze sobą większą część weekendu, o ile praca - głównie jej praca - na to pozwalała, a także przynajmniej jedną noc w połowie tygodnia oraz nieprzewidywalną liczbę wspólnych obiadów i popołudniowych spotkań. Effi lubiła mawiać, że jej trwające trzy lata małżeństwo z obecnie słynnym aktorem pozostawiło w niej pragnienie, by mieszkać samej, i nigdy nie zasugerowała, by Russell się do niej wprowadził. Powtarzał sobie i wszystkim innym, że jest szczęśliwy, nawet bardziej niż szczęśliwy, dzieląc z nią dni i noce, oraz równie szczęśliwy, spędzając pozostałe dni i noce bez niej. Przeważnie w to wierzył. Tylko od czasu do czasu przyłapywał się na myśli, że miłość to zajęcie na pełny etat, a kochanie kogoś, to żalowanie każdej godziny rozłąki. Kochał Effi, od jej długich kruczoczarnych włosów po opalone paluszki u stóp. Spoglądając na zegarek pomyślał, że kocha w niej wszystko prócz jej kompletnej niemożności pojawienia się gdziekolwiek na czas.

Była 12:25, kiedy się wreszcie zjawiła. Miała na sobie czarny płaszcz, który sięgał jej prawie do kostek, nowy szkarłatny szal owinięty wokół szyi, brody i ust, oraz rosyjską futrzaną czapkę, którą kupiła w Moskwie dziesięć lat temu. Jednak nawet okutana jak mumia przyciągała spojrzenia męskiej części przechodniów.

- Jestem przeziębiona - to były pierwsze słowa, które wypowiedziała, gdy już się uściskali. - Potrzebna mi zupa.

Russell zaproponował, żeby weszli do środka, lecz odmówiła.

- Świeże powietrze jest najlepsze na przeziębienie - upierała się.

Zamówił zatem po talerzu zupy i patrzył, jak Effi pochłania swoją.

- Skończyliśmy o czwartej nad ranem - powiedziała między kolejnymi łyżkami - i dzisiaj wieczorem też musimy przyjść wcześniej, żeby omówić jakieś zmiany, które reżyser ma w planie.

- Nowe utwory? - spytał Russell.

- Gdyby tylko. Ale to nic z tych rzeczy. On po prostu musi uzasadnić czymś fakt, że wciąż mu płacą. - Zaczęła rozrywać bułkę i kruszyć ją do zupy. - Odbierzesz mnie po przedstawieniu?

- Oczywiście. Przyjdę i popatrzę przez ostatnie pół godziny, jeśli mnie wpuszczą. Czy przy drzwiach jest ten sam człowiek?

- Nie wiem. Ale dopilnuję, aby wiedzieli, że przyjdiesz. - Nabrała łyżką porcję namokniętego chleba i wsunęła sobie do ust. - Pycha. Już się lepiej czuję. A ty jak się miewasz? Co u Paula?

- Jeszcze go nie widziałem. Ale wydaje się, że w porządku.

- Gdańsk?

- Stosownie ponury - odparł. Opowiedział jej o wojnie znaczków, co ją rozśmieszyło, i o zamówieniu od Rosjan na artykuły, co wywołało u niej uniesienie brwi. - To tylko praca - powiedział. Uznał, że nie ma sensu wspominać o ustnych raportach ani psuć ich spotkania relacją o *Kindertransport* i dniu spędzonym w więzieniu. Podkraśla mu ostatnią bułkę, żeby namoczyć ją w resztkę zupy.

- Czuję się znacznie lepiej - powtórzyła. - I mam jeszcze trzy godziny, zanim będę musiała iść do teatru - oznajmiła, sięgając szczupłą ręką po jego dłoń. - Wrócimy do mieszkania?

Wieczorem tego dnia Russell zjawił się za kulisami akurat w porę, żeby wysłuchać elegii dla poległych bohaterów. Wydawała się jeszcze bardziej wagnerowska niż zazwyczaj, i uświadomił sobie, że reżyser musicalu postanowił zastosować podstawową zasadę Trzeciej

Rzeszy: nigdy nie mów, jeśli możesz krzyczeć.

Wdowy po rycerzach miały teraz cały chór dumnie wydymających pierś Walkirii, by wzmocnić ich lamenty. Widzowie w pierwszych rzędach wyglądali na stosownie wstrząśniętych.

Po przedstawieniu Russell gawędził o futbolu z portierem, czekając na Effi. Pojawiła się jakieś pół godziny później, nadal mówiąc przez nos, ale tryskająca pospektaklowym animuszem. Na zewnątrz było pogodnie i mroźno, na chodnikach tłoczno. Szli pod ramię, mijając wejście do akwarium i wzdłuż południowej strony ZOO w kierunku jarzącej się szklanej budowli, która przysiadła okrakiem nad wypiętrzonymi torami na Dworcu ZOO. Dworcowy bufet był pełen ludzi, ale udało im się znaleźć dwa wolne miejsca, i zamówili po kieliszku przed snem. To było ostatnie miejsce w Berlinie, gdzie Żydzi nadal mogli przychodzić na kawę, lecz nie było widać twarzy o wyraźnie żydowskich rysach. W nocy miasto stawało się aryjskim rezerwatem.

Gdy opuszczali bufet, międzynarodowy ekspres mozolnie sunął przez Hardenbergstrasse, wprawiając w drżenie dźwigary wiaduktu i wypluwając kłęby białego dymu w stronę gwiazd. Russell przyłapał się na tym, że żałuje, nawet jeśli tylko przez moment, że on i Effi nie są dwiema sylwetkami w naszyjniku rozświetlonych okien, udającymi się ku innemu życiu w Amsterdamie, Paryżu albo Nowym Jorku - właściwie gdziekolwiek poza zgniłym królestwem Hitlera.

Dochodziła pierwsza, kiedy wrócili do mieszkania Effi. Po południu kochali się niemal gorączkowo, lecz teraz się nie spieszyli, pieszcząc się zmysłowo, raz za razem doprowadzając się nawzajem do samej granicy, nim wreszcie z radością wspólnie ją przekroczyli. Otulona jego ramionami Effi prawie natychmiast zasnęła, lecz umysł Russella uparcie nie dawał mu wytchnąć. Uzmysłowił sobie, że rano nie był zły na nazistów. Był zły na samego siebie. Zły na własną bezradność. Zły, że wszystko, na co może się zdobyć, to jedynie fantazjowanie o ucieczce.

Nagle przyszło mu do głowy, że jego wymyślony album z fotografiami mógłby wywołać prawdziwy oddźwięk za granicą. Zwłaszcza w Ameryce, gdzie żydowskie organizacje posiadały znaczenie polityczne.

Mógł zdobyć zdjęcia starych żydowskich firm i synagog z archiwów prasowych i samemu sfotografować ruiny aparatem Zembskiego. Wywiezienie tego z kraju stanowiłoby pewien problem, ale martwiłby się tym - podobnie jak zapewnieniem własnej anonimowości - kiedy nadejdzie pora. Zaś gdyby ktokolwiek zauważył go, jak robi zdjęcia pogorzeliisk po synagogach, mógłby powiedzieć, że zbiera dokumentację antysemitycznych triumfów, które

wcześniej przewidział. Uśmiechnął się do siebie w ciemności.

Następnego ranka poszli do swojej stałej kafejki w Tiergarten na kawę z mlekiem i bułki. Zimowe słońce wznosiło się już wysoko po południowowschodniej stronie nieba, i kiedy spacerowym krokiem wracali wzdłuż północnego brzegu kanału Landwehr, wydawało się, że większość berlińczyków wpadła na ten sam pomysł. Effi umówiła się na wczesny obiad ze swoją starszą siostrą Zarah, co często robiła w czasie, gdy Russell widywał się z synem. Tak naprawdę nigdy nie lubił Zarah, która była kompletnie pozbawiona chimerycznej zdolności Effi do dostrzegania kogoś prócz samej siebie, i która poślubiła ambitnego nazistowskiego urzędnika. Niedługo po tym, jak Russell ją poznał, Effi poprosiła go o pomoc w zorganizowaniu w Anglii aborcji dla Zarah. Zarah pojechała do Londynu, w ostatniej chwili stwierdziła, że nie potrafi się na to zdobyć, i ostatecznie urodziła chłopczyka. Ku sporemu zdziwieniu wszystkich nie widziała świata poza dzieckiem już od dnia jego narodzin. Zaś ku niemałej irytacji Russella to jego obwiniała za fakt, że omal nie poddała się aborcji.

Po rozstaniu z Effi Russell złapał za ZOO tramwaj linii 76 jadący w stronę Grunewaldu i patrzył, jak domy stają się coraz większe, gdy pojazd sunął przez Halensee i w głąb zamożnych południowozachodnich przedmieść Berlina. Szkoła Paula znajdowała się o pięć minut drogi od przystanku tramwajowego, tuż obok wielkiej ocienionej drzewami willi, którą jego ojczym, Matthias Gehrts, odziedziczył po swoim ojcu.

Zarówno szkoła jak i willa przylegały od tyłu do jednego z małych jezior, jakimi upstrzona była okolica, i siedząc na niskim murku przy szkolnej bramie Russell dostrzegał chwilami żaglówki między budynkami.

Kilka kobiet przyszło, żeby odebrać synów, lecz wszyscy tatusiowie oprócz niego przyjechali samochodami i stali teraz nieopodal, dyskutując o rzetelności swoich mechaników.

Chłopcy z *Jungvolk* pojawili się wkrótce po pierwszej, po drodze do bramy zapinając płaszcze nałożone na mundurki. Paul prawie biegł, żeby się z nim przywitać, uśmiechając się od ucha do ucha.

- A więc dokąd dzisiaj pójdziemy? - spytał Russell.

- Funkturm.

- Znowu?

W 1938 roku odwiedzili berlińską wieżę radiową co najmniej z pół tuzina razy.

- Podoba mi się tam.

- Dobrze. No to do tramwaju. Chcesz, żebym ci to poniósł? - zapytał, wskazując wielką książkę, którą trzymał jego syn.

- Będziemy się zmieniać - zdecydował Paul.

- Co to jest? - Russell pytał dalej.

- To rocznik - wyjaśnił Paul, podając mu książkę.

Rocznik *Hitlerjugend*, jak uświadomił sobie Russell, przerzucając stronicę. Było ich pięćset.

- A zatem co dzisiaj robiłeś?

- Początek był taki sam jak zwykle. Apel i gimnastyka, a potem lekcja historii. Cała była o Germanii i Rzymianach, i o tym, jak większość historyków ma o nich błędnie zdanie. Myślą, że Rzymianie byli cywilizowani, a Germanie byli barbarzyńcami, ale tak naprawdę było odwrotnie: to Rzymianie mieszały się z innymi rasami i zrobili się miękcy i gnuśni, i zapomnieli, jak walczyć, ale Germanie pozostali Germanami i dzięki temu byli silni. - Dotarli na przystanek tramwajowy akurat w chwili, gdy tramwaj zatrzymał się z piskiem. - A po lekcji historii - Paul opowiadał dalej, gdy już zajęli miejsca - popracowaliśmy trochę przy ścianie map. Pamiętasz? Robimy całą ścianę map Niemiec od początku do teraz. Zaczyna wyglądać naprawdę nieźle. - Wyjrzał przez okno. - Tam jest nowy sklep, w którym sprzedają żołnierzyki, i mają nowy zestaw zabitych. Ktoś w szkole je przyniósł. Są naprawdę jak prawdziwe.

„To by się zgadzało”, pomyślał Russell. Śmierć i zabawki, niemieckie specjalności.

- Gdyby były w sprzedaży przed Gwiazdką, już bym je teraz miał - Paul dodał smętnie.

Dojechali na Dworzec Halensee i zeszli po schodach na peron kolejki obwodowej.

- A później była pogadanka takiego starszego pana - powiedział Paul, gdy obserwowali, jak elektryczny pociąg rusza z peronu naprzeciwko i przyśpiesza. - Zupełnie starego, miał mocno ponad czterdzieści lat. Przyszedł opowiadać o ostatniej wojnie i jak to wyglądało. Mówił, że nie było wielu samolotów ani czołgów, tylko mnóstwo walki wręcz. Czy to prawda?

- Trochę było. Zależy, co on rozumie przez „mnóstwo”.

- Zdaje mi się, że miał na myśli, że to się działo przez cały czas. - Paul podniósł wzrok na Russella. - Nie uwierzyłem w sporo z rzeczy, które mówił. No bo powiedział, że najlepsze,

co żołnierz może zrobić, to zginąć za swój kraj. Wtedy jeden z chłopców z tyłu spytał go, czy jest mu przykro, że nie zginął, a ten pan nie odpowiedział. Chłopcu kazano zgłosić się po pogadance do gabinetu, a kiedy wyszedł, wyglądał paskudnie.

- Spuścili mu lanie?

- Nie, myślę, że tylko na niego nakrzyczeli. On nie próbował być cwany, on po prostu jest trochę głupawy.

Kolejka wjechała na peron, a Paul spędził całą drogę, czyli jeden przystanek, wpatrując się przez okno w szkieletową konstrukcję Funkturm piętrzącą się ponad płataniną torów. Wzniesiona w 1926 roku budowla wyglądała jak pomniejszona wersja wieży Eiffla, co zapewne niesłychanie drażniło nazistów.

- Winda jedzie na górę - powiedział Paul, i patrzyli, jak dźwig pnie się ku tarasowi widokowemu sto dwadzieścia sześć metrów nad ziemią. Piętnaście minut później czekali u stóp wieży na swoją kolej. Jedna winda zawiozła ich na poziom restauracyjny, pięćdziesiąt pięć metrów w górę, a kolejna do okrążającego wieżę pomostu, z którego rozciągał się widok na panoramę miasta. Taras widokowy był zapchany ludźmi; dzieci stały w kolejce, żeby skorzystać z lornet na monety. Russell i jego syn powoli przesuwali się dokoła, spoglądając poza granice miasta na lasy i jeziora na południowym zachodzie oraz równiny na północy i wschodzie.

Stadion Olimpijski wylaniał się nieopodal po zachodniej stronie, zaś dwie inne wysokie budowle Berlina - biurowiec fabryki lokomotyw Borsig oraz futurystyczny Shellhaus - w przejrzystym powietrzu wydawały się bliższe niż zazwyczaj. Jak wymagała tradycja, gdy tylko Paul położył dłonie na lornecie, odwrócił ją w kierunku północnego przedmieścia Gesundbrunnen, gdzie flaga Herthy powiewała ponad dachem samotnej głównej trybuny Plumpe.

- Ha! Ho! He! Hertha BSC! - skandował pod nosem.

W restauracji poniżej obaj zamówili makaron z szynką i serem, zaś do popicia - w przypadku Paula - butelkę Coca Coli.

- Czy chciałbyś zobaczyć Nowy Jork? - spytał Russell, podążając za tokiem myśli, który rozpoczął się na platformie widokowej.

- Och, tak! - wykrzyknął Paul. - Tam musi być fantastycznie. Empire State Building jest ponad trzy razy wyższy niż to, i ma taras widokowy na samym szczycie.

- Moglibyśmy zatrzymać się u twojej babci.

- Kiedy?

- Dopiero za kilka lat. Może kiedy skończysz szkołę.

Paulowi zrzedła mina.

- Wcześniej będzie wojna.

- Kto tak mówi?

Paul popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Wszyscy.

- Czasami wszyscy się mylą.

- Tak, ale... - Dmuchnął w słomkę, sprawiając, że Cola zaczęła musować i syczeć. -

Tato - zaczął znowu, po czym urwał.

- Co takiego?

- Kiedy byłeś na wojnie, to czy chciałeś zginąć za Anglię?

- Nie, nie chciałem. - Russell nagle uświadomił sobie, że przy sąsiednim stoliku siedzą ludzie. To nie była rozmowa nadająca się do prowadzenia w publicznym miejscu.

- Czy w ogóle chciałeś walczyć?

- Wracajmy na górę - zasugerował Russell.

- Dobrze - Paul zgodził się, ale dopiero posławszy Russellowi jedno z tych spojrzeń, które sugerowały, że powinien bardziej się starać być normalnym ojcem.

Raz jeszcze wjechali windą na górę i znaleźli sobie puste miejsce przy balustradzie po mniej uczęszczanej stronie, skąd nie było widoku na miasto. Na dole po lewej kolejka Sbahn wyjeżdżała ze stacji przy Stadionie Olimpijskim.

- Nie chciałem walczyć - zaczął Russell po chwili przerwy dla uporządkowania myśli.

- Nie zgłosiłem się na ochotnika, dostałem powołanie. Mógłbym odmówić i być może pójść za to do więzienia, ale nie byłem pewien, co o tym wszystkim myśleć. Wydawało mi się, że być może po prostu się boję i że chowam się za swoimi opiniami. Ale kiedy już znalazłem się w okopach, było inaczej. Było tam paru idiotów, którzy wierzyli w śmierć i chwałę, lecz większość z nas wiedziała, że zostaliśmy oszukani. Wszystkie rządy mówiły swoim żołnierzom, że mają Boga i prawo po swojej stronie i że zginąć za kraj to najmniejsze, co mogą zrobić, ale... Cóż, zastanów się nad tym: co to znaczy, zginąć za swój kraj? Czym właściwie jest twój kraj? Czy to budynki, trawa i drzewa? Ludzie? Sposób życia? Ludzie mówią, że powinno się kochać swój kraj i być z niego dumnym, i zazwyczaj są rzeczy, które można kochać i być z nich dumnym. Ale zwykle istnieją też rzeczy, których się nie lubi, i każdy kraj ma coś, czego powinien się wstydić. A więc co się osiągnie, ginąc za swój kraj? Nic, tak jak ja to rozumiem. Żyjąc dla swojego kraju ma się szansę, żeby go ulepszyć. - Spojrzał na syna, którego twarz przybrała zacięty wyraz.

- Nasz komendant mówi, że ludzie, którzy nie chcą walczyć, są tchórzami.

- Przypuszczam, że niektórzy z nich są. Ale... Czy pamiętasz wojnę burską w Południowej Afryce, między Anglikami i Burami? Cóż, indyjski przywódca Gandhi, który w tamtym czasie stał na czele Hindusów w Południowej Afryce, odmówił walki. Zamiast tego organizował zespoły medyczne, które pomagały rannym na polu bitwy. On i jego ludzie zawsze znajdowali się w ogniu walki i wielu z nich zostało zabitych. Nie chcieli walczyć, ale byli zupełnym przeciwieństwem tchórzy.

Paul wyglądał na zamyślonego.

- Jednak nie powinieneś mówić nic takiego na zebraniu *Jungvolk* - dodał Russell, nagle świadom ciężaru rocznika, który dźwigał. - Napytałbyś sobie biedy. Przemysł to i podejmij decyzję, co twoim zdaniem jest słuszne, ale zachowaj to dla siebie albo przynajmniej tylko dla rodziny. Żyjemy w niebezpiecznych czasach i wiele osób obawia się innych, które nie myślą tak samo jak oni. Zaś wystraszeni ludzie mają skłonność do atakowania.

- Ale jeżeli się wie, że coś jest złe, to czy to nie tchórzostwo siedzieć cicho?

Tego właśnie Russell się obawiał. Jak można chronić dzieci przed powszechną głupotą bez narażania ich na ryzyko?

- Możliwe - odpowiedział ostrożnie - lecz nie ma większego sensu podejmować walki, jeżeli się wie, że na pewno się przegra. Lepiej poczekać, aż będzie się miało jakąś szansę na wygraną. Ważne jest, żeby nie pogubić się w tym, co jest dobre, a co złe. Ktoś może nie być w stanie nic zrobić w danej chwili, ale nic nie trwa wiecznie. W końcu nadarzy się okazja.

Paul spojrzał na niego wzrokiem dorosłego, jak gdyby dobrze wiedział, że jego ojciec mówi zarówno o nim, jak i o sobie samym.

Odprowadziwszy Paula do domu, Russell długo wracał tramwajem na Ku'damm, spędził dwie godziny jedząc obiad w barze, a później wyruszył na poszukiwanie jakiegoś filmu do obejrzenia. W „Alhambrze” wyświetlano nowy dramat o Uboocie, w „Ufa Palast” wyciskacz łez z Zarą Leander, a w „Universum” amerykański western. Russell wybrał ten ostatni i zajął miejsce akurat w chwili, gdy zaczynała się cotygodniowa kronika filmowa. Po całkiem uroczym materiale o bożonarodzeniowych jarmarkach w Nadrenii nastąpiło mnóstwo ogłuszającego tupotu maszerujących oddziałów oraz triumf niemieckiej siatkówki w Rumunii. Stosownie podniesiona na duchu publika hałaśliwie cieszyła się westernem, który

prawie nadrabiał widowiskowością to, co kulało pod każdym innym względem.

Zanim dotarł do teatru przy Nurnbergstrasse, publiczność Effi poszła już do domu, musiał więc czekać zaledwie parę minut, aż wyszła z garderoby. Zapomniała zjeść w przerwie między porannym przedstawieniem a wieczornym spektaklem, i umierała z głodu.

Poszli do nowego baru na Ku'damm, który - jak podpowiedziała jej jedna z Walkirii - serwował fantastyczne omlety. Rzeczywiście takie były, lecz męska klientela, której większość nosiła mundury, pozostawiała wiele do życzenia. Niedługo po tym, jak podano ich dania, czterech esesmani zajęli sąsiedni stolik i wraz z każdą kolejką sznapsów stawali się coraz bardziej hałaśliwi. Russell mógł niemal wyczuć, jak dojrzewa w nich potrzeba znalezienia sobie ofiary.

Effi opowiadała mu o najnowszej neurozie swojej siostry Zarah - zamartwiała się, że jej malutki synek jest opóźniony w rozwoju - kiedy padły pierwsze uwagi pod adresem ich stolika. Jeden z esesmanów zauważył żydowską urodę Effi i głośno skomentował ten fakt swoim kompanom. Miał dopiero około dwudziestu lat, jak oszacował Russell, i kiedy udało mu się uchwycić spojrzenie młodego mężczyzny, odczuł przelotną satysfakcję widząc cień zakłopotania w tym, w jaki sposób prędko odwrócił wzrok.

Do tej pory Effi już szperała w torebce. Znalazszy to, czego szukała, wstała, podeszła do stolika SS i pokazała im Fragebogen, niemal gestem nauczycielki udzielającej lekcji zgrai wyjątkowo tępych dzieci.

- Widzicie to, durnie - powiedziała dostatecznie głośno, żeby usłyszał to cały bar. - Aryjskie pochodzenie, jeszcze od czasów Lutra. Zadowoleni? Kierownik już był przy niej.

- Fräulein, proszę... - zaczął.

- Chcę, żeby wyrzucono te pijane świnię - oświadczyła mu.

Najstarszy z esesmanów także wstał.

- Doradzałbym ostrożność, Fräulein - powiedział. - Może pani nie być Żydówką, ale to nie daje pani prawa obrażać członków osobistej straży Führera.

Effi zignorowała go.

- Czy zamierza pan wyrzucić te świnię? - spytała kierownika. Wyglądał na zawstydzonego.

- Ja...

- Bardzo dobrze. Na mnie nic już pan więcej nie zarobi. Ani na nikim z moich przyjaciół. Mam nadzieję - zakończyła, rzucając ostatnie pogardliwe spojrzenie na SS - że potrafi pan zarobić na życie sprzedając pomyje tym wieprzom.

Ruszyła w stronę drzwi, podczas gdy Russell, na wpół rozbawiony i na wpół

przeżony, odliczył kilka marek za posiłek i nasłuchiwał, jak esesmani sprzecają się, czy ją aresztować. Kiedy jeden z nich zrobił krok w kierunku wyjścia, Russell zastąpił mu drogę.

- Nazwaliście ją Żydówką - odezwał się łagodnie, spoglądając prosto na najstarszego mężczyznę. - Z pewnością potrafi pan zrozumieć, jak to mogło ją wzburzyć. Nie chciała nikogo obrazić. Mężczyzna nieznacznie skinął głową.

- Powinna trochę lepiej kontrolować swój gniew - odparł chłodno.

- Powinna - przytaknął Russell. - Życzę miłego wieczoru - dodał i odwrócił się do drzwi.

Na zewnątrz zastał Effi zanoszącą się śmiechem, chociaż nie był do końca pewien, czy była to wesołość, czy histeria. Objął ją ramieniem i czekał, aż przestanie się trząść.

- Chodźmy do domu.

- Chodźmy - zgodziła się.

Przecięli ruchliwą aleję i ruszyli jedną z bocznych ulic.

- Czasami chciałabym być Żydówką - powiedziała. - Skoro naziści tak bardzo ich nienawidzą, to muszą być prawdziwymi ludzkimi istotami.

Russell potwierdził mruknięciem.

- Niedawno usłyszałem dowcip - powiedział. - Hitler wiosłuje po Wannsee, ale nie bardzo mu to wychodzi i przewraca łódkę. Chłopcu z przepływającej obok łódki udaje się go wyciągnąć i uratować od utonięcia. Hitler, jak można by się spodziewać, nie posiada się z wdzięczności i obiecuje chłopcu wszystko, cokolwiek zechce. Chłopiec namyśla się przez chwilę i prosi o państwowy pogrzeb. Hitler mówi: „Nie jesteś na to aby trochę za młody?”. Chłopiec na to: „Och, mein Führer, kiedy powiem tacie, że uratowałem cię przed utonięciem, on mnie zabije!”.

Effi znowu zaczęła się śmiać, i Russell także się roześmiał. Przez długą chwilę stali na chodniku, obejmując się jak kochankowie i tryskając radością.

Następnego dnia po południu Thomas i Joachim czekali tam, gdzie zawsze, siedząc na niskim murku. Między nimi stały pudełka z na wpół zjedzonymi frankfurterkami i sałatką ziemniaczaną. Russell kupił to samo dla siebie i Paula.

Gdy znaleźli się wewnątrz Plumpe, skierowali się na swoje stałe miejsce naprzeciwko skraju pola karnego, w połowie tarasu po zachodniej stronie. Gdy ich synowie czytali

nawzajem swoje czasopisma, Russell i Thomas przysiedli na betonowym schodku i gawędzili.

- Jak idą interesy? - spytał Russell.

- Dobrze - odparł Thomas, zapinając płaszcz. Prowadził rodzinną firmę papierniczą od czasu, gdy kilka lat wcześniej zmarł ojciec jego i Ilse. - Trudniej znaleźć doświadczony personel, ale poza tym... - Wzruszył ramionami. - Nie brakuje zamówień. A co u ciebie?

- Nie najgorzej. Jutro mam otwarcie nowej Kancelarii, więc powinien wyjść z tego jakiś porządny materiał. Amerykanie lubią tego rodzaju rzeczy.

- Cóż, to dobrze. A co w Gdańsku? Zdobyłeś tam coś?

- Niespecjalnie. - Russell opowiedział mu o wojnie znaczków.

Thomas z frustracją przewrócił oczami.

- Jak dzieci - mruknął. - A skoro o nich mowa, to Joachim dostał wezwanie, żeby odbyć swój Arbeitsdienst[11].

- Kiedy?

- Na początku marca.

Russell popatrzył na Joachima, pogrążonego w lekturze czasopisma.

- Ach - skomentował, zadowolony, że Paula jeszcze sześć lat dzieli od rocznego kopania dziur, osuszania bagien i budowania dróg, jakie naziści narzucili na wszystkich siedemnastoletnich chłopców. - Co on o tym sądzi?

- Och, nie może się doczekać - powiedział Thomas, zerkając z uczuciem na syna. - Myślę, że to mu nie wyrządzi żadnej krzywdy. W przeciwieństwie do tego, co zapewne nastąpi później. Russell wiedział, co Thomas miał na myśli. Kiedy blisko dziesięć lat temu zaprzyjaźnili się ze sobą, on i Thomas sporo rozmawiali o swoich wojennych doświadczeniach. Obaj mieli przyjaciół, którzy przetrwali wojnę, jednak nigdy nie odzyskali umysłowej równowagi. I obaj wiedzieli, że sami również zmienili się w sposób, jakiego nigdy w pełni nie pojmą. A także to, że mieli szczęście.

- Szczęśliwe czasy - Russell mruknął i zaśmiał się. - Zeszłego wieczora mieliśmy starcie z SS - wspomniał, i opowiedział całą historię.

Thomas nie był tak ubawiony, jak Russell się spodziewał.

- Kiedyś ona posunie się za daleko. Bądź co bądź, Fragebogen to tylko świstek papieru. Pewnego dnia jej go zabiorą, podrą, i zanim się ktoś obejrzy, jej rodzice dostaną rachunek za pogrzeb. - Pokiwał głową. - To, że ma się rację, nic już nie znaczy.

- Wiem - powiedział Russell. - Ona też wie. Ale tak dobrze jej to wychodzi.

Wokół nich rozległ się chór gwizdów - Viktoria Berlin wychodziła na boisko. Gdy obaj mężczyźni podnieśli się, wyłoniła się Hertha, witana znacznie cieplej. Po każdym голу,

gdy toczył wzrokiem po wypiętrzonej głównej trybunie i wysokich zatłoczonych tarasach, Russell odczuwał typową falę podniecenia. Zerkając w lewo zobaczył, że oczy Paula są odbiciem jego własnych.

Pierwsza połowa należała do Herthy, lecz Viktoria zdobyła jednego gola, wrywając się do przodu tuż przed przerwą. Joachim kipiał oburzeniem, podczas gdy Paul miotał się między nadzieją a niepokojem. Thomas wypalił dwa papierosy.

Druga połowa przebiegała według tego samego wzorca i pozostało już tylko dziesięć minut, kiedy lewy środkowy ataku Herthy został podcięty na polu karnym. Sam strzelił karnego. Piłka odbiła się od obu słupków, zanim wpadła do siatki, wprawiając tłum w histerię. Później, na minutę przed końcem, przy zapadającym zmierzchu i szybko blednącym świetle, środkowy napastnik Herthy pognął za długim podaniem i strzelił z woleja prawie z trzydziestu metrów. Bramkarz Viktorii ani drgnął. Gdy stadion eksplodował radością, on tylko stał, gniewnie gestykułując do swoich kolegów z drużyny, sędziego i reszty świata.

Paul był w ekstazie. Z roziskrzonymi oczyma dołączył do monotonnego śpiewu, jaki teraz niósł się echem po boisku - „Ha! Ho! He! Hertha BSC! Ha! Ho! He! Hertha BSC!”

„Dla jedenastolatka”, Russell pomyślał z czułością, „świat jest teraz piękny”.

Było już ciemno, kiedy odprowadził Paula. Pojechał linią 76 z powrotem do miasta, zjadł kolację w piwnej restauracji tuż obok Potsdamerplatz i ostatni kilometr do domu przeszedł pieszo. Gdy dotarł na swoją ulicę, zauważył coś, co wyglądało jak ten sam pusty samochód zaparkowany naprzeciwko jego kamienicy. Już był w drodze, żeby to zbadać, gdy usłyszał krzyk.

To nie był zwyczajny krzyk. Był głośny, przeciągły i w jakiś sposób zdołał zawrzeć w sobie zdumienie, trwogę i przeraźliwy ból. Przez krótką chwilę Russell znowu znalazł się w okopach, słuchając kogoś, komu pocisk właśnie urwał kończynę.

Krzyk dobiegał z domu przy tej samej ulicy.

Russell zawahał się, lecz tylko na tak długo, by jego umysł zdążył zarejestrować własne wahanie jako podstawowe następstwo mieszkania w nazistowskich Niemczech. Aż nazbyt często krzyki oznaczały sprawy urzędowe, zaś doświadczenie podpowiadało, że w takich chwilach najlepiej jest ich unikać.

A jednak zbadanie krzyku śmiertelnego cierpienia wydawało się uzasadnionym

postępowaniem, nawet w hitlerowskich Niemczech. Nie wszystkie zbrodnie były popełniane przez państwo albo jego sługusów. Russell śmiało przeszedł przez podwórze łączące jego kamienicę z sąsiednią, mówiąc sobie, że męstwo powinno iść w parze z rozważą.

Źródło zamieszania znajdowało się w dalszej z dwóch kamienic, przy następnym podwórzu. Dwaj mężczyźni kręcili się przy wejściu, wyraźnie niezdecydowani, co mają robić. Nerwowo zmierzli wzrokiem Russella i tak samo popatrzyli po sobie nawzajem, gdy zapytał ich, co się dzieje. Obaj byli po czterdziestce, a rzucające się w oczy podobieństwo rysów sugerowało, że to bracia. Na podwórzu za nimi parkowała ciężarówka z otwartym tyłem, z włączonym silnikiem. Mężczyzna w mundurze SA szedł w ich kierunku.

- Przechodzić - rozkazał im bez większego przekonania. Jego oddech cuchnął piwem.

- Ale my tu mieszkamy - odezwał się jeden z dwóch mężczyzn.

- No to czekajcie - odparł szturmowiec, spoglądając w górę na oświetlone okna na trzecim piętrze. - Możecie mieć trochę darmowej rozrywki - rzucił przez ramię, wracając do ciężarówki. Sekundę później kolejny mrozący krew w żyłach wrzask rozniósł się echem po podwórzu.

- Co, w imię Boże... - zaczął Russell. - Kto tam mieszka? - zapytał mężczyzn.

- Dwaj aktorzy - odpowiedział starszy.

- Warmer Brüder - dodał drugi, posługując się obecnym slangowym określeniem homoseksualistów. - Byli bezczelni jak diabli. Ktoś musiał ich zadenuncjować.

Nie wydawał się zbyt zmartwiony z tego powodu.

Żadne inne światła nie paliły się w okolicznych kamieniach, lecz Russell mógł wprost poczuć milczącą publiczność obserwującą to zza rzędów ciemnych okien. Pomyślał o wezwaniu policji, ale wiedział, że to bezcelowe.

Jedno z oświetlonych okien raptownie się otworzyło i pokazała się w nim sylwetka mężczyzny, wyglądającego w dół. Dało się teraz usłyszeć płaczliwy, jęczący głos, i w chwili, gdy mężczyzna zniknął, kolejny wrzask rozdarł noc, jeszcze bardziej przeszywający niż poprzedni. W jasnym pokoju nastąpiło gwałtowne zamieszanie i nagle przez okno wypadło nagie ciało. Opadało z krzykiem i uderzyło o bruk podwórza z przyprawiającym o mdłości, odbierającym mowę głuchym łupnięciem. Drgnęło raz i znieruchomiało, podczas gdy przez otwarte okno dobiegły desperackie, zawodzące błagania - „Nie, proszę, nie”. Następne szamotanie, kolejne nagie ciało, tym razem zwijające się w locie niczym olimpijski skoczek, który pomylił beton z wodą. Teraz nie było drgań, żadnych ostatnich poprawek na powitanie śmierci.

Spoczywali o kilka kroków od siebie, w wąskiej kałuży światła rzuconego przez lampę

przy wejściu do budynku. Jeden z mężczyzn leżał na brzuchu, drugi twarzą do góry, zaś w miejscu, gdzie niegdyś były jego genitalia, widniała tylko oślizgła plama. Russell doznał szoku, rozpoznając twarz mężczyzny. Widział go - nawet z nim rozmawiał - podczas jednego z teatralnych spotkań Effi. Nie potrafił sobie przypomnieć nazwiska tego człowieka, ale był całkiem miły. Miłośnik hollywoodzkich filmów, jak zapamiętał Russell. Zwłaszcza tych z Katherine Hepburn.

- Przedstawienie skończone - szturmowiec odezwał się głośno.

- Widzieliście. Musieli poobcinać sobie nawzajem fiuty, zanim wyskoczyli. - Zaśmiał się. - Teraz możecie wejść - dodał. Dwaj towarzysze Russella wyglądali na wstrząśniętych. Jeden zaczął coś mówić, ale nie było słyhać ani słowa, a drugi łagodnie pchnął go w ramię. Ruszyli w kierunku swoich drzwi, szerokim łukiem omijając dwa ciała.

- A pan? - szturmowiec krzyknął do Russella.

- Ja tylko przechodziłem - odpowiedział jak automat.

- No, to nie zatrzymywać się - rozkazał szturmowiec.

Russell posłusznie odwrócił się i odszedł, wciąż mając przed oczyma okaleczone ciała. Żółć w jego żołądku nie chciała pozostać na miejscu.

Wspierając się o uliczną latarnię, zwymiotował kolację do rynsztoka, a potem oparł się o ścianę. W mózgu kipiała mu ta sama co zwykle, bezcelowa wściekłość. Kolejna zbrodnia, która nigdy nie zostanie ukarana; kolejna historia, która błagała o opowiedzenie. Czy zaryzykowałby utratę syna, żeby ją opowiedzieć? Nie. Czy wstydził się własnego milczenia? Tak.

Ostrożnie odsunął się od ściany i powoli wrócił na własne podwórze, do kamienicy. Gdy znalazł się przy bramie, przypomniał sobie pusty samochód. Już go nie było.

Jak zawsze, Frau Heidegger wydawała się na niego czekać.

- O co to całe zamieszanie? - spytała, i wtedy dostrzegła jego twarz. - Herr Russell, wygląda pan, jakby zobaczył ducha!

- SA przyszło po parę homoseksualistów w sąsiednim domu - powiedział. Nie było sensu podawać jej wszystkich krwawych szczegółów.

- Och - odparła, potrząsając głową w mimowolnym zaprzeczeniu.

- Wiem, o kim pan mówi. Oni... cóż... to nie nasza sprawa, czyż nie? - Cofnęła się do swojego mieszkania i powróciła z dwiema kopertami, z których tylko jedna nosiła stempel. - To przyszło do pana dziś rano - powiedziała. - Policjant przyniósł tę w gładkiej kopercie.

Russell otworzył pierwszą, tę ostemplowaną. Była to odpowiedź od radzieckiego attaché prasowego, powtarzająca warunki pierwotnej oferty Szczepkina.

Otworzył drugą, świadom zaciekawienia Frau Heidegger.

Gestapo chciało z nim mówić. W ciągu trzech dni.

- Chcą tylko pogawędzić - zapewnił ją. - To ma coś wspólnego z moją akredytacją, jak sądzę.

- Ach - odpowiedziała, nie do końca przekonana.

Russell podzielał jej obawy. Wspinając się po schodach, powtarzał sobie, że nie ma się czym przejmować. Przeczytali list do Rosjan i po prostu chcieli wyjaśnić jego zamiary. Gdyby to było cokolwiek innego, nie dostarczaliby zaproszenia i pozwalali wybrać sobie dzień - tylko właśnie wyrzucaliby go przez okno. Poczucie zgrozy ścisnęło mu pierś, a kroki zrobiły się dziwnie chwiejne. Nagle album wydał się bardzo złym pomysłem.

- Ha ho, szlag by to - mruknął do siebie.

Mały Knauer

Gdy Russell obudził się następnego ranka, zaproszenie na bal od gestapo nadal leżało na jego biurku. Niejaki Sturmbannführer Kleist oczekiwał spotkania z Johnem Russellem w gabinecie numer 48 przy Wilhelmstrasse 102 w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin. Nie udzielono żadnych wyjaśnień.

Właściwie to nie było Gestapo - przy Wilhelmstrasse 102 mieściła się główna siedziba partyjnej organizacji wywiadowczej, *Sicherheitsdienst*. Chociaż obiema kierował Reinhard Heydrich, radośnie lekceważąc prawne subtelności, SD cieszyło się reputacją bardziej wyrafinowanych bandziorów - ten sam ból, ale czystsze podłogi. Russell ponownie przeczytał list, doszukując się między wierszami bardziej złowieszczych zapowiedzi, i uznał, że żadnych nie ma. Szczepkin mówił, że będą chcieli z nim rozmawiać, i rzeczywiście. Zwyczajna sprawa. W gabinecie numer czekało przyjazne ostrzeżenie i nic więcej. Sturmbannführer Kleist okaże się kibicem Herthy i utną sobie pogawędkę o tym, co poszło źle w tym sezonie. A jednak, jak Russell pomyślał przy goleniu, nie ma powodu się tam spieszyć. Nie mógł sobie pozwolić na przegapienie otwarcia nowej Kancelarii w południe, a nie sposób powiedzieć, jak długo 80 potrwa rozmaite ceremonie. Jutro będzie w sam raz. Albo nawet we środę.

Znalazszy się z powrotem w swoim pokoju, podniósł Leicę i zrobił kilka zdjęć na niby. Aparat nie miał lampy błyskowej, ale Zembski twierdził, że obiektyw jest wystarczająco dobry do zdjęć w pomieszczeniach, o ile Russell będzie trzymał aparat nieruchomo i użyje właściwego filmu. No i zawsze może poprosić Führera, żeby mu pozwolił oprzeć się na swoim ramieniu.

Rozweselony tą myślą - a właściwie czując się niezrozumiale optymistycznie jak na kogoś, kto ma wyznaczoną wizytę na Wilhelmstrasse 102 - zszedł na dół, w szary styczniowy poranek. Jak gdyby w odpowiedzi na jego nastrój, tramwaj zatrzymał się na przystanku przy Friedrichstrasse akurat w chwili, gdy tam dotarł. Dziesięć minut później Russell przycupnął na siedzeniu przy oknie w „Café Kranzler”, rozkoszując się pierwszym łykiem kawy do śniadania przy przeglądaniu porannych gazet.

Minister spraw zagranicznych Ribbentrop rozmawiał ze składającym wizytę polskim dygnitarzem, pułkownikiem Beckiem - obaj zasługiwali na siebie. W Wilhelmshaven wszedł do służby nowy pancernik „Scharnhorst” wyposażony w dziewięć dział 283 mm, dwie katapulty i cztery samoloty. Głównym przyczynkiem do sławy kapitana było ostrzelanie w 1937 roku hiszpańskiego nadmorskiego miasteczka, kiedy dowodził pancernikiem kieszonkowym „Admiral Scheer”. Blżej domu: brat pastora Martina Niemollera, Wilhelm, wygłosił kazanie atakujące politykę wobec kościołów. Odczytał z kazalnicy listę nazwisk wszystkich duchownych - wliczając w to swego brata - obecnie korzystających z gościnności państwa. Gazeta nie była pewna, czy to stanowi przestępstwo: „W pewnych przypadkach ustalono niedawno - napisał redaktor naczelny - że wyczytywanie nazwisk osób aresztowanych samo w sobie może być wykroczeniem”.

Z bardziej pozytywnych wieści, Francuzi zademonstrowali swoją typową zdrową hierarchię wartości. Paryskie kina zostały zamknięte na tydzień w ramach protestu przeciwko nowemu podatkowi od wpływów, jednak osiągnięto kompromis: podatek pozostanie w mocy, lecz nie będzie zbierany.

Russell uśmiechnął się i wyjrzał przez okno - w samą porę, by zobaczyć przechodzące dwie młode kobiety, których twarze promieniały satysfakcją z powodu jakiegoś wspólnego sekretu. Słońce niemrawo usiłowało się pokazać. Hitler zapewne zamówił je na dwunastą; kilka snopów słonecznych promieni ukaże średniowieczną doskonałość jego nowego zamku. Russell zastanawiał się, jak daleko posunęli się Speer i jego mentor. Czy będzie to typowa greckorzymska potworność, czy coś bardziej ambitnego? Może Partenon przystrojony runami?

Przy kolejnej kawie czas zbiegł mu do 11:45. Russell przeszedł do początku Wilhelmstrasse i mijając Hotel Adlon oraz zwarty ciąg budynków rządowych skierował się ku nowej Kancelarii. Po pokazaniu strażnikom dziennikarskiej przepustki i zaproszenia, zrobił zdjęcie tłumu, który już zgromadził się za kordonem. Strażnik spiorunował go wzrokiem, ale na tym się skończyło. Russell dołączył do ścisłego grona uprzywilejowanych dziennikarzy i fotografów, już czekających w pobliżu wejścia. Rozpoznawał prawie

wszystkich. Nieco zdziwiony zauważył, że znajduje się wśród nich Tyler McKinley.

- Mój redaktor naczelny nalegał - młody Amerykanin powiedział z urazą, jak gdyby nic innego nie byłoby w stanie go przekonać, żeby zaszczyił nową budowlę Hitlera swoją obecnością. Russell posłał mu wymowne spojrzenie mówiące „Och, doprawdy?” i podszedł do Jacka Slaneya, jednego z dłużej pracujących amerykańskich korespondentów. Russell akurat przebywał w biurze Slaneya, kiedy przyniesiono mu zaproszenia wraz z niezamawianym - i przypuszczalnie omyłkowo dodanym - dodatkowym egzemplarzem. Slaney okazał się na tyle miły, że mu je dał. W zamierzchłej przeszłości sam był wolnym strzelcem i wiedział, ile może być warta tego rodzaju gratka.

- Jednoosobowa orkiestra - mruknął Slaney, spoglądając na aparat Russella.

- Wolę się uważać za człowieka renesansu - Russell odpowiedział mu akurat w chwili, gdy drzwi się otworzyły.

Około pięćdziesięciu dziennikarzy wpadło do holu, gdzie czekał już na nich promieniejący wazelinarz z Ministerstwa Propagandy. Oznajmił, że odbędzie się krótka wycieczka po nowym gmachu, podczas której można będzie robić zdjęcia. Uroczyste otwarcie nastąpi w wielkim holu dokładnie o 13:00, zaś po nim obiad dla tysięcy robotników, którzy pracowali przy tej budowie.

- A więc może będzie mięso - mruknął jeden z amerykańskich dziennikarzy.

Urzędas wyprowadził ich na zewnątrz i za róg, na Vosstrasse.

Olbrzymie kwadratowe filary tworzyły ramę dla dwuskrzydłowego głównego wejścia, prowadzącego do przestronnego westybulu. Russell został z tyłu, żeby zrobić kilka zdjęć, zanim podążył za kolegami po schodach do sali recepcyjnej. Orły z brązu, dzierzące swastyki, strzegły tam wysokich na prawie pięć metrów drzwi do większej sali wyłożonej szarymi i złotymi płytami. Führera nie było pod ręką, więc zamiast tego Russell skorzystał z ramienia Slaneya, żeby ustabilizować Leicę.

Kolejne schody wiodły do okrągłej komnaty, następne drzwi do galerii z filarami ze szkarłatnego marmuru. Jak objaśnił im przewodnik, miała sto czterdzieści sześć metrów długości, dwukrotnie więcej niż Sala Lustrzana w Wersalu.

- A moja matka mówiła mi, że rozmiar nie ma znaczenia - jeden z dziennikarzy skwitował po angielsku.

- Domyślamy się, że twój ojciec miał się czym pochwalić - odpowiedział inny, prowokując wybuch śmiechu. Ministerialny przewodnik tupnął nogą w marmurową posadzkę, po czym pospiesznie spojrział w dół, żeby się upewnić, czy jej nie zniszczył.

Kolejny hol był na tyle wielki, że możnaby w nim zbudować samolot. Kilkaset osób

czekało już na oficjalne otwarcie, lecz pomieszczenie wciąż wydawało się pustawe, jak gdyby zwykli śmiertelnicy nie byli w stanie go zappełnić. Chociaż opiekun z Ministerstwa dał im już spokój, grupa dziennikarzy trzymała się razem w rogu, gawędząc w trakcie oczekiwania na przybycie Hitlera.

- Kiedyś mieliśmy wyścig zbrojeń - zauważył Slaney. - Teraz mamy zawody na największy hol. Hitler zbudował to, bo takie wrażenie zrobił na nim rozmiar biura Mussoliniego. Gdy tylko Benito to zobaczy, będzie musiał mieć jeszcze większe w Rzymie. I tak obaj będą się licytować, aż na świecie zabraknie marmuru.

- Mam wrażenie, że oprócz tego nadal się zbroją - powiedział cierpko Dick Normanton. Jego akcent z Yorkshire zabrzmiał niemal surrealistycznie w tym otoczeniu. Normanton był jednym z najbardziej doświadczonych angielskich korespondentów, bardzo rozpieszczanym przez Ministerstwo Propagandy. Trudno go było za to winić: Normanton wyraźnie dostrzegał, dokąd zmierzają nazistowskie Niemcy, i często dawał temu wyraz w swoich relacjach. Na nieszczęście dla niego, londyński właściciel jego gazety podziwiał Hitlera i pilnował, żeby redaktor naczelny należycie dbał o treść.

- Jeżeli masz ochotę na pokaz straszyleł - powiedział Russellowi - zajrzyj we środę na Uniwersytet. Streicher otwiera nową katedrę propagandy antyżydowskiej i wygłasza mowę. Powinien być z tego dobry materiał w stylu Szalonego Kapelusznika.

- Brzmi odpowiednio makabrycznie - zgodził się Russell.

- Co takiego? - spytał McKinley, dołączając do nich.

Normanton wyjaśnił niechętnie, gdyż McKinley nie słyzył z zamiłowania do ironii.

- Dlaczego ktoś miałby chcieć słuchać Streichera? - zapytał Amerykanin, kiedy Normanton się oddalił. - Nie zapowiada się, żeby miał cokolwiek interesującego do powiedzenia, czyż nie?

- Chyba nie - Russell zgodził się dyplomatycznie i zmienił temat. - Co sądzisz o gmachu? - spytał. McKinley westchnął.

- Jest porażający. W każdym znaczeniu tego słowa - dodał, rozglądając się.

Russellowi trudno było się z tym nie zgodzić - nowa Kancelaria rzeczywiście była porażająca. A jednak w niepokojący sposób także imponowała. Mogła być pomnikiem braku estetycznej wyobraźni Hitlera, lecz była też dowodem jego zamiarów. Budowli takiej jak ta nie można zignorować. Służyła konkretnemu celowi. Nadeszła kolej Russella, żeby westchnąć.

- Jak minął ci weekend? - spytał McKinleya.

- Och, świetnie. Nadrobiłem trochę zaległości w pracy, obejrzałem film. I poszedłem

na tańce do jednej z tych sal niedaleko Alexanderplatz. Z sekretarką z ambasady. - Uśmiechnął się na to wspomnienie i przez chwilę wyglądał jak szesnastolatek. - I spotkałem się z paroma osobami w sprawie tej historii, o której ci mówiłem - dodał prędko, jak gdyby sam siebie przyłapał na próżnowaniu.

- W sumie to nic mi o niej nie powiedziałaś.

- Ach. Powiem. W swoim czasie. Właściwie to mogę potrzebować twojej pomocy przy...

Jego słowa utonęły w gromkich owacjach. Prawe ręce wystrzeliły w stronę sufitu, jak gdyby jakiś niebiański lalkarz nagle poruszył palcem. Pojawił się Jego Wysokość.

Russell posłusznie wycelował Leicę i pstryknął parę ujęć. Führer nie miał na sobie munduru, i jak zwykle wyglądał jak najmniej odpowiedni kandydat na wodza rasy panów. Jedną ręką zgięta do połowy w odpowiedzi na powitanie, na ustach uśmiezek zadowolenia z siebie. Oczy powoli omiatały salę, spokojne jak u jaszczurki. „Ten człowiek nas wszystkich pozabija”, pomyślał Russell.

Budowniczy w tradycyjnym cylindrze niemieckiego rzemieślnika - jak poinformował ich przewodnik, jego nazwisko brzmiało Max Hoffman - przekazał Hitlerowi klucze do jego nowego domu. Strzeliły żarówki błyskowe, dłonie zakłaskały. Führer zaofiarował się powiedzieć kilka słów. Jest, jak oznajmił, tą samą osobą co zawsze, i nie pragnie być nikim więcej.

- Co znaczy, że kompletnie niczego się nie nauczył - Slaney szepnął Russellowi na ucho.

I to by było na tyle. Poruszając się niczym zespół tańczący w formacjach, Hitler oraz krąg jego ochroniarzy zaczęli mieszać się z gośćmi w sektorze dla uprzywilejowanych. Pierścień zachowywał się jak wybredna muchołówka, wpuszczając wybrańców przed oblicze Najjaśniejszego i wypluwając ich po chwili. Ku sporemu zainteresowaniu przyglądających się dziennikarzy, radziecki ambasador otrzymał najdłuższe jak dotąd posłuchanie.

- Masz ochotę na drinka? - Slaney spytał Russella. Dwaj pozostali Amerykanie, Bill Peyton i Hal Manning, stali za nim. - Wybieramy się do tego baru przy Behrenstrasse.

- Mnie pasuje - zgodził się Russell. Rozejrzał się za McKinleyem, ale młodzieniec gdzieś zniknął.

Słońce nadal świeciło, ale temperatura spadła. Bar był ciemny, ciepły i posiadał bezcenną właściwość w postaci kilku wolnych stolików. Ogromny łeb niedźwiedzia zawieszony pod sufitem, na wpół skryty w gęstym dymie, straszyl nad tym, który wybrali. Slaney poszedł zamówić pierwszą kolejkę.

- Trudno uwierzyć, że Hitler zaczynał w miejscu takim jak to - odezwał się Manning, zapalając papierosa i podając paczkę dalej. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o siwiejących włosach oraz zmizerowanej twarzy, i podobnie jak Slaney należał do weteranów wśród zagranicznych korespondentów, co w jego przypadku oznaczało wspinanie się w górę przez azjatyckie stolice i bardziej zapoznane europejskie placówki, aż po zaszczytne stanowisko w Berlinie w 1939 roku.

Peyton był młodszy - około trzydziestu pięciu lat, jak szacował Russell. Miał krótko przycięte jasne włosy i chłopcęcą twarz. Pracował na cały etat dla ogólnokrajowego tygodnika i na boku sprzedawał materiał biznesowym miesięcznikom.

Russell uważał Peytona za irytująco pewnego siebie, ale miał wiele sympatii zarówno dla Manninga jak i Slaneya. Jeżeli Amerykanie pozostaną ignorantami w kwestii nazistowskich Niemiec, to nie będzie wina tych dwóch.

- A więc jak określić to nowe coś, chłopcy? - zapytał Slaney, kiedy wszyscy dostali już swoje piwo. - Po prostu jeszcze jeden wielki gmach? A może kaprys megalomana?

- Nowe legowisko bestii? - zasugerował Manning.

- Podoba mi się - powiedział Slaney, ścierając pianę z nosa. - Adolf był w dobrej komitywie z Astachowem, nieprawdaż? Manning przytaknął.

- A Astachow to kupił. Wygląda na to, że Stalin machnął ręką na Brytoli i Francuzów. Russell przypomniał sobie, co Szczepkin powiedział mu na ten temat.

- Trudno go winić po Monachium.

- Prawda, ale trudno też winić Chamberlaina i Daladiera, że nie ufają Stalinowi - odparł Peyton.

- Wszyscy to dranie - podsumował Slaney. - Chamberlain jest w drodze na spotkanie z duce - wymawiał to jak „ducz” - w Rzymie. W pociągu o nazwie Srebrny Pocisk.

Russell zaśmiał się.

- To Złota Strzała.

- Wszystko jedno. Tydzień z Mussolinim. Mam nadzieję, że lubi parady.

- Dlaczego jedzie? - spytał Peyton.

- Bóg raczy wiedzieć. Można by pomyśleć, że do tej pory ktoś w Londynie zauważy, iż duce to człowiek kapryśny jak dziecko. Jeżeli będzie w dobrym humorze, obieca im cały świat i uspokoi obawy Angoli. Jeżeli nie, to postara się napędzić im stracha. Cokolwiek przyrzeknie, i tak postąpi na odwrót jeszcze przed upływem tygodnia.

- Szkoda, że jego niemiecki kompan nie jest podobnie niestały - stwierdził Manning. - Ten, kiedy już raz wbije w coś zęby, nie popuści.

- Albo kiedy połknie, jak w przypadku Żydów - dodał Russell.
- Dlaczego, u diabła, Roosevelt nie robi więcej, żeby pomóc tutejszym Żydom?
- Buduje siły powietrzne - odpowiedział Peyton. - W weekend pojawiło się kolejne oświadczenie.

- Tak, ale dla Żydów to żadne wsparcie.
- Nie może - dodał Slaney. - Za silna opozycja w kraju.

Russella to nie przekonało.

- Brytyjczycy coś robią. Wiem, to nie wystarczy. Ale zawsze to coś.

- Dwa powody - wyjaśnił Manning. - Pierwszy i najważniejszy: do nich w Waszyngtonie to nie dociera. Ani na zadupiu. Kiedy Amerykanie myślą, że niemieckim Żydom jest ciężko, to wyobrażają sobie kłopoty amerykańskich Żydów: ograniczenia w dostępie do klubów golfowych, tego typu rzeczy. Kiedy zdają sobie sprawę, że Hitler nie gra w golfa, i tak trudno jest im sobie wyobrazić cokolwiek gorszego niż to, w jaki sposób traktujemy naszych czarnych. Pewnie, czarni są skazani na segregację i ubóstwo, ale lincze w tych czasach to już rzadkość, a ogromna większość wie w sumie znośne życie. Amerykanie zakładają, że tak samo jest z niemieckimi Żydami.

- A co z obozami koncentracyjnymi? - spytał Russell.

- Po prostu myślą o nich jako o niemieckich więzieniach. Może trochę surowych, ale mnóstwo Amerykanów uważa, że nasze więzienia powinny być bardziej restrykcyjne. - Wzruszył ramionami i łyknął piwa.

- A drugi powód? - przypomniał Russell.

- To proste. Wielu Amerykanów zwyczajnie nie lubi Żydów. Uważają, że Żydzi dostają za swoje. Gdyby mieli jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak wygląda to branie za swoje, niektórzy z nich być może... podkreślam, być może... przemyśleliby to. Ale nie wiedzą.

- To chyba od nas zależy.

- Od nas i naszych redaktorów naczelnych - powiedział Slaney.

- Często opowiadamy, co się dzieje. Ludzie po prostu nie chcą słuchać. A jeżeli mówi się o tym stale i stale, zamykają się na to. I tyle.

- Europa jest daleko - dorzucił Manning.

- I z każdą chwilą coraz bardziej się oddala - dodał Slaney. - Jezu, pomyślmy dla odmiany o czymś przyjemnym. - Zwrócił się do Russella. - John, w przyszły wtorek urządzam wieczornego pokera. Co ty na to?

We czterech wynurzyli się z baru na światło dzienne wkrótce po trzeciej i ruszyli każdy w swoją stronę - Peyton do kochanki, a Slaney i Manning do pracy, żeby napisać relacje do porannych wydań. Idąc Wilhelmstrasse na południe, Russell pod wpływem impulsu postanowił wstąpić do Sturmbannführera Kleista. Cichy głosik w jego głowie protestował, tłumacząc, że stając przed *Sicherheitsdienst* lepiej być zupełnie trzeźwym, ale został z miejsca zagłuszony przez donośniejszy, upierający się, że nie ma się czego obawiać. Spotkanie to tylko formalność. Zatem czemu by nie mieć już tego z głowy?

Recepcjonistka, blondynka o świeżej cerze, wydała się ucieszyć na jego widok i zaprowadziła go do poczekalni z przyjaznym uśmiechem w rodzaju tych, które potrafiłyby zmiękczyć każdego mężczyznę. Opadłszy na jedno ze skórzanych krzeseł Russell odkrył, że patrzy na najnowsze dzieło plakacistów Ministerstwa Propagandy, przedstawiające Hitlera z wizjonerskim spojrzeniem i chwytliwym hasłem: „*ein Volk, ein Reich, ein Führer*”.

Na ścianie naprzeciwko barwniejszy plakat ukazywał rumianolicą młodzież baraszkującą w Alpach. „To trzeba przyznać tym ludziom”, pomyślał. „Nigdy cię nie zaskoczą”.

Minuty wlokły się; po jakimś czasie kufle wypitego piwa coraz mocniej domagały się uwolnienia. Russell wrócił do recepcjonistki, która z tym samym promiennym uśmiechem wskazała mu toaletę.

Była nieskazitelna i pachniała, jak gdyby dopiero co obficie spryskano ją alpejskim kwieciem. Jedna z kabin była zajęta, i Russell wyobraził sobie Heydricha siedzącego z bryczesami ściągniętymi do kostek, czytającego coś żydowskiego.

Po powrocie w poczekalni zastał towarzystwo. Mężczyzna po sześćdziesiątce, elegancko ubrany, zapewne Niemiec. Wymienili skinienia głowy, lecz nic ponad to. Mężczyzna nerwowo wiercił się na krześle, sprawiając, że skórzane obicie skrzypiało. Hitler spoglądał na nich obu.

Po około dwudziestu minutach w ciszy rozległ się odgłos stukania obcasami i inna młoda blondyna pojawiła się w drzwiach.

- Herr John Russell? - spytała. - Proszę za mną.

Szli długim korytarzem, schodami na górę i kolejnym korytarzem. Jedyne, co Russell słyszał, było rytmiczne stukanie butów blondynki. Ani jeden dźwięk nie wydostawał się zza licznych drzwi, które mijali - żadnego gwaru rozmów, śmiechu, pisania na maszynie. Nie miało się jednak wrażenia, że budynek jest pusty, dominowało raczej poczucie

intensywnego skupienia, jak gdyby każdy umysł natęzał się i pracował na najwyższych obrotach. Co, jak uzmysłowił sobie Russell, było absurdalne. Być może SD miało zimowe ferie, jak brytyjskie szkoły.

Przez okno na drugim piętrze schodów dojrzał wielki trawnik oraz olbrzymią swastykę powiewającą nad nowym domem Hitlera. Na końcu następnego korytarza obcasy skrzyły w prawo przez otwarte drzwi.

Gabinet numer 48 był nie tyle pokojem, co apartamentem. Sekretarka powiodła go przez poczekalnię z wysokim sklepieniem, otworzyła wewnętrzne drzwi i wprowadziła do środka.

Sturmbannführer Gottfried Kleist - jak głosiła tabliczka z nazwiskiem na jego biurku - podniósł wzrok, wskazał Russellowi wyściełane skórzane krzesło obok swego obitego skórą biurka, i pisał dalej. Był tęgim mężczyzną, który nie chciał przyjąć swojej tuszy do wiadomości - jego czarny mundur wydawał się odrobinę za ciasny by pomieścić wszystko, co powinien. Kleist miał rumianą twarz, rzednące włosy i dosyć wydatne czerwone wargi. Miał jednak niebieskie oczy, a jego charakter pisma był doskonały. Russell obserwował, jak wieczne pióro skrobie po kartce, formując eleganckie spirale i kółka z zielonego atramentu.

Po dłuższej chwili Kleist ostrożnie umieścił pióro na podstawce, niemal delikatnie osuszył bibułą swoje dzieło i, obrzuciwszy je po raz ostatni pełnym podziwu spojrzeniem, przełożył je na prawą część biurka.

Z lewej wziął skoroszyt, otworzył go i podniósł wzrok na Russella.

- John Russell - odezwał się. To nie było pytanie.

- Chciał się pan ze mną spotkać - Russell powiedział najbardziej jowialnie, jak potrafił.

Sturmbannführer przeczesał ręką włosy, wygładzając palcami parę krnąbrnych kosmyków.

- Jest pan z pochodzenia Anglikiem.

- Ze statusem rezydenta w Rzeszy.

- Tak, tak. Wiem. I aktualną akredytacją dziennikarską.

- Tak.

- Czy mógłbym ją zobaczyć?

Russell wyjął ją z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał.

Kleist zauważył zaproszenie.

- Ach, otwarcie - powiedział. - Sukces, jak sędzę. Był pan pod wrażeniem?

- Bardzo. Budowla jest odzwierciedleniem Führera.

Kleist popatrzył surowo na Russella, jak gdyby powątpiewał w jego szczerość.

- Tyle współczesnej architektury wydaje się być pozbawione treści - dodał Russell.

- Rzeczywiście - Kleist zgodził się, oddając mu przepustkę prasową. Najwyraźniej usatysfakcjonowany, rozsiadł się wygodniej, chwytając obiema dłońmi za krawędź biurka. - Zwróciło naszą uwagę, że radziecka gazeta *Prawda* zamówiła u pana napisanie cyklu artykułów o naszej ojczyźnie. - Przerwał na moment, jak gdyby wzywając Russella do zadania pytania, jak to zwróciło ich uwagę. - Jak sądzę, nastąpiło to za sprawą pańskiej sugestii.

- Tak było.

- Dlaczego zaproponował pan te artykuły, panie Russell?

Russell wzruszył ramionami.

- Z kilku powodów. Wszyscy dziennikarze pracujący na własny rachunek zawsze szukają możliwości znalezienia odbiorcy swoich tekstów gdzie tylko się da. I przyszło mi do głowy, że Rosjanie mogą być zainteresowani świeżym spojrzeniem na narodowosocjalistyczne Niemcy. Takim, które koncentruje się na tym, co dwa społeczeństwa mają ze sobą wspólnego, zamiast na tym, co je dzieli. Ja...

Kleist podniósł rękę, powstrzymując go.

- Dlaczego myśli pan, że to by zainteresowało Rosjan?

Russell nie spieszył się.

- Radziecka propaganda ogólnie jest bardzo wrogo nastawiona wobec Rzeszy - zaczął. - A obierając taką opcję, zamknęli sobie drogę. Nie ma wątpliwości, że Niemcy są rosnącą potęgą w Europie, a Rosjanie, jak wszyscy inni, prędzej czy później będą musieli stawić czoło tej rzeczywistości. Jednak tak, jak się rzeczy mają w obecnej chwili, ich ludzie nie zrozumieliby bardziej... bardziej otwartego nastawienia wobec Rzeszy. Artykuły, jakie proponuję, przygotowałyby grunt, że tak powiem. Pomogłyby przywrócić radzieckim władzom swobodę działania. Pozwoliłyby im współpracować z Rzeszą, gdyby i kiedy interesy obu krajów okazały się zbieżne.

Kleist wyglądał na zadumanego.

- I postrzegam takie artykuły jako wkład w pokój - Russell ciągnął dalej, mając nadzieję, że nie przedobrzy. - Walczyłem podczas ostatniej wojny i nie uśmiecha mi się oglądać kolejnej. Jeżeli narody i rządy będą się rozumiały, zmniejszy się ryzyko, że wszyscy ściągniemy ją sobie na głowę.

Kleist uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe, by Führer cokolwiek ściągnął sobie na głowę -

powiedział. - Ale rozumiem, co pan ma na myśli. I nie mamy nic przeciwko pańskim artykułom, przy spełnieniu pewnych warunków. To są drażliwe tematy; jestem pewien, że by się pan ze mną zgodził. I chociaż jest pan Anglikiem, mieszka pan także w Rzeszy pod naszą ochroną. Pana poglądy nie będą postrzegane jako oficjalne, lecz będą odbierane jako takie, które jesteśmy gotowi tolerować. Rozumie mnie pan? Cokolwiek pan napisze, może zostać zinterpretowane jako mające nasze przyzwolenie.

Russell po raz pierwszy się zaniepokoił.

- Tak... - odpowiedział z wahaniem.

- Zatem, jak pan widzi, wynika z tego, że nie możemy panu zezwolić na napisanie czegoś, z czym się stanowczo nie zgadzamy. Pańskie artykuły będą musiały trafiać do nas do zaaprobowania. Jestem pewien - dodał - że to będzie czysta formalność.

Russell pospiesznie się zastanawiał. Czy powinien przynajmniej dać wyraz, że dostrzega implikowane podważanie jego dziennikarskiej uczciwości, czy po prostu grać cynika? Wybrał praktyczne podejście.

- To jest niespotykane, ale rozumiem, o co panu chodzi - powiedział. - I nie mam nic przeciwko, pod warunkiem, że pańskie biuro będzie prędko te artykuły aprobować. Pierwszy ma być gotowy za parę tygodni, a kolejne w odstępach co dwa tygodnie, więc maksymalnie kilka dni...

- To nie będzie stanowiło problemu. Tutaj nic nie obrasta kurzem.

Kleist wyglądał na zadowolonego, i Russell nagle uświadomił sobie, że SD tak samo się pali, żeby zobaczyć te artykuły, co Szczepkin i jego ludzie. Postanowił iść za ciosem.

- Sturmbannführer, czy mógłbym o coś prosić? Żeby napisać te artykuły, będę musiał sporo podróżować po Rzeszy i rozmawiać z wieloma ludźmi. Będę im zadawać pytania, które mogą im się wydać podejrzane, jako że padną z ust cudzoziemca. List z tego biura, potwierdzający moją wiarygodność i stwierdzający, że mam pozwolenie na zadawanie takich pytań byłby bardzo pomocny. Pozwoliłby zaoszczędzić mnóstwo czasu na rozmowy z miejscowymi urzędnikami i mógłby mi pomóc uniknąć rozmaitych czasochłonnych utrudnień.

Kleist wyglądał na chwilowo zbitego z tropu - tego nie było w jego scenariuszu - jednak wkrótce odzyskał rezon. Podrapał się po policzku i ponownie przecesał włosy, zanim odpowiedział.

- Wydaje się, że to rozsądna prośba - stwierdził - ale będę się musiał skonsultować z przełożonymi, zanim wystawię takie pismo. - Spojrzał na pióro, jak gdyby wyobrażał już sobie przyjemność jego napisania.

- Czy jest coś jeszcze? - spytał Russell.

- Tylko jedno. Pańska współpraca z Rosjanami... Ma się odbywać za pośrednictwem poczty, jak się domyślam?

- Jak dotąd - Russell przytaknął, zanosząc modły w nadziei, że Kleist nie wie o jego spotkaniu ze Szczepkinem. - Chociaż, oczywiście, w którymś momencie mogę być zmuszony skorzystać z telefonu albo telegrafu.

- Hm. Będę z panem szczery, panie Russell. Gdyby w trakcie pańskich relacji z Rosjanami dowiedział się pan czegoś o ich zamiarach, możliwościach, oczekujemy, że przekaże nam pan takie informacje.

- Prosi mnie pan, żebym dla was szpiegował?

- Nie, nie aż do tego stopnia. Panie Russell, mieszka pan w Niemczech od wielu lat...

- Prawie czternastu.

- Dokładnie. Pański syn to niemiecki chłopiec, dumny członek *Hitlerjugend*, jak przypuszczam.

- Tak.

- A więc zapewne odczuwa pan pewną lojalność względem Rzeszy.

- Czuję sentyment i wdzięczność. Niespecjalnie wierzę w lojalność wobec krajów albo rządów.

- Ach, niegdyś był pan komunistą, jak mi się zdaje.

- Tak, ale Mussolini też był. I wielu ludzi na początku lat dwudziestych. Podobnie jak Mussolini, wyrosłem z tego. A co do mojej lojalności czy jej braku... *Sturmbannführer*, co by pan pomyślał o Niemcu, który po dekadzie spędzonej w Anglii ogłosił swoją lojalność wobec angielskiego króla? Podejrzewam, że uznałby go pan za zdrajcę ojczyzny.

- Ja...

- Mam syna Niemca - Russell brnął dalej. - Mam matkę Amerykankę i ojca Anglika. Wychowywano mnie w Anglii. O ile to możliwe, jestem lojalny wobec wszystkich tych krajów.

- Ale nie wobec Rosjan?

- Nie.

- Zatem, gdyby jakiś radziecki kontakt powiedział panu o zagrożeniu dla Rzeszy, pan nie zatrzymałby tego dla siebie.

- Nie zatrzymałbym.

- Bardzo dobrze. Zatem myślę, że nasze spotkanie dobiegło końca. - Kleist wstał i podał mu rękę ponad biurkiem. - Jeśli dostarczy mi pan artykuły, czy to przez posłańca, czy

pocztą, gwarantuję, że wrócą do pana w ciągu dwudziestu czterech godzin. Czy to wystarczy?

- Tak.

- A więc życzę miłego dnia. Fräulein Lange odprowadzi pana z powrotem do wyjścia.

Russell jeszcze raz podążył za stukającymi obcasami, zabrał płaszcz od uśmiechniętej recepcjonistki i znalazł się na chodniku na Wilhelmstrasse. Panował mrok. I to nie tylko przez brak słońca. We wtorek było przejrzyste i mroźno. Idąc do metra do Hallesches Tor, Russell bardziej odczuwał lodowaty wiatr ze wschodu niż jakiegokolwiek teoretyczne ciepło słońca. W pracowni w Neukölln czekał, aż Zembski skończy wrzeszczeć na kogoś po drugiej stronie słuchawki, a potem nakłonił Ślązaka, żeby jeszcze tego samego dnia wywołał film.

Znalazłszy się z powrotem na stacji metra kupił w kiosku *Tageblatt* i *Allgemeine Zeitung* i czekając na UBahn przeglądał ich relacje z otwarcia nowej Kancelarii. Z tego, co mógł stwierdzić, zobaczył wszystko, co było do zobaczenia.

Jedynymi pozostałymi ciekawymi wiadomościami było rychłe odejście prezesa Reichsbanku, Schachta, gdański spór o znaczki, który w końcu dotarł do niemieckich obywateli, oraz mało zaskakująca wiadomość, że rzecznik rządu USA nie zachwycił się najnowszym pomysłem nazistów, by wysłać wszystkich Żydów do Mandżurii albo na Alaskę.

Po powrocie na Neuenburgerstrasse Russell zasiadł do pracy. Stwierdził cynicznie, że mając zielone światło od SD, zapewne lepiej się za to zabrać. Na początek potrzebował listy tematów dla *Prawdy*.

Co takiego wspaniałego oferowały nazistowskie Niemcy, jeżeli nie lubiło się flag i krwi spływającej rynsztokiem? Na przykład brak bezrobocia. Narodowe poczucie dobrobytu. Korzyści dla robotników, do pewnego stopnia. Organizowanie tanich zajęć na czas wolny - sport, kultura, turystyka. Wszystko to pociągało za sobą koszty, i jak nie trzeba dodawać, było dostępne wyłącznie dla Aryjczyków, ale zawsze to coś.

Jak powiedział mu kiedyś pewien angielski spec od reklamy, produkt musi mieć coś, żeby warto go było mieć.

Co jeszcze? Opieka zdrowotna w uleczalnych schorzeniach była całkiem dobra. No i transport - pociągi, autostrady i samochody dla ludu, nowe łodzie latające i samoloty. Naziści uwielbiali nowoczesność, kiedy przyspieszała albo upraszczała życie, a nienawidzili jej, gdy je komplikowała albo było im z nią trudniej żyć.

Russell pomyślał, że mógłby napisać coś wnikliwego o hitlerowskich Niemczech, gdyby mu się chciało. Niestety...

Mógłby napisać te artykuły przez sen. Albo prawie. Rosjanie lubili mnóstwo danych statystycznych - to cecha, którą dzielili z nazistami - a to wymagałoby trochę pracy. Ale

niezbyt wiele. Jednak ustne raporty dla Szczepkina...

Próbował o nich nie myśleć. Pytanie Kleista o inne kontakty w zamierzeniu miało być również ostrzeżeniem - Russell był o tym przekonany. Zaś Rosjanie oczekiwali, że co miesiąc będzie spotykał się z jednym z ich agentów poza granicami Niemiec. Co niewątpliwie byłoby bezpieczniejsze dla agenta, lecz jak on miał wyjaśnić ten nowy i osobliwie regularny zapał do zagranicznych wojaży? Czy mógł odmówić tej części pracy dla Rosjan? Domyślał się, że nie. Nie był pewien, jak Rosjanie mieliby dać mu odczuć swoje niezadowolenie, ale nie wątpił, że znaleźliby sposób.

Nie zachwycała go też perspektywa włóczenia się po całych Niemczech i zadawania pytań, nawet jeżeli Kleist wysmaży jakiegoś rodzaju chroniące go pismo. Przypuszczał, że może stworzyć dowolną liczbę wymyślonych odpowiedzi - bądź co bądź, jak niby Rosjanie mieliby go sprawdzić? Ale znów, kto wie, co pozostało z komunistycznej siatki w Niemczech? I tak czy owak, jakiejś częście jego samego przypadł do gustu pomysł dowiedzenia się, co zwyczajni Niemcy czują w szóstym roku tysiącletniej Rzeszy Hitlera. „To jest to”, pomyślał. „Zwyczajni Niemcy”. Brytyjskie i amerykańskie tabloidy uwielbiały cykle - *Daily Mail* prezentował akurat jeden o europejskich punktach zapalnych; w zeszłym tygodniu sam przeczytał część czwartą („Memel - bolący ząb Europy”). Mógłby napisać coś podobnego o zwyczajnych Niemcach. Robotnik. Gospodyni domowa. Marynarz, lekarz, uczeń. Wszystko jedno, jak powiedziałyby Slaney. Przeprowadzanie wywiadów z nimi zapewniłoby idealną przykrywkę dla zbierania informacji, których chciał Szczepkin.

A wyjazdy za granicę? To nasuwało się samo: „Sąsiedzi Niemiec”. Jeszcze jeden cykl, tym razem poświęcony temu, jak ludzie w sąsiednich krajach postrzegają Niemcy. Mógłby podróżować ile dusza zapragnie i rozmawiać ze wszelkimi cudzoziemcami, z którymi zechce, nie wzbudzając podejrzeń. W Polsce, Danii, Holandii, Francji oraz tym, co zostało z Czechosłowacji.

Mógłby zabrać Effi do Paryża, odwiedzić kuzyna Rainera w Budapeszcie. Rozparł się na krześle, zadowolony z siebie. Dzięki tym dwóm cyklom będzie bezpieczniejszy. I bogatszy.

Sprawa zaczynała nabierać rumieńców.

Dobre samopoczucie trwało aż do następnego dnia. Po wysłaniu tekstu i zdjęć z

otwarcia Kancelarii, przejechał przez miasto na Uniwersytet, gdzie Julius Streicher dokonywał inauguracji nowej katedry. Nie nazywała się, jak zjadliwie twierdził Normanton, Katedrą Propagandy Antyżydowskiej, ale mogłaby się tak nazywać.

Żyły napinały się Streicherowi tak samo jak Russell zapamiętał. Nazista gniewnie zaprzeczał twierdzeniu, jakoby narodowy socjalizm zakuł w okowy naukę czy prace badawcze. Ograniczenia, jak uparcie powtarzał, zostały nałożone wyłącznie na niezdyscyplinowanych. Tak naprawdę przyzwoitość i uczciwość zyskały swobodę dopiero pod rządami narodowego socjalizmu.

Perorował tak od półtorej godziny, gdy Russell wyszedł, a wyglądał wtedy, jakby zamierzał ciągnąć jeszcze przez wiele godzin. Oddalając się, Russell wiedział, co Normanton miał na myśli mówiąc o Szalonym Kapeluszniku, lecz po raz pierwszy w życiu poczuł się emocjonalnie bliższy prostemu obrzydzeniu McKinleya.

Może wpłynął na to fakt, że jego następnym punktem dnia byli Wiesnerowie.

Zmieniając tramwaje przy Alexanderplatz kupił *Daily Mail* i przeglądał go potem z obiema dziewczętami. Przyjrzały się uważnie zdjęciom i reklamom mody, dumwały nad nagłówkiem „Mężczyzna, który spoliczkował panią burmistrz mówi: »Jestem zdumiony«,” i zaprotestowały przy tym, który stwierdzał, że wszystkie kobiety to gaduły. Zdjęcie przedstawiające króla Egiptu w trakcie polowania na kaczki wywołało u Ruth taki atak chichotu, że aż jej matka wyszła zobaczyć, co się dzieje.

Po lekcji przyniosła najlepszą kawę i ciasto, jakich Russell kosztował od miesięcy, i uparcie dziękowała mu wylewnie za wszystko, co robił. Powiedziała, że mąż ma się dobrze, lecz jej twarz spochmurniała, gdy zapytał o Alberta. Odparła, że „trudno mu się dostosować”. Russell miał wrażenie, że chciałyby powiedzieć więcej, lecz uznała, że lepiej tego nie robić.

Wcześniej zaplanował popracować jeszcze przez kilka godzin, zanim odbierze Effi z teatru, lecz po Streicherze i Wiesnerach miał chęć komuś przyłożyć. Znalazł jeszcze jeden western w kinie na Ku'damm i zatopił się w świetle bezkresnego nieba, głębokich kanionów i prostej sprawiedliwości. Guma do żucia dla serca.

Effi była zmęczona i wydawała się równie zgaszona co i on. Powoli wrócili do jej mieszkania, poszli do łóżka i leżeli w milczeniu, spleceni ramionami, póki nie zasnęła. We śnie jej twarz odmłodziła i Effi jeszcze bardziej przypominała z wyglądu Ruth Wiesner.

W środowy wieczór Russell słuchał muzyki tanecznej w BBC, kiedy McKinley zapukał do jego drzwi i zaproponował drinka. Gdy poszedł po buty do sypialni, młody Amerykanin przyglądał się jego półkom na książki.

- Połowa z nich jest zakazana - powiedział z podziwem, kiedy Russell wrócił.

- Jakoś nie zebrałem się jeszcze, żeby je spalić - odparł, sięgając po palto.

Na zewnątrz było cieplej niż przedtem, lecz w powietrzu czuć było krople deszczu. Kiedy skręcili za róg w Lindenstrasse, McKinley raptownie obejrzał się przez ramię, jak gdyby coś usłyszał.

- Co to? - spytał Russell, niczego nie widząc.

McKinley pokręcił głową.

- Nic - odparł.

Przeszli pod torami metra przy Hallesches Tor i przez Blücherplatz. Czasami wpadali do tego baru na drinka. Tego dnia był prawie pusty; barman ziewał na swoim stołku, dwaj starsi mężczyźni w kącie wpatrywali się w siebie markotnie.

McKinley zamówił dwa piwa - ciemne dla Russella i jasne dla siebie - podczas gdy Russell zagarnął jedyną miseczkę z orzeszkami i zaniósł ją do najmniej zachłapanego stolika. Kiedy usiadł, siedzenie jęknęło alarmująco, lecz utrzymało się w jednym kawałku.

- Musimy znaleźć nowy bar - mruknął.

McKinley skosztował piwa i uśmiechnął się z satysfakcją.

- OK - powiedział. - A teraz opowiedz mi o Schachcie.

- Poszedł na dno.

- OK, ale dlaczego? Nigdy się nie znałem na ekonomii.

- Schacht się zna. Oto dlaczego.

- Co przez to rozumiesz?

Russell zastanowił się.

- Schacht chce widzieć gospodarkę działającą według zasad ekonomii. Tak było, kiedy miał stanowisko ministra finansów, i dopóki kieruje Reichsbankiem, będzie utrzymywał ten sam kurs. Deficyt w handlu jest niebotyczny, zapasy zagranicznej waluty Reichsbanku się kurczą, i tak naprawdę niemożliwa jest kolejna niekontrolowana inflacja. Gospodarka wymyka się spod kontroli. Schacht chciałby podnieść podatki i przestawić produkcję z uzbrojenia na coś, co można by sprzedawać za granicą. Jakaś nadzieja, ech? Jeśli Hitler i Goering muszą wybierać między swoim programem zbrojeń i prawami ekonomii, to jak myślisz, co wybiorą?

- Ale skoro gospodarka naprawdę jest w tarapatkach?

- To nie jest nic, czego nie naprawiłaby jakaś wojenka.

- Ach.

- Ach, no właśnie. Schacht, powiedzmy, ma węższą perspektywę. Zakłada co najmniej kilka lat pokoju. Z drugiej strony Hitler dostrzega wybór. Może albo zrobić to, czego chce Schacht, czyli wziąć w cugle maszynę wojenną, podnieść podatki i na nowo mieć prawdziwą działającą gospodarkę, albo może iść za ciosem i wykorzystać armię, żeby naprawić sytuację. Widzi całe to bogactwo poza swoimi granicami, które tylko błaga, żeby je zagarnąć. To dlatego Schacht musi odejść. Hitler nie ma zamiaru ryzykować podnoszenia podatków w Niemczech, skoro może zrabować takie same pieniądze od podbitych cudzoziemców.

McKinley przyglądał mu się.

- Nigdy nie wiem, na ile jesteś poważny. Skoro to taka wielka sprawa... to znaczy mówię o odejściu Schachta... to dlaczego nie jest na pierwszych stronach gazet? Skoro wojna jest tak absolutnie pewna, jak to możliwe, że jesteś jedynym, który o tym wie?

Russell uśmiechnął się.

- Pewnie mam dar. Jeszcze jedno piwo?

Kiedy wrócił od kontuaru, McKinley robił notatki w małym czarnym notesie.

- Czy twoje tańce to był tylko jeden wieczór, czy umawiasz się z tą dziewczyną z ambasady? - spytał go Russell.

McKinley zaczerwienił się.

- Wyszliśmy gdzieś tylko dwa razy. Merle, tak ma na imię... wiesz, jak Merle Oberon. Jej ojciec jest tylko sklepikarzem w Filadelfii, ale ona koniecznie chce naprawdę poznać życie. Chce zobaczyć Europę, kiedy tu pracuje, a później resztę świata, jeżeli zdoła.

- To miłe.

- Ty sporo podróżowałeś, czyż nie?

- Swego czasu.

- Byłeś w Rosji?

- Tak. Tam poznałem żonę... właściwie powinienem powiedzieć: eksżonę. Podczas konferencji młodzieżówki Kominternu w 1924 roku. Lenin dopiero co umarł, a Trocki nie zauważył, że ktoś mu wyszarpnął dywan spod nóg. To były dziwne czasy, coś jakby rewolucyjny punkt zwrotny. Nie ta chwila, kiedy wszystko poszło źle, tylko ta, kiedy wielu ludzi w partii zdało sobie sprawę, że to już nastąpiło. Czy to brzmi sensownie?

- Chyba tak. Mam nadzieję pojechać tam w marcu. W Moskwie jest dziewiętnasty Zjazd i staram się przekonać gazetę, żeby mnie wysłała.

- To będzie interesujące - powiedział Russell, chociaż wątpił, żeby tak było.

Żaden z nich nie miał ochoty na kolejne piwo, a orzeszki się skończyły. Na zewnątrz padało i przez chwilę stali w progu, obserwując odbłaski neonów w kałużach. Gdy przechodzili pod torami biegnącymi po Warschauer Brücke, przejechał po nim pociąg, ociekający wodą.

Na początku Lindenstrasse McKinley obejrzał się za siebie, wpatrując się w Belle Alliance Platz.

- Myślę, że ktoś mnie śledzi - powiedział jakby się tłumaczył, w odpowiedzi na pytające spojrzenie Russella.

- Nikogo nie widzę - odparł Russell, wpatrując się w deszcz.

- Nie, ja też nie - przyznał McKinley, gdy ruszyli wzdłuż Lindenstrasse. - To raczej wrażenie... Sam nie wiem. Jeżeli mnie śledzą, są naprawdę dobrzy.

„Za dużo filmów detektywistycznych”, pomyślał Russell.

- Kto to taki? - spytał.

- Och, gestapo, jak sądzę.

- Poruszanie się jak widma niezupełnie jest w stylu gestapo.

- Nie, chyba nie.

- Dlaczego mieliby cię śledzić?

McKinley chrząknął.

- To ta historia, o której ci opowiadałem. Ta historia, o której miałem ci opowiedzieć - poprawił się.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć cokolwiek więcej - powiedział Russell. - Nie mam ochoty, żeby mnie śledzili. To miał być żart, lecz McKinley nie odebrał tego w taki sposób.

- Cóż, dobrze...

Russell pomyślał o samochodzie, jaki widział przed ich kamienicą. Nie potrafił sobie wyobrazić, że gestapo byłoby tak cierpliwe, ale w nazistowskim morzu pływały i inne drapieżniki.

- Słuchaj, Tyler. Cokolwiek to jest, to skoro naprawdę jesteś śledzony przez władze, ja bym dał sobie z tym spokój. Żaden temat nie jest wart takich kłopotów.

McKinley zjeżył się.

- Czy powiedziałbyś to samo dziesięć lat temu?

- Nie wiem. Dziesięć lat temu nie miałem obowiązków, jakie mam teraz.

- Być może powinieneś zadać sobie pytanie, czy nadal możesz być uczciwym dziennikarzem, mając tego rodzaju obowiązki.

To rozzłościło Russella.

- Nie masz monopolu na uczciwe dziennikarstwo, na miłość boską.

- Oczywiście, że nie. Ale wiem, co jest ważne. Dla ciebie też to się kiedyś liczyło.

- Prawda ma zwyczaj się ulatniać. - Russell nawet sam siebie nie potrafił przekonać, co złościło go jeszcze bardziej. - Słuchaj, siedemdziesiąt pięć milionów ludzi dokoła woli się nie wychylać. Ja jestem tylko jednym z nich.

- W porządku. Skoro chcesz się nie wychylać, to czekaj, aż wszystko się przewali, świetnie. Ale ja tak nie potrafię.

- Dobrze.

Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Rozmowa z McKinleyem - albo, ściślej biorąc, zrodzone z niej poczucie, że sam siebie zawiódł - z irytującą uporczywością snuła się za Russellem przez kilka kolejnych dni. Ukończył swój pierwszy artykuł dla *Prawdy* - pisan na cześć organizowanych sposobów spędzania czasu wolnego - i osobiście dostarczył go uśmiechniętej blondynie na Wilhelmstrasse 102. Otrzymał telegram od swojego agenta w USA kipiący entuzjazmem dla obu cykli. A także przez specjalnego posłańca otrzymał pismo, o które prosił Sturmbannführera Kleista. Było napisane na maszynie, a nie ręcznie, co nieco go rozczarowało, lecz treść nie pozostawiała wiele do życzenia - John Russell, jak się wydawało, posiadał pełne błogosławieństwo Ministerstwa Propagandy oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych na zadawanie takich pytań, „jakie poszerzyłyby zrozumienie za granicą narodowego socjalizmu oraz jego osiągnięć”. Osoby, którym pokazany zostanie list, były „proszone i oczekuje się od nich, że zaoferują wszelką możliwą pomoc”. Wszystko to dałoby mu więcej satysfakcji, gdyby nie zobaczył wcześniej rozczarowania w oczach McKinleya.

Weekend dał mu upragnioną przerwę od zamartwiania się własną dziennikarską uczciwością. W sobotę po południu razem z Paulem poszli do ZOO. Byli tam już wcześniej tyle razy, że mieli ustaloną trasę - najpierw papugarnia, potem wybieg dla słoni i węże, przerwa na lody, wielkie koty, a na koniec żelazny punkt programu - goryl, który pluje na przechodzących ludzi z często niszczycielską celnością.

Po wizycie w ZOO wrócili spacerem przez Ku'damm, oglądając sklepowe wystawy, i wreszcie zatrzymali się na ciasto. Russell nadal uważał mundur *Hitlerjugend* syna za nieco

odpychający, ale stopniowo do niego przywykał.

W niedzielę rzadka gratka - wyjście na jarmark na końcu Potsdamerstrasse z Pauliem i Effi. Zebranie ich razem zawsze okazało się trudniejsze niż faktyczne doświadczenia z ich wspólnych spotkań - oboje przesadnie się martwili, żeby nie wchodzić drugiemu w drogę. Było oczywiste, że Paul lubi Effi, i równie oczywiste, dlaczego. Była chętna przynajmniej raz wszystkiego spróbować, potrafiła zachowywać się jak osoba w każdym wieku, jaki uznała za odpowiedni, i zakładała, że on także. Faktycznie reprezentowała większość tego, czym jego matka nie jest i nigdy nie była. Po dwóch godzinach krążenia, ślizgania się, upadania i wirowania pojechali taksówką do teatru, gdzie Effi oprowadziła Paula po scenie i pomieszczeniach za kulisami. Największe wrażenie zrobiły na nim winda i zapadnia pośrodku sceny, co wieczór wynoszące Walkirie w górę do raju. Kiedy Russell zasugerował, że powinno się wybudować jedną dla Goebbelsa w Sportspalast, Effi posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, lecz Paul, jak Russell zauważył z radością, nie był w stanie ukryć rozbawienia.

Jedynym smutnym akcentem spotkania była wiadomość, że Paul spędzi następny weekend w obozowisku *Hitlerjugend* w górach Harzu. Było mu przykro, że nie zobaczy się z tatą oraz że ominie go najbliższy mecz Herthy na własnym boisku, ale Russell widział, że nie może się doczekać wyjazdu w góry. Było to szczególnie irytujące, ponieważ w następny weekend sam miał wyjechać, żeby dostarczyć swój pierwszy ustny raport dla Szczepkina. I w ten weekend przegapi także pożegnalne przyjęcie Effi - „Barbarossa” najwyraźniej obudził już całą narodową świadomość, jaką miał obudzić.

Wczesnym rankiem w poniedziałek Russell wsiadł w pociąg do Drezna, żeby wrócić następnego dnia. Była to tylko dwugodzinna podróż, zaś on miał tam kilka kontaktów: paru dziennikarzy w miejskiej gazecie, starego przyjaciela Thomasa, także z branży papierniczej, oraz dawnego przyjaciela swojego i Ilse, niegdyś działacza związkowego, a teraz nauczyciela. Zwyczajnych Niemców, o ile tacy ludzie istnieli.

W ciągu dwóch dni spotkał się z nimi wszystkimi oraz rozmawiał z kilkoma innymi, których mu polecili. Spędził też parę godzin w kawiarniach i barach, przyłączając się albo prowokując rozmowy, gdy tylko mógł, lub tylko się przysłuchując, jeśli wydawało się to właściwsze. Gdy we wtorkowy wieczór jego pociąg z turkotem toczył się na północ, on siedział w wagonie restauracyjnym ze sznapssem i starał się poukładać to, co usłyszał. Nic

zaskakującego - „zwyczajni Niemcy” czuli się całkowicie bezsilni i z rezygnacją przyjmowali, że tak będą się czuć w dającej się przewidzieć przyszłości. Rząd bez wątpienia wytłumaczył sobie tę rezygnację jako bierne poparcie, i do pewnego stopnia będzie miał rację. Na pewno nie istniało poczucie, że ktokolwiek ma do zaoferowania praktyczną alternatywę.

Co się tyczyło relacji Niemiec z resztą świata, większość ludzi wydawała się mile zaskoczona, że takowe nadal istnieją. Nadrenia, Anschluss, Kraj Sudecki - wydawało się, że Hitler jakby celowo prowadzi swój pociąg przez szereg wybojów, a jednak - Bogu dzięki - ten pociąg wciąż utrzymywał się na torach. Z pewnością niedługo zatrzyma ten przeklęty pojazd. Kiedy już Memel i Gdańsk powrócą na łono ojczyzny, kiedy Polacy dadzą Niemcom eksterytorialny korytarz przez swój własny kraj, wtedy to nastąpi. Hitler, powiększywszy Rzeszę tak, by dogodzić Narodowi, spocznie na laurach jako niemiecki heros opiewany przez kolejne stulecia. Wszyscy tak mówili, a niektórzy z nich nawet w to wierzyli. Ich własne codzienne życie stawało się coraz trudniejsze. Nie drastycznie, lecz nieubłaganie. Gospodarka zaciskała pasa. Większość ludzi pracowała teraz dłużej za tę samą płacę; wiele zwyczajnych dóbr coraz trudniej było zdobyć. Ulga, jaka nastąpiła po powrocie pełnego zatrudnienia, rozwiązała się.

Niepokój o dzieci zdawał się zajmować coraz więcej miejsca w umysłach rodziców; domaganie się czasu i lojalności dla *Hitlerjugend*, roczna rozłaka podczas *Arbeitsdienst*, perspektywa ujrzenia ich maszerujących na wojnę. Jeżeli zwyczajni Niemcy czegoś pragnęli, to był to pokój. Lata pokoju, podczas których mogliby jeździć swoimi samochodami dla ludu po swoich nowych autostradach. Tylko jeden mężczyzna wspomniał o Żydach, a i to jedynie lekceważąco i na wstępie: „Teraz, kiedy problem żydowski jest bliski rozwiązania...”.

Russell spytał, co miał na myśli.

- Cóż - odrzekł mężczyzna. - Oni wszyscy niedługo znikną, co nie? Ja tam osobiście nic przeciwko nim nie mam, ale dużo ludzi ma, a im będzie lepiej gdzie indziej, to jasne”.

Wiesnerowie by się z nim zgodzili. Dziewczęta wydawały się zgaszone, gdy odwiedził je we środę rano. Grzeczne i pilne jak zawsze, ale mniej radosne, tak jakby na rodzinę spadło więcej złych wieści. Jeden powód wyjaśnił się, kiedy po lekcji Frau Wiesner poprosiła go na słówko.

Powiedziała, że chce go prosić o przysługę. Nie chciała, żeby mąż się o tym

dowiedział, ale czy on, Russell, mógłby odbyć krótką rozmowę z Albertem? Syn zachowywał się nierozważnie, wygadując wszystko, co mu przychodziło do głowy, i wiążąc się z... Cóż, nie wiedziała, z kim, ale... Nie posłuchałby ojca, była tego pewna, i nie posłuchałby jej, jednak Russell, cóż, to człowiek z zewnątrz - nie był Żydem, nie był nazistą, nie był nawet Niemcem. Wiedział, co się dzieje, jak jest niebezpiecznie. Rodzina starała się o wizy, lecz to tyle trwało. Albert twierdził, że to próżne marzenia, że nigdy ich nie dostaną, ale przecież nie było pewności, a narażał przyszłość dziewczynek tak samo jak własną... Zabrakło jej słów i po prostu spoglądała bezradnie.

Russell z ciężkim sercem zgodził się spróbować.

- Postaram się, żeby był tutaj w piątek po lekcji - powiedziała.

Tego wieczora porządkował swoje zapiski z Drezna, kiedy Tyler McKinley zapukał do jego drzwi.

- Przyszedłem przeprosić - oznajmił Amerykanin.

- Za co? - spytał Russell.

- No wiesz. Za tamten wieczór.

- Och, za to. Zapomnij o tym.

- OK. Co powiesz na drinka?

Russell przetarł oczy.

- Czemu by nie?

Poszli do tego samego baru co zwykle, usiedli przy tym samym stoliku. Russell miał wrażenie, że rozpoznaje plamy z zeszłego tygodnia. Jego towarzysz zdawał się odczuwać ulgę, że nie ma do niego żalu, i dla odmiany pił ciemne piwo. Bar był bardziej zatłoczony niż zazwyczaj - liczba klientów zbliżała się do dwucyfrowej.

McKinley wyjął fajkę i puszkę mieszanki z Bałkanów.

- Co się przyciągnęło do dziennikarstwa? - spytał Russell.

- Och, zawsze chciałem być dziennikarzem. Odkąd pamiętam.

- Amerykanin uśmiechnął się na to wspomnienie. - Kiedy byłem dzieckiem, zwykle spędzałem lato z krewnymi matki w Nugget City. Pewnie nigdy o nim nie słyszałeś, to małe miasto w Kalifornii. Wyrosło w czasach gorączki złota i podupadało od tamtej pory. Mój dziadek wydawał w wolnym czasie miejscową gazetę. Tylko raz w tygodniu. Dwie strony.

Cztery, jeżeli coś się wydarzyło. Pomagałem mu przy tym. W dniu drukowania obaj wracaliśmy do domu cali w tuszu. Uwielbiałem to. - Podniósł puszkę z tytoniem i znowu ją odłożył. - Dziadek i babcia zmarli, kiedy miałem dwanaście lat, wtedy wszystko się urwało. Próbowałem zaproponować swoje usługi gazetom w San Francisco, ale nie chcieli tam, żeby dzieciaki kręciły się przy maszynach drukarskich. W sumie nic dziwnego. Tak czy owak, zaangażowałem się w gazetkę szkolną w liceum, a później na uczelni, i w końcu dostałem pracę w Examinerze. Trzy lata w dziale sportowym, trzy w miejskim i wreszcie zostałem wysłany do Europy. - Uśmiechnął się szeroko. - Nadal to uwielbiam.

- Co myślisz twoja rodzina? - zapytał Russell. Miał na myśli wyjazd do Europy, ale McKinley, zajęty nabijaniem fajki, odpowiedział na inne pytanie.

- Mój ojciec był wściekły. Ma własną firmę prawniczą i miałem do niej przystąpić, zacząć na samym dole i w końcu ją przejąć. On uważa, że dziennikarze to niechlujne małe pismaki, no wiesz, jak w „Stronie tytułowej”. - Oczy mu się rozpromieniły. - Wiedziałeś, że kręcą remake z kobietą reporterem? Rosalind Russell, jak mi się zdaje. A Cary Grant gra jej redaktora naczelnego. Czytałem o tym w jednym z hollywoodzkich czasopism Merle.

- Twój tata dalej się wścieka?

- Nie tak bardzo. To znaczy, są na to zbyt uszczęśliwieni, kiedy przyjeżdżam do domu. - Brzmiało to tak, jakby usiłował przekonać sam siebie. - To zabawne - dodał. - Moja siostra zdaje się bardziej gniewać niż ojciec.

- Co robi?

- Niewiele, o ile mi wiadomo. Byłaby lepszym prawnikiem niż ja, ale... Cóż, sam wiesz... Tata nigdy by nie przyjął kobiety do firmy. - Zapalił zapalniczkę, przytknął ją do otworu w cybuchu i wciągnął powietrze. Cybuch rozjarzył się, a z pomiędzy warg McKinleya wyleciała trująca chmura dymu.

- To wystarczy, żeby każdy poczuł urazę - zauważył Russell. - Nie otrzymać czegoś, czego się pragnie, to i tak przykre, a jeszcze kiedy ktoś inny to odrzuca, to jak sól na ranę.

McKinley popatrzył na Russella, jakby ten był magiem.

- Wiesz co, to mi nigdy nie przyszło do głowy.

- Kiedy ostatnio byłeś w domu? - spytał Russell.

- Och, na przedostatnie Święto Dziękczynienia. Ale dosyć często pisuję.

Russell pomyślał o własnej rodzinie. O swojej matce w Ameryce i o przyrodnim bracie w Leeds. Bernard był już teraz dobrze po pięćdziesiątce; kawaler, urodzony z przelotnego związku jego ojca z wojskową pielęgniarzką, która zajmowała się nim - w szerokim znaczeniu tego słowa - po kampanii Gordona w Sudanie. Russell nie widział się z

nim od lat i nie odczuwał szczególnej potrzeby. Było też paru wujków w Anglii, jedna ciotka w Ameryce, kuzyni rozsiani tu i tam. Nikogo z nich dawno nie widział. „Pora zabrać Paula z wizytą do Anglii”, pomyślał.

Spojrzał na McKinleya, z lubością pykającego fajkę.

- Czy nigdy nie tęsknisz za domem? - zapytał.

- Pewnie, czasami. W dni takie jak dzisiaj brakuje mi słońca. Wiem, wszyscy myślą, że San Francisco zawsze zasnuwa mgła, ale to nieprawda. To i tak najładniejsze miasto, jakie widziałem. - Uśmiechnął się. - Ale to tutaj pisze się historia.

- Niestety.

- Cóż, tak. Zastanawiałem się... Umawiam wywiad na przyszły tydzień, jeszcze nie wiem, w który wieczór, i tak sobie myślałem, czy nie zechciałbyś pójść ze mną. Mój niemiecki jest całkiem dobry, ale twój oczywiście jest o wiele lepszy, a jedyny raz, kiedy spotkałem tę kobietę, ledwo mogłem zrozumieć, co powiedziała. A naprawdę nie mogę sobie pozwolić na to, żeby przekręcić cokolwiek z tego, co powie.

- Kto to taki?

McKinley zawahał się.

- Kiedyś pracowała dla Ministerstwa Zdrowia.

- To jest ten wielki temat?

McKinley uśmiechnął się przelotnie.

- Można tak powiedzieć. Pamiętasz ten materiał o zakładach dla obłąkanych, który napisałem w zeszłym roku?

Russell pamiętał. Artykuł wcale nie był zły. Amerykanin zdołał postawić kilka dosyć niewygodnych pytań, i trudno go winić za to, że nikt inny nie domagał się odpowiedzi.

- Pamiętam - przytaknął.

- Cóż, ta kobieta była jedną z osób, z którymi rozmawiałem. Opowiedziała mi stek kłamstw, o ile wiem. A później, w zeszłym tygodniu, ni z tego ni z owego skontaktowała się ze mną, mówiąc, że chce mi przekazać jakieś informacje o innej sprawie, o jakiej już słyszałem.

- O zakładach?

- Tak i nie. Słuchaj - powiedział, rozglądając się. - Nie chcę tutaj o tym rozmawiać.

Wracajmy.

- Dobrze - zgodził się Russell. Na przekór sobie, zaczął się czuć zaintrygowany.

Gdy wracali na Neuenburgerstrasse, wypatrywał wszelkich możliwych cieni i zauważył, że McKinley robi to samo. Żaden nie pojawił się w polu widzenia, a na ulicy przed

ich kamienicą nie parkowały samochody.

- Mały Knauer - McKinley zaczął, gdy tylko zasiedli w dwóch fotelach u Russella. - Nie wydaje mi się, żeby rodzice nadali mu jakieś imię. Był niewidomy, miał tylko jedną rękę i brakowało mu kawałka nogi. Był również, jak można przypuszczać, idiotą. W sensie medycznym, znaczy się. Opóźniony w rozwoju. W każdym razie jego ojciec napisał do Hitlera prosząc, żeby chłopiec został uśmiercony. Hitler posłał jednego z lekarzy zatrudnionych przez KdF, żeby potwierdził fakty, i zostały udowodnione. Później wydał lekarzom dziecka zgodę na przeprowadzenie eutanazji. Chłopiec został uśpiony. - Przerwał, żeby na nowo zapalić fajkę.

- To smutna historia - Russell odezwał się ostrożnie.

- Dwie rzeczy - powiedział McKinley. - Hitler nigdy nie robił tajemnicy ze swoich planów oczyszczenia rasy przez sterylizację upośledzonych umysłowo oraz wszystkich tak zwanych nieuleczalnych. Naziści bez przerwy mówią o tym, ile kosztuje utrzymywanie tych wszystkich ludzi w zakładach. Nawet wykorzystują to jako przykład w jednym ze szkolnych podręczników. No wiesz, ile samochodów ludowych można by skonstruować za to, co się wydaje na wyкарmienie i odzianie dziesięciorga nieuleczalnych przez rok. Wystarczy zestawić ze sobą te dwie rzeczy, i dostaje się łatwą odpowiedź: zabić ich. To oczyści rasę i zaoszczędzi pieniądze.

- Tak, ale... - próbował przerwać Russell.

- Wiem. Ale jeżeli mały Knauer może iść do odstrzału, to dlaczego nie inni? Około stu tysięcy, według najnowszych wyliczeń. Powiedz rodzicom, że robią to, żeby skrócić cierpienia dziecka, daj im wymówkę, żeby pozbyć się problemu. Właściwie to nawet nie mów rodzicom. Oszczędź im bólu mówiąc, że dziecko zmarło z przyczyn naturalnych.

- Sto tysięcy?

- Może nie, ale...

- Ok, to brzmi wiarygodnie. To w stylu nazistów, na rany Chrystusa. Jednak czy oni naprawdę to robią? I jeżeli tak, czy masz jakiś dowód, że tak się dzieje?

- Są rozmaite przesłanki...

- Nie wystarczy - domagał się Russell.

- Zatem plany.

- Na papierze?

- Niezupełnie. - McKinley chciał przerwać dyskusję. - Słuchaj, czy pójdziesz ze mną na spotkanie z tą kobietą?

Russell wiedział, jak powinna brzmieć rozsądna odpowiedź, lecz McKinley już złapał

go na haczyk.

- Dobrze - powiedział, spoglądając na zegarek, i zdał sobie sprawę, że spóźni się po Effi.

Znalazłszy się na Lindenstrasse, postanowił wydać część spodziewanych zarobków na taksówkę. Gdy objechała Belle Alliance Platz i skierowała się Königgrätzerstrasse w kierunku Potsdamer Bahnhofplatz, przyglądał się ludziom na chodniku i zastanawiał się, ilu z nich protestowałoby przeciwko eutanazji stu tysięcy dzieci. Czy byłby to o jeden krok za daleko, czy tylko kolejny kamień milowy w pozbywaniu się skrupułów narodu?

Russell nie spodziewał się znaleźć większego podobieństwa pomiędzy Tylerem McKinleyem i Albertem Wiesnerem. Po jednej stronie chłopiec z bogatej rodziny i kraju, z satysfakcjonującą pracą i natychmiastowym dostępem do biletu pozwalającego wyjechać z nazistowskich Niemiec. Po drugiej chłopak bez pracy czy jakichkolwiek perspektyw, którego następnym adresem będzie zapewne obóz koncentracyjny. Jednak Russell prędko uzmysłowił sobie, że jest w błędzie. Charaktery i osobowości obu młodych ludzi ukształtowały się w dobrze sytuowanych rodzinach, i jak się zdawało, w reakcji na wpływowych ojców. I obaj wydawali się obdarzeni wystarczającą dozą młodzieńczej naiwności, by czyniła ich irytującymi i sympatycznymi na przemian.

Frau Wiesner przyprowadziła syna pod koniec piątkowej lekcji. Dla dobra matki i siostr chłopak symbolicznie zadał sobie trud ukrywania posępnego oburzenia na niepotrzebne zabieranie mu czasu, lecz bez towarzystwa rodziny z miejsca porzucił wszelkie pozory uprzejmości.

- Napijmy się kawy - zaproponował Russell.

- Żadna kawiarnia nas nie obsłuży - padła odpowiedź Alberta.

- Cóż, zatem chodźmy na spacer do parku.

Albert nie odpowiedział, lecz dotrzymywał kroku Russellowi, gdy szli Greifswaldstrasse w kierunku północnego wejścia do Friedrichshain - parku, od którego cała dzielnica wzięła swoją nazwę.

Minąwszy bramę Russell poprowadził ich obok MärchenBrunnen, serii sztucznych wodospadów otoczonych rzeźbionymi postaciami z bajek. Kilka lat temu przyprowadził tu Paula, żeby je sobie obejrzał, kiedy Jaś i Małgosia - figury w tle - wciąż były w stanie obudzić

nocne lęki przed złymi czarownicami... jak Ilse z goryczą poskarżyła mu się następnego dnia.

Albert miał bardziej aktualne skojarzenia.

- Czarownica musiała być Żydówką - powiedział.

- Jeżeli wtedy nie była, to teraz będzie - zgodził się Russell. Poszli dalej w głąb parku szeroką aleją między bezlistnymi drzewami. Albert wydawał się obojętny na ciszę między nimi i celowo starał się podchwytować spojrzenia osób idących z naprzeciwka. W metrze Russell w myślach przeciwczył sobie kilka linijek dorosłych mądrości, lecz teraz wszystkie wydały mu się żałośnie śmieszne.

- Twoja matka chciała, żebym z tobą pomówił - odezwał się w końcu. - Ale ja nie mam pojęcia, co powiedzieć. Ty i twoja rodzina jesteście w okropnej sytuacji. A ona, cóż, domyślałam się, że boi się, byś jeszcze jej sobie nie pogorszył.

- I im.

- Tak, i im.

- Zdaję sobie z tego sprawę - butnie stwierdził chłopak.

- Tak... - To była strata czasu, jak uznał Russell. Zbliżali się do jednej z parkowych kafejek na wolnym powietrzu. - Napijmy się tu kawy - powiedział.

- Nie obsłużą mnie.

- Po prostu zajmij miejsce. Ja je przyniosę.

Podszedł do okna budki i obejrzał ciastka. Mieli tu Mohrenkopfen, biszkoptowe kulki z kremowym nadzieniem, oblane czekoladą i przystrojone na czubku bitą śmietaną.

- Dwa ciastka i dwie kawy - odezwał się do mężczyzny w średnim wieku, stojącego za ladą.

Mężczyzna wpatrywał się w Alberta.

- To Żyd - stwierdził wreszcie, jak gdyby dotarł do końca wyczerpującego procesu myślowego. - Nie obsługujemy Żydów.

- To Anglik - powiedział Russell. - Tak jak ja. - Pokazał mężczyźnie swoją akredytację z Ministerstwa Propagandy.

- Wygląda na Żyda - odpowiedział mężczyzna, wciąż gapiąc się na Alberta, który teraz wpatrywał się w niego.

„Czemu po prostu nie wyjmiesz tego swojego obrzezanego ptaka i nie pomachasz mu przed nosem”, Russell pomyślał cierpko.

- O ile wiem, może i jest Żydem - odparł Russell - ale nie istnieje prawo zakazujące obsługiwania angielskich Żydów.

- Nie istnieje?

- Nie, nie istnieje.

Mężczyzna tylko na niego patrzył.

- Czy musi pan to usłyszeć od policjanta?

- Nie, skoro pan tak mówi. - Po raz ostatni gniewnie łypnął na Alberta i skupił się na nalewaniu kawy.

„Boże, dopomóż”, pomyślał Russell. Potrafił zrozumieć reakcję Alberta, bez względu na to, jak odwrotny od zamierzonego miała skutek. Jednak ten mężczyzna... Na co tak się oburzał? Nie było tu esesmanów przesiadujących przy jego stolikach ani nawet żadnych zwyczajnych obywateli na skraju rasowej apopleksji. Dlaczego tak się przejmował tym, że jakiś Żyd siedzi przy jednym z jego zardzewiałych stolików? Czyżby naprawdę myślał, że żydowskie zarazki wnikną w jego filiżanki i talerzyki?

Kawa była wychlapana na spodki, lecz wydawało się, że nie warto się skarżyć. Russell zaniósł je do stolika, gdzie Albert niedbale siedział na krześle, szeroko rozstawiwszy nogi w buntowniczym geście. Russell oparł się pokusie powiedzenia mu „usiądź prosto” i wręczył mu Mohrenkopf. Oczy chłopaka rozpromieniły się. Na parę minut skupili się na jedzeniu.

- Czy pan naprawdę sądzi, że jest jakaś szansa, żebyśmy otrzymali wizy? - Albert zapytał w końcu, pozwalając, żeby słaby cień nadziei zakłócił jego cynizm.

- Tak - Russell odpowiedział z większym przekonaniem niż faktycznie odczuwał. - To może trochę potrwać, ale dlaczego nie? Naziści was nie chcą, więc dlaczego nie mieliby was wypuścić?

- Ponieważ jeszcze bardziej są zainteresowani tym, żeby nas krzywdzić?

Russell rozważył to. Niestety, brzmiało prawdziwie.

- Tak jak ja to widzę - powiedział - nie masz wielkiego wyboru. Możesz stawiać opór i najpewniej skończyć w obozie. Albo zginąć. Albo możesz spróbować i rozpracować ich system. Albert posłał mu litościwe spojrzenie.

- Jest nas pół miliona - oznajmił. - Przy obecnym tempie potrwa siedem lat, zanim wszyscy dostaną wizy.

Russell nie miał na to odpowiedzi.

- A ile czasu zostało, nim będziemy mieć wojnę? - Albert nie dawał za wygraną.

- Kto wie...

- Najwyżej rok. To położy kres emigracji. Jak pan sądzi, co wtedy z nami zrobią? Już teraz nie pozwalają nam zarabiać na życie, i to się nie zmieni. Albo zostawią nas, żebyśmy pomarli z głodu, albo umieszczą w obozach pracy. Niewolniczej. Niektórzy z moich przyjaciół uważają, że mogą po prostu zabić. I mogą mieć rację. Kto ich powstrzyma?

Russell pomyślał, że może dodać Alberta do listy ludzi, których nie doceniał.

- Żelazny Krzyż mojego ojca był pierwszej klasy - powiedział Albert. - Nie tak jak naszego umiłowanego Führera.

Russell wpatrywał się w zimowe drzewa i dach starego szpitala wznoszący się ponad nimi na południu.

- Jeżeli masz rację... jeżeli twoi przyjaciele mają rację... to tym bardziej nie powinieneś narażać na szwank swoich szans, możliwości dla twojej rodziny, na wydostanie się stąd.

- Wiem o tym - odrzekł Albert. - Jednak co z innymi? Sukces jednej rodziny to porażka innej.

Na to także Russell nie umiał odpowiedzieć.

- Ale dzięki za kawę i ciasto - dodał Albert.

* * *

Leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć Russell myślał o Krzyżu Żelaznym Pierwszej Klasy papy Wiesnera. Nie był to medal przyznawany powszechnie - doktor musiał dokonać czegoś szczególnego. Powinien zdawać sobie sprawę, że Żyd w wieku Wiesnera walczył na wojnie, jednak nie przyszło mu to do głowy. Propaganda Goebbelsa najwyraźniej była skuteczna.

Był ciekaw, na którym froncie służył Wiesner. Zastanawiał się - tak jak często mu się to zdarzało w przypadku Niemców w jego wieku - czy stali naprzeciwko siebie, oddaleni o te sto metrów zrytej pociskami łąki pod Merville. Czasem myślał, czy nieustanny zarzut, czyniony mu przez Frau Heidegger, że mógł zastrzelić jej męża, nie był sposobem na odegnanie możliwości, że naprawdę tak się stało.

Kiedyś mu się zdawało, że ma wojnę za sobą, że czas i okoliczności zmieniły przerażenie w gniew, gniew w politykę, a politykę w cynizm, pozostawiając tylko trwałe przekonanie, że ludzie u władzy, jak świat długi i szeroki, to zwykle niekompetentni, nieczuli kłamcy. Wojna była według niego tylko ostateczną demonstracją przygnębiająco niezmiennej prawdy. Niczym więcej.

Oszukiwał sam siebie. Wszyscy ci, którzy znaleźli się w tym szczególnym miejscu dokładnie w tym czasie, zostali na trwałe naznaczeni przez to doświadczenie, a on nie był

wyjątkiem. Nigdy nie można się całkowicie otrząsnąć z wojny - zawsze coś po sobie pozostawia, czy to nerwy w strzępach, nieprzemijającą wściekłość czy cynizm niweczący wszelką radość. Zaś wspomnienia - zdawały się nigdy nie blednąć. Nagła fala woni rozkładających się ciał, odbicie eksplozji w szurzących oczach, widok własnych gnijących stóp. Niepokojące piękno rakiety sygnalizacyjnej rozcinającej nocne niebo.

Ochlapany czymś mózgiem. Uderzony w twarz przez śmierć. Nazywał się Jimmy Sewell. Kiedy Russell pomagał zanieść to, co z niego zostało, do punktu medycznego, jakoś trafił w jego ręce list, który Sewell dopiero co napisał do swojej dziewczyny. Pisał jej, że teraz sytuacja wygląda lepiej, bo przybywają siły Jankesów. To było pod koniec czerwca albo na początku lipca 1918 roku. Jeden z długiego szeregu słonecznych dni w północnej Francji. Tego wieczora on i Razor Wilkinson pojechali autostopem do Hazebrouck i potracili głowy w obskurnej knajpie w jakimś zaułku. Im więcej Russell wypił, tym bardziej zdawało mu się, że swędzi go ochlapana mózgiem twarz, aż wreszcie skończył brodząc w rzece Lys i gorączkowo usiłując się oczyścić. Razor stał na brzegu i śmiał się z niego, dopóki nie uświadomił sobie, że Russell płacze, a wtedy on sam też zaczął płakać.

Minęło dwadzieścia jeden lat, lecz Russell nadal czuł prąd rzeki szarpiący mu nogi. Podniósł się z łóżka i podszedł do okna. Berlin spał, jednak on potrafił sobie wyobrazić Alberta Wiesnera leżącego w łóżku na plecach, zaciskającego dłonie na kocach i wpatrującego się gniewnym wzrokiem w sufit.

Jako że Paul przebywał na swojej weekendowej wyprawie z *Jungvolk*, Russell i Effi spędzili większą część sobotniego poranka w łóżku. Russell narzucił na siebie jakieś ubranie, żeby przynieść ciastka i kawę ze sklepiku za rogiem i zrzucił je z siebie znowu, kiedy kochanie się uznał za pilniejsze niż jedzenie. Pół godziny później Effi odgrzała kawę na maleńkim piecu i wróciła z nią do sypialni.

- Opowiedz mi o roli w filmie - poprosił Russell, kiedy leżeli oparci o zagłówek. Effi mówiła mu o propozycji zeszłej nocy, lecz on był zbyt zmęczony, żeby wnikać w szczegóły.

- Zaczynają zdjęcia trzynastego - powiedziała. - Od poniedziałku za dwa tygodnie. Marianne Immel miała tę rolę, ale jest chora... zapewne w ciąży, chociaż nikt tego głośno nie mówi. Chcieli, żebym przyszła we wtorek rano na próbne zdjęcia, ale musiałabym być kompletnie beznadziejna, żeby mnie nie zaangażowali. Nie mają czasu na znalezienie kogoś

innego.

- Jaki ma tytuł?

- „Matka”. To duża rola.

- Czy mogę zobaczyć scenariusz?

- Oczywiście, ale pozwól, że najpierw sama ci opowiem. - Zlizwała okruszki ciastka z górnej wargi i założyła sobie włosy za uszy. - Gram Gertę - zaczęła. - Mam posadę w fabryce, wykonuję ważną pracę administracyjną. Prawie kieruję firmą, za właściciela. Lubię swoją pracę i jestem w niej dobra.

- Ale jesteś tylko kobietą - mruknął Russell.

- Rzeczywiście. Mój mąż Hans ma dobrą pracę na kolei. I nie muszę dodawać, że aktywnie działa w SA, nawet bardzo aktywnie. Hans zarabia aż nadto, żeby utrzymać rodzinę... nawiasem mówiąc, mamy dwoje dzieci, szesnastoletnią dziewczynkę i jedenastoletniego chłopca... mąż uważa, że powinnam zrezygnować z pracy i zajmować się nimi. Jednak jest zbyt dobroduszny, żeby naciskać, więc pracuję dalej.

- Wyczuwam nadciągającą tragedię - ironizował Russell.

- Ach, powinnam wspomnieć, że mój szef nie może ode mnie oderwać oczu. Mnie on się aż tak nie podoba... nawiasem mówiąc, zdecydowanie wygląda na Żyda... ale Hans jest zawsze poza domem w partyjnych sprawach, sam wiesz, organizuje parady, prowadzi obozy młodzieżowe i ogólnie jest zbawcą narodu... a szef jest na tyle miły i na tyle uroczy, żeby stanowić dobre towarzystwo, więc trochę z nim flirtuję i pozwalam mu kupować mi ciastka. Właściwie całkiem jak tobie - dodała, spoglądając na Russella.

- Czy afiszujesz się przed nim ze swoim pięknym biustem? - spytał Russell.

- Na pewno nie - odpowiedziała, okrywając się nocną koszulą.

- A teraz się skup.

- Spróbuję.

- Pewnego dnia ona i szef jadą odwiedzić fabrykę, którą on zamierza kupić. W drodze powrotnej postanawiają się zatrzymać w pensjonacie słynącym z pięknych widoków. Przy zjeździe z góry jego samochód łapie gumę, i ona spóźnia się do domu. W międzyczasie syn i córka wracają ze szkoły i nie mogą się dostać do środka. Chwilę czekają, ale pada deszcz - leje jak z cebra - a syn już jest przeziębiony. Córka zauważa, że jedno z okien na górze jest otwarte, i postanawia się wspiąć i wejść do środka.

- Tylko że się jej nie udaje.

- Jak zgadłeś?

- Nie żyje czy sparaliżowana?

- Och, nie żyje. Chociaż, jak sądzę, jej widok na wózku stanowiłby nieustanne przypomnienie o mojej winie. Która jest, oczywiście, olbrzymia. Porzucam pracę, pomimo błagań szefa. Jednak moja wina wciąż jest zbyt wielka, więc próbuję się zabić. I zgadnij, kto mnie ratuje?

- Syn?

- Właśnie tak. Przychodzi do domu z kilkoma kolegami z *Jungvolk*, by znaleźć mnie z głową na kuchennym stole i pustą buteleczką po tabletkach. Zawożą mnie do szpitala na wózku, którego używają do zbierania ubrań na akcję pomocy zimowej.

- A kiedy odzyskujesz przytomność, uzmysławiasz sobie, że odpokutujesz za śmierć córki tylko stając się idealną kurą domową.

- Hans przybywa, żeby mnie zabrać do domu i mówi, że nie może znieść tego, że jestem taka nieszczęśliwa, i że mogę wracać do pracy, jeśli chcę. Po czym ja wygłaszam mowę życia, karcąc go za to, że w przeszłości pozwalał mi postępować po swojemu, i mówię mu, że wszystko, czego naprawdę pragnę, to być żoną i matką. On płacze z radości. Właściwie to oboje płaczemy. Koniec.

- Łza się w oku kręci - skwitował Russell. - Czy to ci przyniesie sławę?

- Nie liczyłabym na to. Ale gaża jest dobra, i jest w tym trochę aktorstwa.

- Ale bez afiszowania się z biustem.

- To robię tylko dla ciebie - odpowiedziała, rozchylając nocną koszulę.

* * *

Po odprowadzeniu Effi do teatru na poranne przedstawienie „Barbarossy”, Russell zjadł szybki lunch w bufecie na Dworcu ZOO, wspiął się na wysokie perony i siedział tam, przez chwilę obserwując pociągi. Było to coś, co on i Paul czasami robili, zachwycając się długimi sznurami wagonów z Kolonii albo z Paryża, sunącymi po moście. Czasami nosiły zdumiewające nazwy, jak „Hoek van Holland”. Dzisiaj jednak na próżno czekał na ekspres

przez kontynent. Przejeżdżały jedynie schludne małe elektryczne kolejki Stadtbahn, uwijające się na peronach lokalnych.

Obszedł północną stronę ZOO i z braku lepszego zajęcia wrócił do domu, wzdłuż kanału Landwehr.

Upłynęło sporo czasu, odkąd ostatnio samotnie spędzał sobotnie popołudnie w Berlinie, i czuł się nieoczekiwanie zdezorientowany. Na domiar złego był to jeden z takich zimowych dni, jakich nie znosił: szary, wilgotny i niemal obraźliwie ciepły, więc kanał cuchnął jeszcze gorzej niż zazwyczaj.

Kiedy dotarł do domu, Frau Heidegger już niego czyhała. Od dawna spodziewana dymisja Schachta ze stanowiska prezesa Reichsbanku przez cały ranek zajmowała poczesne miejsce na pierwszych stronach, i dozorczyńni martwiła się, że to może źle wpłynąć na ceny akcji.

- Rodzina mojego Jurgena dała mi po wojnie trochę akcji Farben - wyjaśniła, kiedy już zmusiła Russela do wstąpienia na kawę. - Tylko kilka, rozumie pan, ale zawsze myślałam, że mogą mi się przydać na starość.

Russell uspokoił ją, że jest mało prawdopodobne, aby zwolnienie Schachta miało jakieś długofalowe skutki. „Inaczej niż nadeciągająca wojna”, dodał sam do siebie. Albo niż jej kawa.

- Führer jest zły na Czechów - odezwała się z kuchni, jak gdyby podążając za jego tokiem myślenia.

- O co? - spytał Russell.

- Czy to ważne? - odparła, zbliżając się ze znajomo wyglądającym dzbankiem.

- Nie - zgodził się. Często bywał zaskoczony spostrzegawczością Frau Heidegger, i zaskoczony tym, że wciąż bywa zaskoczony.

- Mówiłam szwagrowi to, co pan mi mówił o obronie przeciwlotniczej - ciągnęła dalej. - Powiedział, że ma nadzieję, że ma pan rację.

- Ja też - przyznał Russell.

Kiedy już wspiął się po schodach do swojego mieszkania, pożałował, że to zrobił; połączenie dusznej pogody i ogrzewania na pełny regulator zamieniło je w łaźnię turecką. Próbował otworzyć okno, lecz nie było ani śladu wyczekiwanego powiewu chłodniejszego powietrza. Usiłował czytać, ale wydawało się, że nic nie ma sensu.

Ponownie wyszedł. Było dopiero po czwartej - miał około sześciu godzin do zabicia. Przeszedł BelleAlliance Strasse na południe do Viktoria Park, dotarł na skraj Kreuzbergu i znalazł wolną ławkę z widokiem na miasto. Pojawił się nawet lekki wietrzyk. Niebo

pociemniało, a nastrój Russella zdawał się mrocznieć razem z nim.

Rozmyślał o Effi i filmie. Rano mieli z niego uciechę, lecz było to dosyć odrażające dzieło. Czyżby nie miała żadnych skrupułów, grając w czymś takim? Nie powiedziała tego. Nie mógł uwierzyć, że potrzebowała pieniędzy, i dość często słyszał jej wypowiedzi na temat nazistowskiej postawy wobec kobiet. A więc dlaczego to robiła?

Czy powinien ją spytać? Czy można zadać komuś takie pytanie bez czynienia z tego zarzutu?

Uznał, że nie można, lecz później tego wieczora, w połowie pustej ulicy w drodze z teatru do domu, i tak ją o to zapytał.

- Żeby zarobić na życie? - odparła z sarkazmem.

- Ale ty nie... - zaczął, i sam się powstrzymał. Jednak nie dość prędko.

- Mnóstwo ludzi sądzi, że ponieważ moja rodzina jest bogata, mnie też nie brakuje pieniędzy - powiedziała chłodnym tonem. - Przyjęłam mieszkanie, kiedy mi je podarowali. Dziesięć lat temu. I od tamtej pory nie wzięłam niczego.

- Wiem.

- A więc o co ci chodzi?

Westchnął.

- Po prostu to jest takie podłe. Mierzi mnie myśl, że grasz w czymś... że grasz rolę, która godzi we wszystko, w co wierzysz.

- To z niej czyni tym większe wyzwanie.

- Tak, ale im lepiej ją zagrasz, im bardziej będziesz przekonująca, tym więcej kobiet pomyśli, że muszą się zgadzać na te wszystkie bzdury.

Zatrzymała się w pół kroku.

- Mówimy o mojej pracy czy twojej? - spytała. - Co z twoim peanem na cześć wycieczek „Siła przez radość”? Albo z twoim tekstem o „samochodzie dla każdego niemieckiego robotnika”? Nie za bardzo podkopujesz tym ich pozycję.

Stłumił falę gniewu. Miała rację.

Oboje ją mieli.

Następnego dnia po południu udał się do Plumpe. Paul prosił go o program, a skoro Effi odwiedzała rodzinę, wydało się dobrym pomysłem, żeby tam pojechać. Do towarzystwa miał Thomasa i Joachima, ale tęsknił za Paulem, zaś sam mecz był koszmarny i skończył się nudnym remisem 1:1 z Berliner SV. Thomas był przygaszony; podobnie jak Frau Heidegger i siedemdziesiąt pięć milionów innych Niemców, zauważył wiele mówiącą lawinę niechęci władz wobec Czechów.

Wciśnięci pomiędzy kibiców SV w metrze jadącym na południe, umówili się na obiad w przyszły czwartek.

Po powrocie do mieszkania zastał czekającą na niego przesyłkę kurierską: egzemplarz *Prawdy* z poprzedniego dnia, zawierający jego pierwszy artykuł. Jego rosyjski nie zdał się na wiele, lecz o ile potrafił stwierdzić, niczego nie zmienili.

- Zaaprobowane przez SD, zaaprobowane przez NKWD - pomyślał na głos. - Powinienem być zostać dyplomatą.

Bardziej ucieszyło go towarzyszące gazecie bankowe polecenie wypłaty honorarium w reichsmarkach.

Znajdowała się tam też obiecana lista sugestii dotyczących przyszłych artykułów.

Przedostatnie litery słów w pierwszym zdaniu - kto wymyślał takie rzeczy? - ułożyły się w „Kraków”. Russell jęknął. Dwie szesnastogodzinne jazdy pociągiem tylko po to, żeby pogawędzić ze Szczepkinem. A przynajmniej miał nadzieję, że czeka go tylko pogawędka.

Kaplica Zyguntowska

- To tutaj - oznajmił McKinley z entuzjazmem tego rodzaju, jaki inni rezerwowali sobie na wypadek natknięcia się na El Dorado. Obiektem jego podniecenia była krótka ślepa uliczka, zabudowana podupadającymi kamienicami czynszowymi, wciśniętymi między arkady dźwigające tory kolejowe, małe warsztaty oraz NeuköllnerSchiffahrtskanal. Samotna latarnia rzuciła słabe żółte światło na lśniące cegły i zardzewiałe żelazo. Russell pomyślał, że to wygląda na miejsce, gdzie jakiś szczególnie sentymentalny niemiecki komunista przybyłby, żeby umrzeć.

Szukali go prawie od godziny, odkąd zabawili się w chowanego ze swoim zapewne wymyślonym ogonem z Gestapo, w słynnym w Neukölln domu towarowym Karstadt. Osoba, dla której odbywali tę wyprawę, według słów McKinleya powiedziała im, żeby dopilnowali, by nikt ich nie śledził. Robił zatem co w jego mocy, żeby spełnić to życzenie, prowadząc Russella do sklepu głównym wejściem, zaś wyprowadzając przez kuchnię, ścigany jedynie okrzykami oburzonego kucharza. Następnie poszli pieszo na wschód, skręcając tu i tam w kolejne coraz ciemniejsze i wysoce niezachęcające ulice. Russell spodziewał się widoku rzeki robotników wracających do domu, lecz natknęli się tylko na kilku, a prośby McKinleya o wskazówki nawigacyjne spotykały się albo z ostrożną podejrzliwością, albo z otwartą wrogością. Widać było światelka za zasłonami w domach mieszkalnych, lecz wydawało się, że znajdują się daleko stąd.

Schönlankerstrasse nie była wyjątkiem. Kamienica, której szukali, stała na samym końcu, dopchnięta do nasypu torów jakiejś zapewne towarowej linii. Gdy dotarli do wejścia, w polu widzenia pojawiło się jeszcze jedno źródło światła - czerwony poblask sygnalizacji zawieszanej w ciemnościach.

Oklapnięta swastyka nad wejściem wyglądała tak, jakby nie prano jej od 1933 roku. Wkroczywszy do słabo oświetlonego holu, znaleźli drzwi dozorczyńni. McKinley dwukrotnie zastukał kołatką - zbyt delikatnie, jak sądził Russell, jednak drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Kobieta w średnim wieku o dość uderzających rysach wpuściła ich do środka i prędko zamknęła za nimi drzwi.

- Kto to? - spytała McKinleya, gniewnym ruchem wskazując na Russella. Miała silny nadreński akcent, co tłumaczyło, dlaczego Amerykanin miał spore problemy ze zrozumieniem jej.

- To przyjaciel. Mówi po niemiecku lepiej niż ja - wyjaśnił McKinley trochę tonem kogoś, kto uspokaja niemądre dziecko. Jeszcze raz spojrzała na Russella, zastanowiła się przez chwilę i wzruszyła ramionami.

- Wejdźcie - rzuciła krótko.

Salon był czysty, lecz niemal pusty. Nie było tam foteli, jedynie dwa krzesła o prostych oparciach przy małym stoliku, a na podłodze coś, co wyglądało na ręcznie wykonane poduszki. Podniszczony, chociaż niegdyś kosztowny dywan zajmował środek drewnianej podłogi. Siedziała na nim dziewczynka w wieku około pięciu czy sześciu lat, pochylona nad obrazkiem, który właśnie rysowała. Nie podniosła wzroku, kiedy weszli.

- To Marietta - powiedziała kobieta. - Bardzo ją absorbuje to, co robi - dodała, jak gdyby musiała wyjaśnić brak reakcji dziecka. Jak McKinley już wcześniej powiedział Russellowi, kobieta nazywała się Theresa Jürissen. Była młodsza niż mu się w pierwszej chwili zdawało - zapewne około trzydziestu pięciu lat - lecz wyglądała na zarówno przemęczoną, jak i niedożywną. Tylko oczy, przenikliwe i szare, wydawały się pełne energii. - Proszę siadać - powiedziała, ale McKinley nalegał, żeby to ona zajęła jedno. Sam stał przez cały czas; jego koścista postać wyglądała cokolwiek dziwnie, stercząc na środku pokoju. Najwidoczniej zdając sobie z tego sprawę, wycofał się pod ścianę.

- Czy przyniósł pan pieniądze? - Frau Jürissen spytała niemal przeprasząco. „To nie jest kobieta nawykła do ubóstwa”, pomyślał Russell. - To jedyna praca, jaką mogę wykonywać i jednocześnie przez cały dzień się nią opiekować - dodała, jakby potrzebne były dalsze wyjaśnienia.

McKinley wyjął portfel i odliczył jej na dłoń kilkaset reichsmarek. Przez chwilę

wpatrywała się w nie, po czym nagłym ruchem złożyła banknoty i wsadziła do kieszeni podomki.

- A więc od czego mam zacząć? - spytała.

McKinley nie marnował czasu.

- W liście pisała pani, że nie może pani milczeć, kiedy stawką jest życie dzieci - powiedział, wymawiając każde słowo z najwyższą starannością. - Dlaczego sądzi pani, że tak jest?

Oparła dłonie na stoliku, jedną nakrywając drugą.

- Z początku nie mogłam w to uwierzyć - zaczęła i przerwała, żeby uporządkować myśli. - Przez ponad dziesięć lat pracowałam dla Ministerstwa Zdrowia Brandenburgii. W wydziale zaopatrzenia medycznego. Regularnie odwiedzałam szpitale i zakłady opiekuńcze, sprawdzałam inwentarze, przewidywałam zapotrzebowanie, rozumie pan?

McKinley skinął głową.

- Po tym, jak naziści przejęli władzę, większość kobiet w moim wydziale zostało zachęconych do odejścia, ale mój mąż zginął w wypadku na kilka tygodni przed narodzinami Marietty, i wiedzieli, że jestem jedynym żywicielem rodziny. Oczywiście, chcieli, żebym znalazła następnego męża, ale do tego czasu... Cóż, byłam dobra w swojej pracy, więc tak naprawdę nie mieli wymówki, żeby mnie zwolnić. - Podniosła wzrok. - Przepraszam. Nie musicie tego wszystkiego wiedzieć. - Przeniosła wzrok na córkę, która nadal nie wykazywała żadnych oznak przyjmowania do wiadomości, że ktoś jeszcze znajduje się w pokoju. - Chyba od początku wiedziałam, że ona nie jest, cóż, zwyczajna, ale mówiłam sobie, że jest tylko bardzo nieśmiała, bardzo skupiona na sobie... Chodzi mi o to, że niektórzy dorośli też tacy są, ledwie dostrzegają, że istnieje ktoś inny. - Westchnęła. - Jednak doszłam do momentu, kiedy wiedziałam, że muszę coś zrobić, zabrać ją, żeby ktoś ją zbadał. Wiedziałam, że to może oznaczać dla niej sterylizację, ale... Cóż, jeżeli pozostałaby taka jak teraz, w ogóle nie zauważyłaby, czy ma jakieś dzieci czy nie. W każdym razie zabrałam ją do kliniki w Poczdamie, tam ją zbadali, zrobili testy i powiedzieli, że muszą ją zatrzymać na obserwacji przez kilka tygodni. Nie chciałam jej tam zostawiać, ale powiedzieli mi, żebym nie była samolubna, że Marietta potrzebuje fachowej opieki, jeżeli ma kiedykolwiek wyjść ze swojej skorupy.

- Grozili pani? - spytał McKinley.

- Nie, właściwie nie. Byli tylko zniecierpliwieni. Zszokowani, że natychmiast nie zaakceptowałam tego, że oni wiedzą najlepiej.

- Jak większość lekarzy - mruknął Russell.

- Może. I być może mówili całkiem szczerze. Być może Marietta potrzebuje tego, cokolwiek mają do zaoferowania.

- A więc ją pani zabrała? - McKinley pytał dalej.

- Musiałam. Zaledwie dwa dni po tym, jak zostawiłam ją w klinice, odwiedzałam zakład Falkenheide, zna go pan? To w pobliżu Fürstenwalde. Byłam w stołówce dla personelu, sprawdzałam ich zamówienia nad filiżanką kawy, kiedy usłyszałam rozmowę przy sąsiednim stoliku. Próbowałam ją zignorować, ale nie mogłam. Rozmawiali zupełnie normalnie, nie było w tym nic ukradkowego. W pewnym sensie to było najbardziej wstrząsające: zakładali, że ten temat jest powszechnie znany. To znaczy dla personelu zakładu.

- Przerwała i zerknęła na Mariettę. - A tematem rozmowy był list, rozesłany przez Ministerstwo Sprawiedliwości do dyrektorów wszystkich zakładów. W tym liście prosili o opinie dyrektorów o tym, jak powinni zmienić system, żeby pozwalał na zabijanie nieuleczalnie chorych dzieci. Czy powinni wydać nowy przepis, czy wystosować administracyjne rozporządzenia i nie informować opinii publicznej? O tym właśnie dyskutowali ci ludzie przy sąsiednim stoliku, nawet żartowali na ten temat. Trzej byli lekarzami, których rozpoznałam, a kobieta wyglądała jak przełożona pielęgniarek.

- I tak to wszystko zacytowali? - Russell spytał niedowierzająco. Instynktownie jej ufał, nie widział powodu, dlaczego miałyby kłamać, ale opowiedziana przez nią scena w stołówce wydawała się przypominać jedną z tych scenicznych rozmów napisanych pod publiczność.

- Nie - odpowiedziała, obrzucając Russella urażonym spojrzeniem.

- Więcej rozmawiali o tym, jak by zareagowali rodzice, czy woleliby usłyszeć, że ich dziecko po prostu umarło na to, na co tam chorowało. Dopiero kiedy przeczytałam ten list, wszystko nabrało sensu.

- Jak? Gdzie? - McKinley spytał z podnieceniem.

- Jak mówiłam, wykonywałam tę pracę od wielu lat. Byłam w dobrych stosunkach z ludźmi ze wszystkich zakładów. Wiedziałam, że muszę zobaczyć ten list na własne oczy, i czekałam na okazję. Kilka dni później pewien dyrektor został wcześniej wywołany z gabinetu, a ja udawałam, że muszę pracować do późna. Znalazłam list w jego gabinecie.

- Szkoda, że go pani nie zatrzymała - powiedział McKinley, bardziej sam do siebie niż do niej.

- Zatrzymałam - odpowiedziała jakby nigdy nic.

- Zatrzymała pani! - McKinley prawie wykrzyknął, odpychając się od ściany, o którą

się opierał. - Gdzie on jest? Czy możemy go zobaczyć?

- Nie teraz. Nie mam go tutaj.

- Ile pani potrzebuje? - spytał Russell.

- Jeszcze pięćset reichsmarek? - Znak zapytania był nieskończenie cichy.

- To... - zaczął McKinley.

- Dobry zmysł do interesów - Russell dokończył za niego. - Ona potrzebuje pieniędzy - dodał po angielsku.

- Tak, oczywiście - zgodził się McKinley. - Ja tylko nie wiem, jak... Ale je zdobędę. Czy mogę wrócić tu jutro? - zapytał kobietę.

- Nie - odparła. - To dla mnie zbyt ryzykowne. Proszę wysłać pieniądze na poste restante na Heiligegeiststrasse. Kiedy je dostanę, wyślę panu list.

- Będą tam jutro przed wieczorem - powiedział McKinley, zapisując adres przy Neuenburgerstrasse.

Russell podniósł się.

- Czy miała pani jakieś trudności z wydostaniem Marietty? - zapytał Theresę Jürissen.

- Tak - odpowiedziała. - Nie pozwoliliby mi jej zabrać. Musiałam wykraść własne dziecko. To dlatego tutaj jesteśmy.

Obaj spojrzeli na Mariettę. Jej rysunek przypominał las po przejściu huraganu.

- Życzę pani szczęścia - powiedział Russell.

Wyszli z McKinleyem na ulicę w chwili, gdy z hukiem przejeżdżał pociąg z węglem, i zaczęli wracać tą samą drogą. Padało, ulice opustoszały jeszcze bardziej, z rzadka z lokalnego baru dochodziło blade światło i odgłosy. Nie rozmawiali, póki nie dotarli na przystanek tramwajowy przy Berlinerstrasse.

- Jeżeli wyślesz tę historię w świat, to będzie twój ostatni materiał z Niemiec - powiedział Russell.

McKinley uśmiechnął się szeroko.

- Ale przynajmniej warto, nie sądzisz?

Russell dostrzegł podekscytowanie w oczach młodego Amerykanina, niczym echo jego własnego, z młodszych lat. Poczł ukłucie zazdrości.

- Tak - przytaknął.

Następnego ranka pierwszy przystanek na trasie Russella dzieliło od obskurnej Schönlanckerstrasse dziesięć kilometrów i kilka światów.

Willa, znajdująca się tuż za rogiem Archiwum Państwowego, na zamożnym przedmieściu Dahlem, była otoczona drzewami pełnymi śpiewających ptaków, z których większość najpewniej wyśpiewywała swoją wdzięczność dla Führera. Na Schönlanckerstrasse zapewne nadal padało w ciemnościach, lecz tutaj świeciło słońce wprost z czystego błękitnego nieba. Kawa nie była już taka smaczna, odkąd „pozwolono odejść” żydowskiej kucharce, ale przecież każdy musi ponosić jakieś ofiary.

Jego uczennica Greta była szesnastolatką, której nie interesowała nauka angielskiego. Ćwiczyła jednak na Russellu swoje techniki flirtowania. Dzisiaj był to nowy wyraz twarzy z szeroko otwartymi oczami, który widocznie uważała za pociągający. Musiał przyznać, że była zjawiskowo piękna. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, uderzyło go, jaka jest cudowna. Jednak po osiemnastu miesiącach znajomości uważał ją za zaledwie nieznacznie bardziej atrakcyjną niż Hermann Goering. Jej znajomość angielskiego prawie nie poprawiła się przez ten czas, ale nikt nie wydawał się tym przejmować. Jej ojciec, lekarz w podobnym wieku co Wiesner, nie został dotknięty przekleństwem nieczystej krwi.

Godzinę później, zasobniejszy w reichsmarki, lecz uboższy na duchu, Russell wrócił słonecznymi alejami do stacji metra Dahlem Dorf. Przesiadając się przy Wittenbergplatz, kupił gazetę w kiosku na peronie i przejrzał ją w drodze na Alexanderplatz. Najnowszym celem zostali Szwajcarzy. Jako neutralni, stwierdzał autor wstępniaka, powinni powstrzymać się od wyrażania opinii na temat innych krajów oraz odmówić przyjmowania uchodźców. Z drugiej strony, Niemcy powinny odzyskać z powrotem swoje kolonie. Podano trzy powody. Pierwszym było „niezbywalne prawo”, cokolwiek to jest. Drugi to „potrzeba ekonomiczna”, która przypuszczalnie podchodziła pod niezbywalne prawo do łupienia. Trzecim, z którego Russell uśmieł się w głos, było „prawo Niemiec do udziału w edukowaniu zacofanych narodów”. „Dzięki swoim rasowym zasadom” - oznajmiał autor - „Trzecia Rzesza stoi w pierwszym szeregu światowych potęg w tej dziedzinie”. Russell pomyślał o tym przez chwilę. Uznał, że może to oznaczać jedynie, iż Niemcy mają pełne kwalifikacje, by oświecić „zacofane” narody, jak wartościowe jest ich zacofanie.

Na Alexanderplatz kupił dla dziewczynki *Daily Mail* z zeszłej soboty i odkrył, że deszcz prawdopodobnie przeszkodzi w weekendowym meczu pucharowym w Anglii. Kilka kolumn poświęcono jednak dymisji Schachta, i Russell znalazł jeszcze trzy inne artykuły o tematyce niemieckiej. To tutaj, jak powiedział McKinley, pisała się historia.

Jednak Russella najbardziej zainteresowało zdjęcie na ostatniej stronie,

przedstawiające „Coronation”, parowóz o opływowych kształtach, zawieszony między okrętem a nabrzeżem w drodze do Ameryki na obchody czegoś tam. Postanowił zatrzymać je dla Paula.

Myślał o synu, gdy tramwaj sunął na północny zachód w kierunku Friedrichshain. W rozmowie telefonicznej dwa dni wcześniej Paul użył wszystkich właściwych słów, opisując swój pasjonujący weekend z *Jungvolk*, lecz ton jego głosu mówił co innego. Ale czy rzeczywiście? Być może to tylko owa młodzieńcza niechęć do wylewnych rozmów, której psychiatrzy poświęcają obecnie tak wiele uwagi. Powinien porządnie porozmawiać z chłopcem, przez co wezwanie w ten weekend do Krakowa było tym bardziej irytujące. I na domiar złego Hertha grała u siebie przez dwie niedziele z rzędu. Paul zawsze mógł pójść z Thomasem, ale... „Mecz wyjazdowy”, zaświtało mu nagle. W kolejną niedzielę mógł zabrać Paula na mecz wyjazdowy. Prawdziwa wycieczka. Nie widział powodu, żeby Ilse miały się sprzeciwiać.

Zaś Kraków będzie interesujący, nawet jeśli nie zyska na tym nic więcej. Już zarezerwował sobie bilety na sypialny oraz pokój w hotelu, i nie mógł się doczekać, żeby po raz pierwszy zobaczyć to miasto. Obaj jego agenci zachwycili się pomysłem na „Sąsiadów Niemiec”, więc powinny być z tego także jakieś pieniądze. Dojechał na przystanek Wiesnerów, przeszedł krótki odcinek do ich kamienicy i wspiął się po schodach. Doktor Wiesner, którego nie widział od kilku tygodni, otworzył mu drzwi. Wyglądał na jeszcze bardziej zgnębionego, lecz zdobył się na powitalny uśmiech.

- Chciałem podziękować za to, że porozmawiał pan z Albertem - powiedział bez owijania w bawełnę. - I chciałbym prosić o jeszcze jedną przysługę. Czuję się niezręcznie, robiąc to, i proszę odmówić, jeżeli to zbyt trudne... Ale, cóż, robię co muszę. Rozumie pan?

Russell skinął głową. „Co teraz?”, zastanawiał się.

Wiesner zawahał się. Russell zauważył, że wydaje się być coraz mniej pewny siebie. Któż mógłby go winić?

- Czy istnieje jakiś sposób, żeby mógł pan dowiedzieć się o zasady dotyczące wywozu rzeczy z kraju? Dla Żydów, znaczy się. Bez przerwy je zmieniają, a gdybym spytał, jakie są, to po prostu założyliby, że staram się je obejść.

- Oczywiście - odparł Russell. - Dam panu znać w piątek. Wiesner pokiwał głową.

- Pewien znajomy zapytał o miniaturę, która znajdowała się w posiadaniu jego rodziny od stu lat, a oni zwyczajnie ją skonfiskowali - mówił dalej, tak jakby Russella nadal trzeba było przekonywać.

- Dam panu znać - Russell powtórzył.

- Tak, dziękuję. Mówiono mi, że istnieje spora szansa na to, żeby dziewczętom pozwolono wyjechać, i chciałbym... cóż, zaopatrzyć je na pobyt w Anglii. Rozumie pan?

Russell przytaknął.

- Znakomicie. Dziękuję raz jeszcze. Nie powinienem zajmować więcej czasu przeznaczonego na naukę. - Podeszedł do drzwi sąsiedniego pokoju i otworzył je. - Dziewczynki, chodźcie. Powiedział to burkliwie, lecz uśmiech, jakim je obdarował, gdy wmaszerowały do pokoju, promieniował miłością. Russell przypomniał sobie twarze na peronie gdańskiego dworca i odgłos, jaki wydała z siebie kobieta.

Obie dziewczynki rzuciły się na *Daily Mail*.

- Możecie go zatrzymać, za wyjątkiem ostatniej strony - powiedział im i wyjaśnił, że chce zatrzymać zdjęcie dla syna.

- Proszę nam opowiedzieć o swoim synu - poprosiła Marthe.

- Oczywiście, po angielsku - dodała.

Przez następne dwadzieścia minut mówił i odpowiadał na pytania o Paula. Dziewczęta były pełne sympatii dla filatelisty, wyrozumiałe wobec kibica piłki nożnej i miłośnika nowoczesnych pojazdów oraz wzgardziły kolekcjonerem żołnierzyków. Szczególne wrażenie zrobiła na nich opowieść, jak w wieku około pięciu lat omal nie umarł na koklusz. Relacjonując tę historię, Russell prawie odczuwał niepokój, jak gdyby nie był pewien, jak się skończy. W drugiej połowie lekcji odwrócił role, zachęcając je do opowiedzenia własnych historii. Pożałował tego niemal natychmiast, sądząc, że w ich sytuacji zapewne okaże się to dla nich przykre. Jednak one nie postrzegały tego w taki sposób. Nie chodziło o to, że uważały aktualne kłopoty rodziny za przejściowe; bardziej była to kwestia ich świadomości, że nawet przy tych wszystkich problemach otrzymały w życiu więcej miłości niż większość innych ludzi. Była to jedna z najmilszych godzin, jakie spędził, i idąc z powrotem na przystanek tramwajowy przy Neue Königstrasse zanotował sobie w pamięci, aby podziękować Dougowi Conwayowi za skontaktowanie go z nimi, gdy tylko spotka go następnym razem. Okazja wkrótce sama się nadarzyła. Wróciwszy do mieszkania znalazł wiadomość od Conwaya z prośbą o telefon. Zadzwoił. Conway wydawał się jakiś zmieniony.

- Jeden z naszych ludzi chciałby zamienić z tobą słowo - oznajmił.

- O czym? - Russell spytał ostrożnie.

- Nie wiem. Jestem tylko posłańcem.

- Ach.

- Czy mógłbyś przyjść, powiedzmy, jutro rano około jedenastej?

- Myślę, że tak.

- Ja też chciałbym się z tobą zobaczyć. A przy okazji, wyjeżdżamy Wysyłają mnie do Waszyngtonu.

- Kiedy? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Mówię ci teraz. Sam wiem dopiero od paru dni. A jedziemy za parę tygodni.

- Cóż, przykro mi to słyszeć. Z czysto samolubnego punktu widzenia, oczywiście. Czy to awans?

- Tak jakby. Troszkę w górę, troszkę w bok. Tak czy owak, trzeciego wydajemy obiad dla kilku osób, to następny piątek, i miałem nadzieję, że ty i twoja przyjaciółka przyjdziecie.

- Och, Effi będzie... - „W pracy”, miał zamiar powiedzieć. Ale przecież nie będzie: „Barbarossa” się skończy, a „Matkę” zaczynają kręcić dopiero trzynastego. - Zapytam ją - odparł. - Chociaż powinno pasować.

Café Kranzler tego ranka pękała w szwach od oficerów SS; ich buciory lśniły, wypolerowane tak idealnie, że każdy ruch nogą rzucał refleksy, odbijając światło z żyrandoli kołyszących się wzdłuż ścian. Russell pospiesznie wypił kawę, i mając jeszcze pół godziny, spokojnym krokiem ruszył wzdłuż Unter den Linden w kierunku zamku. Dawna siedziba cesarza wciąż stała pusta, lecz gazety tego ranka rozpisywały się o zbliżającym się przyjęciu z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. Miało odbyć się w Holandii.

- Wracaj, wszystko wybaczone - Russell mruknął do siebie. Po spacerze po Unter den Linden ambasada brytyjska wydała mu się oazą ospałości. Personel snuł się tam i z powrotem, jak gdyby obawiając się, że ktoś mógłby ich przyłapać na pośpiechu. Russell zastanawiał się, czy to nowy brytyjski plan? Spowolnić marsz ku wojnie poprzez przytłumienie aktywności dyplomatów. W końcu pojawił się Doug Conway.

- Jeden z naszych ludzi z wywiadu chce z tobą pogadać - powiedział cicho. - Nic oficjalnego, tylko pogawędka o tym i owym. - Russell chrząknięciem dał wyraz niedowierzaniu, i Conway miał na tyle przyzwoitości, by się zmieszać. - To nie mój pomysł, jestem tylko posłańcem.

- Mówiłeś to wczoraj.

- Cóż, no tak. Słuchaj, zaprowadzę cię. To całkiem miły gość. Nazywa się TrelawneySmythe.

„Akurat”, pomyślał Russell. Miał dosyć klarowne wyobrażenie o tym, co nadciąga.

Biuro było małym pokoikiem w głębi budynku, ale z wynagradzającym ciasnotę widokiem na Bramę Brandenburską. Conway przedstawił Russella i wycofał się. TrelawneySmythe, wysoki ciemnowłosa mężczyzna po trzydziestce o zatroskanej twarzy zaprosił go, by usiadł.

- Miło, że pan przyszedł - zaczął, grzebiąc wśród papierów na zagraconym stole. Russell zastanawiał się, czy Sturmbannführer Kleist udziela korepetycji z utrzymywania porządku na biurku. - Ach - TrelawneySmythe powiedział triumfująco, wydobywając z chaosu egzemplarz *Prawdy*. Spinaczem przypięta była doń kartka z odręcznym pismem.

- Moje najnowsze arcydzieło - mruknął Russell. Jak to się dzieje, zastanawiał się, że brytyjska biurokracja zawsze budzi w nim uczniaka? Po przeczytaniu jednej z powieści z serii o Świętym Paul zapytał go, dlaczego Święty tak lubił dźgać inspektora Teala w brzuch. Russell nie był w stanie udzielić spójnej odpowiedzi, choć w głębi duszy doskonale wiedział, dlaczego. Już miał ochotę dźgnąć TrelawneySmythe'a.

Tymczasem tamten odpiął ręcznie zapisaną kartkę od gazety i starannie odłożył spinacz na właściwe miejsce.

- To jest tłumaczenie pańskiego artykułu - oznajmił.

- Czy mogę je zobaczyć? - spytał Russell, wyciągając rękę. Nieco zbity z tropu TrelawneySmythe podał mu kartkę.

Russell rzucił na nią okiem. Wydrukowali jego tekst mniej lub bardziej dokładnie. Oddał tłumaczenie.

- Panie Russell, mam zamiar być z panem zupełnie szczery - powiedział TrelawneySmythe, nieświadomie cytując Sturmbannführera Kleista.

„Nie wysilaj się”, pomyślał Russell.

- Należał pan niegdyś do Brytyjskiej Partii Komunistycznej, zgadza się?

- Tak. - Zastanawiał się, czy TrelawneySmythe i Kleist kiedykolwiek się spotkali.

- Zatem wie pan, jak działają komuniści?

- Uważa pan, że wszyscy oni działają w ten sam sposób? - Russell chciał już przejść do rzeczy.

- Owszem, myślę, że Sowieci mają pewne wypraktykowane metody.

- Zapewne ma pan rację.

- Zatem cóż... Nie sądzimy, że na tym się skończy. Uważamy, że będą pana prosić o coraz więcej.

- Coraz więcej artykułów? I co za „my”?

TrelawneySmythe uśmiechnął się.

- Niech pan nie zgrywa niewiniątka. Wie pan, kto to „my”. I wie pan, że nie mówię o pańskich artykułach, chociaż są takie zabawne. Uważamy, że poproszą pana o inne informacje. Typowa metoda to podnoszenie stawki, aż nie będzie pan w stanie dłużej odmawiać. Ponieważ gdyby pan to zrobił, sprzedaliby pana Niemcom.

- Jak pan powiedział, wiem, jak działają. I to moje zmartwienie, czyż nie?

- Nie do końca. Czy widzi pan to? - spytał TrelawneySmythe, wskazując na stopkę artykułu, która ujawniała nazwisko, narodowość oraz kompetencje autora.

- Tak.

- „Anglik obecnie mieszkający w Niemczech” - TrelawneySmythe przeczytał dla pewności.

- To ja.

TrelawneySmythe postukał w gazetę palcem wskazującym.

- Jest pan Anglikiem i pańskie zachowanie rzuca światło na nas wszystkich. Zwłaszcza w sytuacji takiej jak obecna.

- Sytuacji typu „na miłość boską, nie kołysać łódką”?

- Coś w tym rodzaju. Relacje między nami a Rosjanami są w tej chwili, powiedzmy, napięte. Oni nie ufają nam, a my nie ufamy im. Wszyscy wypatrują sygnałów wskazujących na zamiary. Najdrobniejsza rzecz, jak *Prawda* zapraszająca pana do napisania tych artykułów, może coś oznaczać. Albo nic. Mogą planować posłużenie się panem jako kanałem łączącym ich z nami albo z Niemcami, żeby przekazywać informacje prawdziwe albo nieprawdziwe. Nie wiemy. Zakładam, że pan też nie wie.

- Ja tylko wykonuję swoją pracę.

- W porządku. Ale co by pan powiedział na dostarczanie nam okazowych egzemplarzy pańskich artykułów? Tak tylko, żebyśmy wiedzieli, na co się zanoszą.

Russell zaśmiał się.

- Wam też? - Opowiedział o swojej umowie z SD. - Dlaczego nie? - powiedział. - Mogę od razu napisać przez kalkę kilka egzemplarzy dla Mussoliniego i Daladiera, skoro i tak już to robię. - Oparł dłonie na oparciach krzesła, szykując się, żeby wstać. - Czy coś jeszcze?

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby poinformował nas pan, jeśli to wyjdzie poza zwykłe komercyjne zamówienie. I, ma się rozumieć, bylibyśmy zainteresowani wszystkim, czego się pan dowie, a co mogłoby być użyteczne dla pańskiego kraju.

- Jednej rzeczy już się dowiedziałem. Rosjanie myślą, że Brytyjczycy i Francuzi próbują ich odsunąć. Niech pan spojrzy, jak dużo czasu Hitler poświęcił ambasadorowi

podczas ceremonii otwarcia w zeszłym tygodniu. Niech pan spojrzy na rozmowy o nowych umowach handlowych. Jeżeli nie zaczniecie traktować Rosjan jak potencjalnych sojuszników, dobiją targu z Hitlerem.

- Myślę, że Londyn jest tego świadom - skomentował chłodno TrelawneySmythe.

- Nigdy bym nie zgadł. Ale co ja tam wiem? - Spojrzał na zegarek. - Jestem umówiony na lunch. - Wyciągnął dłoń ponad biurkiem. - Będę mieć na uwadze to, co pan powiedział.

- Miłego lunchu.

Wychodząc Russell natknął się na Conwaya.

- Wciąż ze mną rozmawiasz? - spytał dyplomata.

- Z tobą tak; z Imperium nie.

- On tylko wykonuje swoją pracę.

- Wiem. Słuchaj, dzięki za zaproszenie na obiad. Dam ci znać najszybciej jak będę mógł. - Zatrzymał się przy drzwiach. - I przykro mi, że wyjeżdżasz - dodał.

* * *

Miał przed sobą krótki pięciominutowy marsz do Russischer Hof przy Georgenstrasse, gdzie on i Thomas zazwyczaj spotykali się na obiad. Idąc szybkim krokiem na wschód na Unter den Linden Russell odtwarzał w pamięci rozmowę z TrelawneySmythe'em. Ku jego zaskoczeniu była pokrzepiająco pozbawiona gróźb. Domyślał się, że gdyby wywiad brytyjski tego chciał, mógłby mu znacznie uprzykrzyć życie. Mogli zabrać mu paszport albo po prostu skomplikować jego przedłużenie. Zapewne mogli utrudnić sprzedawanie artykułów w Anglii, na jego głównym rynku zbytu. Jedno słówko do paru łaknących szlacheckiego tytułu redaktorów naczelnych - właściwie wystarczyłoby samo odwołanie się do ich patriotyzmu - i jego londyński agent zbierałby odmowy w jego imieniu. Po stronie plusów znalazł się fakt, że wyglądało na to, iż każda służba wywiadowcza w Europie ma ochotę go zatrudnić. Dzień był nieprzyjemny; smagał wiatr ze wschodu, więc Russell postawił kołnierz płaszcza, żeby się przed nim bronić. Tramwaj wjechał pod wiadukt i dzwonił jak oszalały, skręcając z Friedrichstrasse w Georgenstrasse. Russischer Hof był dziewiętnastowiecznym przybytkiem, ulubionym swego czasu przez Bismarcka, i Russell niekiedy zastanawiał się, czy wciąż mają tam takie samo jedzenie. Wyszukany wystrój tworzył jednak przyjemną atmosferę, a

zwyczajowo niski odsetek umundurowanej klienteli stanowił zdecydowany bonus.

Były szwagier Russella siedział przy stoliku koło okna, z kieliszkiem rieslinga w dłoni, z ponurą miną wyglądając na ulicę.

Ciemnoszary garnitur potęgował wrażenie powagi, ale taki właśnie był Thomas.

Kiedy spotkali się po raz pierwszy w połowie lat dwudziestych, Russell uznał go za typowy przykład pozbawionego humoru Niemca. Kiedy już jednak poznał go bliżej, uzmysłowił sobie, że ten opis kompletnie nie pasuje do Thomasa.

Brat Ilse posiadał wytrawne, dość anarchizujące poczucie humoru, całkowicie wolne od okrucieństwa, jakie cechowało popularny niemiecki dowcip. Jeżeli już, to był raczej typowym przykładem porządnego Niemca - najbardziej zagrożonego gatunku, jaki można sobie wyobrazić.

Duszone mięso z sosem, czerwoną kapustą i tłuczonymi ziemniakami wydawało się idealną odpowiedzią na pogodę, która teraz dmuchała im w okno wirem śniegowych płatków.

- Jak idą interesy? - spytał Russell, gdy Thomas nalał mu kieliszek wina.

- Dobrze. Mamy sporo roboty, a i eksport zapowiada się nieźle.

Nowe maszyny drukarskie ogromnie wszystko zmieniły. Wiesz, że w kwietniu tego roku są Targi Światowe w Nowym Jorku? Przez chwilę zanosilo się na to, że moglibyśmy tam mieć stoisko.

- Co się stało?

- Wygląda na to, że organizatorzy postanowili utworzyć pawilon dla uczczenia sztuki przednazistowskich Niemiec. I sztuki emigracyjnej. Jeżeli tak zrobią, rząd zbojkotuje targi.

- Co za szkoda.

Thomas uśmiechnął się chłodno.

- Biorąc pod uwagę sytuację, nie ma co się tak przejmować. No i zawsze istnieje możliwość, że Ministerstwo odmówiłoby nam wyjazdu. Z powodu naszej polityki zatrudnienia.

Tylko jedna firma w Berlinie zatrudniała więcej Żydów niż Zakłady Drukarskie Schade.

- Domyślam się, że nie masz miejsca dla jeszcze jednego? - spytał Russell, myśląc o Albercie Wiesnerze.

- Nie za bardzo. Kogo masz na myśli?

Russell opowiedział o sytuacji Wiesnerów.

Thomas miał zbolalą minę.

- Mam już około dwustu osób na liście oczekujących - powiedział. - Większość z nich

to krewni ludzi, którzy już tam pracują. Russell rozważał naciskanie na Thomasa, lecz postanowił tego nie robić. W uszach zabrzmiały mu słowa Alberta: „Sukces jednej rodziny to porażka innej”.

- Rozumiem - odpowiedział, i właśnie miał zmienić temat, gdy pojawił się kelner z ich potrawami.

Obaj mężczyźni dostrzegli, że porcje wydają się mniejsze niż zwykle.

- Znak czasów - zauważył Thomas.

- Jakież szanse, że będzie lepiej? - spytał Russell. Thomas nie posiadał więcej informacji niż inni berlińscy przyjaciele Russella, a nawet miał ich znacznie mniej niż wielu z nich, lecz zawsze trafnie wyczuwał, skąd wieje wiatr.

- Nie wiem - padła odpowiedź. - Ribbentrop znowu jedzie do Warszawy. Zdaje się, że próbują. - Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że więcej dowiemy się w poniedziałek.

To miał być dzień dorocznej przemowy Hitlera w Reichstagu dla uczczenia obchodów własnego wyniesienia na fotel kanclerza.

- Zapomniałbym - przyznał Russell.

- Zapewne jako jedyny człowiek w Europie. Myślę, że cały kontynent tego oczekuje. Czy w dalszym ciągu będzie bardziej naciskał, coraz więcej żądał? Czy może popuści? To byłoby inteligentne posunięcie. Zachowywać się, jakby był usatysfakcjonowany, nawet jeżeli tylko zatrzymał się dla nabrania tchu. Ale na dłuższą metę trudno sobie wyobrazić, żeby się pohamował. On jest jak wirująca moneta. Kiedy przestanie się kręcić, upadnie.

- Ładne - mruknął Russell.

Przeszli do wypytywania się nawzajem o swoje lepsze połowy, były i obecne.

- Mnie pytasz? - odparł Thomas, kiedy Russell zapytał o Ilse. - Nie widziałem jej od tygodni. Ostatnim razem, cóż... Nie dokończył.

- Chyba się nie pokłóciliście?

- Och nie, nic z tych rzeczy - Thomas powiedział to tak, jakby kłótnie stanowiły coś, co przytrafia się innym ludziom. W jego przypadku zazwyczaj rzeczywiście tak było. - Ja tylko uważam, że Matthias jest taki... Och, sam nie wiem... zadowolony z siebie? Czy to właściwe określenie na ludzi, którzy mówią, że obawiają się najgorszego, ale żyją tak, jakby czekało ich wyłącznie szczęśliwe zakończenie?

- Może być - zgodził się Russell.

Dotarło do niego, że nie wspomniał Thomasowi o swojej podróży do Krakowa ani nie poprosił go, żeby zabrał Paula na mecz w niedzielę, więc zrobił to teraz.

Thomas z radością zgodził się wziąć Paula, ale zdumiało go wybranie przez Russella

Krakowa do cyklu „Sąsiedzi Niemiec”.

- Czy jednodniowa wycieczka do Poznania nie byłaby wystarczająca? - dopytywał się.

Russell poczuł nagłą chęć opowiedzenia Thomasowi o Szczepkinie - gdyby coś poszło źle, byłby ktoś, kto mógłby cokolwiek wyjaśnić Paulowi i Effi - ale powstrzymał się. Naraziłby Thomasa, i po co? Cóż mogłoby pójść nie tak?

Stojąc w piątek w kolejce do kiosku po swoją poranną gazetę, Russell dojrzał nagłówek: „Barcelona padła”. Odruchowo się odwrócił. To nie była wiadomość, którą miał ochotę czytać.

Hiszpańska wojna domowa dobiegła końca. Dobrzy przegrali. Co tu jeszcze zostało do powiedzenia?

Ponieważ tak dobrze sprawdziło się to podczas jego ostatniej wizyty, kupił kolejny stary numer *Daily Mail* w kiosku przy Alexanderplatz.

W tym znajdował się artykuł o angielskich dziewczętach zbierających znaczki, i Russell wiedział, że to zaciekawi Ruth i Marthe, oraz obszerny tekst na temat niedawnej katastrofy należącej do Imperium latającej łodzi „Cavalier”, uzupełniony o mapę i schemat, co musiało spodobać się Paulowi. Najlepsze zostawił jednak na sam koniec lekcji z dziewczynkami - relację z konkursu językowego w BBC. Próba wypowiedzenia „should such a shapeless sash such shabby stitches show” w mig przyprawiła Ruth o atak śmiechu, zaś Marthe wcale nie poradziła sobie lepiej z „the flesh of freshly fried flying fish”.

Doktora nie było w domu, więc Russell wręczył Frau Wiesner egzemplarz najnowszych przepisów dotyczących żydowskiej emigracji. Wziął je poprzedniego dnia z brytyjskiego biura kontroli paszportowej.

- Ale oni i tak co rusz ignorują swoje własne zasady - powiedział mu z goryczą młody urzędnik. - Można liczyć na to, że uda się wywieźć ubranie na zmianę, lecz wszystko poza tym równie dobrze może zostać skonfiskowane. Jeżeli pańscy przyjaciele mają inny sposób wydostania swoich rzeczy, powinni z niego skorzystać. Russell przekazał radę i zobaczył, jaki to cios dla kobiety.

- Jeżeli potrzebują państwo pomocy, proszę się do mnie zwrócić - oznajmił, zaskakując samego siebie. - Nie sądzę, żebym miał jakieś problemy z wysłaniem rzeczy do

rodziny w Anglii. Jej oczy rozjaśniły się.

- Dziękuję - odpowiedziała i wyciągnęła się w górę, żeby cmoknąć go w policzek.

Wrócił do domu, chciał się spakować. Po drodze zatrzymał się na późny lunch przy Alexanderplatz. Przynajmniej udało mu się sprawić komuś satysfakcję. Z Effi nie widział się od niedzieli, od wymiany wzajemnych oskarżeń, które sam tak nierozsądnie sprowokował. Nie posprzeczali się - odbyli nawet dwie dosyć przyjazne rozmowy przez telefon - lecz Russell wiedział, że jest na niego zła, zaś to, że nie mógł pojawić się na ostatnim przedstawieniu „Barbarossy” tylko pogorszyło sprawę.

Paul również nie wydawał się zbytnio uszczęśliwiony, pomimo obiecanej wyprawy do Drezna na mecz pucharowy w przyszłą niedzielę. Coś się działo, lecz Paul nie był gotów, żeby o tym rozmawiać - przynajmniej nie przez telefon.

Frau Heidegger ucieszyła się na jego widok i żałowała, że rychły odjazd pociągu nie pozwolił mu napić się z nią kawy. Na górze, w swoim mieszkaniu, Russell wrzucił do walizki trochę ubrań na zmianę, sprawdził, czy ma notatki do kolejnego artykułu, i ruszył z powrotem na dół. Na półpiętrze wpadł na uśmiechniętego McKinleya.

- Wszystko w porządku? - Russell spytał go w biegu.

- Ehe. Czekam tylko na list od naszej przyjaciółki i... bingo! Russell zaśmiał się i z tupotem zbiegł po schodach.

Dotarł na Schlesinger Bahnhof z dwudziestominutowym zapasem czasu. Pociąg już czekał pod osłoną baldachimu z kutego żelaza, więc Russell przeszedł wzdłuż peronu w poszukiwaniu swojego wagonu i miejsca. Gdy wychylił się przez okno, by popatrzeć na pociąg wjeżdżający od wschodu, gazeciarz podetknął mu pod nos popołudniowe wydanie. Słowo „Barcelona” znów zajmowało wiele miejsca, ale tym razem podał chłopakowi kilka fenigów. Gdy jego pociąg nabierał prędkości, mijając przemysłowe przedmieścia Berlina, Russell przeczytał artykuł od początku do końca wraz ze wszystkimi jego smutnymi i przewidywalnymi szczegółami. Trzy lata poświęceń - wszystko na marne. Trzy lata zdobywania miast i tracenia ich. Russell zanotował w pamięci nazwy, lecz nie chciał nic więcej. To było zbyt bolesne. Tysiące młodych mężczyzn i kobiet wyruszyło walczyć z faszyzmem w Hiszpanii, tak jak dwadzieścia lata wcześniej tysiące ruszyły, by walczyć za komunizm w Rosji.

Według Marksa, historia powtarza się najpierw jako tragedia, a później jako farsa. Jednak nikt się nie śmiał. Być może oprócz Stalina.

Russell wiedział, że powinien się cieszyć z tego, iż w Hiszpanii wkrótce zapanuje pokój, ale nawet na to nie potrafił się zdobyć. Spoglądał przez okno na uprzątnięte pola doliny

Szprewy, skąpane w pomarańczowym blasku zachodzącego słońca, i miał poczucie, że jest okłamywany.

Moment później, jakby na potwierdzenie, pociąg z łoskotem wtoczył się na dworzec małego miasteczka. W tym samym blasku czerwieniła się głębokim krwawym odcieniem powiewająca na wietrze swastyka, a na peronie obok kręcił się tłum małych chłopców w mundurkach.

Jedzenie w wagonie restauracyjnym okazało się zaskakująco dobre. Menu miało wyraźnie polski charakter, chociaż na ile Russell był w stanie stwierdzić, w pociągu znajdowało się zaledwie kilkoro Polaków. Większość jego towarzyszy podróży stanowili Niemcy - głównie mężczyźni podróżujący w interesach albo żołnierze na przepustce. Były tylko nieliczne pary, chociaż ta przy sąsiednim stoliku tryskała seksualną energią, jaka wystarczyłaby dla dziesięciu. Ledwie udawało im się trzymać ręce przy sobie, gdy jedli, a młodzieniec nieustannie zerkał na zegarek, jak gdyby chciał popędzić pociąg do Breslau, gdzie miały zostać dołączone wagony sypialne.

Para wkrótce zniknęła, zapewne w poszukiwaniu wolnej toalety.

„Romantyzm pociągów”, pomyślał Russell, wpatrując się w swoje odbicie w oknie. Wspominał całonocną podróż do Leningradu z Ilse w 1924 roku, tuż po tym, jak się poznali. W tamtym pociągu ludzie spali w toaletach i wszędzie, gdzie udało im się znaleźć dość miejsca. On i Ilse musieli poczekać.

Piętnaście lat. Związek Radziecki przeszedł od tamtej pory długą drogę, w tę czy w drugą stronę. Niektórzy wracali z odwiedzin w tym kraju wyśpiewując jego pochwały. Wciąż pozostawało wiele do zrobienia, ale to była przyszłość w zarodku, potencjalny raj. Inni powracający ze smutkiem kręcili głowami. Sen wypaczony nie do rozpoznania, mówili. Koszmar.

Russell domyślał się, że bliższe prawdy było to drugie, ale czasami zastanawiał się, czy może to tylko jego wrodzony pesymizm.

Musiałoby być wszystkiego po trochu, lecz nie wiedział, w jakich proporcjach.

A wracając do rzeczy, czego Moskwa od niego chciała? Tego, co powiedzieli, że chcą? Czy czegoś jeszcze? Albo jednego i drugiego? Trelawney Smythe był przekonany, że poproszą o więcej, a i Kleist to insynuował. Russell nawet nie wiedział, z kim ma do

czynienia. Czy Szczepkin reprezentował NKWD, czy może GRU? Albo jakiś inny akronim, o którym Russell nawet nie słyszał? Francuski korespondent w Berlinie mówił mu, że NKWD była teraz rozdarta między frakcją gruzińską a resztą, i o ile Russell się orientował, GRU zostało pożarte w rywalizacji wynikłej ze sporu o to, ile soli dodawać do barszczu w stołówce.

No i czemu zakładał, że to znowu będzie Szczepkin? Rewolucja spalała w tych czasach ludzkie paliwo w zawrotnym tempie, zaś Szczepkin - ze swoją oczywistą inteligencją - zdawał się być materiałem bardzo łatwopalnym.

Russell będzie musiał sobie poradzić z każdym, kto się pojawi. Albo z każdą. Ale czego on lub ona będą chcieć? Czego mogliby chcieć?

Informacji o silnych i słabych punktach niemieckiego wojska? O jakichś konkretnych programach zbrojeniowych? Politycznych zamiarach? Planach militarnych? On nie posiadał informacji takiego rodzaju, ani żadnego dostępu do nich. I Bogu dzięki.

Co takiego posiadał, co miało dla nich wartość? Swobodę poruszania się po Niemczech. Swobodę zadawania pytań bez wzbudzania podejrzeń. Teraz jeszcze większą, gdy znalazł się w posiadaniu listu Kleista. Być może jeden z ich agentów zaginął i poproszą Russella, żeby się dowiedział, co się z nim stało. Albo mogą chcieć wykorzystać go jako kuriera, dostarczającego coś do albo od ich agentów. To by tłumaczyło spotkania poza granicami Niemiec.

Mogli też posłużyć się nim niczym linią przesyłową. Rosjanie wiedzieli, że Niemcy go sprawdzą, i zakładali, że zostanie poproszony o raporty ze swoich spotkań. Tak samo Brytyjczycy. Mogli być pewni, że Brytyjczycy go wezwą. Mogli zrobić z niego żywą skrzynkę pocztową, a z Kleista i TrelawneySmythe'a sortowaczy. Możliwe, że cały czas jeszcze nad tym pracują. Dzięki swojej nietypowej sytuacji stał się potencjalnie użyteczny, zaś oni wciąż szukają sposobu na wykorzystanie tego potencjału. To by wyjaśniało artykuły i ustne raporty - coś w rodzaju treningu przygotowującego do naprawdę potajemnej działalności. Nie dało się tego stwierdzić. Russell oparł się wygodniej, przypominając sobie uwagę rzuconą przez oficera Middlesex Regiment, którego poznał w 1918 roku. „Służby wywiadowcze”, powiedział tamten człowiek „mają skłonność do zagłębienia do własnego tyłka i zastanawiania się, dlaczego tam jest ciemno”.

Niedługo po dziesiątej pociąg dojechał do Breslau, celu podróży dla większości pasażerów. Gdy wysypywali się przez kiepsko oświetlone wyjście, wielu z tych, którzy

jechali dalej, wykorzystało okazję, żeby rozprostować nogi na zaśnieżonym peronie. Russell przeszedł na tył pociągu i przyglądał się, jak pracowita mała lokomotywa manewrowa odłącza cztery salonki i zastępuje je trzema wagonami sypialnymi. Było już teraz naprawdę zimno, a pomarańczowa poświata z komory paleniskowej w lokomotywie zdawała się jeszcze to podkreślać.

Wrócił wzdłuż peronu, ciasno obejmując się ramionami.

- Zimno, co nie? - odezwał się młody żołnierz, przytupując i głęboko zaciągając się papierosem. Miał dopiero około osiemnastu lat i wydawało się, że ma na sobie letni mundur.

Gdy Russell przytaknął, rozległ się gwizd wzywający wszystkich do wsiadania.

Przeszedł przez pociąg i zajął to samo miejsce co poprzednio, w niemal pustym wagonie. Przez następny kwadrans obsługa wagonów sypialnych będzie się uwijać jak w ukropie, a on i tak nie miał ochoty spać. Kiedy pociąg wyjechał z dworca, górne światła przygasły, pozwalając mu wyglądać przez okno na płaskie łąki ciągnące się na północ ku odległej linii żółtych świateł. To pewnie Odra.

Licząc na jakąś rozmowę ponownie odwiedził wagon restauracyjny, lecz jedynymi klientami była para Niemców w średnim wieku, zajęta zażartą sprzeczką. Barman sprzedał mu goldwassera, ale aż nadto jasno dał do zrozumienia, że dosyć się dzisiaj nagadał. Około wpół do dwunastej Russell niechętnie powlókł się z powrotem przez pociąg do wagonów sypialnych. Konduktor wskazał mu jego poślanie i wspaniałomyślnie zaznaczył, że miejsce nad pozostało wolne. Russell mógł wybrać, co woli.

Rzucił torbę na wyższe poślanie, umył się i na wpół rozebrany ulokował na niższym. Uznał, że wykąpie się, gdy dotrze do hotelu. Słono kosztował, więc nie powinno być żadnych problemów z gorącą wodą.

Jak zwykle miał kłopot z zaśnięciem. Leżał, odczuwając kołysanie pociągu, nasłuchując stukotu kół na łączeniach szyn i myśląc o Effi. Była młodsza od niego - o osiem lat. Być może oczekiwania ludzi zmieniają się w pewnym wieku, który on już osiągnął, a ona jeszcze nie. Czy to dlatego wciąż mieszkali osobno? Czy dlatego żadne z nich nigdy nie wspomniało o małżeństwie? A może się czegoś obawiał? Uważał, że nie. Jednak jaki sens miało wywracanie ich życia do góry nogami, skoro Führer przymierzał się, żeby zrobić to za nich?

Niedługo po ósmej rano stanął, ziewając, na jednym z zaśnieżonych peronów dworca KrakówPłaszów. Kiedy już udało mu się zasnąć, dwukrotnie budziły go kontrole celne, i nie czułby się wcale gorzej, gdyby nie spał przez całą noc.

Ruszył w kierunku wyjścia i omal nie wywinął orła na lodzie. Dalej na peronie

tyraliera młodych robotników kolejowych posuwała się w jego stronę, oddychając ciężko, gdy odgarniali śnieg i z hałasem rozbijali lód łopatami. Niebo nad nimi wydawało się ciężkie od śniegu, który dopiero miał spaść.

Jego hotel znajdował się po drugiej stronie krakowskiego Starego Miasta, prawie pięć kilometrów stąd. Russell znalazł pod dworcem taksówkę oraz taksówkarza, który chciał poćwiczyć swój angielski. Miał kuzyna w Chicago, jak powiedział, ale miał chęć pojechać do Teksasu i pracować w branży naftowej. To tam była przyszłość.

Gdy jechali na północ przez dzielnicę żydowską, Russell zauważył podobizny braci Marx dekorujące kino przy Starowiślniej. Tytuł filmu był po polsku, lecz angielszczyzna taksówkarza zawiodła. Russell zapytał ponownie w recepcji w Hotelu Francuskim, i otrzymał wyraźną odpowiedź od młodego człowieka w bardzo lśniącym garniturze. Film, który właśnie wszedł na ekrany, nosił tytuł „Kacza zupa”.

Jego pokój znajdował się na trzecim piętrze, a okna wychodziły na Pijarską. Ulicę zapelniali szczerze opatuleni, idący zdecydowanym krokiem przechodnie, przypuszczalnie w drodze do pracy. Naprzeciwko wznosił się kościół; piękno jego rokokowej fasady wciąż dawało się dostrzec pod warstwą lepkiego śniegu. Sam pokój był ogromny, wysoki i dobrze wyposażony. Łóżko ugięło się bez zapadania, a dwuosobowa sofa była wręcz luksusowa. Mały stolik i krzesło z prostym oparciem przy oknie były wprost wymarzone dla podróżującego dziennikarza. Stała tam też przestronna szafa, w której mógł zawiesić ubrania. Wszystkie światła działały, zarówno tutaj jak i w łazience obok, która wydawała się niemal równie duża. Gorąca woda popłynęła do wielkiej wanny wspartej na czterech nogach. Russell wyciągnął się w niej i moczył, póki nie zdał sobie sprawy, że zasypia.

Gdy się ogolił i zmienił ubranie, wyszedł do miasta. Tak jak się spodziewał, padał śnieg; olbrzymie płatki sływały w dół gęstą kurtyną. Kierując się wskazówkami recepcjonisty, Russell zaraz za drzwiami skręcił w prawo, a potem jeszcze raz w prawo naprzeciwko kościoła, w ulicę Św. Jana. Idąc nią na południe i mijając dwa skrzyżowania wyszedł na Rynek Główny, największy plac targowy Europy.

Środek ogromnej przestrzeni zajmowała renesansowa hala, lecz wzrok Russella natychmiast powędrował na lewo, ku najładniejszemu kościołowi, jaki kiedykolwiek widział. Dwie asymetryczne wieże pięły się w niebo przez śniegową zasłonę, jedna zwieńczona szaleństwem iglic, zaś druga, mniej strzelista, małą renesansową kopułą. Obie były usiane oknami niczym średniowieczny drapacz chmur.

Przez kilka minut stał tam, zauroczony, dopóki zziębnięte stopy i głód kawy nie zawiodły go do jednej z licznych kawiarni wokół placu. Po dwóch filiżankach oraz bułce z

grubymi plasterami bekonu poczuł się gotów, by stawić czoło całodziennej pracy. To nic, że kawiarnia była w połowie pusta, przecież wszyscy klienci to „sąsiedzi Niemiec”. Przedstawił się pewnej parze młodych Polaków i od nich rozpoczął. Przez kilka następnych godzin obchodził kafejki i bary na Starym Mieście, zadając pytania.

Większość osób, do których się zwracał, mówiła trochę po angielsku lub niemiecku, i niewiele mu odmówiło. Jego angielskie pochodzenie zwykle pozwalało mu zacząć po jego myśli, ponieważ wielu z jego rozmówców wołało sądzić, że Russell ma osobisty kontakt z Nevillem Chamberlainem. „Czy Anglia będzie walczyła o Polskę?”, pytali wszyscy. A kiedy Russell dawał wyraz wątpliwościom, czy będzie, nie mogli w to uwierzyć. „Ale walczyliście o Belgię!”, odpowiedziało z oburzeniem kilka osób.

Panowała w zasadzie jednomyślność co do sytuacji Polski. Niemcy stanowili zagrożenie, Sowietów stanowili zagrożenie - to było jak wybór między cholerą a dżumą. Co sądzą o niemieckim żądaniu eksterytorialnej drogi przez korytarz? Mogą sobie nagwizdać. Czy będą walczyć o niemiecki Gdańsk? Do ostatniego kamienia. Czy wygrają? Chyba żartuje.

Oczywiście, nie mógł mieć pewności, lecz wszyscy ci nieliczni ludzie, którzy mu odmówili, wyglądali na Żydów. Cień przesłaniał ich oczy, kiedy Russell się przedstawiał, a na twarzach pojawiał się znękaną wyraz, gdy się wycofywali, wymawiając brakiem czasu albo jakąś inną przeszkodą. Tak jakby stanowił przednią straż dla nazistów, a sama jego obecność w Krakowie zwiastowała nieszczęście. Śnieg nie przestawał padać. Na obiad Russell zjadł omleta w jednej z kawiarni na Rynku, a potem włókł się tam i z powrotem głównymi handlowymi ulicami w poszukiwaniu prezentu dla Effi. Nieomalże spodziewał się, że u jego boku nagle pojawi się Szczepkin, ale nie było śladu jego ani nikogo innego. O ile Russell był w stanie to stwierdzić, nikt nie podążał tropem jego stóp odbitych na śniegu.

Po tym, jak poślizgnął się na oblodzonym bruku i omal nie wpadł pod tramwaj, uznał, że należy mu się odpoczynek, i wrócił do hotelu, by się zdrzemnąć. Kiedy się obudził, była już siódma, i znowu poczuł się głodny. Nowy recepcjonista polecił mu restaurację przy ulicy Starowiślnej, która okazała się znajdować nieopodal kina wyświetlającego film braci Marx. Okazja była zbyt dobra, żeby ją przegapić.

Rozprawiwszy się z bajecznym sznycłem po wiedeńsku - przynajmniej Kraków miał coś, za co mógł podziękować habsburskiemu cesarstwu - dołączył do trzęsącej się na mrozie kolejki chętnych na wieczorny seans.

W kinie było gorąco, hałaśliwie i tłoczno. Przypatrując się publiczności przed zgaszeniem świateł, Russell domyślił się, że co najmniej połowa tych osób to Żydzi. Ucieszył

go fakt, że to ciągle może się wydawać normalne, nawet w kraju tak skłonny do antysemityzmu jak Polska. Żałował, że nie ma tu z nim Ruth i Marthe. I Alberta. Nie potrafił sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek widział, jak Albert się śmieje.

Kronika filmowa była po polsku, ale Russell z grubsza się zorientował. Pierwszy materiał traktował o wizycie w Warszawie węgierskiego ministra spraw zagranicznych i bez wątplenia informował, że on oraz pułkownik Beck omawiali sprawy istotne dla obu krajów, nie mówiąc wprost tego, o czym wszyscy wiedzieli - że chodzi o „ich” części Czechosłowacji, kiedy już Niemcy oddadzą jej szkielet. Druga relacja dotyczyła Gdańska i było w niej sporo układania worków z piaskiem wokół gmachu polskiej poczty. Trzecia, bardziej odprężająca, pokazywała mężczyznę, który w Nowym Jorku spacerował po linii między drapaczami chmur.

Film okazał się pod wieloma względami surrealistycznym doświadczeniem.

Jako że został opatrzony polskimi napisami, publiczność nie czuła zbyt dużej potrzeby zachowywania ciszy, i Russell miał pewne trudności z wylapaniem wszystkich dowcipów. A ponieważ napisy widniały na ekranie parę sekund po wypowiedzianych kwestiach, często przylapywał się na tym, że śmieje się przed całą resztą, niczym jakiś rechoczący dziwak.

To wszystko jednak nie miało znaczenia. Uwielbiał braci Marx, odkąd obejrzał „Sucharki w kształcie zwierząt” w ostatnich dniach istnienia Republiki Weimarskiej, zanim żydowski humor dołączył na wygnaniu do żydowskiej muzyki i żydowskiej fizyki. Nim upłynęło pół godziny projekcji „Kaczej zupy”, dosłownie brzuch go bolał ze śmiechu. Treść filmu - nadciągająca całkowicie niedorzeczna wojna między dwoma idyllicznymi kraikami - obfitowała w aktualne aluzje, lecz wszelkie mroczne podteksty całkowicie utonęły w obłądnym zalewie radosnej anarchii. Jeżeli naprawdę jest coś, czym powinniśmy się martwić, to są to okruszki w łóżku, gdy czeka się na kobietę. Jedyna zdroworozsądkowa odpowiedź na rozszalały patriotyzm to: „Weź kartę!”. Gdy publiczność wysypywała się z kina, na twarzach co najmniej połowy ludzi widniały ślady po łzach ze śmiechu.

Przestało śnieżyć. Właściwie to niebo zdawało się rozpogadzać. Idąc z powrotem w kierunku centrum miasta, Russell dostrzegł sylwetki zamku oraz katedry na Wawelu na tle rozgwieżdżonego skrawka nieba. Podążając za torami tramwajowymi przez przejście w średniowiecznych murach w końcu dotarł na Rynek Główny, gdzie kawiarnie i restauracje rozbrzmiewały gwarem rozmów i wszelkimi rodzajami muzyki. Stojąc pośrodku placu, obok Sukiennic słyszał pianistów grających Mendelssohna, Chopina i amerykańskiego bluesa.

Ludzie się bawili. W Berlinie też to robili, ale w powietrzu wyczuwało się coś innego. W Berlinie zawsze panowała czujność: oglądanie się przez ramię, trzymanie języka za

zębami. Być może tutaj też tak było - bądź co bądź, reżim w Warszawie nie był liberalny - lecz on tego nie odczuwał. Jeżeli Polacy mieli świadomość, że stoją u progu najgroźniejszych lat w ich życiu, nie dawali tego po sobie poznać.

Przyszła mu ochota napić się przed snem, ale postanowił nie utrudniać sprawy Szczepkinowi bardziej niż to konieczne. Miał spędzić w hotelu tylko jedną noc.

W hotelowym lobby nie było nawet śladu - ani Szczepkina, ani kogokolwiek innego, wyglądającego podejrzanie czy nie. Nie było żadnej wiadomości w recepcji, gdy Russell odbierał klucz. Kiedy już wjechał na górę w pięknej klatce ze szkła i kutego żelaza, na korytarzu swojego piętra zastał ciszę, a drzwi pokoju zamknięte. Pokój był pusty.

Śmiejąc się sam z siebie, sprawdził szafę. Żadnego Rosjanina. Żadnego Harpo Marxa.

Dochodziła północ. Russell wyciągnął się na sofie z detektywistyczną powieścią Johna Klinga, którą Paul pożyczył mu kilka tygodni temu, nasłuchując kroków na korytarzu, ale słyszał jedynie od czasu do czasu jakiś pijacki okrzyk za oknem. Za kwadrans pierwsza poddał się i przeniósł na łóżko, w ciemnościach śmiejąc się z okruszków.

* * *

Obudziły go kościelne dzwony. Było tuż po ósmej; cienka kreska szarego światła rozdzielała zasłony na oknie. Russell wygramolił się z łóżka i zaciągnął je. Szczyt iglicy na wieży kościoła naprzeciwko oświetlało niewidoczne słońce, niebo było czyste. Wyglądało na to, że jest piekielnie mroźno.

Russell miał mieszane odczucia co do nieobecności Szczepkina. Trudno mu było nie odczuwać złości, że stracił weekend z Effi i Paulem, tylko po to, by go wystrychnięto na dudka. Z drugiej strony nie mógł powiedzieć, że weekend poszedł na marne - spodobał mu się Kraków, uwielbiał „Kaczę zupę” i miał zaczątek artykułu do cyklu „Sąsiedzi Niemiec”. Jeżeli Rosjanie już się nim znudzili, to zapewne powinno mu to przynieść ulgę, ale nie mógł się pozbyć odczucia gorzkiego rozczarowania.

„Też coś”, mówił sam sobie. Jeżeli nawet nic z tego nie wyjdzie, to planowany cykl dla Rosjan zainspirował go do stworzenia innych. Zaś Szczepkin - Russell spojrzął na zegarek - wciąż miał siedem godzin do odjazdu pociągu, żeby nawiązać kontakt. Niech go diabli, jeżeli miałby siedzieć zamknięty w swoim pokoju, nawet gdyby hotel mu pozwolił. Postanowił się spakować i zanieść torbę do przechowalni na Dworcu Głównym, oddalonym

zaledwie o pięć minut piechotą. Gdy nadejdzie pora, może stamtąd wziąć taksówkę na dworzec Płaszów.

Godzinę później rozkoszował się kawą i bułkami w niemal pustym dworcowym bufecie. Nie mieli w sprzedaży żadnych angielskich ani niemieckich gazet, zaś ruch - ze względu na niedzielny ranek - był niewielki.

Pojedyncza mała lokomotywa manewrowa przejechała z sapaniem, wyraźnie poszukując zajęcia, ale poza tym nic się nie działo. Russell już zbierał się do wyjścia, kiedy jakiś ciemnowłosy młody mężczyzna stanął nagle przy jego stoliku.

- Czy ma pan ołówek i mógłby mi pożyczyć? - zapytał po niemiecku.

Russell podał mu ołówek.

Mężczyzna usiadł, zapisał na rogu gazety coś, co wyglądało jak godziny odjazdu pociągu, i oddał mu ołówek.

- Kaplica Zygmuntowska - powiedział przyjaznym tonem, podnosząc się z krzesła. - O drugiej.

Russell dotarł przed czasem do podnóża rampy prowadzącej na Wawel. Na zboczu wzgórza kilka grupek dzieci obrzucało się śnieżkami, piszcząc z uciechy, podczas gdy ich rodzice stali i gawędzili, wydychając pióropusze pary, zlewające się między nimi w powietrzu. Dalej na lewo żółte mury i czerwone dachy zamku królewskiego jaskrawo odcinały się na tle czystego niebieskiego nieba.

Rampa kończyła się przy bramie wiodącej przez stare umocnienia, tuż obok południowej strony katedry. Ta zaś - w odróżnieniu od kościoła przy Rynku Głównym - była elegancką spletaną układanką z iglic oraz kopuł, które cechowała oszałamiająca różnorodność stylów i rozmiarów, jak gdyby całą budowlę skonstruowało psotne dziecko.

Kaplica Zygmuntowska znajdowała się z boku nawy, po prawej. Nagrobki dwóch mężczyzn - królów, jak Russell się domyślał - umieszczono jeden nad drugim wśród bogactwa renesansowej rzeźby. Towarzyszący im opis był po polsku, lecz Russell rozpoznał słowo „Jagiello” z gdańskiej wojny znaczków.

- Piękna, prawda? - odezwał się obok niego znajomy głos.

- Rzeczywiście - przytaknął Russell.

Szczepkin miał na sobie ten sam wymięty garnitur, i całkiem możliwe, że tę samą

koszulę, ale pod kołnierzem zwiisał mu - cokolwiek przekrzywiony - zielony krawat. Futrzana czapa zakrywała włosy.

- Był pan już kiedyś w Krakowie? - spytał Rosjanin.

- Nie, nigdy.

- To jedno z moich ulubionych miast.

- Och. - Russell mruknął, czekając na rozwój wypadków.

- Czy widział pan już kaplicę Świętokrzyską? - zapytał Szczepkin.

- Nie...

- Musi pan. Tędy. - Poprowadził go z powrotem w stronę wyjścia, potem do kaplicy na lewo. Russell poszedł za nim, nieco rozbawiony, że po skarbach chrześcijaństwa oprowadza go komunistyczny agent.

Kaplica była niezwykła. Znajdował się w niej grobowiec jeszcze jednego Jagiellona, wyrzeźbiony w marmurze w roku, w którym Kolumb natknął się na Amerykę, oraz seria nieco starszych bizantyjskich fresków. Gdy wyszli, Szczepkin stanął, spoglądając w głąb nawy, po czym podniósł wzrok na strzeliste sklepienie.

- Mój ojciec był kapłanem - powiedział w odpowiedzi na spojrzenie Russella. - Jeszcze jedna rzecz - dodał, wskazując na sanktuarium pośrodku nawy. Znajdowała się w nim srebrna trumna, wykonana z zapierającym dech kunsztem. - Zrobiono ją w Gdańsku - podkreślił Szczepkin, jak gdyby ich kontakty wymagały geograficznej spójności. - Ale wystarczy - dodał, widząc minę Russella. - Zostawmy krypty na inną okazję. Wyjdźmy na zewnątrz. Między katedrą a murami od strony Wisły znajdowała się spora otwarta przestrzeń. Russell i Szczepkin dołączyli do rozproszonych par i małych grup, spacerujących dopiero co oczyszczoną ścieżką biegnącą dokoła, niemal oślepieni jaskrawością słońca na śniegu.

- Artykuł był doskonały - powiedział w końcu Szczepkin. - Właśnie taki, jaki miał być. - Wyjął kopertę z kieszeni i wsunął ją do kieszeni Russella. - Na zbieranie materiałów - mruknął.

Russell szybko rzucił okiem. Był to weksel trasowany gwarantujący mu zapłatę w reichsmarkach. Cała góra pieniędzy.

- O czym jest następny artykuł? - spytał Szczepkin.

- O transporcie.

- Znakomicie. A więc, co mi pan dzisiaj powie?

Russell omówił rezultaty swojej wizyty w Dreźnie, własne odczucia i analizy. Jemu wydawało się to zupełnie oczywiste, ale Szczepkin wyglądał na całkiem zadowolonego, kiwając głową i wtrącając od czasu do czasu pytanie albo komentarz. Russell miał wrażenie,

że mógłby recytować listę przystanków kolei obwodowej. Po pierwszym okrążeniu zaczęli następne. Nie byli w tym odosobnieni, jednak zwłaszcza jeden mężczyzna, kuśtykający niecałe pięćdziesiąt metrów za nimi, wydał się Russellowi szczególnie podejrzany. Kiedy jednak obejrzał się przez ramię po raz trzeci, Szczepkin uspokoił go, że nie ma się czym martwić.

- Jeden z moich - powiedział niemal z czułością. - Miejscowe wsparcie - dodał, zacierając ręce. - Co SD miało do powiedzenia? - spytał.

Russell zrelacjonował mu swoje spotkanie z Kleistem oraz żądanie wcześniejszego przedkładania każdego artykułu. Opowiedział też Szczepkinowi o liście, jaki Kleist dla niego napisał, i prawie natychmiast tego pożałował - chciał, by Rosjanin troszczył się o jego bezpieczeństwo. Wiedza o liście mogła zachęcać Szczepkina do wystawiania go na ryzyko.

- Brytyjczycy też chcą wcześniejszego wglądu w tekst - dodał prędko, mając nadzieję, że niemiłą niespodzianką odwróci uwagę rozmówcy.

Jednak Szczepkin tylko się roześmiał.

- A jak pan tłumaczy te wyjazdy? - spytał.

Russell opowiedział mu o „Sąsiadach Niemiec” i „Zwyczajnych Niemcach”.

- Niezłe - powiedział Szczepkin. - Jeszcze zrobimy z pana oficera wywiadu.

- Nie, dziękuję.

Szczepkin posłał mu jedno z tych swoich spojrzeń - pełne rozbawienia, ale i rozczarowania.

- Czy planuje pan opowiedzieć się po którejś stronie w nadchodzącej wojnie? - spytał.

- Nie, jeżeli uda mi się tego uniknąć - padła instynktowna odpowiedź Russella.

- Czy słyszał pan o poecie nazwiskiem Yeats? - Szczepkin zapytał ni z tego, ni z owego.

- Oczywiście.

Szczepkin chrząknął.

- Z Anglikami nigdy nie wiadomo. Tak wielu z was spogląda z góry na wszystko, co irlandzkie.

- Yeats to wspaniały poeta.

- Zmarł wczoraj - poinformował Szczepkin.

- Nie wiedziałem.

- Zna pan wiersz „Skradzione dziecko”? Zawsze podobał mi się ten fragment: „O, zostaw, dziecko, ten świat pełen płaczu, bo nigdy nie zrozumiesz głębin rozpacz[12]”.

Russell nic nie odpowiedział.

Szczepkin potrząsnął głową, jakby chciał uporządkować myśli.

- W przyszłym miesiącu spotkamy się w Posen. Albo w Poznaniu, jak Polacy go teraz nazywają. I chcielibyśmy, żeby pomówił pan z robotnikami z fabryk zbrojeniowych - oznajmił. - W Berlinie, w Zagłębiu Ruhry; wie pan, gdzie są duże fabryki. Musimy wiedzieć, czy są tam jakieś problemy, czy robotnicy są gotowi na polityczne działania.

- To będzie trudne - odparł Russell.

- Zwyczajni niemieccy robotnicy, rozdarci między naturalnym pragnieniem pokoju a patriotyczną troską o ojczyznę - zasugerował Szczepkin. - Jestem pewien, że pan sobie poradzi.

- Spróbuję - zgodził się Russell.

- Musi pan - powiedział Szczepkin. - I naprawdę powinien pan nosić czapkę.

Idioci do odstrzału

Berlin był szary i zachmurzony. Gdy pociąg wjeżdżał na dworzec Friedrichstrasse, Russellowi przyszło do głowy, żeby przejechać jeszcze parę przystanków miejską kolejką i zaskoczyć Effi w łóżku, ale zrezygnował. Tak wcześnie rano rzadko bywała w najlepszym humorze. Śniadanie zjadł już w pociągu, więc darował sobie kawę w bufecie i skierował się prosto do swojego banku przy Behrenstrasse, gdzie złożył weksel od Szczepkina. Idąc na Französischestrasse, żeby wrócić tramwajem do domu, Russellowi prawie zakręciło się w głowie od własnej wyplącalności. „Prezenty dla wszystkich”, pomyślał.

Wliczając w to samego siebie.

Doskonale samopoczucie ulotniło się, gdy tylko ujrzał twarz Frau Heidegger.

- Och, Herr Russell - powiedziała, chwytając go obiema rękami za ramię. - Dzięki Bogu, że pan wrócił. Ja...

- Co się stało?

- Herr McKinley... nie żyje. Popułnił samobójstwo, da pan wiarę? Biedny chłopiec... A wydawał się taki szczęśliwy przez ostatnie kilka tygodni. Nie mogę...

- Jak? - spytał Russell. Zrobiło mu się zimno na całym ciele i poczuł lekkie mdłości. - Jak się zabił?

Nie potrafił w to uwierzyć. I nie wierzył.

Frau Heidegger otarła łzę.

- Rzucił się pod pociąg. Na Dworcu ZOO. Było mnóstwo świadków.

- Kiedy?

- Późnym wieczorem w sobotę. Policja przysłała tuż przed północą i zamknęła jego pokój. Wczoraj wrócili. Siedzieli tam godzinami.

- Kryminalni?

Przez moment wyglądała na zdezorientowaną.

- Tak, tak, tak mi się zdaje. Było ich tak dużo. Myślę, że musieli szukać listu pożegnalnego. Albo czegoś, ci by im wyjaśniło, dlaczego to zrobił.

„Albo listu od kogoś”, pomyślał Russell.

- Ale wydaje mi się, że niczego nie znaleźli - mówiła dalej Frau Heidegger. - Wyglądali na mocno sfrustrowanych, kiedy wychodzili. Pewnie się martwili, że Amerykanie nie uwierzą, by sam się zabił.

- Może - odparł Russell. Czuł się oszołomiony.

- Zostawili idealny porządek w pokoju - Frau Heidegger wtrąciła jakby bez związku. - I chcą rozmawiać z panem - dodała. - „Zaraz jak tylko wróci”, powiedzieli. I włożyli kartkę pod pana drzwi, na której napisali to samo. Mam numer telefonu. Na parę sekund zniknęła w swoim mieszkaniu i pojawiła się ponownie z kartką, która wyglądała jak wyrwana z policyjnego notesu. Widniały na niej numer i nazwisko - „Kriminalinspektor Oehm”.

- Od razu do niego zadzwonię - powiedział Russell.

- Tak, proszę - przytaknęła Frau Heidegger, jak gdyby to mogło zdjąć z niej wielkie brzemię.

Podkomendny inspektora, który odebrał telefon, wiedział, kim jest Russell.

- Kriminalinspektor chciałby natychmiast się z panem widzieć - oznajmił, kładąc nacisk na ostatnie słowo. - W Alex, pokój numer 456.

- Już jadę - zapewnił Russell. Tak wydawało się roztropnie.

- Zaopiekuję się pańską torbą - powiedziała Frau Heidegger, podnosząc ją i ruszając w stronę swoich drzwi. - Może ją pan odebrać, kiedy pan wróci.

Russell zaczął iść w kierunku metra, uznawszy, że tak będzie szybciej, ale zmienił zdanie, gdy tylko dotarł na Lindenstrasse. Dlaczego się spieszyć? Jazda tramwajem da mu czas na pozбиieranie myśli.

Wsiadł do pierwszego tramwaju jadącego w kierunku Alexanderplatz i wpatrywał się w okno niewidzącym wzrokiem. Jeżeli czegokolwiek był pewien, to tego, że McKinley sam się nie zabił. Wręcz nie potrafił sobie wyobrazić nikogo, do kogo mniej by to pasowało. Domyślał się, że to mógł być wypadek - po zamknięciu teatrów na peronach Dworca ZOO robiło się całkiem tłoczno - ale jeżeli tak, to skąd ten pośpiech w uznaniu tego za samobójstwo? Frau Heidegger wspomniała o świadkach, całym mnóstwie. Russell

uzmysłowił sobie, że ewidentne samobójstwo dawało policji solidniejsze podstawy do prowadzenia śledztwa niż zwyczajny wypadek. Spędzili wczoraj wiele godzin w pokoju McKinleya i musieli czegoś szukać. List od Theresy Jürissen nasuwał się jako oczywisty kandydat, ale kto wie, jakie inne materiały McKinley zgromadził do podbudowania swojej historii? Wyglądało na to, że nie znaleźli tego, czego szukali. Russell nie był pewien, jak trafna była ocena nastrojów ludzi z Kripo dokonana przez Frau Heidegger, lecz pilne wezwanie go z pewnością sugerowało, że czegoś im jeszcze brakuje.

Jeżeli nie znaleźli listu, to gdzie on się podział, do diabła? Upłynęło sześć dni, odkąd Russell i McKinley złożyli wizytę Theresie Jürissen, a McKinleyowi się spieszyło - mało prawdopodobne, żeby ociągał się z wysłaniem jej pieniędzy. Oczywiście, chyba że miał problem z ich zebraniem. Zaś ona mogła mieć trudności z dotarciem na poste restante, żeby je odebrać. List wciąż mógł się znajdować na poczcie. Albo w jej posiadaniu. Russell będzie ją musiał ostrzec, zarówno dla jej dobra, jak i własnego. Gdyby została aresztowana, wyszedłby na jaw jego udział w sprawie, i nawet jeżeli Kripo przyjąłaby wyjaśnienie, że był tam wyłącznie jako tłumacz, to i tak nie złożył doniesienia o możliwym przestępstwie przeciwko państwu. W najlepszym przypadku to podstawa do deportacji. W najgorszym... Nie miał ochoty o tym rozmyślać.

Jeżeli McKinley otrzymał list, a oni go nie znaleźli, to co z nim zrobił? Mógł zaryzykować wysłanie go pocztą do Stanów, ale Russell nie sądził, by tak się stało. Skoro go śledzono - a wydawało się to prawdopodobne - to wszelka wychodząca poczta zostałaby przechwycona. Russell przypomniał sobie niechętnie wyznanie McKinleya, że wydaje mu się, iż jest śledzony, i swoją własną ledwie skrywaną drwinę.

- „Wybacz, Tyler” - mruknął na głos, przyciągając zdziwione spojrzenie kobiety z naprzeciwka.

Oczywiście, podejrzenia McKinleya kazały mu zachować wzmożoną ostrożność. Co oznacza, że istnieje spora szansa na to, iż ukrył list. Tylko gdzie? Skoro nie upchnął go gdzieś w swoim pokoju, gdzie mógłby go schować? „Gdziekolwiek w Berlinie”, pomyślał Russell, wyglądając przez okno na Königstrasse. McKinley zapewne zapożyczył pomysł z jednej z niezliczonych powieści detektywistycznych, które czytał.

Russell wszedł w pobliżu domu towarowego sieci Wertheim przy Alexanderplatz i przeszedłszy pod wiaduktem znalazł się na samym placu. Dworzec oraz jeszcze jeden dom towarowy, Tietz, zajmowały jego część północną, zaś ogromna szarobura bryła gmachu policji - „Alex”, jak nazywali ją berlińczycy - południową. Russell minął wejścia numer 4, 3 i 2 - ostatnie prowadziło do kostnicy, w której przypuszczalnie spoczywało teraz ciało

McKinleya - i wszedł ogólnym wejściem numer 1.

Całe berlińskie służby kryminalne, liczące tysiąc ośmiuset ludzi, pracowały w tym budynku, i Russell wyobrażał sobie, że niektórzy z nich wciąż czekają, aż ktoś odkryje ich biura. Wskazano mu jedne z kilkorga schodów, a później spędził z dziesięć minut wędrując przez ciąg identycznie wyglądających korytarzy w poszukiwaniu pokoju 456. Wszystkie okna wychodzące na wewnętrzny dziedziniec były zakratowane, sugerując skłonność gości do autodestrukcji, co Russell uznał za mało pocieszające. W końcu został przejęty przez zaskakująco pomocnego śledczego, który poprowadził go właściwymi schodami i skierował do odpowiedniego korytarza.

W biurze inspektora Oehma panował twórczy bałagan. Wszędzie znajdowały się teczki - piętrzyły się na biurku, na podłodze, parapecie oraz wypełniały szafki. Oehm, puciołowaty mężczyzna o rumianej twarzy, bujnych jasnych włosach i przenikliwych niebieskich oczach, zdawał się nie zwracać uwagi na ten chaos, jednak jego towarzysz, rudzielec o wyjątkowo bladej skórze, nie przestawał się rozglądać z wyraźnym niedowierzaniem. Nie został przedstawiony Russellowi, lecz ten nawet bez typowego skórzanego płaszcza byłby w stanie domyślić się, że to Gestapo.

Oehm poprosił go, żeby usiadł.

- Próbujemy się z panem skontaktować od wczorajszego ranka - powiedział.

- Przebywałem poza miastem - odparł Russell.

- Tak nam mówiła pańska narzeczona.

Russell nie odpowiedział. Miał nadzieję, że Effi zachowywała się jak należy.

- Gdzie właściwie pan był? - spytał człowiek z Gestapo.

- W Polsce. W Krakowie, mówiąc ściśle. Pracuję nad cyklem artykułów o sąsiadach Niemiec.

- Wie pan, dlaczego chcieliśmy z panem rozmawiać? - zapytał Oehm.

- Zakładam, że chodzi o Tylera McKinleya.

- Zgadza się. Był pan zaskoczony tą nowiną?

- Że popełnił samobójstwo. Tak, byłem.

Oehm wzruszył ramionami.

- Musiał mieć swoje powody.

- Zapewne. Jesteście pewni, że sam się zabił?

- Najzupełniej. Nie ma co do tego wątpliwości. Mamy kilku świadków. Wiarygodnych. Na przykład funkcjonariusza policji.

- Zatem musiało tak być - zgodził się Russell.

Nadal nie rozumiał, dlaczego oni - kimkolwiek właściwie byli - musieli zabijać McKinleya, i nie sądził, że kiedykolwiek się tego dowie. Tak naprawdę nie miało to większego znaczenia. Jego wiedza z pewnością nie pomogłaby McKinleyowi.

- Istnieje jeden możliwy powód jego postępowania - oznajmił Oehm. - Wolałbym nie mówić źle o zmarłych, ale... Cóż, mamy uzasadnione podstawy sądzić, że pański przyjaciel wmieszał się w działalność politycznych elementów wrogich Rzeszy, że mógł należeć do spisku przeciwko państwu, obejmującego fałszowanie urzędowych dokumentów. Dokumentów, które, jak należy powiedzieć, zostały sfabrykowane w celu wywołania mylącej i oszczerczej opinii na temat działań na terenie Rzeszy.

- Jakich działań? - Russell spytał niewinnym tonem.

- To nie pańska sprawa - odpowiedział mężczyzna z Gestapo.

- A on nie był moim przyjacielem - dodał Russell. - Lubilem go, ale prawie się nie widywaliśmy poza jakąś pogawędką na schodach. Może jakiś drink raz na miesiąc czy jakoś tak. Nic ponad to.

- Ach...

- I jeżeli był wmieszany w ten spisek, to dlaczego miałby się przez to zabijać? - zdziwił się Russell.

- Może to wszystko okazało się dla niego za wiele, i nie widział innego sposobu, żeby się uwolnić - zasugerował Oehm.

- Nie dawał panu czegoś na przechowanie? - spytał Gestapowiec.

- Nie, nie dawał.

- Jest pan tego pewien.

- Na sto procent.

Mężczyzna z Gestapo miał sceptyczną minę, lecz nic nie odpowiedział.

- Jeszcze jedno - dodał Oehm. - Siostra Herr McKinleya przyjedzie we środę do Berlina. Żeby zabrać ciało do domu...

- Jak się tu dostanie tak szybko? - zaciekawiał się Russell.

- Najwyraźniej leci przez Atlantyck. Amerykanie mają te nowe łodzie latające... Nazywają się Clippery, jak mi się zdaje... I chociaż nie są jeszcze powszechnie dostępne, to często odbywają się próby. Loty próbne, tak to określają...

- Tak, tak - burknął Gestapowiec, ale Oehm go zignorował. - Sam jestem lotnikiem - powiedział Russellowi. - Tylko w weekendy, oczywiście.

- Wszyscy potrzebujemy jakiegoś hobby - zgodził się Russell. - Ale jak siostra McKinleya wkręciła się na lot jednym z tych...?

- Clipperów. Domyślam się, że senator McKinley wykorzystał wpływy, żeby zapewnić bratanicy miejsce w jednym z nich.

- Senator McKinley?

- Stryj Tylera McKinleya. - Oehm zauważył zaskoczenie na twarzy Russella. - Nie wiedział pan, że jego stryj to amerykański senator?

- Jak mówiłem, nie byliśmy właściwie przyjaciółmi. - Potrafił zrozumieć, dlaczego McKinley milczał na ten temat: chłopak nie zniósłby, gdyby ktoś pomyślał, że cokolwiek zawdzięcza rodzinnym koneksjom. Był jednak zdumiony, że żaden z jego amerykańskich kolegów dziennikarzy się nie wygadał. Musieli zakładać, że Russell wie.

- Tak jak powiedziałem - ciągnął Oehm - jego siostra zorganizuje odesłanie ciała do domu i zabierze rzeczy brata. Liczyłem na to, że będzie pan mógł być obecny, kiedy będziemy z nią rozmawiać, jako tłumacz oraz ktoś, kto znał jej brata.

- Mogę to zrobić.

- Jej samolot z Lizbony przylatuje około jedenastej. Zatem gdyby mógł pan tutaj być o pierwszej...?

- Będę. Czy to wszystko?

- Tak, Herr Russell, to wszystko. - Oehm uśmiechnął się do niego.

Gestapowiec ledwie widocznie skinął głową.

Russell wrócił tą samą drogą do głównego wyjścia. Gdy wydostał się na otwartą przestrzeń, głęboko nabrał powietrza i znów je wypuścił.

Jedno było pewne: nie znaleźli listu.

Przeciął plac i wszedł do kafejki pod torami miejskiej kolejki. Niekiedy tu zaglądał. Zamówiwszy sobie frankfurterki i Kartoffelsalat przysiadł na stołku przy oknie, starł z szyby trochę pary i wyjrzał na dwór. Nikt go nie śledził, ale czy ktoś wałęsał się na zewnątrz? Nie widział żadnego oczywistego podejrzanego, lecz to jeszcze nic nie znaczyło. Będzie musiał się upewnić w Tietzu, odegrać inną kombinację tych samych sztuczek, jakie on i McKinley odstawili w domu towarowym Neukölln Karstadt. To jednak musi wyglądać na przypadek. Nie chciał, żeby się domyślili, iż zgubił ich celowo.

Jedzenie było niesmaczne, co wydało mu się dziwne. Russell uznał, że to posmak w jego ustach. Smak strachu. Przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do Tietzu, kierując się w stronę szeregu kabin telefonicznych, które zapamiętał przed herbaciarnią na parterze. Ukryty w pierwszej kabinie obejrzał się w głąb holu, którym właśnie przyszedł. Nikt nie wyglądał, jakby się czaił. Russell wykręcił numer Effi.

Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Wróciłeś. Była u mnie policja...

- Wiem. Właśnie spędziłem dwadzieścia minut w Alex. Przykro mi, że miałaś...

- Och, to żaden problem. Niczego nie potłukli. Ja tylko martwiłam się o ciebie. Bardzo cię to poruszyło? Nie znałeś go zbyt dobrze, prawda?

- Nie, nie znałem. Ale i tak mnie to zasmuciło. To był całkiem miły facet.

- Zamierzasz przyjść?

- Tak, ale dopiero za kilka godzin. Powiedzmy, około szóstej. Muszę się z kimś zobaczyć.

- Dobrze.

- Zatem do zobaczenia.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham - Russell uśmiechnął się.

Odłożył słuchawkę i ponownie rozejrzał się po holu. Nadał nic. Zdecydował się na taksówkę. Po tej stronie dworca często czekały zaledwie dwie albo trzy.

Miał szczęście - była tylko jedna.

- Dworzec Friedrichstrasse - powiedział do kierowcy, i wyglądał przez tylną szybę, gdy skręcili pod wiadukt i pojechali Kaiser Wilhelmstrasse. Ani śladu pociągu.

Na Friedrichstrasse pospiesznie zszedł po schodach na peron metra, wpadając tam akurat w chwili, gdy zatrzymał się pociąg z Grenzallee. Russell wsiadł i stał przy drzwiach, dopóki się nie zamknęły, ale nikt poza nim nie przeszedł przez bramki na peron. Pociąg ruszył, i wtedy Russell ciężko opadł na najbliższe siedzenie. Zastanawiał się, czy powinien czekać na zapadnięcie ciemności. A może to byłoby jeszcze bardziej ryzykowne? Tak naprawdę nie miał pojęcia, i paraliżowała go myśl, jak ważna może być ta decyzja.

Droga na Hermannplatz zajęła dwadzieścia minut. Russell wyszedł z metra na ulicę, gdzie megafony przekazywały długo oczekiwane przemówienie Hitlera w Reichstagu. Niewielki tłum zgromadził się przy głośniku przez Karstadt; twarze ludzi były równie pochmurne jak niebo. Ton Führera brzmiał spokojnie i rzeczowo, co sugerowało, że dopiero się rozgrzewa.

Russell szedł naprzód, podążając za nazwami ulic znanych mu z zeszłego tygodnia. Dobrze się złożyło, że je rozpoznał, gdyż za dnia okolica wyglądała kompletnie inaczej; warsztaty i fabryki kipiły hałaśliwą krzątaniem, brukowane ulice zapelniały turkoczące ciężarówki. Większość zakładów nadawała przemówienie dla swoich pracowników, więc słowa Hitlera sączyły się przez drzwi i ponad murami - tu obietnica, tam groźba, a pomiędzy nimi wciśnięte wyrazy podziwu dla samego siebie.

Zatrzymawszy się na chwilę na moście nad Neuköllner Schiffahrtskanal Russell usłyszał fragmenty przemowy niesione podmuchami, niczym kłęby dymu rozciągane przez wiatr, którym ziały nieprzeliczone kominy.

Na Schönlankestrasse było pusto, a drzwi kamienicy stały otworem. Wszedł i zapukał do drzwi Theresy Jürissen. Nie było odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz z takim samym skutkiem, i zastanawiał się, co robić, gdy usłyszał kroki na schodach. To była ona.

Na jej twarzy pojawił się niepokój, a potem gniew. Bez pytania otworzyła drzwi i gestem kazała mu wejść. Marietta siedziała dokładnie w tym samym miejscu, co podczas jego poprzedniej wizyty, nadal zajęta rysowaniem, nadal obojętna.

- Czego pan chce? - spytała Theresa, gdy tylko drzwi zamknęły się za nią.

- Przykro mi - powiedział. - Wiem, że to dla pani ryzykowne, ale mogłoby być jeszcze bardziej niebezpiecznie, gdybym nie przyszedł.

Opowiedział jej o śmierci McKinleya.

- Czy policja może go z panią powiązać? - zapytał. - Czy kiedykolwiek pani do niego pisała?

- Nie - odparła. - Nigdy.

- A co z dokumentem, o którym nam pani mówiła?

- Wysłałam go, ale to wszystko. Nie podałam nazwiska ani adresu.

Russell westchnął z ulgą.

- Kiedy go pani wysłała?

- W zeszłym tygodniu. W czwartek po południu.

McKinley go otrzymał. Na pewno. Russell wytłumaczył, dlaczego pyta.

- Nie znaleźli go - wyjaśnił. - Musiał go gdzieś ukryć.

- Nic mnie z nim nie wiąże - odpowiedziała. - Poza panem - dodała; na jej twarzy na nowo pojawił się wyraz niepokoju.

- Ode mnie się o pani nie dowiedzą - Russell obiecał jej, mając nadzieję, że zdoła dotrzymać przyrzeczenia.

- Dziękuję - mruknęła z powątpiewaniem, jak gdyby ona również nie była tego pewna.

- A ich tajemnica pozostanie tajemnicą - dodała, w równym stopniu do siebie, co do niego.

- Na to wygląda.

Skinęła głową; jej wizja świata zyskała potwierdzenie.

- Pójdę już - stwierdził Russell.

- Upewnię się, czy nikogo nie ma - ostrzegła go. Wróciła po chwili. - Jest pusto.

Russell uśmiechnął się na pożegnanie do zamykających się drzwi i ruszył w długą drogę powrotną do centrum Neukölln. Tymczasem Führer już się rozkręcił, a potokowi słów dodawał mocy odgłos pięści tłukącej o mównicę. Zanim Russell dotarł do Karstadt, tłum słuchaczy wylewał się już na ulicę. Wszystkie oczy wznosiły się ku trzeszczącemu megafonowi, tak jakby Hitler miał się wyłonić z głośnika jak dżin - plująca jadem głowa na migoczącym ogonie.

Zrobiło się ciemno, zanim Russell dojrzał do mieszkania Effi. Miała na sobie sukienkę, której dotąd nie widział, ciemnoczerwoną z czarnym koronkowym kołnierzem. I chciała zjeść na mieście, w chińskiej restauracji, która otworzyła podwoje parę tygodni wcześniej na krańcu Ku'damm, od strony Halensee.

- Uczylaam się kwestii - oznajmiła, gdy schodzili na dół. - Czy później ze mną poćwiczysz?

Russell zdał sobie sprawę, że to propozycja zawarcia pokoju.

- Z rozkoszą - odpowiedział.

Doszli pieszo do Ku'damm i wsiedli w tramwaj jadący na zachód.

Na szerokich chodnikach tłoczyli się wracający do domów robotnicy, a restauracje i kina szykowały się na wzmożony wieczorny ruch po zamknięciu sklepów. Gdy wysiedli przy Lehninerplatz, stwierdzili, że chińska restauracja już się zapełnia.

- Goering tu jada - powiedziała Effi, jakby chciała to wytłumaczyć.

- On jada wszędzie - skwitował Russell. - I dzisiaj ja stawiam - dodał.

Effi popatrzyła na niego pytająco.

- Ostatnio sprzedałem sporo tekstów - wyjaśnił.

Zaprowadzono ich do stolika, stojącego pod olbrzymim kłębowiskiem smoków. Russell podniósł menu, licząc, że będzie po niemiecku, ale niepotrzebnie się tym martwił.

- Pozwól mi zamówić - odezwała się Effi.

- Weź mi piwo - nalegał Russell. Zdał sobie sprawę, że w dalszym ciągu jest spięty. I być może nadal trochę w szoku. Siedząc tutaj i słuchając jednym uchem, jak Effi wypytuje kelnera, przyłapał się na tym, że wyobraża sobie śmierć McKinleya: moment upadku, uświadomienia sobie prawdy. Przerżenia.

- Jak ci minął weekend? - spytał.

- Żałośnie. Wiesz, że nie cierpię chodzić sama na przyjęcia. Wszystkie kobiety, jakie znam, ustawiały się w kolejce, żeby pytać, czy mnie porzuciłeś... żadna nie spytała, czy może

ja porzuciłam ciebie... a wszyscy mężczyźni usiłowali wybadać, na ile jestem dostępna, nie zadając tego pytania wprost. Każda rozmowa była podszyta podtekstami. Każdy taniec był tylko środkiem do celu. Ani przez moment nie mogłam po prostu sobie być. Kiedy idę z tobą na coś takiego, mogę się pobawić. - Westchnęła. - Tak czy owak, przyjęcie przeciągnęło się prawie do szóstej, więc położyłam się do łóżka około siódmej, a Kripo zaczęła łomotać do drzwi koło dziewiątej. Nie byłam w najlepszym nastroju. I niepokoiłam się z twojego powodu. Wiem, że go lubiłeś, nawet mimo że był trochę jak Rin Tin Tin. - Zamikła na chwilę. - Też mogłam to widzieć. Na Dworcu ZOO w sobotni wieczór robi się tak tłoczno. - Śledziła wzrokiem niesioną obok nich tacę z jedzeniem i wciągnęła aromat potrawy. - A moja droga siostra Zarah to taka maruda. Jest przekonana, że z Lotharem jest coś nie w porządku. Mówię jej, że wyciąga pochopne wnioski, że on zapewne tylko wolno się uczy. Sama taka była, z tego co mówi mama. Ale ona wbiła sobie do głowy, że coś jest nie tak. Umówiła wizytę u specjalisty.

- Na kiedy? - spytał Russell.

- Och, nie wiem. Jakoś w przyszłym tygodniu. Chyba mówiła, że w poniedziałek. Dlaczego?

- Tylko byłem ciekawy. - Pojawienie się napojów dało Russellowi kilka sekund na zastanowienie. Uświadomił sobie, że niczego nie może wyjawić. I zapewne nie potrzebuje. Mąż Zarah, Jens, był funkcjonariuszem partyjnym, a Russell nie potrafił uwierzyć, że naziści zaczęliby zabijać własne dzieci. Zaś gdyby powiedział coś Effi, a ona powtórzyła to Zarah, mógłby skończyć w piwnicy Gestapo próbując wytłumaczyć, skąd ma takie informacje.

- Wyglądasz na zmartwionego - zauważyła Effi.

- Słyszałem jakieś plotki, to wszystko. Pewnie tylko dziennikarskie gadanie. Mówi się, że rząd myśli o zaostrzeniu przepisów dotyczących zapobiegania chorobom dziedzicznym. O usankcjonowaniu eutanazji, jeżeli rodzice się zgodzą.

Posłała mu gniewne spojrzenie.

- Z Lotharem nic złego się nie dzieje - powiedziała. - A nawet gdyby się działo, to Zarah nigdy by się nie zgodziła, żeby... Nie mogę uwierzyć, że sądzisz...

- Nie sądzę. Ale Jens to nazista, bądź co bądź. On wierzy w te wszystkie bzdury o oczyszczaniu rasy.

Effi prychnęła.

- Być może wierzy. Ale gdyby spróbował zabrać Lothara od Zarah, nigdy by mu nie wybaczyła. I on to wie.

- W porządku.

- A z Lotharem nie dzieje się nic złego - upierała się.

Przeczytał mowę Führera następnego ranka w drodze do domu, gdy wracał, żeby się przebrać. Artykuły wstępne określały ją jako „znaczący wkład w pokój na świecie”, i jak na standardy Hitlera, przemówienie z pewnością wydawało się dość przyjazne. Znalazły się w niej niemal życzliwe wzmianki o Polsce oraz na temat paktu o nieagresji pomiędzy oboma krajami. Wyraźnie dał się zauważyć brak ataków na Związek Radziecki. Jednak jeden fragment zmroził Russella, a dotyczył on Żydów, którzy w obłąkanej wyobraźni Hitlera jako jedyni pragną wszcząć wojnę. Jeżeli to zrobią, to skutkiem będzie nie bolszewizacja świata i zwycięstwo dla Żydów, lecz unicestwienie żydowskiej rasy w Europie.

Russell zastanawiał się, jak czuli się Wiesnerowie, gdy to czy tali, nawet jeśli Hitler nie mówił o fizycznym unicestwieniu. A przynajmniej Russell miał nadzieję, że nie. Przypomniał sobie słowa Alberta wypowiedziane w parku Friedrichshain: „Po prostu nas zabijają. Kto ich powstrzyma?”.

Frau Heidegger wcześniej wysłuchała przemowy i znalazła w niej jedynie podstawy do optymizmu.

- Będzie ugoda z Polakami - powiedziała. - Tak jak z Czechami w Monachium. A wtedy nie będzie się już o co bić.

Russell odparł, że ma nadzieję, iż Frau Heidegger ma rację.

- Wczoraj wróciła policja - mówiła dalej kobieta. - Siostra Herr McKinleya będzie tu we środę albo w czwartek, żeby zabrać jego rzeczy.

- Wiem - wyjaśnił jej Russell. - Chcą, żebym dla nich tłumaczył.

- To miłe - stwierdziła Frau Heidegger.

Na górze Russell wykapał się, przebrał i przez dwie godziny pracował nad zaplanowaniem swojego artykułu o transporcie dla *Prawdy*. Autostrady i samochody dla ludu, szybkie pociągi i nowe linie metra, najnowsze łodzie latające Dornier. Może z nutką żalu z powodu odejścia zeppelinów, pomyślał, ale w żadnym razie nie wolno wspominać o „Hindenburgu”.

Usmażył sobie na lunch omleta z ziemniakami, znalazł mu do towarzystwa zakurzoną butelkę piwa, i niechętnie podumał o perspektywie wypytywania robotników zbrojeniowych fabryk Hitlera o Stalina. Uważał, że to da się zrobić, ale będzie musiał postępować piekielnie ostrożnie. Zaczynać od rozmów z działaczami partyjnymi w fabryce, kierownictwem oraz urzędnikami z Frontu Pracy. Na przysłowiowy kruchy lód zapuszczać się wyłącznie wtedy, jeżeli wyda się naprawdę solidny. Nie tak jak McKinley. Pomyślał o zaginionym liście. Jeżeli ma się rozejrzeć w pokoju Amerykanina, to musi to zrobić dzisiaj.

Zszedł na parter i zapukał do otwartych drzwi Frau Heidegger.

- Czy ma pani jeszcze zapasowy klucz do pokoju Tylera? - zapytał. - Pożyczyłem mu kilka książek, a niezręcznie byłoby ich szukać przy jego siostrze, więc pomyślałem, że mógłbym dzisiaj się tam wślizgnąć i je zabrać. Nie musi pani wchodzić na górę - dodał prędko, licząc na to, że chore kolana Frau Heidegger wezmą górę nad jej ciekawością.

Tak też się stało.

- Tylko proszę go na pewno odnieść - przykazała mu.

Pokój McKinleya nadal przesycony był słabnącą wonią bałkańskiego tytoniu. Tak jak oznajmiła Frau Heidegger, w pokoju panował niemal nienaturalny porządek, i teraz Russell wiedział, dlaczego Kripo powstrzymało się przed pozostawieniem typowego dla siebie bałaganu. Bratanek senatora! Nic dziwnego, że zachowywali się nienagannie.

Ubrania zostały schludnie poukładane - koszule, marynarka, garnitur w szafie, skarpety i bielizna w szufladzie. Na biurku leżała cienka warstwa papierów - Russell domyślał się, że zostawiona na pokaz; pamiętał dwie wysokie wieże papierzysk podczas swojej ostatniej wizyty. Biurko również zostało w większości opróżnione. Jedna szuflada zawierała osamotnioną gumkę do mazania, inna trzy ołówki. Zupełnie jakby Kripo postanowiła porozdzielać rzeczy. Liczba książek nie zmniejszyła się wyraźnie, lecz ich układ na półkach zdawał się nie mieć nic wspólnego z porządkiem. Jak zakładał Russell, każda została wyjęta i przetrząśnięta w poszukiwaniu czegoś, co mogło być tam schowane. Cóż, przynajmniej dzięki temu on już nie musi tego robić.

To samo dotyczyło desek w podłodze. Kripo to nie amatorzy. Russell usiadł na łóżku McKinleya, dziwiąc się, że wyobrażał sobie, iż zdoła znaleźć coś, co oni przeoczyli. Półkę nad łóżkiem wypełniały powieści detektywistyczne, wszystkie po angielsku. Ponad pięćdziesiąt, jak oszacował na oko: Dashiell Hammett, Edgar Wallace, Dorothy L. Sayers i kilkoro autorów, o których nie słyszał. Widniał tam z tuzin książek Agathy Christie oraz podobna liczba tomików o „Świątym”.

Wcześniejsza myśl Russella, że McKinley podkradł pomysł z jednej z tych historii, wciąż wydawała się trafna. Jedynym sposobem, żeby uzyskać pewność, byłoby przejrzanie ich wszystkich, a to potrwałoby wieki.

I co miałyby zrobić z listem, gdyby go odnalazł? Nie miał dowodu na jego autentyczność, zaś bez takowego istniała nikła szansa zorganizowania anonimowej publikacji poza granicami Niemiec. Musiałby go poświadczyć tym, co pozostało z jego własnej reputacji, tym samym ryzykując aresztowanie, gdyby zrobił to na terenie Niemiec, albo utratę możliwości mieszkania tutaj, gdyby opublikował go z bezpiecznej Anglii.

Żadna z tych opcji go nie pociągała.

- „A ich tajemnica pozostanie tajemnicą” - mruknął do siebie. Po raz ostatni rozejrzył się po pokoju i odniósł klucz Frau Heidegger.

Pod wieczór zatelefonował do Paula. Rozmowa z początku wydawała się niezręczna - syn ucieszył się, że rozmawiają, lecz w jego głosie pobrzmiwało coś, co zaniepokoiło Russella, jakaś ledwie wyczuwalna nuta urazy, bardzo możliwe, że nieświadomej. Jego grupa *Jungvolk* spędziła sporo czasu w sobotę, budując modele szybowców z balsy i kleju, co najwyraźniej spodobało się Paulowi, a w następną sobotę miała odwiedzić lotnisko, żeby przyjrzeć się prawdziwym samolotom. W szkole nowy nauczyciel muzyki wygłosił pogadankę o różnych gatunkach muzycznych i o tym, jak niektóre z nich - na przykład jazz - zostały zgubnie zbrukane przez swoje rasowe korzenie. Odtworzył nawet kilka utworów na szkolnym gramofonie, wytykając to, co określił mianem „zwierzęcych rytmów”.

- Pewnie ma rację - powiedział Paul. - To znaczy, jazz wymyślili czarni, prawda? Ale większość moich kolegów powiedziała, że te płyty, które puścił, są naprawdę fajne - przyznał.

Russell na próżno szukał w głowie stosownej odpowiedzi.

- Czym się zajmujesz? - zapytał Paul, cokolwiek niespodziewanie.

- Tym i owym - odparł Russell. Paul był już chyba za duży, by mieć koszmarne sny o wpadaniu pod pociąg, ale lepiej nie ryzykować.

- Właściwie to szukam czegoś, co ukrył ktoś inny - powiedział.

- Kiedy Święty chce coś schować, jak to robi? - spytał, tak naprawdę nie spodziewając się odpowiedzi.

- Jak na przykład co?

- Och, pieniądze, list...

- To proste. Wysłała to do siebie pocztą. Na... jak to się mówi?

- Poste restante - powiedział Russell cicho.

- Właśnie. Sam do siebie wysłała diamenty w „Getaway” i „The High Fence”. I zdaje mi się, że w jeszcze jednym opowiadaniu, chociaż nie pamiętam, w którym...

Russell przestał słuchać. Oczywiście. Jeżeli nawet McKinley zapomniał o sztuczce Świętego, to skorzystanie przez Theresę z poste restante by mu o niej przypomniało. Russell westchnął w duchu. Nie było sposobu na odebranie czegokolwiek z poste restante bez identyfikacji.

Zapewne siostra McKinleya uzyskałaby dostęp, lecz tylko prosząc o zgodę policji.

- Tato, słuchasz?

- Tak, przepraszam. Chyba właśnie rozwiązałeś za mnie zagadkę.

- Och.
- Czytam książkę, którą mi pożyczyłeś - dodał, chcąc sprawić przyjemność synowi.
- Jest świetna, prawda?
- Całkiem dobra - Russell zgodził się, chociaż przebrnął dopiero przez trzydzieści stron. - Jeszcze nie przeczytałem dużo - przyznał w nadziei, że dzięki temu uniknie przepytывania. - Pomówimy o niej w sobotę.
- Dobrze. W niedzielę jedziemy pociągiem z Anhalter Bahnhof?
- Tak myślę. Dam ci znać. - Tak naprawdę nasuwał mu się inny środek transportu.

Pierwszy dzień lutego był tak szary jak tylko można sobie wyobrazić. Poranna środowa lekcja z Ruth i Marthe upłynęła jak zwykle sympatycznie, ale ich brat ani rodzice nie pokazali się. Powróciwszy na Alexanderplatz dwadzieścia minut przed czasem zatrzymał się na kawę w Wertheimie i wpadł na Douga Conwaya. Gawędzili przez kilka minut, zanim Russell uświadomił sobie, że spóźni się na wyznaczone spotkanie.

Poszukiwanie biura Oehma opóźniło go jeszcze bardziej, i kiedy w końcu się zjawił, siostra McKinleya nie wyglądała na zbyt szczęśliwą.

- Rozmawialiśmy o łodzi latającej Fräulein McKinley - powiedział Oehm, co tłumaczyło jej zirytowaną minę.

Była niemal równie wysoka jak jej brat - Russell oszacował, że mierzy ze sto osiemdziesiąt centymetrów - i jeszcze szczuplejsza. Krótko ostrzyżone ciemne włosy okalały twarz, która mogłaby być śliczna, gdyby wąskie wargi nie były zasznurowane w wyrazie dezaprobaty; jednak Russell wyczuwał, że jej obecna mina jest taka sama, jaką zazwyczaj ukazywała światu.

Miała na sobie kremową bluzkę i elegancką ciemnoniebieską garsonkę. Nie było ani śladu czerni w ubiorze ani żadnych wyraźnych oznak żalu na twarzy. Powiedział sobie, że miała kilka dni, żeby się z tym oswoić.

Przedstawił się i złożył kondolencje.

- Eleanor McKinley - odrzekła. - Tyler nigdy o panu nie wspominał.
- Nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, tylko sąsiadami. Jestem tutaj, ponieważ policja uznała, że tłumacz wszystkim ułatwi sytuację. Czy powiedziano pani, co się stało?
- Och, otrzymaliśmy wszelkie szczegóły od niemieckiej ambasady w Waszyngtonie.

Jakiś człowiek przyszedł do domu i wszystko wyjaśnił.

Russell zastanawiał się, co powiedzieć. Trudno mu było przyjąć, że rodzina uwierzyła w to, iż Tyler popełnił samobójstwo. Jednak nie wypadało o to pytać, zwłaszcza, że Oehm usiłował śledzić ich rozmowę.

Niemiec przerwał im.

- Oto dokumenty do podpisania. - Podał je Russellowi. - Gdyby mógł pan...

Russell przejrzał je, a następnie wyjaśnił Eleanor McKinley ich zasadniczą treść.

- Są tu dwie rzeczy. Jedna to raport ze śledztwa wraz z zeznaniami świadków oraz wniosek policji, że Tyler popełnił samobójstwo. Potrzebny im pani podpis, żeby zamknąć sprawę. Drugi dokument oddała prawa pani rodziny do dochodzenia przyczyny zgonu. To dlatego, że zabiera go pani do domu.

- Rozumiem - odparła.

- Przeczytam je więc.

- Nie, nie, proszę się nie trudzić - odpowiedziała, wyjmując paczkę Chesterfieldów z torebki. - Nie będzie pan miał nic przeciwko, jeżeli zapalę? - zwróciła się do Oehma, wyjaśniająco podnosząc papierosa.

Russell poczuł się zbity z tropu.

- Rozumie pani, że zaakceptowanie tej wersji wydarzeń zwalnia ich od jakiegokolwiek dalszego śledztwa? - spytał.

- A czy są jakieś inne wersje? - odpowiedziała pytaniem.

- Nie. Ja tylko chciałem się upewnić, że wie pani, iż to kładzie kres wszelkim...

- Dobrze - przerwała. Na migi pokazała Oehmowi, że chce pisać, a on podał jej swoje pióro.

- Tutaj i tutaj - wskazał Russell, kładąc przed nią papiery. Podpisała oba, zamazyście kreśląc „Eleanor V. Tyler”.

- I to tyle? - spytała.

- Tyle.

- Co z Tylerem... to znaczy, z ciałem?

Russell zapytał Oehma. Zdaniem komisarza ciało wciąż znajdowało się w kostnicy, ale zatelefonował, żeby to sprawdzić. Miał rację.

- Musi dokonać formalnej identyfikacji, zanim będą mogli je wydać - Oehm oznajmił Russellowi po niemiecku. - Ale nie teraz, ciągle starają się naprawić mu twarz. Jeżeli przyjdzie o jedenastej, będą mieli aż nadto czasu, żeby zapieczętować je do transportu i przewieźć na Lehrter.

Russell przekazał kluczowe punkty.

- Nie możemy teraz tego zrobić? - spytała.

- Nie, obawiam się, że nie.

Skrzywiła się, ale nie naciskała.

- W porządku. Cóż, wyjdźmy z tego okropnego miejsca. - Podała Oehmowi rękę i posłała mu najbledszy z możliwych uśmiechów, po czym skierowała się do drzwi. - Chyba zamiast tego mogę odwiedzić mieszkanie Tylera - powiedziała, gdy wracali do wyjścia.

- Pójdzie pan ze mną - dodała. To było bardziej założenie niż pytanie.

Wzięli taksówkę. Gdy jechali przez starówkę, siostra McKinleya nie odezwała się ani słowem, tylko wyglądała przez okno. Kiedy skręcali przez Spittelmarkt w kierunku Dönhoffplatz i początku Lindenstrasse, mruknęła coś do siebie, po czym odwróciła się do Russella i powiedziała:

- Nigdy nie widziałam tak szarego miasta.

- Pogoda nie pomaga - odparł.

Neuenburgerstrasse spodobała jej się jeszcze mniej. Frau Heidegger wspięła się po schodach, żeby ich wpuścić, i nalegała, żeby Russell przekazał jej najszczęsne kondolencje.

- I niech pan powie Fräulein McKinley, jak bardzo lubiłam jej brata - dodała. - Jak bardzo wszyscy go lubiliśmy.

Russell zrobił, co mu polecono, a siostra McKinleya posłała w kierunku Frau Heidegger kolejny ze swoich śladowych uśmiechów.

- Niech pan jej powie, że chcielibyśmy zostać sami - odezwała się po angielsku.

Russell przekazał wiadomość. Frau Heidegger wyglądała na nieco dotkniętą, ale zniknęła na schodach.

Eleanor usiadła na łóżku i po raz pierwszy wyglądała tak, jakby śmierć brata coś dla niej znaczyła.

Russell pomyślał, że nadeszła ta chwila. Musiał coś powiedzieć.

- Trudno mi uwierzyć, że pani brat się zabił - zaczął, badając grunt.

Westchnęła.

- Cóż, zrobił to. W taki czy inny sposób.

- Przykro mi...

Wstała i podeszła do okna.

- Nie wiem, ile było panu wiadomo o pracy Tylera...

- Wiem, że pracował nad czymś ważnym.

- Nad ujawnieniem jakiegoś strasznego nazistowskiego spisku? - spytała.

- Być może.

Uzmysłowił sobie, że jest rozgniewana. Wściekła.

- Cóż, to całkiem skuteczny sposób na popełnienie samobójstwa, nie sądzi pan?

Russell powstrzymał się od odpowiedzi. Kiedyś sam prawie to samo mówił McKinleyowi.

- Niech pan spojrzy - powiedziała, omiatając wzrokiem pokój.

- Życie, jakie wybrał - dodała z goryczą.

„A czego ty nie mogłaś zrobić”, pomyślał Russell. Niechętnie porzucił myśl o poproszeniu jej o pomoc w sprawdzeniu poste restante.

Podniosła fajkę McKinleya, rozejrzała się i wzięła jedną z jego skarpet, żeby ją tym owinać.

- To zabiorę - oświadczyła. - Czy może pan pozbyć się reszty rzeczy?

- Tak, ale...

- Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek inny miał z nich wielki pożytek.

- Dobrze.

Russell odprowadził ją na dół i do czekającej taksówki.

- Dziękuję panu za pomoc - powiedziała. - Nie przypuszczam, żeby miał pan czas jutro rano? Przydałaby mi się pomoc w kostnicy. Mój pociąg odjeżdża o trzeciej i nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienia. No i jakieś wsparcie moralne też byłoby miłe - dodała, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niej, że identyfikowanie brata może się wiązać z emocjonalnym napięciem. - Stawiam lunch - zachęciła.

Russell miał ochotę odmówić, ale nie planował żadnych innych spotkań. „Bądź wspaniałomyślny”, powiedział sobie.

- Umowa stoi - zgodził się.

- Niech pan przyjedzie po mnie do Adlonu - poinstruowała go. - Około dziesiątej trzydzieści.

Patrzył, jak taksówka skręca za róg w Lindenstrasse i znika.

Było mu żal McKinleya, a może nawet jeszcze bardziej żałował jego siostry.

Zjawił się w Adlonie tuż przed dziesiątą i zastał w herbaciarni Jacka Slaneya siedzącego nad gazetą.

- Mam coś dla ciebie - odezwał się Russell, siadając i odliczając dziewięćdziesiąt reichsmarek, jakie był mu winien po ostatniej grze w pokera.

- Nagły spadek? - spytał Slaney.

- Coś w tym rodzaju.

- Co tu robisz? - zaciekawiał się Amerykanin, dając znak kelnerowi, żeby podszedł przyjąć zamówienie na dwie kawy.

Russell wyjaśnił mu.

- To był miły dzieciak - powiedział Slaney. - Szkoda, że jego rodzina nie jest taka.

- Stryj nie należy do twoich ulubionych senatorów?

Slaney zaśmiał się.

- To wielki przyjaciel nazistów, antysemita w każdym calu. Ta sama zdarta płyta: z jednej strony, że powinniśmy zostawić Europę w spokoju, z drugiej, że powinniśmy zdać sobie sprawę, iż Anglia i Francja ledwo się trzymają, a Niemcy to rosnąca potęga, nasz naturalny sojusznik. Jednym słowem, jak zwykle chodzi o biznes. Brat senatora, tata McKinleya, zainwestował tutaj kupę forsy. Jedne zakłady w Düsseldorfie, kolejne w Stuttgarcie. Dobrze wyjdą na wojnie, o ile będziemy się trzymać od niej z dala.

- Córka jest nie całkiem łagodna i milutka - przyznał Russell.

- Wiem. Hej! - Slaney przerwał sam sobie. - Słyszałeś najnowsze wieści? Podczas weekendu jakiś członek szwedzkiego parlamentu nominował Hitlera do Pokojowej Nagrody Nobla. Napisał list z rekomendacją, i gotowe. - Slaney przerzucił stronicę swojego notesu. - Wychwalał „jawne umiłowanie pokoju przez Hitlera, najlepiej udokumentowane w jego słynnej książce Mein Kampf”.

- To zgrywa, prawda?

- Oczywiście. Ale co najmniej jedna niemiecka gazeta tego nie załapała. Opublikowali to wszystko, jakby było sprawdzone niczym koszerne żarcie. - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się w głos, przyciągając spojrzenia całej sali.

O 10:30 Russell poprosił recepcjonistę, żeby dał znać Eleanor, iż czeka w lobby. Pojawiła się kilka minut później. Tym razem garsonka miała barwę ciemnego szkarłatu, a jedwabna apaszka lśniła złotem. Obcasy były wyższe, szwy na pończochach proste jak strzała. Futrzany płaszcz wyglądał na kosztowny.

- Nie wygląda, jakby szykowali się do wojny - powiedziała w taksówce jadącej po Unter Den Linden.

W kostnicy już na nich czekali. Ciało McKinleya zostało ułożone na wózku pośrodku przestronnej chłodni. Siostra pewnym krokiem ruszyła naprzód, stukając obcasami po

wypolerowanej podłodze, lecz nagle zawahała się i obejrzała na Russella. Podeszedł bliżej, wziął ją pod rękę i razem zblżyli się do wózka. Białe prześcieradło zakrywało wszelkie obrażenia poniżej szyi, jakie odniósł jej brat. Znajoma burza ciemnych włosów została wypalona z przodu, a cała lewa strona twarzy wydawała się pociemniała pod pogrzebowym makijażem. Oczy wyglądały tak, jakby ponownie włożono je w oczodoły; jedno nie zamknęło się do końca i zapewne nigdy już nie miało się zamknąć. Dolną wargę przyszyto, przypuszczalnie po tym, jak McKinley ją przegryzł. Brzydka czerwonobrazowa rana ciągnęła się wokół szyi Amerykanina nad brzegiem prześcieradła, każąc Russellowi zastanawiać się, czy głowa Tylera została odcięta.

- To on - Eleanor oznajmiła głosem drżącym z napięcia, nad którym z trudem panowała.

Podpisała niezbędne dokumenty na małym stoliku przy drzwiach i wyszła z sali nie oglądając się za siebie. Przez pierwszą połowę drogi powrotnej do hotelu Adlon siedziała w milczeniu, wpatrując się w okno z gniewnym grymasem na twarzy. Gdy przecięli Friedrichstrasse, spytała Russella, od jak dawna mieszka w Berlinie, ale prawie nie słuchała jego odpowiedzi.

- Niech pan wejdzie na górę - powiedziała, kiedy dotarli do lobby, i szybko obejrzała się na niego, by się upewnić, czy nie wyczytał czegoś niewłaściwego w tym zaproszeniu.

Jej apartament był skromny, lecz zawsze to apartament. Na łóżku leżała otwarta walizka, do połowy wypełniona ubraniami i otoczona różnymi drobiazgami.

- To zajmie tylko minutę - powiedziała i zniknęła w łazience.

Pewna rzecz na łóżku przykuła uwagę Russella - jedna z tych małych szarych płóciennych toreb, jakich Kripo używało do przechowywania osobistych przedmiotów.

Z łazienki nie dochodził żaden dźwięk. „Teraz albo nigdy”, powiedział sobie Russell.

Jednym susem znalazł się przy łóżku, poluzował sznurek i zajrzał do wnętrza torby. Była niemal pusta. Wysypał zawartość na łóżko i rozgarnął ją palcami. Reporterski notatnik - prawie niezapisany. Niemieckie banknoty o wartości blisko trzystu reichsmarek. Prasowa akredytacja McKinleya. Jego paszport.

W łazience rozległ się szum wody spuszczonej w toalecie. Russell wsunął sobie paszport do kieszeni, wepchnął resztę z powrotem do torby, zaciągnął sznurek i pospiesznie odsunął się od łóżka.

Wyszła z łazienki, popatrzyła na bałagan na łóżku, spoglądając - a przynajmniej tak się zdawało Russellowi - prosto na torbę. Wyciągnęła rękę, podniosła ją... i włożyła do walizki.

- Pomyślałam, że zjemy tutaj - powiedziała.

Pięć minut później siedzieli w hotelowej restauracji.

Zamknawszy brata w głębi jakiejś emocjonalnej szkatuły, pogodnie gawędziła o Ameryce, swoim psie, o obsadzeniu Vivien Leigh w roli Scarlett O'Hary w nowym filmie „Przeminęło z wiatrem”. Wszystko to miało oschły ton, ale taka właśnie była.

Kiedy zjedli, Russell przypatrywał się, jak rozgląda się po sali, i usiłował zobaczyć ją jej oczyma - tłum eleganckich ludzi, większość kobiet w modnych sukniach, wielu spośród mężczyzn w idealnie skrojonych mundurach. Zajadający smaczne potrawy, pijący wyborne wina. Całkiem jak w domu.

- Czy sądzi pan, że będzie wojna? - spytała zniecierpliwiona.

- Niewykluczone - odrzekł.

- Ale co oni mogliby na niej zyskać? - pytała dalej, szczerze zdumiona. - Chodzi mi o to, że przecież widać, jak dobrze prosperuje ten kraj, jacy są zadowoleni. Po co ryzykować to wszystko? Russell nie miał ochoty dyskutować z nią o polityce. Wzruszył ramionami, zgadzając się z jej konsternacją, i spytał, jak minął jej lot przez Atlantyk.

- Okropnie - odpowiedziała. - Taki hałas, chociaż po jakimś czasie do tego przywykłam. Ale to straszne uczucie, znajdować się pośrodku oceanu i wiedzieć, że w promieniu tysięcy mil nie ma żadnej pomocy.

- Czy wraca pani w ten sam sposób?

- Och, nie. To papa nalegał, żebym tak podróżowała w tę stronę. Uważał, że to ważne, abym się tutaj prędko dostała, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego. Nie, wracam statkiem. Z Hamburga. Mój pociąg odjeżdża o trzeciej - dodała, zerkając na zegarek. - Czy zabierze mnie pan na dworzec?

- Oczywiście.

Na górze patrzył, jak upycha pozostałe rzeczy do walizki, i wydał ciche westchnienie ulgi, kiedy poprosiła go, żeby ją dla niej zamknął. Taksówka zawiozła ich na Lehrter Bahnhof, gdzie ekspres DZug już czekał na peronie z obsługą kręcącą się przy każdych drzwiach.

- Dziękuję za pańską pomoc - powiedziała, wyciągając rękę.

- Przykro mi z powodu okoliczności - odparł Russell.

- Tak - zgodziła się, choć bardziej z rozdrażnieniem niż smutkiem. Odwracając się, sięgnęła po papierosa.

Blżej przodu pociągu trzej tragarze ładowali trumnę do wagonu bagażowego. Russell przystanął i patrzył, jak z łoskotem stawiają ją pod ścianą w głębi. Już miał im powiedzieć, żeby okazali odrobinę szacunku, ale jaki to miałoby sens? Ruszył dalej i wspiał się po schodach na perony kolejki miejskiej, przerzuconej nad wylotem głównych linii dworca. Pociąg wturlał się tam prawie w tej samej chwili i trzy minuty później Russell schodził na perony metra przy Friedrichstrasse. Po drodze do Neukölln przeczytał porzucony przez kogoś numer Volkischer Beobachter, lecz jedyny interesujący artykuł dotyczył studenckiego partyjnego lidera w Heidelbergu. Zakazał on swoim studentom tańczyć lambethwalk, argumentując to tym, że jest on obcy niemieckiemu stylowi życia i nie przystaje do narodowosocjalistycznego zachowania.

Russell był ciekaw, ilu Niemców korciło, by zatańczyć lambethwalk?

Na pewno nie rodzinę w atelier Zembskiego, tego mógł być pewien. Zjawili się tam, żeby zrobić sobie portret - ojciec w mundurze SA, żona w najlepszym niedzielnym ubraniu oraz trzy córki o blond włosach, wszystkie z mysimi ogonkami i w świeżo uprasowanych mundurkach BDM[13]. Nazistowski raj.

Russell przyglądał się, jak potężny Ślązak ciężko stąpa wokół nich, sprawdzając oświetlenie i ustawiając dekoracje imitujące wnętrze salonu. W końcu efekt go zadowolił.

- Uśmiech - powiedział, i trzasnął przesłoną. - Jeszcze jedno - dodał - i tym razem z uśmiechem.

Żona posłuchała go, dziewczęta próbowały, ale ojciec z uporem zachował srogi wyraz twarzy.

Russell zastanawiał się, co dzieje się w umyśle Zembskiego w chwilach takich jak ta. Znał Ślązaka ledwie od paru lat, ale słyszał o nim na długo przedtem. W kręgach niemieckich komunistów, z którymi on i Ilse swego czasu często się spotykali, Zembski był znany jako rzetelne źródło wszelakich usług fotograficznych; krążyły też wiarygodne pogłoski, że był kluczowym członkiem PassApparatu, działającej w Berlinie kominternowskiej wytwórni podrabianych paszportów i innych dokumentów. Russell nigdy nie ujawnił swojej wiedzy na temat przeszłości Zembskiego. Jednak był to jeden z powodów, dla którego zatrudnił go do realizowania wszystkich swoich fotograficznych potrzeb. To oraz fakt, że lubił tego człowieka. I jego niskie ceny.

Patrzył, jak Zembski odprowadza rodzinę aż na ulicę, obiecując odbitki przed końcem tygodnia. Zamknąwszy za nimi drzwi, Ślązak wzniosł oczy do nieba.

- Czy tak trudno się uśmiechnąć? - zadał retoryczne pytanie. - Ale on, oczywiście, będzie zachwycony. I tylko mam nadzieję, że żona nie zostanie stłuczona na kwaśne jabłko za

to, że zrobiła radosną minę. - Podeszedł do lamp łukowych i wyłączył je. - A czym panu mogę służyć, panie Russell?

Russell wskazał ruchem głowy na małe biuro, przylegające do atelier.

Zembski popatrzył na niego, wzruszył ramionami i zrobił zapraszający gest. Po obu stronach biurka wciśnięte było po jednym krześle.

- Mam nadzieję, że to pornografia, a nie polityka - odezwał się Ślązak, gdy już znaleźli się w środku. - Chociaż ostatnio trudno to rozróżnić.

Russell pokazał mu paszport McKinleya.

- Muszę mieć w nim swoją fotografię. Liczyłem na to, że pan się tym dla mnie zajmie albo nauczy mnie, jak sam mogę to zrobić. Zembski nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Dlaczego sądzi pan, że ja to potrafię?

- Sam też kiedyś byłem w partii.

Brwi Zembskiego podjechały do góry.

- Ach. Wiele się zmieniło od tamtej pory, przyjacielu.

- Tak, ale pewnie nadal używają tego samego kleju w paszportach. A pan chyba pamięta, jaki rozpuszczalnik zastosować. Zembski pokiwał głową.

- Takich rzeczy się nie zapomina. - Przyjrzał się paszportowi McKinleya. - Kto to jest?

- Był. To amerykański dziennikarz, który w zeszły weekend rzucił się pod pociąg na Dworcu ZOO. Rzekomo się rzucił.

- Coraz lepiej - Ślązak skwitował oschle. Otworzył szufladę, wyjął szkło powiększające i przypatrzył się fotografii. - Wygląda na dosyć proste.

- Zrobi pan to?

Zembski rozsiadł się na krześle, sprawiając, że alarmująco jęknęło.

- Czemu nie?

- Ile?

- Ach. Zależy. Do czego to? Nie chcę szczegółów - dodał pośpiesznie - tylko jakiegoś zapewnienia, że to nie trafi na biurko Gestapo.

- Potrzebuję go, żeby odzyskać pewne dokumenty. Do artykułu.

- Niezbyt przyjaznego Führerowi?

- Nie.

- Zatem udzielę panu rabatu za dobre intencje. Ale i tak to będzie pana kosztowało sto reichsmarek.

- Uczciwa cena.

- Gotówką.

- Dobrze.

- Zatem od razu zrobię zdjęcie - oznajmił Zembski, wydobywając masywne cielsko z ciasnej przestrzeni i przeciskając się przez drzwi do studia. - Zwyczajne tło - mrucał na głos, wpatrując się w oryginalną fotografię. - To się nada - powiedział, dosuwając ekran do ściany i ustawiając przed nim stół.

Russell usiadł.

Zembski podniósł aparat oraz statyw i ulokował je w odpowiednim miejscu. Po założeniu nowego filmu zmrużył oczy, spoglądając przez obiektyw.

- Niech się pan postara wyglądać na Amerykanina - polecił.

- Jak, u diabła, mam to zrobić? - spytał Russell.

- Niech pan wygląda optymistycznie.

- Spróbuję.

- Mówiłem „optymistycznie”, a nie rozanielony.

Russell wyszczerzył zęby w uśmiechu, i rozległ się trzask migawki.

- Spróbujmy na poważnie - powiedział Zembski.

Russell zasznurował wargi.

Migawka trzasnęła znowu. I znowu. I jeszcze kilka razy.

- Wystarczy - Ślązak powiedział w końcu. - Będę go miał gotowy na poniedziałek.

- Dziękuję. - Russell wstał. - Jeszcze jedno. Czy może przypadkiem nie zna pan jakiegoś dobrego miejsca, w którym można kupić używany samochód?

Zembski znał takie - jego kuzyn w Wedding posiadał warsztat, w którym często bywały auta na sprzedaż.

- Niech mu pan powie, że ja pana przysyłam - powiedział, udzieliwszy Russellowi wskazówek - to może dostanie pan kolejny rabat. My, Ślązacy, mamy serce na dłoni - dodał, a podbródki zatrzęsły mu się ze śmiechu.

Russell przeszedł krótki odcinek dzielący go od metra, po czym zmienił zdanie i usiadł pod wiatą na przystanku tramwajowym. Spoglądając w głąb jasno oświetlonej Berlinerstrasse w kierunku atelier Zembskiego zastanawiał się, czy właśnie nie przekroczył bardzo niebezpiecznej linii. Nie, uspokajał sam siebie, on tylko zamówił sfalszowany paszport. Przekroczy tę linię, gdy się nim posłuży.

Następnego ranka po lekcji z pannami Wiesner Russell ruszył na miasto w

poszukiwaniu kuzyna Zembskiego. Znalazł warsztat przy jednej z bocznych uliczek Wedding, wciśnięty między browar a tylną ścianę lokomotywowni, jakieś pół kilometra od dworca Lehrter. Hunder, kuzyn Zembskiego, także był mężczyzną słusznej postury, lecz wyglądał na znacznie lepiej wysportowanego niż Zembski. Na pierwszy rzut oka pracowało dla niego pół tuzina młodych mężczyzn, a większość z nich chyba ledwie skończyła szkołę.

Samochody na sprzedaż stały w rzędzie na tyłach. Było ich cztery: hanomag, opel, hansalloyd i jeszcze jeden opel.

- Dowolny kolor, jaki się chce, o ile to będzie czarny - mruknął Russell.

- Możemy przemalować - zapewnił go Hunder.

- Nie, czarny wystarczy - odpowiedział Russell. „Im bardziej anonimowy, tym lepiej”, pomyślał. - Ile kosztują? - spytał. Hunder podał ceny.

- Minus dziesięć procent zniżki dla przyjaciela mojego kuzyna - dodał. - I pełny bak. I gwarancja, na miesiąc.

Większy hansalloyd prezentował się elegancko, ale ceną wykraczał poza możliwości Russella. A nigdy nie podobały mu się ople.

- Czy mogę wziąć hanomaga na próbną jazdę? - spytał.

- Umie pan prowadzić? - upewnił się Hunder.

- Tak. - Podczas wojny Russell prowadził ciężarówki, a znacznie później on i Ilse mieli własny samochód, wczesny model forda, który sromotnie zakończył żywot na drodze do Poczdamu niedługo potem, jak podobny los podzieliło ich małżeństwo.

Usadowił się na fotelu kierowcy, pogodnie pomachał na pożegnanie zaniepokojonemu Hunderowi i wyjechał z podwórza za warsztatem. Prowadzenie wydało mu się dziwne po tylu latach, ale całkiem proste. Przejechał wzdłuż ciągnących się towarowych ramp dworca Lehrter, przez środek Moabitu i dalej Invalidenstrasse. Samochód wyglądał wewnątrz trochę nędznie, ale dobrze się prowadził, a odgłos silnika brzmiał całkiem równo. Russell zatrzymał się przy basenie portowym Humboldthafen i wgramolił się pod podwozie. Zobaczył trochę rdzy, ale nie nazbyt wiele. Żadnego śladu wycieku i nic nie zdawało się odpadać. Otrzeptał się i obszedł pojazd dokoła. Komora silnika wyglądała dosyć porządnie. Opony przydałoby się wymienić, ale niekoniecznie od razu. Światła działały. Co prawda to nie austrodaimler, ale będzie musiał wystarczyć. Russell wrócił do warsztatu i oznajmił Hunderowi, że kupuje wóz. Wypisując czek, powtarzał sobie, ile zaoszczędzi na biletach tramwajowych i kolejowych.

Kiedy jechał do domu, wciąż było dopiero wczesne popołudnie, i na ulicach - za wyjątkiem Potsdamerplatz - panował względny spokój. Russell zaparkował na podwórzu i pożyczył wiadro, gąbkę i szczotkę od podekscytowanej Frau Heidegger. Stojąc na stopniach,

kobieta przyglądała się, jak czyści samochód z zewnątrz i w środku, a na jej twarzy malował się wyraz wyczekiwania.

- Szybka przejażdżka? - zaproponował. Nie trzeba jej było usilnie namawiać.

Pojechał przez Hallesches Tor do Viktoria Park, uważnie nasłuchując wszelkich oznak kłopotów silnika na stromiznie. Żadnych nie było.

- Nie byłam tu od lat! - wykrzyknęła Frau Heidegger, oglądając przez przednią szybę panoramę Berlina, gdy na luzie zjeżdżali ze wzgórza.

Kilka godzin później Effi była równie rozentuzjasmowana. Jej gniew na Russella ulotnił się w chwili, gdy tylko zobaczyła samochód.

- Naucz mnie prowadzić - nalegała.

Russell wiedział, że zarówno ojciec jak i były mąż odmówili uczenia jej - pierwszy dlatego, że obawiał się o swoje auto, a drugi ponieważ obawiał się o swoją pozycję towarzyską. W nowych Niemczech nie zachęcano kobiet do prowadzenia aut.

- Dobrze - zgodził się. - Ale nie dzisiaj wieczorem - dodał, gdy ruszyła w stronę siedzenia kierowcy.

Od nowoczesnego bloku w Wilmersdorf, w którym znajdowało się mieszkanie Conwayów, dzieliło ich dziesięć minut jazdy. Hanomag wyglądał trochę jak kopciuszek przy innych samochodach zaparkowanych przed budynkiem.

- Nie przejmuj się - powiedziała Effi, poklepując maskę wozu. - Potrzebne nam imię - oświadczyła Russellowi. - Coś staroświeckiego i wiarygodnego. Może „Hindenburg”?

- Nie żyje - skrzywił się Russell.

- Masz rację. To może „Mamuśka”?

- Na mojej nie można polegać.

- Och, w porządku. Pomyślę nad tym.

Pojawili się jako ostatni. Phyllis Conway jeszcze układała dzieci spać, pozostawiając Dougowi rozdawanie drinków. Przedstawił Russella i Effi trzem pozostałym parom, z których dwie - Neumaierowie i Auerowie - to byli Niemcy. Hans Neumaier pracował w bankowości, a jego żona zajmowała się dziećmi. Rolf i Freya Auerowie byli właścicielami galerii sztuki. Trzecim małżeństwem byli następcy Conwaya, Martin Unsworth, i jego żona Fay. Każda z obecnych osób, jak szacował Russell, albo zbliżała się do trzydziestki, właśnie się nią cieszyła, albo od niedawna miała za sobą. Hans Neumaier był prawdopodobnie najstarszy, zaś Fay Unsworth najmłodsza.

Effi zniknęła, żeby poczytać dzieciom bajkę na dobranoc, zostawiając Russella i Douga Conwaya samych przy barku.

- Zapraszałem Wiesnerów - powiedział mu Conway. - Pojechałem się z nimi zobaczyć. - Pokręcił głową. - Myślę, że było im miło, iż zostali zaproszeni, ale nie przyjdą. Przypuszczam, że nie chcą ryzykować zwracania na siebie uwagi, w trakcie oczekiwania na wizy. A przy okazji, mówią o tobie w samych superlatywach.

- Czy nic nie możesz zrobić, żeby przyspieszyć ich wizy?

- Nic. Próbowałem, wierz mi. Zaczynam sądzić, że ktoś w systemie ich nie lubi.

- Dlaczego, na miłość boską?

- Nie wiem. Będę się dalej starał, ale... - Pozwolił, by ostatnio słowo zawisło w powietrzu. - Och - powiedział, sięgając do kieszeni marynarki i wyciągając dwa bilety. - Dzisiaj je dostałem. Brahms i coś jeszcze, w Filharmonii, jutro wieczorem. Chciałbyś je? My nie możemy pójść.

- Dzięki. Effi się ucieszy.

- Co ona teraz porabia? „Barbarossa” już się skończył, czyż nie?

- Tak. Ale lepiej zapytaj ją o następny projekt.

Conway uśmiechnął się szeroko.

- Zapytam. Chodź, lepiej dołączmy do pozostałych.

Wieczór upływał w miłej atmosferze. Rozmowa toczyła się podczas obiadu i później, prawie w całości po niemiecku, więc Conwayowie na zmianę tłumaczyli ją dla Fay Unsworth. Niemcy byli w typie potomków zamożnych rodzin z klasy średniej, którzy w dalszym ciągu dobrze prosperowali pod rządami nazistów, ale - zwłaszcza w towarzystwie cudzoziemców - ochoczo demonstrowali, w jaką konsternację wprawia ich obecny rząd.

Obaj mężczyźni oraz Freya Auer zachwycili się dokonaniem przez Effi streszczeniem scenariusza „Matki”, z ironią wznosząc owacje, gdy opisała finałową scenę przy szpitalnym łóżku. Tylko Ute Neumaier wyglądała na zakłopotaną. Zapewne w gronie znajomych gospodyń domowych w Grunewald opowie tę historię z zupełnie innego punktu widzenia.

Rolf Auer został zachęcony do przekazania najnowszych wieści, jakie usłyszał tego popołudnia. Goebbels wyrzucił pięciu najsłynniejszych niemieckich radiowych komików - Wenera Fincka, Petera Sachsego oraz grupę „Die drei Rulands” - z Izby Kultury Rzeszy. Nie będą mogli dalej pracować w Niemczech.

- Kiedy to ogłoszono? - zaciekawiał się Russell.

- Jeszcze nie ogłoszono. Jutro rano będzie duży artykuł w *Beobachterze*. Goebbels tam to ogłosi.

- Ostatnio widziałem Fincka w kabarecie - powiedział Russell.

- Oznajmił, że dawny dział niemieckich bajek został usunięty z programu, ale później

odbędzie się wykład na temat polityki. Wszyscy się roześmieli.

- Będzie im trudno znaleźć pracę gdzieś indziej - stwierdziła Effi. - Ich rodzaj humoru opiera się w całości na specyfice języka.

- Będą musieli przeczekać, aż to wszystko minie - powiedziała Phyllis.

- Jak tylu innych - przytaknął jej mąż.

- Gdzie zniknęła cała sztuka? - Effi spytała Auerów. - Sześć lat temu w Niemczech musiało się znajdować tysiące współczesnych obrazów: grupa Blau Reiter, wcześniej ekspresjoniści, kubiści. Gdzie się to wszystko podziało?

- Mnóstwo tkwi po piwnicach zapakowane w skrzynie - przyznał Rolf Auer. - Wiele zostało zabranych za granicę w pierwszym roku czy niedługo potem, ale od tamtej pory... Sporo należało do Żydów i większość z tego została sprzedana, zwykle za marne grosze. Kupowane głównie przez ludzi, którzy sądzą, że pewnego dnia dobrze na tym zarobią, a czasami przez takich, którym na nich naprawdę zależy jako na dziełach sztuki i którzy chcą je zachować dla przyszłości.

Zabrzmiało to tak, jakby Auerowie posiadali co nieco we własnej piwnicy.

- Słyszałem, że Hermann powiększa swoją kolekcję - wtrącił Russell.

- Ma dobry gust - Auer odparł z ledwie słyszalną nutą sarkazmu. Rozmowa przeszła na architekturę i na plany Speera dla nowego Berlina. Russell przyglądał się i słuchał. „Oto kulturalna rozmowa”, pomyślał. Jednak kultura, jakiej dotyczyła, dreptała w miejscu. Istniała dająca się wyczuć akceptacja dla faktu, że sytuacja kuleje i potrzeba jakichś poprawek oraz, że dopóki nie nastąpią i nie powróci normalne funkcjonowanie, ludzie zmuszeni są do bezruchu. „Państwo utknęło w bezruchu” - pomyślał Russell. Dostrzegał, że Conwayowie już nie mogą się doczekać, by się stąd wydostać; po tym, co się tu działo, Ameryka wydawała się rajem. Unsworthowie nie mieli pojęcia, w co wdepnęli, i o ile nie okażą się znacznie bardziej spostrzegawczy, wyciągną kompletnie mylne wnioski ze spotkań takich jak to. Jednak trzy niemieckie pary - gdyż wliczał tu siebie i Effi - po prostu czekały, że świat pójdzie do przodu; czekały, aż Führer będzie zadowolony.

- Co się z panem stanie, jeśli wybuchnie wojna? - zapytał go Unsworth.

- Domyślam się, że znajdę się w tym samym pociągu co państwo - odpowiedział mu Russell.

Po drugiej stronie stołu Effi wykrzywiła twarz w grymasie.

- To będzie trudne, skoro mieszka pan tu od tak dawna.

- Tak. Mam tu też syna. - Russell wzruszył ramionami. - Ale w przypadku wojny do wyboru będzie wyjazd albo internowanie. W drodze do domu, gdy czekali w ulicznym korku

przy wschodnim wlocie na Ku'damm, Effi nagle odwróciła się do Russella i powiedziała:

- Nie chcę cię stracić.

- Ja też nie chcę stracić ciebie.

Wsunęła mu rękę pod ramię.

- Jak sądzisz, ile potrwa wojna?

- Nie mam pojęcia. Co najmniej kilka lat.

- Może powinniśmy pomyśleć o wyjeździe. Wiem - dodała prędko - że nie chcesz opuszczać Paula. Ale jeżeli będzie wojna i gdzieś cię zamkną, to i tak go opuścisz. A my... Och, sama nie wiem. To wszystko jest takie niedorzeczne.

Russell pokonał autem następne kilka metrów.

- To coś, o czym trzeba pomyśleć. - Rzeczywiście. Miała rację: tak czy owak straci Paula.

No i nie może spędzić reszty życia kurczowo trzymając się chłopca. To nie było w porządku wobec niej. I zapewne także wobec Paula.

- Ja także nie chcę wyjeżdżać, ale...

- Wiem. Myślę, że mamy jeszcze co najmniej kilka miesięcy.

- Pochylił się i pocałował ją, ściągając sobie na głowę wściekle trąbienie klaksonu auta za nimi. - I nie mogę pozwolić, żeby Paul rządził całym moim życiem - dodał, gdy zwalniał sprzęgło, sprawdzając, jak ta myśl brzmi wypowiedziana na głos.

- A przynajmniej nie w nieskończoność. Czy on już widział samochód?

- Nie. Jutro zobaczy.

W sobotę świeciło słońce, pierwszy raz w tym tygodniu. Russell zajechał do domu Gehrtów niedługo po drugiej i na widok prawie nowego horcha Matthiasa mina nieco mu zrzędła. Jak mógł oczekiwać, że jakiś hanomag z 1928 roku wzbudzi entuzjazm Paula?

Niepotrzebnie się martwił. Jego syn, który szczęśliwie zrzucił mundurek *Jungvolk*, był oczarowany samochodem i podekscytowany ożywczą jazdą z prędkością stu kilometrów na godzinę po nowej autostradzie Avus, która zawiodła ich od wschodniego krańca Ku'damm do pierwszego ukończonego odcinka obwodnicy Berlina w okolicach Poczdamu. W drodze powrotnej zatrzymali się na lody w kawiarni z widokiem na Wannsee, i Russell pozwolił synowi operować pompą paliwa w pobliskim warsztacie.

- Ojciec... to znaczy Matthias... nie pozwoliłby mi tego robić - powiedział Paul, z niepokojem wpatrując się w twarz Russella i szukając oznak urazy albo gniewu z powodu

przejęzyczenia.

- Nie szkodzi. Możesz go nazywać ojcem - uspokoił go Russell.

- Skrót od „ojczym”.

- W porządku - zgodził się Paul.

Podczas czterech godzin spędzonych razem jego syn nie wykazywał ani śladu powściągliwości, jaka pojawiła się w rozmowie przez telefon. Russell miał nadzieję, że to tylko coś przelotnego. Miał cudowne popołudnie.

Wieczór także nie był najgorszy. Effi wyglądała oszalamiająco w kolejnej nowej sukni - rola w „Matce” najwyraźniej się opłacała - i trzy osoby z publiczności w Filharmonii podeszły, prosząc ją o autograf, co bezgranicznie ją uradowało. W przeciwieństwie do Russella jako dziecko była karmiona muzyką klasyczną, i teraz siedziała zasluchana, podczas gdy jego myśli błądziły. Gdy rozglądał się po widowni, przyszło mu do głowy, że to jedno z miejsc, w których niewiele się zmieniło. Muzyka była *Judenfrei*, rzecz jasna, a zdjęcie Hitlera dominowało w lobby, jednak krzesła zajmowali ci sami sztywni, przesadnie wystrojeni ludzie, kołyszący wachlarzami i szeleszczący programami. Równie dobrze mógłby to być rok 1928. Albo nawet 1908. W całych Niemczech istnieli ludzie żyjący w bańkach zawieszonych w czasie, takich jak ta. Tak to było i będzie, chyba że Hitler przekroczy o jedną granicę za dużo i wysadzi wszystko w powietrze.

Russell nie mógł się skarżyć na wpływ, jaki muzyka wywarła na Effi - nalegała, żeby pojechali prosto do domu, by się kochać. Później, gdy wyczerpani leżeli bezwładnie pośród pomiętej pościeli, zaśmiewali się ze szlaku ubrań, znikającego w salonie.

- Jak nasz pierwszy raz, pamiętasz? - spytała Effi.

Russell nie potrafił sobie przypomnieć lepszego dnia, i mierzyła go myśl, że ma to zepsuć.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmił, opierając się o zagłówek.

- Pamiętasz, mówiłem ci, że słyszałem pogłoski o tym, jak to planują zmienić przepisy o zapobieganiu chorobom dziedzicznym?

- Tak. - Effi również usiadła.

- Nie słyszałem.

- A więc czemu...?

- Tyler McKinley pracował nad artykułem na ten temat. Namówił mnie, żebym poszedł z nim, kiedy rozmawiał z pewną kobietą w Neukölln.

Russell opowiedział jej o Theresie Jürissen, o Marietcie, o liście KdF do przełożonych klinik i o tym, co według Theresy się w nim znajdowało.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - spytała Effi, bardziej zaskoczona niż rozgniewana.

- Ponieważ ty powiedziałabyś Zarah, a Zarah Jensowi, a ja musiałbym tłumaczyć, skąd mam taką informację.

Spojrzał jej prosto w twarz.

- McKinley nie żyje, Effi. I nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany.

Russell pomyślał, że przyjmując to do wiadomości wyglądała zdumiewająco pięknie.

- A więc dlaczego mówisz mi to teraz? - zapytała ze spokojem.

Westchnął.

- Bo nie znoszę mieć przed tobą sekretów. Bo jestem to winien Zarah. Sam nie wiem. Jak myślisz, czy mogłabyś zaprzysiąc Zarah, żeby dochowała tajemnicy?

- Być może. Ale tak czy owak nie sądzę, żeby Jens cię wydał. Zarah na pewno by go zabiła, gdyby to zrobił. Z mojego powodu, oczywiście, nie z twojego.

- Oczywiście.

- Ale... przykro mi to mówić... wzięwszy pod uwagę zdanie Zarah o tobie, będzie chciała czegoś więcej niż twoje słowo. On również. Będą chcieli jakiegoś dowodu.

- Nie mam im tego za złe. Kiedy ma być ta wizyta u lekarza, o której wspominałaś?

- W poniedziałek.

- Powinna ją odłożyć.

- Jak to miałyby pomóc?

Opowiedział o swoim przecuciu dotyczącym poste restante, o paszporcie McKinleya i zaangażowaniu Zembskiego.

- We wtorek, o ile dobrze zgaduję, mogę odebrać list i cokolwiek jeszcze posiadał McKinley.

- Masz zamiar zgłosić się po niego posługując się podrobionym paszportem? Czy to nie ryzykowne? A jeśli oni tam zapamiętali McKinleya, kiedy go im dawał?

- Nie dałby im go, wysłałby pocztą. Wszystko będzie dobrze.

- Jesteś pewien?

Roześmiał się.

- Nie, oczywiście, że nie.

Niedziela była kolejnym mroźnym i pogodnym dniem. Russell wkrótce po dziesiątej odebrał syna z Grunewald i ruszył autostradą Avus do Poczdamu. Stamtąd pojechali drogą na Lipsk, kierując się na południowy zachód przez Treuenbrietzen i przez wzgórza do

Wittenbergi, zatrzymując się na wczesny lunch przy moście nad Elbą. Dotarli do Lipska półtorej godziny przed rozpoczęciem meczu i zrobili sobie szybką wycieczkę po centrum miasta. Paul jednak niecierpliwił się, żeby znaleźć się na miejscu, tak jakby żywił obawy, że jego ojciec nie znajdzie go na czas.

On zaś znalazł je z dwudziestominutowym zapasem. Podążyli przez kołowrót w przejściu za inną parą złożoną z ojca i syna, noszących barwy Herthy, i posuwali się do miejsca za jedną z bramek, gdzie stało około setki innych, którzy odbyli podróż z Berlina. Stadion był większy niż Plumpe i wydawało się, że przed tym meczem pucharowym kibice wypełnili go prawie po brzegi. Stojąc tam i czekając, aż drużyny wyjdą na boisko, patrząc na ogniki zapalek zapalanych na ocienionej głównej trybunie, Russell poczuł nagłą falę smutku. „Kolejna bańka zawieszona w czasie”, pomyślał. Tłum miejscowych powitał swoją drużynę donośnym rykiem, lecz był to chyba ostatni powód do aplauzu. Drużyna gospodarzy miała jeden z tych dni, kiedy przy niezliczonych okazjach udawało jej się wszystko prócz zdobycia goli, zanim popełniła jeden fatalny błąd w głębi pola. Paul był wniebowzięty i zupełnie nie chciał przyznać, że zwycięstwo Herthy mogło nie być w pełni zasłużone. - Tu chodzi o gole, tato - oświadczył kategorycznie, zanim Russell zdołał zasugerować cokolwiek innego. Po drodze do wyjścia Paul rozglądał się po ziemi w poszukiwaniu porzuconego programu i w końcu znalazł jeden. - Dla Joachima - powiedział z triumfem.

Russell wcześniej zastanawiał się nad zaproszeniem Thomasa i Joachima, by się do nich przyłączyli, jednak uznał, że chce spędzić czas sam na sam z synem. Jeżeli Paul chciał zrzucić coś z piersi, nie zrobiłby tego przy Thomasie i Joachimie, towarzyszącym im w samochodzie.

Ta decyzja przyniosła owoce, chociaż niezupełnie takie, jakich Russell oczekiwał. Zanim opuścili Lipsk zrobiło się już ciemno, drogę oświetlały jedynie ich własne światła oraz od czasu do czasu światła pojazdu jadącego z naprzeciwka. Po obu stronach mrok rozjaśniały tylko słabe latarnie mijanych gdzieś gospodarstw. Jechali od jakichś dziesięciu minut, kiedy Paul przerwał milczenie.

- Tato, myślę, że powinieneś się przeprowadzić do Anglii - wyrzucił z siebie, jak gdyby nie był w stanie dłużej dusić w sobie tej myśli.

- Dlaczego? - spytał Russell, chociaż potrafił domyślić się odpowiedzi.

- No cóż, nic nie poradzisz na to, że jesteś Anglikiem, prawda?

- Nie, nic.

- Ale to nie pomaga. To znaczy, Żydom nie pomaga, co nie?

- Nie - Russell zgodził się z nim. - Co sprawiło, że o tym myślisz? - zapytał. - Czy coś

się stało? Ktoś coś powiedział?

Prawie spodziewał się usłyszeć, że Paul podsłuchał jakąś rozmowę między swoją matką a ojczymem.

- Nie całkiem - odparł Paul. - Na spotkaniu *Jungvolk*... nikt właściwie niczego nie powiedział, ale oni wiedzą, że jestem w połowie Anglikiem, i kiedy na mnie patrzą, to tak jakby nie byli pewni, po której jestem stronie. Nie mówię, że to coś złego być półAnglikiem... To nie jak być w połowie Żydem albo w połowie Polakiem, czy coś w tym rodzaju... I jeśli będzie wojna z Anglią, mogę wszystkim powiedzieć, że jestem wierny Führerowi, ale ty nie będziesz mógł tego zrobić. Nie wydaje mi się, żebyś był bezpieczny w Niemczech. Będziesz znacznie mniej zagrożony w Anglii.

- Być może - mruknął Russell z braku lepszej odpowiedzi.

- Czy Effi nie pojechałaby z tobą?

- Mogłaby.

- Wiesz, ja ją naprawdę lubię - Paul uśmiechnął się.

- Wiem, że ją lubisz. I cieszę się.

- Nie chcę, żebyś jechał. Ja tylko...

- Co takiego?

- Ja tylko nie chcę, żebyś zostawał z mojego powodu. W przyszłym miesiącu skończę dwanaście lat. Nie będę już długo dzieckiem.

- Myślę, że masz przed sobą jeszcze kilka lat.

- No tak, ale... - chłopak odwrócił twarz.

- Rozumiem, co chcesz powiedzieć. I doceniam. Ale nie chcę, żebyś się tym martwił. Jeżeli nadejdzie wojna, prawdopodobnie będę musiał wyjechać, nie będzie wyboru. Jednak do tej pory, cóż, nie mogę wyjechać, dopóki ciągle gramy o puchar, prawda?

Po odwiezieniu Paula, Russell znalazł bar w pobliżu Hochmeisterplatz i prawie godzinę przesiedział nad drogą podwójną whisky. Jego życie zdawało się rozpadać w zwolnionym tempie bez wyraźnej wskazówki, gdzie poszczególne kawałki powinny trafić. Przeniesienie się do Anglii mogło wyglądać na rozsądny krok, lecz to właśnie odpowiedzialne działania wpędziły go w obecne tarapaty. Pomyślał, że dziwaczność jego sytuacji może się okazać obosiecznym mieczem. Może oznaczać śmierć dla niego albo przynajmniej kres tych związków, które przez kilka ostatnich lat nadawały sens jego życiu. Co do tego nie miał wątpliwości. Ale czy istniała również szansa, by zdołał wykorzystać tę sytuację, aby ocalić

siebie oraz owe związki? Szczepkin, Kleist i TrelawneySmythe nie mieli skrupułów, wykorzystując go. On także nie miał oporów, by posłużyć się nimi. Czy jednak zdoła sobie z tym poradzić? Czy nadal jest wystarczająco szybki? I dość odważny, by się o tym przekonać? Jadąc Ku'damm na wschód w kierunku mieszkania Effi uzmysłowił sobie, że tego nie wie. Jednak, jak mówił sam sobie, myśląc głównie o Wiesnerach, to był kolejny znak czasów. Kiedy bańki zawieszane w czasie pękają, człowiek dowiaduje się o sobie rozmaitych rzeczy, których zapewne wcale nie chciałby wiedzieć. I być może, jeżeli ktoś ma szczęście, paru takich, które go ucieszą. Gdy tylko znalazł się u Effi, został przez nią dosłownie wepchnięty do kuchni.

- Zarah tu jest - wyszeptała. - Mówiłam jej o liście do dyrektorów zakładów, ale ani słowa o tym, że wiesz, gdzie on teraz jest. Ani o paszporcie. W porządku?

- W porządku - przytaknął Russell.

Lothar też tam był; siedział z matką na sofie nad książeczką z obrazkami.

- Pamiętasz wujka Johna? - spytała go Effi.

- Nie - odpowiedział wyniośle, na moment podnosząc wzrok i uznając, że Russell jest mniej interesujący niż jego książeczka. Jeżeli cokolwiek mu dolegało, nie była to ta sama przypadłość, która dotknęła Mariettę. Russell pochylił się, żeby pocałować nadstawiony policzek Zarah. Starsza siostra Effi była atrakcyjną kobietą w wieku około trzydziestu pięciu lat, wyższą i silniejszej budowy niż Effi, o wydatniejszym biuście i szerszych biodrach. Jej falujące kasztanowe włosy, zazwyczaj spadające na ramiona, były upięte w ciasny kok, a pod brązowymi oczami widniały ciemne podkawy wynikające z wyczerpania - albo ze smutku. Russell nigdy tak naprawdę nie miał nic przeciwko Zarah, lecz nigdy też nie czuł z nią autentycznej więzi. Nie miała w sobie ani krzty nieustraszonego apetytu na życie, cechującego jej młodszą siostrę; Zarah była tą ostrożną, odpowiedzialną, tą, która zawsze szukała bezpieczeństwa w konwenansach, czy to w kwestii poglądów czy mężów. Z punktu widzenia Russella jej pozytywną cechą było rzucające się w oczy oddanie siostrze.

- Effi opowiedziała mi, co jej mówiłeś - zaczęła - ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Russell zrelacjonował jej wizytę swoją i McKinleya u Theresy Jürissen, pomijając tylko jej nazwisko.

- Ona ukradła ten list? - spytała Zarah, jak gdyby nie potrafiła uwierzyć, że ludzie robią takie rzeczy.

- Była zdesperowana.

- To mogę zrozumieć - powiedziała Zarah, zerkając na Lothara radośnie zajętego książeczką. - Ale czy jesteś pewien, że mówiła prawdę?

- Na ile tylko mogę być.

- Ale nie znasz żadnych szczegółów tych nowych przepisów, o których rozmawiali lekarze? Jaka jest ich treść? Kogo będą dotyczyć? - Nie. Jednak jakakolwiek by nie była, najpierw będą musieli zrobić spis wszystkich, którzy cierpią na różne schorzenia. Wszystkie instytucje i lekarze zostaną poproszeni o dostarczenie list, żeby dokładnie wiedzieli, z czym mają do czynienia. I każde dziecko na tej liście stanie się podmiotem tych nowych przepisów, jakiegokolwiek one są. Właśnie dlatego uważam, że powinnaś odwołać wizytę. Zaczekaj, aż będę mógł powiedzieć coś więcej.

- Ale kiedy to będzie?

- Liczę na to, że niedługo.

- Ale co, jeżeli nie? - Russell zdał sobie sprawę, że Zarah za chwilę wybuchnie płaczem. - Muszę z kimś o nim pomówić. Russellowi zaświtał pewien pomysł.

- A może za granicą? Jedź do Holandii albo do Francji. Albo nawet do Anglii. Tam odwiedź specjalistę. Nikt tutaj się nie dowie. Patrzył, jak jej oczy przybierają surowy wyraz na wspomnienie poniechanej aborcji, a potem znów łagodnieją, gdy pomysł wreszcie do niej dotarł.

- Mogłabym, czyż nie? - powiedziała po części do samej siebie, po części do Effi. - Dziękuję, John - powiedziała do niego.

- Czy Jens się na to zgodzi? - spytała Effi.

- Tak, myślę, że tak.

- Rozumiesz, jakie to będzie groźne dla Johna, jeżeli ktokolwiek dowie się o tych przepisach? - naciskała Effi.

- Och, tak.

- I dopilnujesz, żeby Jens też to zrozumiał.

- Tak, tak. Wiem, że nie zgadzacie się ze sobą w kwestii polityki - zwróciła się do Russella - ale Jens uwielbia Lothara tak samo jak ja. Wierz mi, nawet Führer jest daleko na drugim miejscu. Jens wszystko zrobi dla swojego syna.

Russell miał nadzieję, że to prawda. Gdy odwiózł Zarah i Lothara do domu do Grunewald, przyglądał się, jak w oświetlonym wejściu Jens podnosi syna ze wszelkimi oznakami świadczącymi o ojcowskim oddaniu, i poczuł się odrobinę spokojniejszy. Effi westchnęła na fotelu obok niego.

- Czy zauważyłeś, żeby z Lotharem było coś nie w porządku? - spytała.

- Nie - odparł Russell - ale Zarah widuje go częściej niż ktokolwiek inny.

- Mam nadzieję, że się myli.

- Oczywiście.

- Jak minął ci dzień z Paulem?

- Dobrze. W przyszły weekend znowu wyjeżdża.

- No to i my wyjedźmy - zaproponowała Effi. - W poniedziałek zaczynam zdjęcia i przez następne dwa tygodnie prawie nie będę cię widywać. Wybierzmy się gdzieś.

- Może Rugia?

- Byłoby cudownie.

- Możemy pojechać w piątek po południu i wrócić w niedzielę. Nauczę cię prowadzić.

Russell obudził się wcześniej z uczuciem ssania w żołądku, którego nie zdołały zaspokoić tost i kawa.

- Zamierzasz dzisiaj odebrać paszport? - spytała Effi, odgarniając sobie włosy z oczu, zanim upiła łyk kawy, którą przyniósł jej do łóżka.

- Mam taką nadzieję.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? Jako przykrywka albo coś takiego?

- Nie, dziękuję. Tylko jeszcze bardziej bym się denerwował. - Pocałował ją, obiecał zadzwonić, gdy tylko będzie miał coś do powiedzenia, i wyszedł do samochodu.

Nie było nawet śladu po weekendowym słońcu - gęsta pierzyna prawie nieruchomych chmur wisiała nad miastem na tyle nisko, żeby muskać iglice KaiserWilhelmGedächtniskirche. Przejeżdżając przez Tauenzienstrasse Russell postanowił, że samochód zostawi u siebie - metro wydawało się bardziej anonimowe. Przed wejściem do bramy zebrał się w sobie, żeby twardo odmówić kawy u Frau Heidegger, lecz przynajmniej ten jeden raz nie było jej w domu. Przebrał się w świeże ubranie i już po chwili był w drodze do Neukölln. Zembski trzymał w szufladzie biurka czekający na niego gotowy paszport.

- Ładnie wyszło, że tak powiem - mruknął, posługując się fotograficzną czarną bawełnianą torbą, żeby go podnieść i podać Russellowi. - Powinien pan uważać, żeby nie zostawić odcisków palców - poradził. - I proszę, niech pan go spali, gdy tylko przestanie być potrzebny. Ja już spaliłem negatywy.

- Tak zrobię - odparł Russell, przyglądając się fotografii w paszporcie. Wyglądała, jakby tam była od zawsze.

Wrócił do stacji metra, nieustannie świadom obecności dokumentu w kieszeni. Udawanie McKinleya mogło mu się udać przy pobieżnym sprawdzaniu, lecz wystarczyłaby bardziej szczegółowa kontrola i znalazłby się w prawdziwych tarapatkach. Paszport był o wiele

za duży, żeby go zjeść, chociaż Russell przypuszczał, że zdołałby oderwać przynajmniej zdjęcie i je połknąć. Jednak wytłumaczenie, dlaczego tak postąpił, mogłoby się okazać trudne. Upominał sam siebie, że poste restante to był tylko jego domysł, lecz nie miał poczucia, że zgaduje - po prostu wiedział, że to tam jest.

Znalazłszy się w metrze podjął decyzję o kolejnej zmianie planu. Metro mogło zapewniać anonimowość, ale będzie potrzebował miejsca, żeby przeczytać to, co zgromadził McKinley. Cokolwiek to było. Nie mógł zabrać tego do mieszkania własnego albo Effi, a nie uśmiechało mu się siedzenie w parku ze stertą wykradzionych dokumentów na kolanach. Jednak samochodem mógł zajechać w jakieś odludne miejsce i nie spieszyć się. Pomysł wydawał się tak dobry, że Russell zdziwił się, dlaczego nie zaświtał mu wcześniej. Ile jeszcze innych rzucających się w oczy możliwości przegapił? Frau Heidegger nadal była poza domem. Wyprowadził hanomaga z podwórza, dodał gazu na Neuenburgerstrasse i omal nie wpadł bokiem na tramwaj skręcający w Lindenstrasse. „Uspokój się”, nakazał sobie.

W drodze na starówkę w głowie huczało mu od pomysłów, jak zapobiec odkryciu i złapaniu. Jeżeli sprawdzi, kto normalnie pełni dyżur przy poste restante, a następnie poczeka, aż ten ktoś wyjdzie na obiad, prawdopodobnie zostanie obsłużony przez kogoś mniej chętnego do badania jego paszportu pod lupą. Ale może w porze obiadu zastępca, będąc mniej nawykły do tej pracy, okaże się bardziej staranny? Zatłoczona poczta oznacza więcej ludzi mających szansę go zapamiętać, zaś w pustej zbytnio by się wyróżniał. Zaparkował samochód na Heiligegeiststrasse, sto metrów na północ od budynku, w którym mieściła się ogromna poczta, i podszedł do głównego wejścia. Dział poste restante znajdował się na drugim piętrze w wielkiej i wysokiej sali o długich oknach. Rząd prostych krzeseł dla oczekujących klientów stał zwrócony przodem do dwóch okienek. Jedno z nich było zajęte, drugie nie.

Z sercem w gardle Russell podszedł do wolnego urzędnika i położył paszport McKinleya na kontuarze.

- Jest coś dla McKinleya? - spytał głosem, który zdawał się należeć do obcej osoby.

Urzędnik ledwie rzucił okiem na paszport i zniknął bez słowa. Russell zachodził w głowę, czy wróci z plikiem papierów, czy z oddziałem Gestapo? Ukradkiem zerknął na klientkę przy sąsiednim okienku, kobietę po trzydziestce, która właśnie podpisywała pokwitowanie na paczkę. Obsługujący ją urzędnik spoglądał teraz na niego. Russell odwrócił wzrok i zastanawiał się, czy nie włożyć paszportu z powrotem do kieszeni. Wyczuwał, że mężczyzna w okienku wciąż na niego patrzy. „Nie rób niczego, co by zapadało w pamięć”, przestrzegł sam siebie. Jego urzędnik powrócił szybciej niż Russell ośmielał się mieć

nadzieję, niosąc grubą szarą kopertę. Upuścił ją z hałasem na kontuar, jednocześnie sięgając po formularz. Po paru nieczytelnych gryzmołach podsunął mu formularz do podpisania. Russell na próżno szukał przy sobie pióra, w końcu przyjął to podane z wyniosłym uśmiechem przez urzędnika i omal nie podpisał się własnym nazwiskiem. Miał wrażenie, że zimny pot zalewa mu pierś i spływa po nogach, gdy nabazgrał coś zbliżonego do podpisu McKinleya, odebrał swoją kopię pokwitowania i podniósł podaną mu kopertę. Niecałe pięć metrów do drzwi wydawało się nie mieć końca, a echo na schodach brzmiało wagnerowskim forte. Na ulicy przed pocztą tramwaj wysadzający pasażerów wstrzymał ruch samochodów. Zmagając się z nedorzeczną pokusą, żeby puścić się biegiem, Russell wrócił do auta, przypatrując się chodnikowi naprzeciwko w poszukiwaniu potencjalnych obserwatorów. Czekał, by przedostać się przez Kaiser Wilhelmstrasse, ukradkowo się obejrzał. Nikogo nie było. Powiedział sobie, że gdyby śledzono go wcześniej, zobaczyliby kopertę i do tej pory byłby już aresztowany.

Szło jak po maśle. Przynajmniej na razie.

Użyło mu, gdy samochód od razu zapalił. Wyjechał na Königstrasse przy poczcie i ruszył w kierunku wiaduktu, poirytowany powolnością jadącego przed nim tramwaju. Okrążając Alexanderplatz, w ostatniej chwili uznał, że Landsbergerstrasse stanowi najszybszą trasę wyjazdową z miasta, i prawie zderzył się z innym samochodem. Po prawej śledziła go szara bryła gmachu Alex. Zwolnił i przez trzy kilometry dzielące go od poszarpanych granic miasta skoncentrował się na prowadzeniu auta, unikając stłuczki i aresztowania. Gdy objeżdżał Büschingplatz, przez jedną straszną chwilę zdawało mu się, że policjant kierujący ruchem daje mu znaki, każąc się zatrzymać, i kiedy mijał olbrzymi państwowy szpital na południowym skraju Friedrichshain, na czole wciąż perliły mu się krople potu. Pokonał kolejny kilometr i mógł już poczuć woń rozległego kompleksu targów bydła i rzeźni ciągnących się wzdłuż torów kolei obwodowej. Na wiadukcie, po którym można było przejechać ponad torami przy dworcu Landsbergerallee, przez moment mignęła mu panorama wiejskiej okolicy po wschodniej stronie: dwa niewielkie pagórki, piętrzące się niemal przepaszająco pośród rozległej płaszczyny pruskich równin.

Wcześniej tego dnia przeszukując zasoby pamięci w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca na przestudiowanie materiałów McKinleya, przypomniał sobie piknik z rodziną Thomasa na jednym z tych wzgórz. O ile dobrze pamiętał, droga biegła pomiędzy nimi na południe od Marzahn, a kręta trasa dojazdowa prowadziła aż na teren pikników na wzgórzu położonym bliżej miasta. Pamięć go nie zawiodła. Droga wiła się pośród ciemnych ociekających drzew aż po nagi grzbiet wzgórza, gdzie poustawiano stoły piknikowe, by

wykorzystać widok na miasto. Nikogo tam nie było. Russell zaparkował na wyznaczonym do tego miejscu i przez przednią szybę spoglądał na panoramę Berlina.

Najbliższe skupisko dużych budynków, które Thomas wskazał mu podczas poprzedniej wizyty, mieściło główny berliński zakład dla umysłowo chorych, Herzberge Asylum. Co okazało się wysoce adekwatne, biorąc pod uwagę prawdopodobną zawartość materiałów leżących na siedzeniu obok niego.

Sięgnął po kopertę i ostrożnie ją otworzył. Znajdowało się w niej w sumie około pięćdziesięciu kartek papieru, w tym kilka zapisanych odręcznym pismem McKinleya; większość była napisana na maszynie albo zadrukowana. Russell przerzucił je, szukając listu Theresy Jürissen. Znalazł go na spodzie stosu, z datą jego napisania nabazgraną ołówkiem w prawym rogu. Przeglądając pozostałe papiery Russell odkrył inne daty: McKinley poukładał swoją historię w porządku chronologicznym.

Pierwszym dokumentem był artykuł z 1934 roku z *Münchener Zeitung*, dziennikarska naoczna relacja o życiu w zakładzie dla umysłowo chorych, zatytułowana „Żywi, choć martwi”. McKinley podkreślił dwa zdania: „Wegetują dniami i nocą na krawędzi zmierzchu. Cóż znaczy dla nich czas i przestrzeń?” i dodał na marginesie: „Albo życie i śmierć?”. Drugi dokument stanowiła historia z tygodnika SS *Das Schwarze Korps* o rolniku, który zastrzelił swojego upośledzonego umysłowo syna i o „wrażliwych” sędziach, którzy omal nie puścili go wolno. List od czytelnika z tego samego czasopisma błagał władze, by znalazły zgodny z prawem i humanitarny sposób uśmiercania „wadliwych” niemowląt.

Russell pobieżnie przejrzał jeszcze kilka listów napisanych w podobnym tonie oraz wiele stron nie wiadomo skąd pochodzących statystyk, ukazujących wyraźne zmniejszanie się przestrzeni i środków przeznaczanych na pojedynczego umysłowo chorego pacjenta od 1933 roku. Russell stwierdził, że jak na razie to wszystko było do przewidzenia.

Kolejnym elementem był artykuł Karla Knaba w czasopiśmie *PsychiatrischNeurologische Wochenschrift*. I tu znów McKinley podkreślił jeden ustęp: „W tych zakładach mamy przed sobą duchowe wraki - których liczba jest niebagatelna - nie reagujące na wszelkie nasze terapeutyczne wysiłki. Wraz z idiotami najniższego poziomu stanowią problem medyczny, który, jako stanowiący tylko obciążenie pociągające za sobą koszt, powinien zostać usunięty poprzez uśmiercanie w bezbolesny sposób, co jest usprawiedliwione w kategoriach polityki finansowej narodu walczącego o przetrwanie, bez naruszania kulturowych fundamentów jego kulturowych wartości”. Russell pomyślał, że samo w sobie to jest przerażające, ale kim jest ten Knab? Najwyraźniej nie był to samotny głos wołający na puszczy, lecz to nie czyniło go rzecznikiem rządu. Było sporo materiałów o

małym Knauerze, jednak większość z tego stanowiły zapiski McKinleya - domysły, przypuszczenia, brakujące dane do uzupełnienia.

Dopiero kilka ostatnich kartek naprawdę przykuło uwagę Russella. Większość pochodziła z memorandum doktora Theodore'a Morella, lepiej znanego w środowisku zagranicznych dziennikarzy jako „znachor Hitlera”. Powierzono mu zadanie zgromadzenia razem wszystkiego, co na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat napisano pozytywnie na temat eutanazji, w celu sformułowania zarysu nowych przepisów o „Zgładzeniu życia niegodnego życia”. Do kandydatów należała każda osoba cierpiąca na psychiczne albo fizyczne „anomalie rozwojowe”, każdy wymagający długoterminowej opieki, każdy wzbudzający „przerażenie” w innych ludziach lub każdy znajdujący się na „najniższym zwierzęcym poziomie”. Russell pomyślał, że naziści kwalifikują się co najmniej w dwóch z tych kategorii.

Jak mówiła Theresa Jürissen, zasadniczym obszarem spornym wśród zwolenników takiego prawa była jawność lub jej brak w jego stosowaniu. W tym memorandum Morell wnioskował, że najlepsze jest zachowanie tajemnicy oraz że rodzice byliby znacznie szczęśliwsi sądząc, iż ich dziecko po prostu zmarło na skutek takiej czy innej choroby. Nie zdecydował jeszcze, czy lekarze powinni być angażowani w samo uśmiercanie, ale nalegał na obowiązkowe rejestrowanie przez nich wszystkich pacjentów z chorobami wrodzonymi.

Ostatnim dokumentem był list, i teraz Russell zdał sobie sprawę, dlaczego McKinley tak się ekscytował. Theodore Morell mógł sobie być lekarzem Hitlera, lecz był tylko zwykłym obywatelem, osobą prywatną mającą prawo do własnych opinii, bez względu na to, jak psychopatyczne by nie były. Jednak list to coś innego. Potwierdzał zasadniczą treść memorandum Morella autorytetem KdF, *Kanzlei des Führers*. Wiązał Hitlera z zabijaniem dzieci. Russell pozbierał papiery i wepchnął je z powrotem do koperty. Wsunął pakunek pod siedzenie pasażera, wysiadł z auta i przeszedł po wilgotnej trawie na skraj zbocza. Niewielki konwój wojskowych ciężarówek jechał na wschód po Landsbergerallee, jakiś osamotniony samochód kierował się w przeciwną stronę. Nad miastem nadal wisiała gęsta warstwa chmur.

„McKinley miał swoją historię”, pomyślał Russell. Taką, o jakiej marzą młodzi dziennikarze; która ratuje ludziom życie oraz przynosi sławę autorowi.

Ale cóż on, John Russell, miał z tym zrobić? Oczywiście odpowiedź brzmiała: „pozbyć się tego”. Razem z paszportem. Patrzył, jak w oddali pociąg kolei obwodowej powoli znika z oczu przy rzeźniach. Taka odpowiedź mogła być oczywista, ale sytuacja wymagała czegoś bardziej odważnego. Był to winien McKinleyowi i być może samemu sobie. Był to winien tym tysiącom dzieci - dziesiątkom tysięcy, o ile wiedział - które kreatura taka jak Morell uzna

za „niegodne, by żyć”. McKinley zapewne sądził, że jego historia je wszystkie ocali. Russell pokładał mniejszą wiarę w potęgę prasy, ale ujawnienie całej sprawy przynajmniej utrudniłoby tym łajdakom zadanie. Jak mógłby przekazać materiał gazecie McKinleya? Nie pocztą, to pewne. Będzie musiał zawieźć go sam, a to nie zapowiadało się zabawnie.

Jak McKinley zamierzał ujawnić tę historię? Czy może utknął z nią tak samo jak teraz Russell? To by wyjaśniało, dlaczego umieścił ją na poste restante.

Co okazało się dobrym pomysłem. Russell stwierdził, że nadal tak jest.

Tym razem na jego własne nazwisko. Paszport będzie musiał zniknąć.

Ale jak ma się go pozbyć? Spalenie go miało sens, lecz płomień zwykle przyciąga uwagę, zwłaszcza w dzień tak szary jak dziś, zresztą i tak nie miał przy sobie niczego, żeby rozniecić ogień. Mógłby spalić ten przeklęty paszport w swoim mieszkaniu, ale nie uśmiechało mu się mieć go przy sobie ani chwili dłużej niż to niezbędną, a tym bardziej przynosić do domu, gdzie Gestapo może już czeka na sofie. „Gdzieś po drodze na otwartej przestrzeni”, pomyślał, „gdzie będzie dobra widoczność w każdą stronę”. W samochodzie wsunął paszport pod swoje siedzenie. Gdy zjeżdżał ze wzgórza, naszła go dziwna ochota na śpiewanie. „Histeria”, powiedział sobie.

Na poczcie w Marzahn kupił zapalki, a oprócz nich - jako że wydawało się to mniej podejrzane - paczkę papierosów do kompletu. Zaopatrzył się również w wielką kopertę, którą zaadresował do samego siebie do odbioru na poste restante w Poczdamie; nie palił się do ponownych odwiedzin przy okienku poczty przy Heilige geiststrasse pod innym nazwiskiem. Później skorzystał z publicznego telefonu, żeby zadzwonić do Effi.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała z trwogą.

- Aż zbyt pięknie, żeby o tym mówić - odpowiedział znacząco.

- Co porabiasz?

- Usiłuję się nauczyć swojej kwestii.

- Czy możesz się ze mną spotkać w bufecie na Dworcu ZOO? - spytał. - O czwartej - dodał, spoglądając na zegarek.

- Będę tam.

Znalazłszy się z powrotem na alei Landsberg Russell zaczął się rozglądać za odpowiednim miejscem, żeby spalić paszport. Jakies półtora kilometra od kolei obwodowej znalazł szeroki wjazd na drogę do jakiegoś gospodarstwa i zatrzymał się. Wyjął paszport spod fotela, podarł go na osobne kartki i przytknął płomień do pierwszej z nich, przytrzymując ją między kolanami, dopóki zdołał, a następnie trącając ją tam i z powrotem stopami, aż pozostały jedynie czarne płatki. Drugą ręką wyganiał dym przez otwarte okna.

W czasie, jaki zajęło mu spalenie pozostałych pięciu kartek, minęły go tylko dwie ciężarówki, a ich kierowcy nie wykazali zainteresowania lekko dymiącym autem Russella. Zebrał szerniałe resztki w chusteczkę, którą zawiązał na supeł i włożył do kieszeni, zanim ruszył w dalszą drogę. Dwadzieścia minut później pozbył się zarówno chusteczki jak i jej zawartości w ustronnej odnodze brudnego Luisenstrassekanal. Ostatnie pozostałości dzieła Zembskiego zniknęły z głuchym pluskiem, pozostawiając Russellowi na pamiątkę kilka przypieczonych palców.

Był już prawie kwadrans po trzeciej. Russell wrócił do hanomaga i pojechał na zachód w kierunku Potsdamerplatz. Ruch w okolicy południowego skraju Tiergarten był spory jak na tę porę dnia, ale Russell dotarł do wybranego celu - ulicy w połowie drogi między mieszkaniem Effi a Dworcem ZOO - z pięciominutowym zapasem czasu. Zaparkował przodem do kierunku, z którego przyjechał, zakładając, że akurat tego jednego jedyne dnia Effi nie postanowi zmienić stałej trasy.

Dziesięć minut później pojawiła się w polu widzenia, idąc pospiesznie na wysokich obcasach. Kilka kosmyków ciemnych włosów wymknęło się spod szala oraz kapelusza i powiewało za nią. Nie zauważyła go i aż podskoczyła ze zdumienia, kiedy odezwał się do niej, żeby wsiadła do wozu.

- Mówiłeś: „Dworzec ZOO” - powiedziała z irytacją, gdy wyjechał na drogę. O ile mógł dostrzec, nikt jej nie śledził.

- To było na użytek kogoś, kto mógłby podsłuchiwać. Chcę ci coś pokazać. W ustronnym miejscu.

- Dlaczego więc po prostu nie wszedłeś do domu?

- Ponieważ - wyjaśnił - każdy, kogo nakryją z tym w mieszkaniu, ma szansę skończyć jak McKinley.

- Och. - Straciła rezon, lecz trwało to ledwie moment. - A więc dokąd pojedziemy?

- Pomyślałem, że zatrzymamy się naprzeciwko restauracji przy ZOO, przy drodze wzdłuż kanału. Ludzie zawsze tam parkują.

- Głównie się całują i przytulają.

- Zawsze możemy poudawać.

Gdy już się tam znaleźli, Russell sięgnął po szarą kopertę tkwiącą pod fotelem Effi. Nawet przy świetle padającym z pobliskiej latarni czytanie było trudne, ale nie ośmielił się włączyć lampki we wnętrzu auta.

- Spójrz - powiedział. - Nie musisz czytać tego wszystkiego. Te ostatnie parę stron - podał jej memorandum Morella oraz list Theresy - powinny wystarczyć, żeby przekonać

Zarah.

- Chcesz, żebym jej to pokazała?

- Boże, skąd. Chcę, żebyś jej opowiedziała, co to jest i co tu jest napisane. Tobie uwierzy. Jeżeli ty jej powiesz, nie będzie musiała ich oglądać.

- Dobrze. - Effi zaczęła czytać. Jej twarz stopniowo zastygała w wyrazie bezbrzeżnej odrazy.

Russell wyglądał przez okno, obserwując, jak zanikają resztki dziennego światła. Barka z węglem z rumorem sunęła po kanale, a pies właściciela wył w odpowiedzi na wrzask niezidentyfikowanego zwierzęcia dobiegający z terenu ZOO.

- Mój kraj - mruknęła Effi, przechodząc do następnej kartki.

Przeczytała całe memorandum oraz list z KdF. - Miałaś rację - powiedziała. - Gdyby poszła na to badanie, Lothar byłby już na liście.

- A nie można się łatwo z niej wypisać - dodał Russell.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy mijała ich kolejna barka. W restauracji przy ZOO po drugiej stronie kanału ktoś układał talerze.

- Co możemy zrobić? - Effi chciała wiedzieć.

- Nie wiem. Ale możesz powiedzieć Zarah, że jesteś pewna.

I powiedz jej też, że zniszczę papiery.

- Nie masz zamiaru tego robić?

- Nie wiem. W każdym razie jeszcze nie. Zamierzam na razie gdzieś je umieścić.

Spojrzała na niego badawczym wzrokiem, jak gdyby chciała się upewnić, kim jest Russell.

- Te wszystkie dzieci - szepnęła.

„Osiągnięcia” Trzeciej Rzeszy

Po emocjach poprzedniego dnia Russell spędził wtorek na próbach wzięcia się do pracy. Trzeci artykuł dla *Prawdy* miał być gotowy do końca tygodnia, a jedna z poważnych gazet z Fleet Street chciała dostać drugą część „Zwyczajnych Niemców”, zanim zaangażuje się w cały cykl. To była rutynowa robota, ale nie mógł się skupić. Jego umysł wciąż rozważał potencjalne zagrożenia dla jego wolności. Jeżeli SD wpadłaby na ten sam błyskotliwy pomysł z poste restante, który jemu przyszedł do głowy, i sprawdziła rejestry, odkryłaby, że McKinley odebrał coś dziewięć dni po swojej śmierci.

Wszyscy wiedzieli, że Himmler miał skłonność do osobliwych zakusów w krainę

mrocznych fantazji - krążyły pogłoski, że agenci SS prowadzili w Tybecie poszukiwania eliksiru nieśmiertelności - ale można przypuszczać, że duchy odbierające pocztę już się w tym nie mieszczą. Nad głową Himmlera zapaliłaby się żaróweczka z komiksowym dymkiem: „To musiał być ktoś inny!”. A o kim on i jego sługusy pomyśleliby najpierw?

Nie byłoby sensu zaprzeczać - zawlekliby go na Heiligegeist i kazali zidentyfikować. Musiałby zrzucić winę na Eleanor McKinley, która znajdowała się teraz poza ich zasięgiem. Powiedziałaby, że to ona dała mu paszport. Że poprosiła go o odebranie papierów, a on je wysłał. Po prostu. Co było w kopercie? On jej nie otwierał. Inna fotografia w paszporcie? Urzędnikowi musiało się coś przywidzieć. Paszport? Także go odesłał.

Było to równie przekonujące jak jedna z ekonomicznych prognoz Goeringa.

A gdyby w jakimś przebłytku Heydrich postanowił sprawdzić, czy na jakiegokolwiek niemieckiej poczcie znajduje się coś na poste restante na jego nazwisko, byłby ugotowany. Mógł jedynie mieć nadzieję, że nikt w SD nie czytał „Getaway” ani „The High Fence”, co było co najmniej prawdopodobne - dla nazistów Święty wydawał się nazbyt urągliwym bohaterem.

Sama nadzieja nie wystarczała i każdy odgłos samochodu na ulicy, każdy tupot kroków na podwórzu pod oknami wywoływały u Russella natychmiastowy skurcz w żołądku. Później tego wieczora, gdy był u Effi, omal nie upadł na podłogę, słysząc natarczywe stukanie do drzwi.

Kiedy Effi wprowadziła do pokoju mężczyznę w mundurze, Russell potrzebował kilku sekund, nim dotarło do niego, że to mąż Zarah.

Jens Biesinger pracował dla jakiegoś rządowego inspektoratu - Russell nigdy nie zadał sobie trudu, by się dowiadywać, dla którego dokładnie - i właśnie był w drodze do domu. Przyjął zaproponowaną przez Effi kawę, ucisnął dłoń Russella i zajął krzesło. Buciory i pas zatrzęszczały, gdy rozsiadł się i oparł ze znużonym westchnieniem.

- Jak idzie praca? - uprzejmie spytał Russella.

Russell wydał z siebie stosowne mruknięcia, lecz jego umysł gorączkowo rozmyślał nad tym, czego ten mężczyzna mógłby chcieć. Jego jedyna prawdziwa rozmowa z Jensem, którą odbyli prawie trzy lata wcześniej, niemal natychmiast przerodziła się w poważny spór i to właśnie Effi zmuszona była wcielić się w rolę mediatora. Od tamtej pory rzadko

przebywali w tym samym pomieszczeniu i przy tych okazjach traktowali się nawzajem z tego rodzaju lodowatą uprzejmością, jaką zachowuje się wyłącznie dla znieawidzonych krewnych.

Jens zaczekał, aż Effi do nich dołączy, zanim wyłuszczył powód swojej wizyty.

- John - zaczął. - Chciałbym cię prosić o wielką przysługę. Zarah chce zabrać Lothara do Anglii z powodów, których jesteś świadom. Ja nie mogę z nią jechać, pewnie rozumiesz dlaczego. A Effi w poniedziałek zaczyna pracę przy swoim filmie. Zarah nie chce czekać, więc... Czy pojechałbyś z nimi? Ktoś musi, a jako mówiący po angielsku... no i, oczywiście, jako ktoś, kto praktycznie jest członkiem rodziny... byłbyś idealną osobą. Naturalnie, opłacę wszystkie koszty: przelot, hotel, cokolwiek będzie konieczne. Ochłonawszy ze zdumienia, Russell rozważył ten pomysł. Od razu nasunął mu się kolejny.

- Czułabym się lepiej, gdybyś z nimi pojechał, John - wtrąciła Effi.

- Kiedy planujecie wyjazd? - Russell zapytał Jensa. - W ten weekend mnie nie będzie, a poniedziałek i wtorek będę w Hamburgu na wodowaniu „Bismarcka”. Zatem nie da się przed połową przyszłego tygodnia... Może czwartek?

- Brzmi rozsądnie.

Russell przedstawił swój nowy pomysł.

- Chciałbym zabrać też swojego syna. Rzecz jasna, zapłacę za niego, ale gdybyś mógł zorganizować podróż dla czterech osób... Oczywiście, będzie mi potrzebna zgoda jego matki - dodał. Jens uśmiechnął się.

- Znakomity plan. To będzie wyglądało bardziej... naturalnie. Zorganizuję wszystko dla czworga. Jeżeli twój syn nie będzie mógł jechać, zawsze można poprawić rezerwację. - Odstawił filiżankę po kawie na stolik i podniósł się z zadowoloną miną. - Zarah będzie spokojniejsza - powiedział. - Nie uśmiechała jej się taka podróż w pojedynkę.

- Jestem pewna, że dałaby sobie radę - stwierdziła Effi z lekkim przekąsem - ale tak będzie lepiej.

- To jest mój numer w ministerstwie - dodał Jens, wręczając Russellowi wizytówkę.

- A to mój w domu - odparł Russell, wrywając kartkę z notesu i zapisując ołówkiem numer na Neuenburgerstrasse.

„Anglia z Paulem”, pomyślał, i wciąż jeszcze rozkoszował się tą myślą, kiedy Effi wróciła po odprowadzeniu Jensa do drzwi.

- Tylko nie zakochaj się w mojej siostrze - przestrzegła go.

Wczesnym rankiem następnego dnia zatelefonował do Ilse z mieszkania Effi i umówił się z nią w kawiarni przy Halensee, którą oboje znali ze swego wcześniejszego wspólnego

życia. Russell chciał zapytać ją osobiście, zamiast przez telefon, zaś ona wydawała się więcej niż skłonna - właściwie wręcz ochocza - by na parę godzin wyrwać się z domu.

Kawiarnia sprawiała wrażenie bardziej podupadającej niż we wspomnieniach Russella, co być może wynikało z faktu, że lwiał część jej dawniejszej klienteli stanowili Żydzi. Ilse już na niego czekała, wyglądając mniej surowo niż zazwyczaj. Jej sięgające ramion blond włosy, które przez kilka ostatnich lat niezmiennie upinała do tyłu w kok, opadały luźno, łagodząc pociągłe rysy. W dalszym ciągu wydawała się Russellowi boleśnie chuda, a jej niebieskie oczy nigdy nie przybierały już wyrazu łagodności, jaki miały niegdyś, lecz Ilse zdawała się szczerze ucieszona na jego widok.

Wyjaśnił jej, czego chce, w najgorszym razie oczekując odmowy z miejsca, a w najlepszym przykrej sprzeczki.

- Myślę, że to wspaniały pomysł - powiedziała. - Oczywiście, będziemy musieli poinformować szkołę i *Jungvolk*, ale nie widzę powodu, żeby któreś z nich mogło się sprzeciwiać. Czegoś się przy tym nauczy, czyż nie?

- Mam taką nadzieję. Matthias nie będzie miał nic przeciwko?

- Dlaczego miałby mieć?

- Bez powodu. Cóż, to dobrze. Spodziewałem się raczej kłótni - przyznał.

- Dlaczego, na miłość boską? Czy ja kiedykolwiek próbowałam stawać między tobą a Pauliem?

Russell uśmiechnął się.

- Nie, nigdy.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Musisz dostawać mnóstwo zleceń - powiedziała. - Samochód zrobił na Paulu wielkie wrażenie.

Przez ponad pół godziny rozmawiali o Paulu, jego zainteresowaniach i strapieniach. Po spotkaniu, jadąc przez miasto na śródowną lekcję u Wiesnerów, Russell nie potrafił sobie przypomnieć przyjemniejszej rozmowy ze swoją byłą żoną. Nadal wprawiała go w świetny nastrój, gdy zastukał do drzwi mieszkania we Friedrichshain. Przez chwilę nie było odpowiedzi, po czym jakiś niespokojny głos zawołał:

- Kto tam?

- John Russell - odkrzyknął.

Drzwi otworzyły się, ukazując znękaną Frau Wiesner.

- Przepraszam - odezwała się, wyglądając za niego na schody.

- Proszę wejść.

Nie było widać dziewczynek.

- Obawiam się, że dzisiaj nie będzie lekcji - powiedziała. - I może żadnych więcej przez jakiś czas. Mój mąż został aresztowany. Zabrali go do obozu. Sachsenhausen, jak sądzimy. Przyjaciel przyjaciela tam go widział.

- Kiedy? Kiedy został aresztowany? Za co?

- Przyszli tu w poniedziałek. W środku nocy, więc tak naprawdę to był wtorek. - Raptownie usiadła, jak gdyby potrzebowała wszystkich sił, żeby o tym opowiedzieć. - Ciągłe go bili - prawie wyszeptała, a jedna samotna łza spłynęła jej po prawym policzku. - Nie stawiał oporu. Powtarzał „Idę z wami, dlaczego mnie bijecie?”. Oni tylko się śmiali, wyzywali go. Wyzywali dzieci. I dzięki Bogu, że Alberta tu nie było, kiedy przyszli.

Russell usiadł obok niej na sofie i objął ją za ramiona.

- Frau... - zaczął mówić. - Do tej pory powinienem już znać pani imię.

- Eva.

- Czy podali powód aresztowania?

- Nie mnie. Nasi przyjaciele próbują się dowiedzieć, czy była jakaś przyczyna... Oczywiście, nie prawdziwa przyczyna... ale z pewnością musieli coś podać, zapisać w swoich rejestrach. - Patrzyła na niego niemal błagalnie, tak jakby fakt, że mieli powód, mógł cokolwiek zmienić.

- Gdzie są dziewczynki? - spytał. - I gdzie jest Albert?

- Dziewczynki są z przyjaciółmi kilka domów dalej. One uwielbiają lekcje z panem, ale dzisiaj... nie były w stanie...

- Oczywiście, że nie.

- No a Albert... Wrócił we wtorek rano, usłyszała, co się stało, i od razu znowu wybiegł. Od tamtej pory go nie wiedziałam.

- Gestapo nie wróciło?

- Nie. Gdyby wrócili, mogłabym ich zapytać o Felixa. Nie wiem, co robić. Jedni przyjaciele mówią, żeby narobić rabanu, bo inaczej nigdy mi niczego nie powiedzą. Inni mówią, że jeżeli się tak zrobi, to tylko pogorszy sprawę, i że Felixa w końcu wypuszczą, tak jak Alberta. No i nie wiedziałabym, dokąd iść, gdybym chciała narobić rabanu. Do Alex? Jeżeli tam pójde i zażadam odpowiedzi, gdzie jest Felix i dlaczego go aresztowali, mogą aresztować i mnie, a wtedy kto się zajmie Albertem i dziewczynkami?

- To nie byłby dobry pomysł - zgodził się Russell. Zastanawiał się, co by takim było.

- Czy państwo Conway już wyjechali? - spytała.

- Obawiam się, że tak. - Przebywali już na morzu od co najmniej trzydziestu sześciu

godzin. - Ale mogę spróbować porozmawiać z kimś w ambasadzie. Wątpię, żeby byli w stanie cokolwiek zrobić, jednak warto spróbować.

- Do Sachsenhausen nie wpuszczają odwiedzających - powiedziała.

- Dowiedzieliśmy się tego, kiedy Albert tam był. To znaczy żadnej rodziny ani przyjaciół. Ale może panu by pozwolili. Mógłby pan mówić, że jest panu winien pieniądze za uczenie dziewczynek i że potrzebny panu jego podpis na czymś, na czeku z konta w zagranicznym banku albo czymś w tym rodzaju.

- Nie macie państwo konta w zagranicznym banku?

- Nie, oczywiście, że nie, ale oni uważają, że mamy. Myślą, że my wszyscy je mamy.

Russell skrzywił się. Cóż mógł zrobić? Na pewno spytać w ambasadzie, lecz na ile życzliwość żydowskiego lekarza dla teraz już nieobecnego kolegi liczyła się w szerszej perspektywie? Niewiele. Mógł pójść do Alex - albo, co bardziej go niepokoiło, do głównej siedziby Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse - i grzecznie popytać. Oczywiście, nie jako dziennikarz. Sugestia Ewy Wiesner była całkiem dobra. Mógłby powiedzieć, że Wiesner jest mu winien zapłatę za lekcje z dziewczętami i że żydowska świnią nie zdoła się od tego wywinąć umykając do obozu koncentracyjnego. Dranie porządnie się uśmieją.

No i pozostawał jeszcze Jens, który teraz był mu winien przysługę. Russell postanowił, że to ostatnia deska ratunku. Tę przysługę chciał zachować na czarną godzinę.

- Popytam - odpowiedział. - Taktownie. Nie wzbudzając specjalnej ciekawości. Spróbuję i dowiem się, gdzie on jest i dlaczego został aresztowany. I czy istnieje jakaś szansa na zorganizowanie wizyty.

Spojrzała na niego z desperacją.

- Jak to jest, że pan dostrzega, jakie to złe, a tak wielu ludzi nie potrafi?

- Wolę myśleć, że większość ludzi potrafi - odrzekł. - I że po prostu za bardzo się boją, by przemówić. Chociaż ostatnio... - Rozłożył ręce. - Jeżeli dowiem się czegoś pewnego, wrócę, żeby dać pani znać. W przeciwnym razie przyjdę w piątek o zwykłej porze.

- Dziękuję, panie Russell. Jest pan prawdziwym przyjacielem. Jeszcze jedna samotna łza powoli spłynęła jej po policzku, jak gdyby jej ciało oszczędzało zapasy na przyszłe nieszczęścia. Wracając do samochodu Russell uzmysłowił sobie, że ma nadzieję, iż jest takim przyjacielem, za którego go miała. Brał pod uwagę danie jej swojego adresu, ale w żaden sposób nie zdołałby przechować jednego czy więcej Wiesnerów w swoim mieszkaniu. Nawet gdyby Frau Heidegger nie doniosła, zrobiłby to któryś z jego sąsiadów.

Jadąc Neue Königstrasse postanowił, że najpierw odwiedzi Gestapo. Kolejne dobrowolne spotkanie z nazistowskimi władzami, jak sobie powtarzał, osłabi ewentualne

podejrzenia, jakie mogliby mieć w związku z zaginionymi papierami McKinleya. W głębi duszy wiedział, że to tylko pobożne życzenia, jednak ta myśl pomagała mu opanować nerwy.

Zaparkował przy Prinz Albrecht Strasse za lśniąca limuzyną oznaczoną wypukłą swastyką i podszedł do imponującego portalu wiodącego do gmachu głównej siedziby państwowej policji. Wziął głęboki wdech; wszedł po stopniach i dalej przez obrotowe drzwi do środka. Jak zwykle, Führer tkwił tam w swojej ramie; paciorkowate oczy śledziły człowieka przez całą salę niczym jakieś upiorne przeciwieństwo Mony Lisy - wiedziało się, co myśli.

Russell wytłumaczył swoją prośbę recepcjonistce: Żyd, dług, żart o Wiesnerze czmychającym do obozu. Roześmiała się i skierowała go do właściwego biura Spraw Bieżących. Kolejna recepcjonistka, następny śmiech, i Russell był już w drodze do Spraw Zamkniętych, co źle wróżyło Felixowi Wiesnerowi.

Dyżurujący urzędnik był w dobrym humorze. Znalezienie teczki doktora Wiesnera zajęło niecałą minutę, i tyleż samo jej przeczytanie.

- Ma pan pecha - oznajmił. - Żydek jest w Sachsenhausen i nie wróci. Pańskie pieniądze przepadły.

- Co ten drań zrobił? - spytał Russell.

- Przeprowadził aborcję u niemieckiej dziewczyny. To dwadzieścia pięć lat, o ile pożyje tak długo.

Russell poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, ale udało mu się nie dać tego po sobie poznać.

- Raz się wygrywa, raz się traci - powiedział. - Dziękuję za pomoc.

Wrócił do wyjścia, prawie oczekując, że usłyszy stłumione wrzaski dobiegające z sal tortur w piwnicy, lecz podobnie jak w głównej kwaterze SD tuż za rogiem i tutaj ciszę mącił jedynie szmer maszyn do pisania.

Zostawił auto tam, gdzie zaparkował, i poszedł pieszo Wilhelmstrasse do ambasady brytyjskiej. Czekając, aż Martin Unsworth go przyjmie, usiadł pod fotografią obecnego króla - trzeciego w ciągu dwóch lat. Ta wizyta okazała się stratą czasu. Unsworth słyszał wcześniej o Wiesnerach od Douga Conwaya, lecz nie odczuwał szczególnej wewnętrznej potrzeby, by z ich powodu narażać na szwank swoją karierę. Podkreślił, zresztą całkiem rozsądnie, że ambasada brytyjska raczej nie może się angażować w wewnętrzne kryminalne sprawy goszczącego ją kraju. Dodał, równie roztropnie, że ów kraj mógłby w najlepszym razie zignorować jakiegokolwiek prośby w takiej sprawie, zaś w najgorszym wykorzystać je dla celów własnej propagandy. Russell ukrył wściekłość, wydobył od Unswortha obietnicę

przyjrzenia się wnioskowi wizowemu Wiesnerów, a wychodząc tak mocno grzmotną pięścią w drewnianą balustradę, że przez moment obawiał się, iż złamał sobie rękę. Wracając wzdłuż Wilhelmstrasse, otoczony przez wydymające się na wietrze swastyki, kipiał z bezsilnego gniewu.

Gdy powrócił do Effi - wydawało się, że ostatnio właściwie tam mieszka - opowiedział jej, co zaszło. Poradziła mu, żeby zatelefonować do Jensa.

- Gdzieś tam w nim, głęboko, została ludzka istota - powiedziała.

- Chociaż trzeba trochę pokopać.

„Dlaczego nie”, mruknął do siebie. Wykorzystać przysługę, póki jest jeszcze świeżo w pamięci.

Przedarłszy się przez dwie sekretarki, Russell został w końcu połączony z Jensem.

- Jeszcze nie zdążyłem niczego zorganizować - odezwał się mąż Zarah, na próżno starając się ukryć irytację.

- Chodzi o coś innego - powiedział mu Russell. - Tym razem to ja chciałem ciebie prosić o przysługę.

Reakcją na to stwierdzenie było coś pomiędzy jękiem a burknięciem. Russell parł dalej.

- Ktoś, kogo znam, został aresztowany i zabrany do obozu. Żyd.

- Ja...

- Proszę, wysłuchaj mnie. To nie ma nic wspólnego z polityką, to sprawa honoru. Ten człowiek jest lekarzem i w 1933 roku, zanim Żydom zakazano praktykować, uratował życie dziecku mojego przyjaciela. - Wyjaśnił, kim był Conway, jak namówił Russella do udzielania lekcji córkom Wiesnera oraz że obecnie nie można do niego dotrzeć, gdyż znajduje się pośrodku Atlantyku. - Tu nie chodzi o pomaganie Żydom, chodzi o spłatę długu.

- Rozumiem, co chcesz... - zaczął Jens; teraz w jego tonie mieszały się sympatia z niechęcią.

- Nie chcę, żebyś cokolwiek robił - upierał się Russell, aczkolwiek nieszczerze. - Ja tylko muszę poznać szczegóły, dlaczego został aresztowany i jakie są szanse na odwiedzenie go. To znaczy przeze mnie, bo wiem, że nie ma szansy na odwiedzinę przez rodzinę. W tej chwili jego żona i dzieci są w martwym punkcie, mogą tylko czekać. Myślę, że żona potrzebuje jego błogosławieństwa, żeby zrobić to, co najlepsze dla dzieci.

Na obu końcach linii zapadło milczenie.

- Dowiem się, ile zdołam - powiedział w końcu Jens.

- Dziękuję - odparł Russell. Odłożył słuchawkę. - Pojadę do Wiesnerów i powiem im -

zwrócił się do Effi.

Pojechała z nim. Frau Wiesner wydawała się spokojniejsza, albo może tylko bardziej zrezygnowana. Kiedy Russell przekazał jej twierdzenie Gestapo o aborcji, wyglądała na rozdartą między drwiną a rozpaczą.

- Felix nigdy, przenigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego - oznajmiła.

Z początku zerkła nieco niechętnie na olśniewającą towarzyszkę Russella, lecz rzucająca się w oczy empatia Effi prędko zdobyła jej serce. Dziewczęta też tam były, i obie nalegały na zdobycie autografu odwiedzającej je gwiazdy filmowej. Marthe wyciągnęła swój zeszyt z wycinkami o filmie i we trójkę zajęły sofę. Parząc na ich ciemnowłose głowy skupione jedna przy drugiej, pochylone nad schludnie poprzyklejanymi fotografiami niemieckich i hollywoodzkich gwiazd, Russell przyłapał się na tym, że z trudem powstrzymuje łzy. Czwartek spędził pogrążony w pracy. Otworzył drzwi do mieszkania, żeby wychwycić dzwonek telefonu na parterze. Było już późne popołudnie, kiedy Frau Heidegger zawołała na schodach, że jest do niego telefon.

- Mam bilety i rezerwacje - oznajmił mu Jens. - Mieliliśmy szczęście, zostały cztery miejsca na lot do Londynu w przyszły czwartek. Samolot odlatuje o drugiej, ale powinniście tam być pół godziny wcześniej. Lot powrotny jest w niedzielę, o jedenastej.

Zarezerwowałem dwa pokoje w hotelu Savoy... słyszałeś o takim? Przy ulicy o nazwie Strand. I samochód, żeby was zabrał z lotniska w Croydon do hotelu i z powrotem. No i samą wizytę, oczywiście. Mam nadzieję, że to wszystko, co potrzeba.

Russell już prawie miał spytać, gdzie ma być ta wizyta, ale założył, że Jens nie bez powodu zachowuje się ostrożnie.

- Brzmi doskonale - odpowiedział. „Savoy!”, ucieszył się.

- Dobrze. A teraz ta druga sprawa. - Przerwał na moment, a Russell mógł sobie wyobrazić, jak sprawdza, czy drzwi jego biura są zamknięte.

- Żydowski lekarz twojego przyjaciela został aresztowany za wykonanie aborcji siedemnastoletniej dziewczynie. Nazywa się Erna Marohn, pochodzi z dobrej niemieckiej rodziny. Jej ojciec jest oficerem Kriegsmarine.

- Kto wniósł skargę?

- Matka. Ojciec przebywa na morzu. Nie ma wątpliwości, że dziewczyna przeszła aborcję, została zbadana przez policyjnego lekarza. I raczej nie ma wątpliwości, że Wiesner ją przeprowadził. Dziewczynę widziano, gdy wchodziła do przychodni, którą prowadzi we Friedrichshain dla innych Żydów.

- To brzmi kiepsko - Russell zafrasował się.

- W rzeczy samej. Niemiecki lekarz przyłapany na dokonaniu aborcji może się spodziewać długiego wyroku więzienia. Żydowski, i to jeszcze niemieckiej dziewczynie, cóż...

- Tak.

- Ale są i dobre wieści. Udało mi się zorganizować dla ciebie przepustkę na odwiedzenie go w Sachsenhausen. W przyszłą środę, na dzień przed waszym wylotem do Anglii. Kurier dostarczy ci przepustkę do domu. Powinieneś być w obozie przed jedenastą rano. Jednak nie będziesz mógł niczego przynieść ze sobą ani wynieść. I nie wolno ci relacjonować niczego, co zobaczysz albo usłyszysz. Wpuszczają cię w ramach przysługi dla mnie, a nie jako dziennikarza. Rozumiesz?

- Jak najbardziej.

- Jeżeli w druku pojawi się cokolwiek, w Anglii czy gdziekolwiek indziej, co będzie opisywać panujące tam warunki, uznają, że złamałeś dane słowo i w najlepszym razie stracisz swoją dziennikarską akredytację. Poproszono mnie, żebym ci to powiedział.

- Rozumiem. I dziękuję, Jens.

- Proszę bardzo.

Piątek był pogodny i mroźny. Russell spakował torbę na weekend i ruszył w kierunku Friedrichshain, zatrzymując się po drodze po gazetę i kawę na dworcu przy Alexanderplatz. Jedyna interesująca wiadomość dotyczyła pociągu: w Westfalii, uszkodzona trzydziestosiemiotonowa koparka uderzyła w nocny skład towarowy. Mocowanie, które przytrzymało stalowe ramiona w pionie, puściło, opuszczając je do pozycji roboczej nad bokiem wagonu. Na odcinku ponad półtora kilometra słupy telegraficzne, sygnalizacja i budki dróżników uległy zniszczeniu, a dworzec zamienił się w kupę gruzu, gdy podpory dźwigające strop zostały zmiecione. Pociąg zatrzymał się dopiero po tym, jak naoczny świadek zatelefonował do nastawni. Strażnik nie zauważył niczego niezwykłego. Niemcy Hitlera w mikroskali - ramiona młóćące powietrze w ciem nościach, pozostawiające za sobą piętrzące się ruiny. W mieszkaniu we Friedrichshain opowiedział Frau Wiesner to, co przekazał mu Jens.

- Nie wierzę w to - powiedziała. - Felix powie panu, co się naprawdę wydarzyło.

Odbył lekcję angielskiego z obiema dziewczynkami i obiecał zajrzeć we wtorek, po powrocie z Hamburga. Jadąc z powrotem przez miasto po Effi zastanawiał się, jak rozproszyć uczucie przygnębienia, które zdawało się go przytłaczać.

Niepotrzebnie się martwił. Czekало go prawie dwieście kilometrów do Stralsund, i zanim tam dotarli, nastawienie Effi udzieliło się także i jemu. Uparła się na romantyczną przygodę. Po przebyciu wąskiej cieśniny na pokładzie parowego promu, ostatnie czterdzieści kilometrów do Sassnitz przejechali w gęstniejącym mroku, a światła samochodu nie wychwyciły niczego na drodze, prócz dwóch pędzących przez nią jeleni.

Tak jak Russell się spodziewał, mały kurort okazał się dosłownie pusty i mogli przebierać wśród tych hoteli, które nie zamknęły podwoi na czas zimowej przerwy.

Wybrali Am Meer tuż przy promenadzie i otrzymali pokój z widokiem na pogrążony w mroku Bałtyk. Ponieważ jadalnia została zamknięta w celu odnowienia, obiad podano w pokoju wypoczynkowym, przed tańczącymi płomieniami. Przyniosło go dziewczę w wieku około czternastu lat. Szczęśliwi i najedzeni wyszli na promenadę i przysłuchiwali się falom kojąco pieszczącym brzeg. Niebo było usiane gwiazdami, a z tyłu ponad wzgórzami wznosił się cienki sierp księżycy. Gdy wtulili się w siebie, by się ogrzać, i całowali na kamienistej plaży, Russell uzmysłowił sobie, że oto właśnie jest najlepsze, co go w życiu spotkało. Po powrocie do pokoju odkryli, ku rozbawieniu Effi, że łóżko piszczy i trzeszczy przy najlżejszym ruchu, i kochając się musieli w połowie zrobić sobie przerwę, gdyż napadł ją niepoohamowany chichot.

Następnego ranka nadal utrzymała się ładna pogoda, a słoneczny blask zalał ich łóżko. Ciepło opatuleni wybrali się samochodem na słynne klify Stubbenkammer, dziesięć kilometrów przez bukowy las Stubnitz. Ostrożnie zerkając na stuczterdziestometrową przepaść, Russell udzielił Effi pierwszej lekcji jazdy na rozległym asfaltowym podłożu, wylanym dla autokarów przywożących letnie wycieczki.

Bezlitośnie zgrzytając przy zmianie biegów, chaotycznymi szarpnięciami posuwała się do przodu i zrobiła kilka kółek, nim oświadczyła:

- To łatwe!

Zjedli obiad w restauracji, którą zauważyli po drodze - w długim drewnianym budynku o misternie rzeźbionej fasadzie, gnieźdzącym się pośród buków - a potem spędzili parę godzin spacerując starannie utrzymanymi ścieżkami po opromienionym przez słońce lesie. Jedynymi ludźmi oprócz nich była garść członków *Hitlerjugend* z Rostocku, w trakcie swojej weekendowej wyprawy: grupki złożone z dwóch lub trzech chłopców, zerkających to na kompas, to znów na ścieżkę. Ich dowódcy, zamykający pochód, twierdzili, że widzieli niedźwiedzia, lecz odór piwa w ich oddechu sugerował coś innego.

Zmierzch zapadł zbyt wcześnie, ale zawsze jeszcze pozostawało skrzypiące łóżko.

Później zaś pili, jedli i siedzieli przed kominkiem, prawie nie rozmawiając i wcale nie

odczuwając takiej potrzeby. Łóżko było równie niewygodne co hałaśliwe, lecz Russell spał lepiej niż przez wiele nocy w ostatnich tygodniach.

Ostatniego ranka pojechali na północny zachód, w kierunku długiego piaszczystego cypla łączącego półwyspy Jasmund i Wittow. Widząc, że droga biegnąca wzdłuż cypla jest pusta, Russell przekazał kierownicę Effi, która poprowadziła przez następne dwadzieścia kilometrów - o wiele za prędko, z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem. Na końcu cypla przeszli się po piaszczystej plaży jakiś kilometr lub więcej, w jedną stronę i z powrotem, obserwując, jak wiatr wzbija białe pióropusze na wodzie, a chmury mkną na wschód ponad niebieskoszarym Bałtykiem. Nie miały ich żadne samochody ani spacerowicze.

Nie pojawił się także żaden statek na horyzoncie. Ziemia należała do nich.

Jednak nie na długo. Pociąg, który miał zabrać Effi z powrotem do Berlina, odjeżdżał ze Stralsundu o trzeciej, i kiedy wracali przez wyspę, słońce coraz częściej chowało się za chmurami, aż w końcu zniknęło zupełnie. Krótka przeprawa promem była niespokojna, wagony złowieszczo pobrząkiwały w łańcuchach, a nim dotarli na Hauptbahnhof, lunął deszcz.

- To naprawdę smutne - powiedziała Effi. - Wracasz tylko na dzień czy dwa i znowu wyjeżdżasz do Londynu. A ja nie mam pojęcia, jaki będzie harmonogram zdjęć.

- To tylko parę tygodni - pocieszał ją.

- Oczywiście - uśmiechnęła się, lecz on wiedział, że powiedział nie to, co należało. - Powtórzmy to - dodał. - Niedługo.

- Proszę. - Rozległ się gwizd i Effi wychyliła się z okna, żeby pocałować Russella. - Czy jesteś pewien, że się nie pomyliliśmy? - spytała. - To ty powinieneś siedzieć w pociągu do Hamburga, a ja jechać autem do Berlina.

- Czasem inni ludzie też chcą skorzystać z drogi - powiedział jej, gdy pociąg szarpnął i ruszył.

Zrobiła nadąsaną minę i posłała mu całusa. Russell stał przez chwilę patrząc, jak czerwone światło pociągu znika w oddali, po czym pomaszerował z powrotem wzdłuż peronu i opuścił dworzec. Bez niej w samochodzie wydawało się zimniej.

Droga przez wilgotne wrzosowiska na północy była przeważnie pusta, deszcz padał uparcie i chwilami dość mocno. Russell jechał na zachód, utrzymując równe pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, na wpół zahipnotyzowany miarowym stukaniem wycieraczki na przedniej szybie, gdy jego wzrok z trudem przebijał się przez leżące przed nim cienie.

Zanim dotarł do Lubeki, zapadł zmrok, i na ostatnim odcinku, ciągnącym się przez południowy Holsztyn, potok ciężarówek z całych sił próbował oślepić go reflektorami. Słabo oświetlone przedmieścia wschodniego Hamburga przyniosły błogosławioną ulgę. Russell już wcześniej zarezerwował dla siebie pokój z wanną w hotelu Kronprinz przy KirchenAllee. Był to jeden z przybytków Hamburga lubiany przez dziennikarzy ze względu na ceny. Był drogi, ale nie aż tak bardzo - w razie potrzeby dziennikarze zawsze mogli przedstawić dowód, że inne hotele kosztują więcej. Recepcjonista potwierdził to, czego Russell się spodziewał: że wyprzedził tłum o jeden dzień. Ponieważ wodowanie wyznaczono na wtorek w porze obiadu, większość prasy zamierzała przybyć w poniedziałek pod wieczór.

Po obejrzeniu pokoju i zjedzeniu obiadu w hotelowej restauracji, Russell wyszedł na miasto. Kronprinz znajdował się akurat naprzeciwko głównego dworca, zajmującego wschodni kraniec starówki. Russell przeszedł przez dworzec i ruszył Mönckebergstrasse ku mającej w oddali wieży ratusza, skręcając w prawo, zanim do niej dotarł, i udał się w stronę AlsterBassin - wielkiego kwadratowego zbiornika wodnego, usytuowanego w samym sercu miasta. W ciągu ostatnich piętnastu lat wiele razy odwiedzał Hamburg, i spacer nad brzegami długiego na półtora kilometra, przypominającego kształtem drzewo jeziora stał się wręcz jego rytuałem.

Pomimo mokrego zimna wiele osób postanowiło zrobić to samo. W letnie dni na wodzie było zazwyczaj tłoczno od łodzi wiosłowych, żaglowych i parowych, jednak w ten zimowy wieczór mewy miały całe jezioro dla siebie.

Russell wstał na piwo do kafejki na jednym z nabrzeży i pomyślał o Effi. Cudownie radziła sobie z dziećmi, ale nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wspominała, że chce mieć własne. A czy on pragnął mieć kolejne dziecko, z nią? Na przekór temu, że świat zdawał się rozpadać wokół nich, uznał, że chce. Daleko na wodzie mewa zaskrzeczała szyderczo.

Spał dobrze, zjadł obfite śniadanie i pojechał przez miasto do St Pauli, przedmieścia leżącego między Hamburgiem i Altoną, zamieszkiwanego przez znaczną część zatrudnionych na statkach mieszkańców miasta. Jego brytyjskiemu agentowi ogromnie spodobał się pomysł włączenia marynarzy do jego „Zwyczajnych Niemców”, a to było oczywiste miejsce, by ich znaleźć.

Przeprowadzanie rozmów z mężczyznami, mającymi już czynną służbę za sobą wydawało się dobrym sposobem na oddalenie ewentualnych podejrzeń, że zbiera dane wywiadowcze zamiast informacji o życiu ludzi, więc pierwszym portem na jego szlaku stał się jeden z kilku domów dla emerytowanych marynarzy, mieszczący się w pobliżu nabrzeża.

Przez następne dwie godziny rozmawiał z kilkoma zadowolonymi pensjonariuszami, z których wszyscy z ochotą chcieli się dzielić zapasami alkoholu, jakie mieli ukryte. Wszyscy oni walczyli na wojnie: jeden należał do nielicznych ocalałych z bitwy o Falklandy; dwaj pozostali brali udział w bitwie jutlandzkiej. Ci ostatni bez ogródek sugerowali, jakoby uczestniczyli w buncie marynarzy z Kilonii w 1918 roku, jednak najwyraźniej nie ucierpieli z tego powodu ani wówczas, ani pod rządami nazistów. Ich dom spokojnej starości wydawał się wygodny, sprawnie działający i przyjazny. Wszyscy mieszkańcy, z którymi rozmawiał, podziwiali nowe okręty, lecz żaden nie był pod wrażeniem obecnych standardów artylerii. „Nie”, przyznawali, „ta się prawie nie liczy”. Okręty takie jak nowy „Bismarck” wyglądały dobrze - i były dobre - ale lepiej byłoby przeznaczyć pieniądze i siłę roboczą na budowanie Ubootów. Ich zdaniem, to tam przyszłość miała przynieść zwycięstwo lub porażkę w wojnach na morzu.

Mniej poszczyliło się Russellowi z czynnymi marynarzami. Przeczesując nadbrzeżne knajpy znalazł kilku przyjaznych, jednak więcej było takich, którzy reagowali na jego pytania podejrzliwością graniczącą z wrogością. Niektórzy wyraźnie popierali reżym. Pewien młody oficer, uspokojony pobieżnym rzutem oka na list Sturmbannführera Kleista, wykazywał szczególny optymizm wobec morskich perspektyw Niemiec: postrzegał zwłaszcza „Bismarcka” jako symbol zbliżającego się renesansu. „Za pięć lat”, obiecywał, „każemy Brytyjczykom chować się w portach”.

Inni, jak domyślał się Russell, byli niegdyś otwartymi przeciwnikami reżymu - bądź co bądź, Hamburg stanowił kiedyś twierdzę KPD oraz kluczowe centrum kominternowskiej organizacji wśród ludzi morza. W oczach tych mężczyzn sam był w najlepszym razie naiwnym angielskim dziennikarzyną, zaś w najgorszym agentemprowkatorem.

Tego popołudnia Russell wydał kilka marek na wycieczkę po hamburskim porcie - półtorej godziny kanałów, stoczni, kei oraz niebotycznych żurawi. Wszędzie powiewały kolorowe chorągiewki, a przy pochylni Blohm und Voss, mieszczącej przyszłego „Bismarcka”, wrzało niczym w ulu, gdyż ciągle trwały ostatnie przygotowania do ceremonii wodowania. Natomiast sam statek rozczarowywał.

Nie była to superkonstrukcja; wyglądał bardziej jak gigantyczny kajak niż jak przyszłość wojen na morzu. Jednak Russell wyniósł ze sobą ogólne wrażenie siły i energii, wrażenie narodu mającego długofalowe cele i sięgającego coraz dalej.

Zjadł obiad w małej restauracji przy Jungfernstieg, w której bywał już wcześniej - ostrygi smakowały równie dobrze, jak to zapamiętał - i ruszył w drogę powrotną przez miasto do Klosterburg, piwiarni niedaleko jego hotelu, gdzie zwykle zbierali się dziennikarze.

Hal Manning i Jack Slaney siedzieli przy barze, wbijając wzrok w stół po drugiej stronie sali, zajęty przez wrzaskliwych szturmowców. Jeden z mężczyzn, złopiący piwo, wyłuszczał właśnie, co by zrobił Marlenie Dietrich, gdyby kiedykolwiek ośmieliła się ponownie postawić stopę na niemieckiej ziemi. Jego propozycja nadrabiała brutalnością tam, gdzie brakowało oryginalności. Russell dźwignął się na wolny stół obok Slaneya i zamówił kolejkę dla siebie i kolegów.

- Właśnie kręci film z Jimmym Stewartem - powiedział Slaney.

- A jej postać ma na imię Frenchie. To chyba pokazuje, po czyjej jest stronie. - Nie przestawał się wpatrywać w stół SA, trzymając w ręku kieliszek z whisky na popitkę. - Powinniśmy wymyślić nowe zbiorowe określenie na tych ludzi. No wiecie, coś jak stado gęsi. SA, bezdenne przygłupy. Nie, to zbyt uprzejme. - Odrzucił głowę do tyłu i wlał w siebie zawartość kieliszka.

- Próżnia - zasugerował Manning.

- Zbyt intelektualne.

- Szumowina - podsunął Russell.

- Mmm, niezłe. Może szlam. - Slaney sięgnął po piwo. - Gdyby tylko oni też mogli odpłynąć z prądem - dodał z goryczą.

Następnego ranka o jedenastej dwa autobusy przysłane przez Ministerstwo Propagandy zajechały na podjazd przed Reichshof, tuż obok Kronprinz, żeby zabrać zgromadzonych zagranicznych dziennikarzy.

- Będziemy tam sterczeć godzinami - narzekał Slaney, gdy ich autobus kierował się na południe w stronę mostu nad Północną Łabą. Jednak nie wziął pod uwagę ruchu ulicznego. Tylko jedna droga prowadziła przez doki do stoczni Blohm und Voss, i wkrótce jazda przerodziła się w ślimacze pełznięcie.

- Adolfowi nie spodoba się siedzenie w korku - powiedział Russell.

- On przy pływa jachtem - poinformował go Manning. - „Grille”. Taka drobna dziennikarska ciekawostka dla ciebie.

- Dzięki, staruszk.

Dobrnęli do pochylni numer 9 kwadrans po dwunastej i zostali zapędzeni, trochę jak uczniaki, na zamknięty teren z tyłu i nieco po prawej od wysokiego dziobu okrętu. Schody prowadziły stamtąd w górę na platformę wielkości około dziesięciu metrów kwadratowych, zaś z niej kolejne stopnie wiodły na właściwą platformę do wodowania, tuż przy dziobie.

Nie była to „pogoda Hitlera”, ale przynajmniej nie lało, a na niebie wśród szarości wyłoniło się kilka chaotycznie rozmieszczonych plam błękitu. Przybyło kilka tysięcy ludzi, którzy ustawili się wzdłuż boków pochylni oraz za platformami. Garstka robotników stoczni wychylała się przez reling statku, inni ryzykownie balansowali na olbrzymim rusztowaniu z belek, wznoszącym się nad okrętem. Większą platformę wypełnili miejscy i państwowi urzędnicy, grube ryby z marynarki i partyjni dygnitarze. Kilka pierwszych wystrzałów sprawiło, że tłum umilkł.

- Morskie pozdrowienie - mruknął Slaney. - Chyba, że strzelają do jachtu Hitlera.

- To by było zbyt piękne - odparł Russell, wskazując na człowieka, o którym mowa, a który właśnie ukazał się u podnóża schodów prowadzących na pierwszą platformę. Wiekowa wnuczka Bismarcka wdrapywała się po stopniach przed nim, zaś Hitler, rozmawiający z korpulentnym Goeringiem, wyraźnie irytował się z powodu zwłoki i często rzucał okiem na jej postępy.

Kiedy już Führer, Dorothea von Bismarck oraz trzech najwyższych wojskowych dowódców zgromadziło się na wyższej platformie, kanclerz wygłosił mowę - jak na jego własne standardy wyjątkowo krótką - wychwalając zalety współczesnej niemieckiej floty wojennej (której rozwój Brytyjczycy złośliwie torpedowali w 1919 roku) oraz samego „Żelaznego Kanclerza” („prawdziwego rycerza bez skazy, nie znającego strachu”).

Następnie wnuczka Bismarcka ochrzciła statek - jej trzęsący się głos ledwie dał się słyszeć wśród ochryplego wrzasku mew - i zgodnie z tradycją rozbiła o dziób butelkę szampana. Rozległ się odgłos usuwanych klinów, a potem... nic. Okręt ani drgnął. Hitler nie odrywał wzroku od dziobu, niczym kot stojący przed drzwiami, które nie chcą się otworzyć. Jeden z głównodowodzących rozglądał się dokoła, tak jakby zapytywał sam siebie: „I co my teraz zrobimy?”. Kilka mew zawisło nad wyższą platformą, jak gdyby planowały coś zbroić.

- Jeżeli to potrwa dłużej - odezwał się Slaney, przyglądając im się - Angole będą przyjmować zakłady, kto pierwszy zostanie obsrany.

Z dołu dało się słyszeć więcej stukania, lecz statek nadal się nie poruszył. Russell spojrzął na zegarek - upłynęły dwie minuty. Hitler w dalszym ciągu surowo spoglądał prosto przed siebie, ale cóż innego mógł zrobić? Nie było to przecież odpowiednie miejsce, by dać upust złości.

Jeden z dowódców nachylił się, żeby coś powiedzieć, i raptem zeszywniał, jakby dostał w twarz. Wtem zabrzmiały radosne okrzyki ludzi zgromadzonych wzdłuż pochylni - statek nareszcie powoli sunął do przodu. Sylwetki na platformie wyraźnie się odprężyły, a kiedy rufa znalazła się na wodzie, Hitler obrócił się lekko na bok, uśmiechnął i gwałtownie

huknął w barierkę zaciśniętą pięścią. - Musieli posłać na dół Goeringa, żeby popchnął - skomentował Slaney. - Tak czy owak - dodał - dobra wiadomość jest taka, że nie będzie gotowy do wyjścia w morze aż do 1941.

Pociąg Slaneya odjeżdżał dopiero o dziewiątej wieczorem, więc Amerykanin ochoczo przystał na propozycję podwiezienia do Berlina samochodem. Rozmawiali niewiele - Slaney przespał większą część podróży, chociaż kilkakrotnie budziło go własne chrapanie - więc Russell został sam z niewesołymi myślami o czekającej go następnego dnia wizycie w Sachsenhausen. Przynajmniej nie będzie miał problemów z dostaniem się tam. Jeśli się nad tym zastanowić, to właśnie stanowiło szczególną zaletę posiadania samochodu w Niemczech: obozy koncentracyjne stawały się tak łatwo dostępne.

Wysadziwszy Slaneya w centrum pojechał na Neue Königstrasse, żeby się dowiedzieć, czy Wiesnerowie dostali jakieś wieści albo czy mają jakieś ostatnie wskazówki dotyczące jego wizyty. Pierwszych nie było, lecz Frau Wiesner napisała krótki list do męża.

- Nie pozwolą... - Russell zaczął mówić, ale po chwili ustąpił.

- Spróbuję - obiecał.

- Proszę go przeczytać - powiedziała - i jeżeli go zabiorą, będzie pan mógł mu przekazać, co w nim jest.

- Proszę powiedzieć tatusiowi, że go kochamy - odezwała się Ruth, której głowa nagle wyłoniła się zza drzwi prowadzących do drugiego pokoju. Głos jej się łamał, a uśmiech był niemal nie do zniesienia.

- Powiem.

Odjechał z Neue Königstrasse i zatrzymał się przy dworcu na Alexanderplatz, żeby zadzwonić do Effi. Nikt nie odebrał telefonu, więc wrócił do domu na Neuenburgerstrasse. Wieczorek karciany Frau Heidegger rozkręcił się już w najlepsze, lecz dozorczyńni przypięła obok telefonu wiadomość dla niego: „Herr Russell! Pańska narzeczona pracuje dziś wieczorem do późna, a jutro od samego rana. Kończy jutro pracę o szóstej wieczorem!”.

Russell poszedł na górę i wziął kąpiel. Woda prawie parzyła. Ból przy zanurzeniu wydał mu się rozkoszny.

Środa byłaby miłym dniem na każdą podróż - oprócz tej. W niezbyt mocnym słońcu Berlin prezentował się od najlepszej strony: Szprewa migotała, okna błyszczały, jaskrawo pomalowane tramwaje lśniły na ulicach wybrukowanych szarym kamieniem. Gdy przechodnie kulili się przed powiewami rzeńskiego zimnego wiatru, z ustami i uszami

opatulonymi wełnianymi szalikami, hanomag okazał się nadzwyczaj - jak na dziesięcioletnie auto - odporny na przeciągi. Jadąc Brunnenstrasse w kierunku Gesundbrunnen, Russell wymruczał dziękczynną modlitwę w intencji kuzynów Zembskiego. Ponad tysiąc kilometrów w dwanaście dni i żadnych oznak jakiegokolwiek problemu.

Przejeżdżając przez wiadukt dostrzegł flagę Herthy powiewającą na głównej trybunie Plumpe. W zeszły piątek on i Effi pokonali tę samą trasę, lecz tamtego dnia mieli poczucie, że zostawiają świat Hitlera za sobą. Dzisiaj zagłębiał się w samo jego serce, czy może raczej w pustą przestrzeń, gdzie serce mogłoby się znajdować.

Sachsenhausen od Berlina dzieliła ledwie godzina jazdy - rozsądny dojazd dla prowadzących przesłuchania Gestapowców, którzy poprzednio parali się swoim zajęciem we współczesnych lochach w Columbia Haus. Według Slaneya nowy obóz był o wiele większy, ale ani on, ani żaden członek zagranicznego korpusu prasowego nigdy nie złożył w nim wizyty. Na początku zostali oprowadzeni po ugrzecznonym Dachau, i na tym koniec. Dziesięć kilometrów przed celem Russell zatrzymał się w warsztacie w małej miejscinie, żeby zatankować oraz wykorzystać przerwę w podróży na przeczytanie listu Evy Wiesner do męża. Był prosty, wzruszający. Chwytał za serce.

Gdy znalazł się z powrotem na drodze do Stralsund, schludny znak obwieścił zjazd do obozu koncentracyjnego i ośrodka reedukacji Sachsenhausen. Dwa czy trzy kilometry nowo zbudowanej drogi wiodło przez płaskie pastwiska i zagajniki do bramy obozu. Równoległe ogrodzenia ciągnęły się w prawo i w lewo; jedno z nich wyraźnie było pod napięciem. Samej bramy strzegły betonowa wieża oraz wartownia.

Russell zaparkował auto przy tej ostatniej akurat w chwili, gdy mężczyzna w mundurze *Totenkopfverbände*[14] wyłonił się z niej z uniesioną jedną ręką i pistoletem maszynowym w drugiej. Russell opuścił szybę i podał mu dokumenty. Strażnik przeczytał je dwukrotnie, kazał mu zaczekać i wrócił do wartowni. Russell usłyszał jego rozmowę, zapewne przez telefon, i po chwili strażnik powrócił w towarzystwie kolejnego.

- Wysiadać - powiedział.

Russell posłuchał.

- Podnieść ręce.

Zrobił, co mu kazano. Podczas gdy jeden strażnik sprawdzał jego ubrania i jego samego w poszukiwaniu broni, drugi przetrząsał samochód.

- Co to jest? - spytał pierwszy strażnik, wyciągając list z kieszeni płaszcza Russella.

- To list do człowieka, z którym przyjechałem się spotkać. Od jego żony.

- Niedozwolone - strażnik odpowiedział nie okazując emocji.

Zgniół list w garści.

Russell otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uznał, że lepiej tego nie robić.

- Samochód jest czysty - oświadczył drugi strażnik.

- Niech pan skręci za bramą w lewo i zgłosi się do komendantury - poinformował go pierwszy strażnik. - To drugi budynek po lewej. - Oddał mu dokumenty i dał znak ręką innemu strażnikowi, który teraz pojawił się w bramie, żeby ją otworzył. Russell podziękował mu uśmiechem - nie odwzajemnionym - i ostrożnie przejechał przez otwartą bramę, mając świadomość, że za chwilę się za nim zamknie. Skręciwszy w lewo zobaczył w pewnej odległości kilkuset więźniów stojących w szyku na rozległym placu. Większość miała gołe ręce oraz głowy i musiała zamarzać na zimnym wietrze. Dwaj funkcjonariusze *Totenkopfverbände* przechadzali się wzdłuż pierwszego szeregu, wyrzaskując coś niezrozumiałego. Jeden trzymał na smyczy wilczura w kagańcu.

Russell zatrzymał się przed dwupiętrowym betonowym budynkiem z napisem „Kommandantura”, po raz ostatni obejrzał się na coś, co niechybnie wyglądało na apel, i skierował się do drzwi. Po obu stronach wejścia, w dwóch ogromnych donicach, tkwiły uschnięte resztki, prawdopodobnie po pelargoniach.

W środku gestapowski oficer w średnim wieku podniósł wzrok znad biurka, bez słowa wyciągnął rękę do Russella po dokumenty i wskazał mu krzesło. Studiując przepustkę i towarzyszący jej list raz po raz przeczesywał prawą ręką rzednące włosy, jak gdyby miał zamiar osłabić to, co jeszcze mu zostało. Gdy podniósł tą dłonią słuchawkę, do gładzenia się po głowie zaczął używać drugiej.

- Jesteś tu potrzebny - powiedział do kogoś, i rozłączył się.

Po minucie pojawił się ów ktoś - młodszy mężczyzna o wyjątkowo mało inteligentnym obliczu.

- Hauptscharführer Gründel zaprowadzi pana na to spotkanie - oznajmił.

Russell podniósł się.

- Tędy - warknął Hauptscharführer, prowadząc go przez drzwi, dalej krótkim korytarzem i przez kolejne drzwi, na zewnątrz. Po niezbyt długim marszu żwirową alejką znaleźli się w następnym, większym dwupiętrowym budynku, w małym pokoiku bez okien na parterze. Kilka krzeseł i stolik stały pod ścianami, pozostawiając pusty środek pokoju. Podłogę pokrywała cienka warstewka kurzu.

- Dlaczego tak pana interesuje ten Żyd? - spytał Hauptscharführer. Pod chamską pewnością siebie w jego głosie pobrzmiwało niemal zdumienie.

- Pomógł mojemu przyjacielowi, wiele lat temu - Russell odpowiedział krótko.

Hauptscharführer podumał nad tym i pokręcił głową.

- Czekać tutaj - rzucił.

Russell czekał, chodząc tam i z powrotem po pokoju. Na środku podłogi znajdował się ciemny osad, który mógł być zaschniętą krwią. Russell przykucnął, żeby się lepiej przyjrzeć, ale przyznał sam przed sobą, że tak naprawdę nie wie, jak wyglądałaby znaczna ilość zaschniętej krwi. „To jedna z rzeczy, które powinno się wiedzieć w królestwie Hitlera”, pomyślał. Skoro Eskimos ma pięćdziesiąt słów na określenie śniegu, zapewne naziści mają pięćdziesiąt na zaschniętą krew.

Minuty wlokły się. W pewnym momencie w oddali rozległo się wściekłe ujadanie, które równie raptownie ucichło. Upłynęło prawie dwadzieścia minut, aż wreszcie drzwi otworzyły się i Felix Wiesner został wepchnięty do środka. Hauptscharführer szedł tuż za nim. Russell spodziewał się zobaczyć skaleczenia oraz siniaki, i rzeczywiście było ich mnóstwo - jedno oko Wiesnera tak napuchło, że nie mógł go otworzyć, ciemne sińce widniały na jego szyi, gardle i policzkach, a we włosach miał krew.

To jednak były powierzchowne urazy. Prawą rękę owijał pokrwawiony bandaż, skrywając Bóg wie jakie obrażenia. Doktor zwijał się też w pół, najwyraźniej nie będąc w stanie iść prosto. Russell pomyślał, że wygląda jak mężczyzna, który został kopnięty w krocze. Wiele, wiele razy.

Wiesner był najwidoczniej zaskoczony widokiem znajomej twarzy.

- Proszę - odezwał się Russell, pomagając Wiesnerowi usiąść na krześle, i rozumiejąc, ile bólu go to kosztuje.

Hauptscharführer, który zajął krzesło przy drzwiach, obserwował to z pogardą.

- Czy możemy pomówić na osobności? - Russell spytał, choć wiedział, jaka będzie odpowiedź.

- Nie. Ten łajdak utracił jakiegokolwiek prawo do prywatności. Ma pan dziesięć minut - dodał, spoglądając na zegarek. Russell zwrócił się do Wiesnera.

- Pańska żona napisała do pana list, ale go skonfiskowali. Poprosiła mnie, żebym go przeczytał na wypadek, gdyby tak się stało. Napisała, że ona i dzieci kochają pana i że marzą o dniu, gdy wróci pan do domu.

Wiesner westchnął, po czym wyraźnie włożył sporo wysiłku w to, żeby wziąć się w garść.

- Dziękuję - powiedział cicho, poruszając ustami z trudnością, której nie dało się nie zauważyć. - Dlaczego pan tu jest? - spytał, jak gdyby musiał istnieć jeszcze jakiś powód.

- Żeby pomóc, jeżeli zdołam - odparł Russell. - Wie pan, o co pana oskarżają?

- Tak.

- Spotkał pan tę dziewczynę?

Wiesner poruszył się, daremnie próbując znaleźć mniej bolesną pozycję.

- Przyszła do przychodni. Chciała aborcji. Zwzywała mnie, kiedy odmówiłem.

- Nie wie pan, kto jej wykonał tę aborcję?

- Nie. Ale przecież - mówił powoli, chcąc mieć pewność, że właściwie dobierze słowa - to bez znaczenia. To koniec. Wszyscy tutaj jesteśmy winni. - Podniósł zdrową rękę i położył ją na ramieniu Russella. - Musi pan powiedzieć mojej żonie, żeby wyjechała, jeśli może. Żeby ocalić dziewczynki. I Alberta, jeżeli chce zostać ocalony. I siebie samą. Nie powinna liczyć, że uda się mnie stąd wydostać. Właściwie to powinna postępować tak, jakbym już nie żył. Rozumie pan? Czy może jej pan to przekazać? Czy może pan sprawić, żeby w to uwierzyła?

- Mogę jej powiedzieć.

- Ona wie, gdzie znajduje się moja kolekcja znaczków - posłużył się angielskim. - Byłaby sporo warta według Stanleya Gibbonsa. A ja miałbym u pana wielki dług.

- Nie, nie miałby pan - odrzekł Russell, zerkając na Hauptscharführera, który patrzył na zegarek.

- Wstyd mi to mówić - ciągnął Wiesner, nadal z trudem wypowiadając każde słowo - ale sądziłem, że Albert przesadza, opowiadając o tym miejscu. Że nie zachowuje się, jak prawdziwy Mensch[15]. Proszę mu powiedzieć, że mi przykro, i że teraz wiem.

- Jedna minuta - wtrącił Hauptscharführer.

- Niech pan nie mówi mojej żonie, jak jest źle - poprosił Wiesner.

- Niech pan jej powie, że nic mi nie jest. Ona nic nie może zrobić.

Russell spoglądał na niego.

- Czuję, że powinienem przeprosić - powiedział.

- Dlaczego, przecież nic pan nie zrobił.

Russell skrzywił się.

- Może właśnie dlatego. Nie wiem, czy istnieje coś, co mogę zrobić, żeby panu pomóc, ale poruszę niebo i ziemię, by wydostać pańską rodzinę. Daję panu słowo.

Wiesner skinął głową, jak gdyby to była umowa, którą warto zawrzeć.

- Dziękuję panu - wyszeptał, gdy Hauptscharführer się podniósł.

- Koniec czasu - mężczyzna zakrzyknął z wyraźną satysfakcją.

- Czekać tutaj - polecił Russellowi, popychając Wiesnera w stronę drzwi. Russell patrzył, jak doktor boleśnie powłóczy nogami, obejmując się rękoma dla ochrony przed wiatrem, a Hauptscharführer zmusza go do szybszego tempa.

Drzwi zatrzasnęły się za nimi.

Russell usiadł i czekał, w otępieniu wpatrując się w przestrzeń, póki Hauptscharführer nie wrócił. Znalazłszy się z powrotem w komendanturze naciskał na oficera Gestapo, chcąc się dowiedzieć, czy wersja wydarzeń przedstawiona przez doktora została sprawdzona. Mężczyzna zawahał się, jak gdyby się zastanawiał, czy udzielenie odpowiedzi byłoby uzasadnione, i uznał, że owszem.

- Nasze śledztwo nie zostało jeszcze zamknięte - oznajmił lekceważąco.

- To znaczy, że on jeszcze nie umarł - powiedział Russell.

Gestapowiec posłał mu blady uśmiech.

- To, co się tutaj dzieje, to nie jest sprawa cudzoziemców - odparł.

Russellowi z miejsca nasunęło się kilka ripost, jednak roztropniej wydawało się milczeć.

- Mogę już iść? - spytał.

- Może pan iść.

Russell wyszedł na zewnątrz do samochodu. W oddali wciąż widział stojących więźniów, a lodowaty wiatr nie przestawał wiać. Nawrócił, podjechał do bramy i czekał, aż mu ją otworzą. Mijając wartownię dostrzegł zmięty w kulkę list Evy Wiesner leżący tam, gdzie cisnął nim wiatr, pod betonową ścianą. Jakiś kilometr dalej na drodze dojazdowej do obozu zahamował, ciężko oparł głowę na kierownicy i pozwolił, by targały nim fale wściekłości.

Niecałą godzinę później zatrzymał się przed kamienicą na Fried richshain, w której mieszkali Wiesnerowie. Przez chwilę siedział w samochodzie, nie mając ochoty wysiadać, tak jakby zanosząc złe wieści miał sprawić, że staną się prawdziwe.

Mijało go wielu przechodniów wyglądających na Żydów, a większość z nich zdawała się pamiętać lepsze czasy. Czy na ich twarzach malowała się udręka, czy to tylko jemu się zdawało, że tak być powinno? Czy oni dostrzegali zbliżające się pięści? Pałki, pasy, batogi?

Russell ze znużeniem wspiał się po schodach i zapukał do znajomych drzwi. Otworzyły się natychmiast, jak gdyby Frau Wiesner czekała za nimi.

- Nic mu nie jest - powiedział Russell, czując na języku gorycz kłamstwa.

Na buziach dziewcząt pojawiła się nadzieja, lecz Frau Wiesner wpatrywała się w jego twarz i dojrzała inną prawdę.

- Nie traktują go źle? - spytała niemalże z niedowierzaniem.

- Nie za bardzo - odparł Russell, znacząco zerkając na dziewczynki. Jej twarz zapadła się, gdy kobieta pojęła, że jest coś, o czym musi rozmawiać tylko z nią. Zdołała się jednak

zdobyć na uśmiech, gdy przeganiała dziewczynki z powrotem do drugiego pokoju.

- Niech pan mówi, jak źle to wygląda - odezwała się, kiedy tylko drzwi zamknęły się za nimi.

- Był bity. Ale nieszczęśliwie mocno - skłamał Russell. - Ma skaleczenia i sińce. Czegóż innego można się spodziewać po tych bydlakach.

- Boże, miej nas w opiece - jęknęła. Kolana ugięły się pod nią.

Russell pomógł jej usiąść i zebrał się w sobie, żeby przekazać jej słowa męża.

- Przesyła wiadomość dla pani - zaczął. - Jeżeli to tylko możliwe, pani i dzieci musicie wyjechać z kraju. Ma nadzieję, że w końcu go zwolnią, ale w obecnej chwili... w obecnej chwili - podkreślił - mówi, że musi pani postępować tak, jakby on już nie żył.

Oczekiwał łez, lecz ona posłała mu buntownicze spojrzenie.

- Dzieci, tak - oświadczyła. - Ale ja nie wyjadę.

- Dzieci będą pani potrzebować - powiedział Russell. „A twój mąż nie wróci”, pomyślał.

- Poradzą sobie - stwierdziła stanowczym tonem, tak jakby usiłowała przekonać samą siebie. - W przyzwoitym kraju poradzą sobie. Albert jest na tyle dorosły, żeby zaopiekować się dziewczynkami.

- Gdzie jest Albert?

- Gdzieś wyszedł. Ale dopilnuję, żeby zaopiekował się dziewczynkami.

- Dla niego mąż również przysłała wiadomość - ciągnął Russell.

- Mówi, że teraz rozumie, co Albert musiał przejść w obozie.

Chce, żeby Albert wiedział, iż jest mu przykro, że w niego zwątpił.

- Och, Boże - westchnęła, ukrywając twarz w dłoniach.

Russell przyciągnął ją do siebie i poczuł na ramieniu milczący, urywany szloch.

- Jeszcze jedno - dodał, kiedy w końcu całkiem znieruchomiła.

- Jutro jadę do Anglii. Na kilka dni, zabieram siostrę Effi do angielskiego lekarza. Pani mąż spytał, czy mógłbym wywieźć jego znaczki z Niemiec, a to wydaje się być idealna okazja. Jeżeli się pani zgodzi, mogę je złożyć w skrytce bankowej w Londynie i zostawić klucz u mojego agenta. Jest godny zaufania.

- Jest pan pewien?

- Że jest godny zaufania? Tak. Że mogę je przewieźć przez cło? Nie całkiem, ale będę podróżował z żoną nazistowskiego urzędnika oraz dwójką dzieci. Wydaje się, że to najlepsza szansa, jaka może się trafić.

Wstała i zniknęła w drugim pokoju, by po chwili powrócić z wielką książką w

miękkiej oprawie zatytułowaną „Osiągnięcia Trzeciej Rzeszy: pierwsze pięć lat”. Krzykliwy napis w rogu głosił: „Zbierz wszystkie pięćdziesiąt kolorowych naklejek!”. Felix Wiesner najwyraźniej to zrobił. Obrazki ukazujące tętniące życiem fabryki, samochody dla każdego obywatela, statki wycieczkowe programu „Siła przez radość” oraz czterdzieści siedem innych hojnych darów rządów Hitlera zostały schludnie umieszczone w odpowiednich okienkach. - Obrazki są przyklejone tylko na brzegach - wyjaśniła. - Pod każdym jest znaczek.

Effi wydawała się uszczęśliwiona jego widokiem, jednak miał wrażenie, że jej myśli w dalszym ciągu absorbują plan filmowy. Russell mógłby wyrwać ją z tego stanu, szokując relacją o wizycie w Sachsenhausen, lecz jaki to miałoby sens. Opowiedział jej złagodzoną wersję, nawet jeszcze bardziej upiększoną niż ta, jaką przekazał Frau Wiesner. Tej nocy kochali się w sympatyczny, nieco chaotyczny sposób - Russell wyobrażał sobie, że tak „Matka” kochałaby się ze swoim wrażliwym mężem-szturmowcem.

Słońce dopiero wstawało nad zasnutym mgłą planem zlokalizowanym w Havelsee, kiedy ją odwoził, a przed ambasadę brytyjską zajechał prawie godzinę przed jej otwarciem. Kolejka Żydów starających się o wizy ciągnęła się aż za róg na Pariserplatz. Kawa i gorące bułki w kawiarni Kranzler przywróciły siły jego ciału, lecz poranny numer Beobachter jeszcze bardziej podkopał ducha. Artykuł wstępny gratulował Brytyjczykom ich oczywistej gotowości do poddania swego imperium - w Goebbelslandzie sarkazm był najwyższą formą humoru - zanim potępił tę gotowość jako jawną oznakę słabości i dekadencji. Brytyjczycy ulegli humanitätsduselei, humanitarnej bzdurze. To było coś nie do przyjęcia w Rzeszy. Kiedy Russell wrócił do ambasady, kolejka ludzi pragnących umknąć z raju Hitlera miała już kolejny róg.

Martin Unsworth był na jakimś spotkaniu, a kiedy w końcu z niego wyszedł, nie miał niczego dobrego do powiedzenia. Ktoś przykleił uwagę „odmówić” na teczce Frau Wiesner, lecz on nie wiedział kiedy ani dlaczego. Jeszcze nad tym pracuje, lecz Russell sam widzi, są dość zajęci. Drastyczna relacja Russella z wizyty w Sachsenhausen wzbudziła współczucie, lecz niewiele ponad to. Unsworth powiedział, że zatelegrafował do ambasady w Waszyngtonie, zostawiając wiadomość dla Conwaya, jednak nie dostał odpowiedzi. O ile było mu wiadomo, Conway spędzał kilka dni urlopu w Nowym Jorku. W każdym razie i tak nie wiedział, co Conway albo ktokolwiek inny mógłby zdziałać w sprawie jednego Żyda w obozie koncentracyjnym, bez względu na to, czy był całkowicie niewinny albo jak źle go traktowano.

Bardziej zrezygnowany niż rozwścieczony Russell wyszedł, nie grzmocąc tym razem poręczy, i pojechał do domu na Neuenburgerstrasse. Drzwi Frau Heidegger stały otworem, a

jego sąsiad z Sudetów siedział bezradnie na krześle, które rezerwowała dla pełnych poświęcenia amatorów jej kawy. Russell posłał mu współczujący uśmiech i pognął na górę, żeby do większej ze swoich dwóch podniszczonych walizek spakować ubrania na trzy dni, szczoteczkę do zębów i kilka książek. Wśród tychże znalazły się też „Osiągnięcia Trzeciej Rzeszy” oraz „A1 Guide and Atlas of London” specjalnie wydany z okazji koronacji w 1937 roku, który odkrył w zeszłym roku w antykwariacie na Ku'damm. Miniatury ich królewskich mości widniały umieszczone jedna obok drugiej nad wstęgą z napisem „Niechaj długo panują”.

Łądowisko portu lotniczego Tempelhof znajdowało się po drugiej stronie Kreuzbergu, mniej więcej trzy kilometry dalej. Ponieważ ich rodziny mieszkały całkiem blisko siebie, Jens zgodził się podwieźć Paula, żeby zjawić się na lotnisku w południe, a Russell przyjechał z prawie dwudziestominutowym zapasem czasu. Parking był niewielki, jednak klasa aut - jego hanomag stanowił tu wyjątek - z nawiązką nadrabiała ich skromną liczbę. Latanie nie było dla biedoty.

Pozostali zajechali pięć minut później. Paul niósł plecak *Jungvolku*. Jego twarz stanowiła studium tłumionego podekscytowania. Otulona w futro Zarah wyglądała na zaniepokojoną, a Lothar jak normalny czterolatek. Jens zaprowadził ich do piętrowego gmachu terminalu, wyraźnie z zamiarem ułatwienia im formalności. Gdy Zarah oddaliła się w kierunku damskiej toalety, wziął Russella na stronę.

- Wczoraj dobrze poszło? - spytał.

Russell skinął głową.

- I rozumiesz, że nie wolno ci rozmawiać ani pisać o tej wizycie? Russell raz jeszcze przytaknął.

- Dla dobra nas wszystkich - Jens dodał znacząco.

- Patrzcie! - Paul zawołał od okna. - To nasz samolot.

Russell dołączył do syna.

- To Ju-52/3m - Paul oznajmił tonem eksperta, wskazując samolot tankowany na płycie lotniska. - Jego pułap wynosi pięć tysięcy metrów. Może osiągać dwieście sześćdziesiąt cztery kilometry na godzinę!

Russell podniósł wzrok. Niebo było bardziej przejrzyste niż wcześniej.

- Powinniśmy mieć dobrą widoczność - powiedział.

- Nad Rzeszą będziemy przez dwie godziny - poinformował Paul, jak gdyby nic innego nie było warte zobaczenia.

Wróciła Zarah.

- Pora przejść przez odprawę - Russell zwrócił się do syna, czując na plecach dreszcz zdenerwowania.

Jens szedł przodem, gawędząc i żartując z urzędnikami, jakby byli starymi przyjaciółmi. Wielką walizę Zarah przepuszczono bez otwierania, podobnie jak plecak Paula. Jednak celnicy chcieli obejrzyć walizkę Russella.

Otworzył ją i z duszą na ramieniu przyglądał się, jak urzędnik celny przekłada ubrania i dociera do książek.

Obejrzał je jedną po drugiej, ignorując te po angielsku i skupiając się na „Osiągnięciach Trzeciej Rzeszy”. Przerzucił kilka stron i obrzucił jej właściciela pytającym spojrzeniem.

- To dla bratanka w Anglii - wyjaśnił Russell, nagle uświadamiając sobie, że Paul z zaskoczeniem spogląda na książkę.

„Nie odzywaj się”, błagał go w duchu, i Paul, dostrzegając jego wzrok, chyba zrozumiał.

Mężczyzna odłożył książkę razem z pozostałymi i zamknął walizkę.

- Miłej podróży - powiedział.

Kiedy już Jens i Zarah pożegnali się, we czworo przeszli po płycie lotniska do srebrzystego samolotu. Miał gruby dziób, trzy silniki - jeden z przodu i po jednym na każdym skrzydle - oraz okna przypominające prostokątne iluminatory. Na boku widniał napis „Lufthansa”, na ogonie wymalowana była wielka swastyka.

Po niskich schodkach dostali się do drzwi i dalej do przedsionka za kabiną pasażerską, gdzie upakowano ich walizki. W kabinie znajdowało się dziesięć foteli ze skórzanymi obiciami, umieszczonych po obu stronach wyłożonego dywanem przedziału, i każdy z nich miał wysoki zagłówek.

Ich miejscami okazały się cztery fotele na końcu. Russell siedział za Paulem, Zarah za Lotharem.

Pozostali pasażerowie weszli na pokład: dosyć młoda angielska para, której Russell nie widział nigdy wcześniej, oraz czterej samotni mężczyźni, wszyscy o wyglądzie zamożnych biznesmenów działających w takiej czy innej branży. Sądząc po ubiorach, jeden z nich był Anglikiem, zaś resztę stanowili Niemcy.

Furgon pocztowy zatrzymał się obok samolotu. Kierowca wyskoczył z szoferki, otworzył tylne drzwi i przeciągnął trzy worki oznaczone napisem „Deutschespost” do podnóża schodków. Mężczyzna w uniformie Lufthansy zaniósł je na pokład.

- Używaliśmy ich przeciwko komunistom w Hiszpanii - powiedział Paul, wychylając

się z fotela do przejścia, żeby jego głos przebił się przez narastający ryk silników. - To między innymi dzięki nim wygraliśmy.

Russell skinął głową. Zdawało się, że najwyższa pora na dyskusję z synem o hiszpańskiej wojnie domowej, lecz to nie było ku temu odpowiednie miejsce. Russell zastanawiał się, czy Paul zapomniał, że oboje jego rodzice swego czasu byli komunistami, czy może po prostu zakładał, że przejrżeli na oczy.

Pojawili się pierwszy i drugi pilot, przedstawili się, skłaniając głowy i ściskając dłonie pasażerom po drodze do swojej kabiny. Za nimi szła stewardessa, sprawdzając, czy każdy zapiął skórzane pasy bezpieczeństwa. Była wysoką, ładną blondynką w wieku około dwiętnastu lat i mówiła z wyraźnym bawarskim akcentem. Łatwy do przewidzenia ambasador hitlerowskich Niemiec.

Mężczyzna na płycie lotniska zaczął machać i pilot wprawił maszynę w ruch. Podskakiwała na betonowej powierzchni w kierunku końca pasa startowego. Kiedy tam dotarli, zryw silników i szybkie przyspieszenie wbiły pasażerów w siedzenia. W szczelinie między fotelem a ścianą Russell mógł dojrzeć rozanieloną twarz Paula przyciśniętą do szyby. Po drugiej stronie przedziału Zarah zamknęła oczy ze strachu.

Sekundę później pod nimi rozciągał się Berlin - płatanina torów biegnących na południe ze stacji Anhalter i Potsdamer, przedmieścia Schonefeld, Wilmersdorf i Grunewald.

- Tam jest moja szkoła! - Paul prawie wykrzyknął. - I jest Funkturm, i Stadion Olimpijski!

Wkrótce szeroka płachta Havelsee zniknęła w tyle, a pod nimi rozpościerały się wioski, pola i lasy północnych równin. Według szacunków Russella znajdowali się jakieś półtora kilometra nad ziemią, dostatecznie wysoko, żeby każde miejsce stało się piękne. Z tej wysokości wioska „uwolniona” od Żydów wyglądała dokładnie tak samo jak taka, która nie była *Judenfrei*.

Lecieli na zachód nad Łabą, szeroką i tłoczną od statków, oraz nad rozwlekłymi terenami miejskimi Hanoweru, by niedługo po trzeciej znaleźć się w przestrzeni powietrznej Holandii. Pod skrzydłem po prawej stronie pojawił się Rotterdam, zaś pod drugim kanały u ujścia Renu - czy jakkolwiek nazywali go Holendrzy. Gdy przelatywali nad wybrzeżem Morza Północnego, turbulencja zatrzęsa samolotem, sprawiając, że Zarah zacisnęła dłonie na oparciach, zaś Paul obejrzał się na ojca z nietęgą miną. Russell posłał mu uspokajający uśmiech. Lothar, jak zauważył, wydawał się wcale tym nie przejmować.

Turbulencje towarzyszyły im przez większą część trasy nad morzem, a spokojna powierzchnia wody pod nimi zdawała się wręcz zniewagą. Spoglądając w dół na jeden z

parowców zmierzających do Hoek van Holland Russell poczuł ukłucie żalu, że podróżują drogą powietrzną - nie z powodu braku wygody, lecz romantyzmu. Wspominał swoją pierwszą podróż do Europy w czasie pokoju; kilka wcześniejszych odbył podczas wojny na okrętach przewożących żołnierzy. Podróż koleją przez zielone Kent, prom w Ostendzie z jaskrawoczerwonymi kominami, dziwny pociąg czekający na zagranicznym dworcu, poczucie wkraczania w nieznaną. Nie siedział w samolocie już blisko dziesięć lat i wcale za tym nie tęsknił. Jednak dla Paula to była przygoda życia.

- Czy już widzisz Anglię? - zapytał ojca.

- Tak. - Russell właśnie zdał sobie z tego sprawę. Pod nimi znajdowało się wybrzeże Thanet. Spore miasto. Przypuszczalnie Margate albo Ramsgate. Miejsca, w których nigdy nie był. A już za parę minut, lub przynajmniej tak im się zdawało, południowo wschodnie przedmieścia Londynu rozciągały się pod nimi w popołudniowym słońcu, całe mile schludnych małych domków, wśród na pozór przypadkowo splątanej sieci dróg i torów kolejowych. Pilot posadził samolot na pasie w Croydon z paroma ledwie zauważalnymi szarpnięciami. Formalności wjazdowe przebiegły równie gładko, a samochód zamówiony przez Jensa czekał przy wyjściu z terminalu. Pojechali Brighton Road, spowalniani przez spory ruch na ulicach panujący późnym popołudniem. Paul zachwycał się piętrowymi autobusami, lecz jeszcze bardziej zdumiewała go skromna liczba budynków wyższych niż dwupiętrowe. Dopiero za Brixton z rzadka dodawano trzecie, czwarte i piąte piętra. Russell poprosił kierowcę, by zabrał ich przez most Westminsterki i zostali za to wynagrodzeni; Big Ben oraz gmach Parlamentu, skąpane w blasku zachodzącego słońca, stanowiły wyjątkowy widok. Gdy jechali ulicą Whitehall, pokazał im Downing Street i budynek Gwardii Konnej; kiedy objeżdżali Trafalgar Square, wskazał Nelsona na jego samotnej kolumnie.

Strand zdawała się dławić od autobusów, ale w końcu dotarli do Savoya, by stwierdzić, że okna ich pokoi na piątym piętrze wychodzą na Tamizę. „Musiały kosztować majątek”, pomyślał Russell. Razem z Paulem spoglądali przez okno na barki na rzece wezbranej od przyływu oraz elektryczne pociągi South Railway przyjeżdżające i opuszczające dworzec Charing Cross. Po lewej filary nowego mostu Waterloo sterczały z wody niczym pozostałości świątyni.

- Jest świetnie - Paul stwierdził z miną osoby naprawdę usatysfakcjonowanej.

Russell połączył się z miastem i zatelefonował do swojego londyńskiego agenta Solly'ego Bernsteina, licząc na to, że złapie go, zanim ten pojedzie do domu.

- Właśnie wychodziłem - powiedział mu Bernstein. - Co ty, u diabła, porabiasz w Londynie?

- Miałem nadzieję, że się spotkamy. Czy możesz mnie wcisnąć na jutro po południu?

- Cóż, niech będzie. Tylko ten jeden raz. O czwartej?

- Dobrze.

Russell odłożył słuchawkę i wyjaśnił Paulowi, czemu dzwonił.

- Jestem głodny - padła odpowiedź.

Zjedli z Zarah i Lotharem w hotelowej restauracji. Jedzenie było wyborne, lecz Zarah, wyraźnie niepokojąc się, co przyniesie następny ranek, jadła bez apetytu. Kiedy ona i Lothar powiedzieli im „dobranoc”, a potem udali się na spoczynek do swojego pokoju, Russell z synem wybrali się na przechadzkę wzdłuż rzeki i Victoria Embankment w kierunku gmachu Parlamentu. Naprzeciwko County Hall przystanęli i oparli się o balustradę; poniżej fala przyływu z pluskiem uderzała o mur. Przechodnie i autobusy nadal tłoczyli się na moście Westminsterkim, a długi sznur oświetlonych wagonów z dudnieniem wyjechał z Charing Cross. Rząd barek wyładowanych węglem sunął z prądem - ciemne sylwetki na tle migoczącej wody. Russellowi przyszło na myśl kilka wersów Eliota:

Za galarami kłody na fali Płyną ku Greenwich

Psia wyspa w dali [16]

Nie znosił „Ziemi jałowej”, kiedy się ukazała - cechujące ją eleganckie przygnębienie miało posmak defetyzmu. Jednak słowa utkwily mu w pamięci. A przynajmniej niektóre z nich.

- To był długi dzień - powiedział Paulowi. - Pora spać.

Następnego dnia rano przy śniadaniu Zarah wyglądała na wyczerpaną, jak gdyby prawie wcale nie spała. Zaś Lothar wręcz przeciwnie, wydawał się bardziej ożywiony niż zwykle. Paul, zapytany przez ojca o zdanie na temat syna Zarah, wzruszył ramionami i odpowiedział: „Jest tylko trochę cichy, to wszystko”.

W recepcji zasugerowano mu bank przy Strand, oferujący wymianę waluty oraz przypuszczalnie usługi depozytowe, więc Russell zostawił Paula studiującego olbrzymi model „Queen Mary” w hotelowym lobby, a sam wymienił reichsmarki własne i Zarah na funty. Skrytki bankowe były dostępne, jak z dumą poinformował go kasjer. Bank zamykano o

trzeciej.

Wizyta u lekarza przy Harley Street została umówiona na jedenastą i Zarah zamówiła taksówkę na dziesiątą. Na Trafalgar Square panował duży ruch, lecz taksówka pojechała przez Piccadilly Circus i Regent Street, dowożąc ich pod drzwi doktora czterdzieści pięć minut przed wyznaczoną porą. Recepcjonistka o surowym spojrzeniu wprowadziła ich do poczekalni, pełnej wypolerowanych na wysoki połysk drewnianych krzeseł. Paul znalazł pomiędzy wytwornymi czasopismami jakieś dziecięce komiksy i przeglądał jeden z Lotharem, wskazując mu, co się dzieje na poszczególnych obrazkach.

- Jak znaleźliście tego lekarza? - spytał Russell.

- Przez przyjaciela Jensa w tutejszej ambasadzie - odparła. - Powiedział, że ten człowiek cieszy się znakomitą opinią. I że mówi trochę po niemiecku.

„Trochę”, jak się przekonali, okazało się właściwym określeniem, i Russell musiał pełnić rolę pełnoetatowego tłumacza. Doktor Gordon McAllister był wysokim rzyżawym mężczyzną po czterdziestce o dosyć wychudzonej twarzy, z lekkim szkockim akcentem i niemal przepraszającym uśmiechem.

Zdawał się być miłym człowiekiem i kimś, kto niewątpliwie lubił dzieci. Effi zawsze twierdziła, że lekarze specjalizujący się w chorobach kobiecych zazwyczaj nienawidzą kobiet, ale najwyraźniej ta sama reguła nie miała zastosowania do pediatrów.

Gabinet okazał się jasnym, przestronnym pokojem z oknami wychodzącymi na ulicę. Oprócz biurka stało tam kilka wygodnych krzeseł oraz wielka drewniana skrzynia pełna zabawek i książeczek dla dzieci.

- A zatem proszę mi opowiedzieć o Lotharze - zwrócił się do Zarah za pośrednictwem Russella.

Zaczęła nerwowo, ale w miarę mówienia nabierała pewności siebie, w dużej mierze dzięki oczywistemu zaangażowaniu doktora. Powiedziała, że Lothar czasem wydaje się obojętny na wszystko, że nie odpowiada, gdy ludzie mówią do niego, a innym razem wygląda to tak, jakby raptownie stracił zainteresowanie tym, co robi, i po prostu przerywał.

- Może być w trakcie jedzenia - ciągnęła - i po prostu nagle wstaje od stołu, idzie i robi coś innego. Nie zawsze zdaje się rozumieć, co do niego mówię - dodała.

- Ma cztery lata, tak? - upewnił się doktor.

- I trzy miesiące.

- Czy potrafi rozpoznawać różne zwierzęta? - Podeszedł do skrzyni i wyjął z niej tygrysa i królika. - Lotharze, co to jest? - zapytał, podnosząc tygrysa.

- Tygrys.

- A to?

- Królik.

- A więc to nie stanowi problemu. A jak z kolorami? Czy umie je rozpoznawać?

Umiał. Czerwony balonik, niebieskie niebo, żółty kanarek.

Udzielwszy odpowiedzi, bez uprzedzenia podszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

Doktor wypytał Zarah o poród, o zwyczaje żywieniowe Lothara, czy wcześniej występowały jakieś problemy w rodzinie jej albo męża. Odpowiedziała na każde pytanie, po czym drżącym głosem z własnej inicjatywy dodała informację, że zanim Lothar przyszedł na świat, brała pod uwagę usunięcie ciąży.

- Nie mogę przestać myśleć, że to ma związek - powiedziała, wyraźnie bliska płaczu.

- Całkowicie się pani myli - stwierdził stanowczo doktor, gdy tylko Russell przetłumaczył jej słowa. - Nie istnieje żaden możliwy związek.

- Zatem co to jest? - spytała, ocierając łzę.

- Czy on się szybko męczy? Czy wydaje się słaby, to znaczy fizycznie słaby? Czy jest w stanie podnosić przedmioty?

Zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Jens, mój mąż, czasem mówi, że Lotharowi brakuje siły w rękach. Nie lubi nosić rzeczy. I tak, łatwo się męczy.

Doktor pochylił się nad biurkiem, splatając palce pod brodą.

- Nie sądzę, żeby Lotharowi dolegało cokolwiek poważnego - powiedział. - Albo przynajmniej nic, czemu nie można by zaradzić. Nie ma na to nazwy, lecz nie jest to niczym niezwykłym. W zasadzie chodzi o to, że ma słabszy kontakt z resztą świata niż większość ludzi, ale każdy pod tym względem jest inny. On po prostu odrobinę bardziej różni się od normy. Zaś jego kontakt można wzmocnić. Tym, czego potrzeba Lotharowi - zaczął wyliczać na palcach - są: świeże powietrze i ćwiczenia, naprawdę dobra, bogata w składniki odżywcze dieta, świeże jajka, świeże owoce, wszystko świeże, oraz fizyczna stymulacja. Pomogłyby regularne masaże. Zabawy z dawaniem i braniem, tego rodzaju, które obejmują bezpośrednie fizyczne reakcje. I muzyka. Te wszystkie rzeczy stymulują ciało, sprawiając, że bardziej reaguje.

- Ale nic poważnego mu nie dolega? - dopytywała się Zarah.

- Nie, moim zdaniem nie.

- I nie potrzebuje żadnych badań?

- Nie.

Odetchnęła głęboko.

- Dziękuję, doktorze. - Sięgnęła do torebki po starannie złożony plik banknotów funtowych.

- Płaci się w recepcji - powiedział z uśmiechem lekarz. „Ale zwykle nie gotówką”, pomyślał Russell, gdy czekali na taksówkę, zamówioną dla nich przez recepcjonistkę. Zarah, która wyglądała, jakby zdjęto jej z barków olbrzymi ciężar, nie mogła się doczekać, aż dojadą do Savoyu, skąd mogła zatelefonować do Jensa.

- To wspaniałe wieści - powiedział jej Russell. W zamian otrzymał najcieplejszy z możliwych uśmiechów. Po powrocie do hotelu umówili się na obiad za godzinę. Pozostawiając Paula badającego zakamarki lobby, Russell zabrał z pokoju „Osiągnięcia Trzeciej Rzeszy” i wrócił na dół.

- Masz tutaj klucz do pokoju - powiedział do Paula. - Wrócę za jakieś półtorej godziny.

Paul spojrzał na książkę.

- Dokąd ją zabierasz? - zaniepokoił się. - Nie wiedziałem, że masz bratanka w Anglii - dodał podejrzliwie.

- Bo nie mam - przyznał Russell. - Wyjaśnię ci to po południu. Poszedł do banku Continental, zapłacił gotówką za wynajęcie skrytki bankowej na rok i został wprowadzony do niewielkiej sali ze stolikiem i jednym krzesłem o prostym oparciu. Urzędnik przyniósł mu prostokątną metalową skrzynkę oraz dwa klucze i poinstruował go, żeby nacisnął brzęczyk, gdy skończy.

- Już skończyłem - oznajmił Russell, włożywszy „Osiągnięcia Trzeciej Rzeszy” do skrzynki i zamknąwszy ją na klucz. Jeżeli urzędnik był zaskoczony naturą depozytu, nie dał tego po sobie poznać.

- Naziści kryją w sobie więcej niż by się zdawało na pierwszy rzut oka - powiedział Russell.

- Nie wątpię - urzędnik odparł ponuro.

Obiad był o wiele przyjemniejszy aniżeli śniadanie czy wczorajszy posiłek, jednak dwadzieścia cztery godziny prawie bez snu odbiły się na Zarah.

- Mam zamiar się zdrzemnąć - powiedziała.

- Spotkamy się wieczorem.

Paul, zapytany, czy jest coś, co chciałby zrobić, zasugerował spacer do Big Bena.

- Po ciemku nie widziałem go za dobrze - wyjaśnił.

Wyruszyli ulicą Strand, wstępując na Charing Cross, żeby popatrzeć na pociągi i podziwiać sam dworzec. Po okrążeniu fontann na Trafalgar Square i wspięciu się na Iwa,

pomaszerowali przez Pall Mall w kierunku pałacu Buckingham.

- Król wyjechał - powiedział Russell, wskazując opuszczoną flagę.

- Królowie to przeżytek - stwierdził Paul.

Przecięli Parliament Square i wkroczyli na most Westminster, gdzie zatrzymali się w połowie długości, by podziwiać Big Bena.

- Miałeś mi opowiedzieć o tej książce - Paul przypomniał mu z pewnym wahaniem, jak gdyby nie był pewien, czy chce to wiedzieć.

Cichy głosik w umyśle Russella przypomniał mu, ile dzieci w Niemczech zadenuncjowało już rodziców władzom, lecz cały chór innych głosów tylko się zaśmiał. Russell powiedział sobie, że jeżeli miałby się tak bardzo mylić co do własnego syna, to zapewne zasługuje, by go wydać.

Opowiedział Paulowi o Wiesnerach. O tym, że rodzina musi emigrować, ojca aresztowano, konfiskata mienia to rzecz pewna - i o oszczędnościach, jakie będą im potrzebne, żeby zacząć nowe życie gdzieś indziej.

- Oszczędności są w tej książce? - Paul spytał z niedowierzaniem.

- Cenne znaczki - wyjaśnił mu Russell. - Ukryte za naklejkami.

Paul wyglądał, jakby to go zaskoczyło, zaimponowało mu, a wreszcie wydało się wątpliwe.

- To oni zbierają znaczki? Jak zwykli Niemcy?

- To są zwykli Niemcy, Paul. Albo byli nimi. Jak ci się zdaje, jak inaczej by je zgromadzili?

Paul otworzył buzię, po czym niechybnie uznał, że lepiej nie mówić tego, co miał na końcu języka.

- Zapłacili ci, żebyś je przywiózł? - spytał, jak gdyby nie całkiem mieściło mu się to w głowie.

- Nie. Zrobiłem to, bo ich lubię. To mili ludzie.

- Rozumiem - odpowiedział Paul, chociaż było widać, że nie rozumiał.

Dochodziło w pół do czwartej. Znalazłszy się z powrotem na Parliament Square stanęli w ogonku pasażerów czekających na autobus numer 24. Udało im się znaleźć miejsca na górze na czas krótkiej jazdy po Whitehall i Charing Cross Road. Biuro Solly'ego Bernsteina mieściło się nad pralnią parową w dwupiętrowym budynku przy Shaftesbury Avenue, więc jak Russell często stwierdzał, jego właściciel przywykł do gorącej atmosfery. Agent Russella - korpulentny mężczyzna w średnim wieku, noszący okulary w złotych oprawkach, z wydatnym nosem i przydługimi czarnymi włosami - wydawał się nie zmienić

nic a nic przez ostatnie trzy lata.

- Solly, to jest mój syn - oznajmił Russell.

- Rety, jest większy niż sobie wyobrażałem. Witamy w Anglii, młody człowieku.

- Dziękuję - Paul odpowiedział po angielsku.

- Ach, lingwista. Mam książkę w sam raz dla niego. - Pogrzebał w stercie leżącej na podłodze i wyciągnął wielką książkę z obrazkami o samolotach świata. - Przejrzyj ją i powiedz mi, co o niej sądzisz - powiedział, wręczając ją chłopcu. - Zrzuć tamte książki na podłogę - dodał, wskazując na uginające się pod nimi krzesło w rogu.

Odwrócił się do uśmiechniętego Russella.

- Dobrze cię widzieć na własne oczy. Trzy lata, czyż nie? W dzisiejszym świecie to szmat czasu.

- Coś w tym rodzaju - zgodził się Russell, zajmując krzesło.

- Nie przyszedłeś, żeby mi oświadczyć, że znalazłeś sobie lepszego agenta?

- Dobry Boże, nie.

- A więc dobrze, mogę ci powiedzieć, że sprzedaliśmy cykl „Sąsiedzi Niemiec” zarówno do Kanady jak i Australii. A tutaj - poszperał w szufladzie - jest czek, który to potwierdza. Russell wziął czek i w zamian podał plik kartek. - Po jednym do każdego cyklu - wyjaśnił. - Pomyślałem, że zaoszczędzę na znaczkach.

- Drogi sposób na oszczędzanie. Jak rozumiem, przyjechaliście pociągiem?

- Nic z tych rzeczy. Przylecieliśmy.

Brwi Bernsteina podjechały do góry.

- Nawet jeszcze droższy. Wyraźnie biorę za mały procent.

- Przyjechałem z innego powodu. Właściwie to z dwóch. A jeden to przysługa, o którą chcę cię prosić.

Russell pokrótce przedstawił mu sytuację Wiesnerów i swoją nadzieję, że przynajmniej niektórzy członkowie rodziny otrzymają wizy wyjazdowe, zanim wybuchnie wojna. Zauważył, że Paul przysłuchuje się jego monologowi z wielkim zainteresowaniem.

- Właśnie złożyłem majątek rodziny w skrytce bankowej - powiedział nadzwyczaj poważnemu Bernsteinowi. - Tu są dwa klucze, i liczyłem na to, że przetrzymałbyś jeden z nich. Oni będą mieli drugi klucz, ale istnieje duże ryzyko, że zostanie skonfiskowany na granicy.

- Dlaczego, na litość boską?

- Ze zwykłej złośliwości. Jeżeli Żydzi zostaną nakryci na wywożeniu jakiegoś klucza, nasiści domyślą się, że jest on od czegoś w tym rodzaju.

- Z radością go przetrzymam.

- Dziękuję - powiedział Russell, wręczając mu klucz. - Ulżyło mi - ukradkiem zerknął na Paula, który wyglądał przede wszystkim na zupełnie zbitego z tropu.

- Jak długo zostajesz? - spytał Bernstein.

- Och, tylko do niedzieli. Przyjechałem z siostrą mojej pani... to ten drugi powód... ponieważ chciała, żeby jej syn został przebadany przez angielskiego lekarza. Długa historia. Ale jeżeli zacznie się wojna, cóż, chyba wrócę na czas jej trwania.

- Bez niego? - domyślił się Bernstein, wskazując ruchem głowy w stronę Paula.

- Bez niego.

Bernstein przybrał współczujący wyraz twarzy.

- Tak czy owak, przynajmniej masz w tej chwili mnóstwo pracy. Żadnych innych pomysłów, o których chciałbyś pogadać?

- Nie w tym momencie. - Russell spojrział na zegarek. - Lepiej pójdziemy. Paul?

Jego syn zamknął książkę i odniósł ją.

- Możesz ją zatrzymać - powiedział Bernstein. - Ćwicz swój angielski na podpisach.

- Dziękuję - odpowiedział Paul. - Bardzo dziękuję - dodał ostrożnie.

- Już działa. - Uśmiechnął się i podał rękę Paulowi, a później Russellowi.

- To miły człowiek - odezwał się Paul, gdy schodzili po zaparowanych schodach.

- Rzeczywiście - Russell przytaknął, kiedy wyszli na chodnik.

- I jest Żydem - dodał, mając nadzieję, że Paul nie wytrze uściśniętej przez niego dłoni o płaszcz.

Chłopiec nie zrobił tego, ale wyglądał na zmartwionego.

- Mylą się co do Żydów - powiedział stanowczo Russell. - Mogą mieć rację w wielu sprawach, ale mylą się co do Żydów.

- Ale wszyscy mówią...

- Nie każdy. Ja nie mówię. Ani twoja matka. Ani stryj Thomas. Ani Effi.

- Ale rząd mówi...

- Rządy mogą się mylić. To tylko ludzie. Tacy jak ty i ja. Zobacz, co zagraniczne rządy zrobiły z Niemcami w 1918 roku. Myliły się. To się zdarza, Paul. Popołniają pomyłki.

Paul zdawał się być rozdarty między gniewem a płaczem.

- Posłuchaj. Nie psujmy wycieczki spieraniem się o politykę. Jesteśmy w Londynie; nacieszmy się tym. - Tym razem poszli pieszo wzdłuż Charing Cross Road. - Wiem, gdzie możemy dostać filiżankę herbaty i ciasto - powiedział, kierując Paula na lewo. Parę minut później znaleźli się na skraju targu Covent Garden, manewrując wśród ciężarówek

wypełnionych po brzegi skrzynkami owoców i warzyw. Russell zaprowadził Paula do jednej z kawiarni. Była pełna mężczyzn zjadających plastry bekonu i pozwalających, by jajka spływały im po brodzie. Smażony tłuszcz w formie gazowej, płynnej i stałej przesycał powietrze, zalegał krzepnąc na stolikach i pokrywał ściany.

„Anglia”, pomyślał Russell. Nagle naszło go wspomnienie podobnej kafejki przy dworcu Victoria, gdzie zjadł swój ostatni posiłek przed służbą we Francji. Dwadzieścia jeden lat temu.

Russell zamówił dwa duże kubki herbaty i dwa kawałki ciasta, słuszenie nazywanego brukowcem. Paul skubał brzegi swojego ciastka, żywiąc uzasadnione obawy o swoje zęby, lecz herbata mu smakowała, gdy już dodał do niej cztery łyżeczki cukru.

- Ciasto jest okropne - odezwał się do ojca po niemiecku, ściągając na nich spojrzenia kilku par nieszczególnie przyjaznych oczu.

- Czy wie pan może coś o futbolu? - Russell zapytał po angielsku najbliższego siedzącego mężczyznę.

- Może wiem.

- Czy jutro w Londynie są jakieś mecze?

- Arsenal gra przeciwko Chelsea - podsunął inny mężczyzna.

- Na Highbury?

- Oczywiście.

- I mecze nadal zaczynają się o trzeciej? Przez jakiś czas pracowałem za granicą - dodał tytułem wyjaśnienia.

- Jak widać - pierwszy mężczyzna powiedział z przekąsem. - Pewnie, dalej się zaczynają o trzeciej.

- Dzięki. Czy chciałbyś jutro obejrzeć mecz? - Russell zwrócił się do Paula. - Arsenal gra z Chelsea.

Oczy jego syna rozpromieniły się.

- Arsenal to numer jeden!

- Cóż, jestem pewien, że Zarah i Lothar potrafią sami o siebie zadbać.

Dopili herbatę, pozostawili na wpół wydrażone brukowce i udali się na przełaj przez targ warzywny, szczególnie uważając na zasłanym skórkami odcinku przed rzędem hurtowni bananów. Robiło się coraz ciemniej i Russell nie był pewien, gdzie się znajduje. Rozglądając się za tabliczką z nazwą ulicy znalazł jedną informującą, że to Bow Street.

- Bow Street - powtórzył Paul. - To tutaj inspektor Teal przyprowadza ludzi, których aresztował.

Na lewo od nich świeciło niebieskie światło. Weszli w głąb ulicy i zatrzymali się naprzeciwko posepnie wyglądającego komisariatu, prawie oczekując, że powieściowy inspektor wyłoni się zza podwójnych drzwi, pracowicie żując kawał gumy Wrigley i poprawiając melonik.

Z powrotem na Strand zobaczyli, że sklep filatelistyczny Stanleya Gibbonsa wciąż jest jeszcze otwarty, i uszczęśliwiony Paul spędził błogie dwadzieścia minut podejmując decyzję, który tani mieszany zestaw chce najbardziej. Russell poszukał w katalogu znaczków, które Wiesner dał mu w ramach zapłaty, i był zaskoczony dowiedziawszy się, jakie są cenne. Zastanawiał się, równowartość ilu funtów tkwiła pod naklejkami w skrytce bankowej.

Przy obiedzie Zarah była bardziej rozmowna niż Russell kiedykolwiek pamiętał i z niespotykaną u niej determinacją forsowała pomysł, by ożenił się z jej siostrą. Potem Zarah i Lothar towarzyszyli im podczas poobiedniego spaceru - i Lothar, podobnie jak Paul, wyglądał na zafascynowanego olbrzymią migoczącą rzeką oraz niekończącą się procesją barek i innych łodzi. Russell i Zarah uzgodnili plany na sobotę: rano zakupy, po południu mecz dla niego i Paula, a wieczorem obiad z przyjacielem Jensa z ambasady dla niej i Lothara. Kiedy życzyli sobie dobrej nocy przed pokojem, który zajmowała z Lotharem, serdecznie podziękowała mu za pomoc. Russell pomyślał, że stali się niemal przyjaciółmi. „Effi będzie zdumiona” - pomyślał.

Paul ziewał, ale Russell odczuwał zbyt wielki niepokój, żeby móc zasnąć.

- Dla ciebie pora spać - oświadczył synowi. - Ja mam zamiar zejść na dół na drinka. Niedługo wrócę.

- Tylko schodzisz na dół?

- Tak. Dziś wieczorem żadnego szmuglowania znaczków. Tylko drink.

Paul uśmiechnął się szeroko.

- W porządku.

Jak na piątkowy wieczór koktajlbar zdawał się nadzwyczaj pusty.

Russell zamówił pintę^[17] gorzkiego piwa, usadowił się na stołku na końcu baru i bawił się podkładką pod szklankę. Smak angielskiego piwa wywołał u niego nostalgię. Pomyślał, żeby zabrać Paula do Guildford i pokazać mu dom, w którym spędził większą część lat chłopięcych, ale nie byłoby na to czasu. Może podczas następnej wycieczki, jeżeli taka nastąpi.

W myślach przywołał obraz domu, wielki ogród, stromo opadającą ulicę, którą codziennie chodził do szkoły. Nie mógł powiedzieć, że miał szczęśliwe dzieciństwo, lecz nie było ono też specjalnie przykre.

Właściwie nigdy nie wspominał tego okresu ze szczególną radością - jednak jego matka nigdy tak naprawdę nie zadomowiła się w Anglii, mimo że usiłowała przez bez mała trzydzieści lat. Niezdolność lub niechęć jego ojca do uznania tego faktu podkopywała wszystko inne. W ich domu często panowało milczenie. Russell pomyślał, że powinien do niej napisać.

Szybka wyprawa do recepcji zaopatrzyła go w kilka kartek pięknie tłoczonego papieru listowego z Savoya; zamówił też następną pintę. Jednak po napisaniu jej, gdzie się znajduje i dlaczego, oraz nakreśleniu treści nowego filmu Effi, nic więcej nie przychodziło mu do głowy. Matka ostatnio widziała Paula, gdy miał cztery lata, i potrzeba byłoby całej książki, żeby wyjaśnić relacje łączące go z synem.

Pocieszał się świadomością, że jej listy do niego były równie powściągliwe. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy przebywali razem jako dorośli - oboje cieszyli się z tych spotkań, był o tym przekonany - lecz prawie ze sobą nie rozmawiali. Jego matka nie była typem osoby wiele rozmyślającej albo mówiącej, i z tego powodu nigdy nie polubiła Ilse. Z drugiej strony jednak ona i Effi zapewne z miejsca przypadłyby sobie do serca. Obie wolały działać. Ciężko padł na papierową podkładkę, gdy jakiś mężczyzna przysiadł na stołku obok niego. Miał krótkie, ciemne i wypomadowane włosy, twarz o dość ostrych rysach z małym wąsikiem oraz nadzwyczaj różową cerę. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat, choć przypuszczalnie był starszy.

- John Russell? - zapytał.

„Och, Boże”, Russell westchnął w duchu. „Znowu się zaczyna”.

- Chyba wziął mnie pan za kogoś innego - odpowiedział. - Jestem Douglas Fairbanks młodszy.

- Wyborne - odparł z podziwem mężczyzna. - Czy mogę postawić panu następnego drinka?

- Nie, dziękuję.

- Cóż, ja chyba się napiję - powiedział nieznajomy, dając znak ręką stojącemu w oddali barmanowi.

- A jest pan już pełnoletni? - spytał Russell.

Jego nowy towarzysz przybrał urażoną minę.

- Niech pan posłucha, nie ma potrzeby zachowywać się agresywnie. Ja tylko... - Przerwał, żeby zamówić sobie Manhattan. - Sądzę, że poznał pan TrelawneySmythe'a w Berlinie.

- Spotkaliśmy się.

- Cóż, przekazał nam pańskie nazwisko, i...

- A „my” to kto taki?

- Ministerstwo Wojny. Wydział Ministerstwa Wojny. Nazywam się Simpson. Arnold Simpson.

- Dobrze - odparł Russell.

Simpson z lubością pociągnął łyk Manhattanu.

- Sprawdziliśmy pana... rozumie pan, musieliśmy... i wydaje się, że Trelawney Smythe miał rację. Idealnie się pan nadaje. Mówi pan po niemiecku jak rodowity Niemiec, ma pan tam rodzinę i przyjaciół, posiada pan nawet powiązania z nazistami. Jest pan w idealnej sytuacji, by dla nas pracować.

Russell uśmiechnął się.

- Może pan mieć słuszość co do środków i możliwości, ale gdzie motyw? Dlaczego miałbym chcieć dla was pracować? Simpson wyglądał na zbitego z tropu.

- A co z patriotyzmem? - spytał.

- Jestem takim samym patriotą jak biznesmen, który siedzi obok - Russell odpowiedział oschle.

- Ach. Bardzo dobre. Ale pomówmy poważnie.

- Ja mówiłem poważnie.

Simpson upił większy łyk Manhattanu.

- Panie Russell, znamy pańską polityczną przeszłość. Wiemy, że zadręczał pan ambasadę w Berlinie w sprawie żydowskiej rodziny. Cokolwiek pan pisze dla Rosjan, wiemy, że nie darzy pan nazistów sympatią. I nadciąga wojna, na miłość boską. Nie chce pan mieć swojego udziału w pokonaniu ich?

- Panie Simpson, czy wy tam nie potraficie przyjąć odmowy?

Teraz młodzieniec sprawiał wrażenie, jakby poczuł się znieważony.

- Oczywiście - odpowiedział. - Ale...

- Dobranoc, panie Simpson.

Pierwszą połowę sobotniego ranka spędzili chodząc za Zarah po sklepach z ubraniami przy Bond Street, a drugą na przetrząsaniu Hamleys w poszukiwaniu stymulujących zabawek, które zalecił doktor McAllister. W obu miejscach nie znaleźli niczego, co Zarah uznałaby za odpowiednie.

- Niemieckie zabawki są znacznie lepsze - oświadczyła z wyższością, gdy znaleźli się

na chodniku na Regent Street, a Paul się z nią zgodził. Tu nie mieli zabitych żołnierzy, a ci, którzy ciągle oddychali, byli wyraźnie mniej imponujący od tych w domu.

Rozstali się w południe. Russell i Paul poszli na skróty ulicami za Oxford Street na końcowy przystanek trolejbusu przy Howland Street. Pojazd linii 627 zawiózł ich przez Hampstead w Camden i Seven Sisters Road do Finsbury Park, gdzie puby już po brzegi wypełniali mężczyźni wstępujący tam po drodze na mecz. Było mroźne popołudnie, przyszła publiczność wydychała obłoczki pary i klaskała w opatulane rękawicami dłonie podczas wędrówki bocznymi uliczkami na stadion. Sprzedawca wstążkowych rozetek oferował czerwonobiałe dla kibiców Arsenalu oraz niebieskobiałe dla Chelsea, a Paul chciał obydwie.

- Przygotowany na wszystko, he? - spytał mężczyzna, uśmiechając się szeroko. Głowę miał owiniętą czerwonobiałym szalikiem, na nim tkwiła wciśnięta płaska czapka z daszkiem.

Sam mecz okazał się rozczarowaniem - w oczach Paula dodając kolejny punkt na korzyść Niemiec. Trudno było się z nim spierać - skoro to miała to być najlepsza piłka nożna na świecie, to świat futbolu miał się kiepsko. Nie zobaczyli ani śladu magii, jaką Anglia pokazała w Berlinie dziewięć miesięcy wcześniej. W rzeczy samej, obie drużyny wydawały się wyraźnie gorzej prezentować choćby podstawowe umiejętności niż biedna stara Hertha.

Tym, co zafascynowało Paula, był tłum. Nie był w stanie docenić humoru, ale rozkoszował się samą głośnością okrzyków oraz wirującymi prądami falujących emocji, które wzbierały i opadały wszędzie wokół niego.

- To takie... - zaczął, gdy z chrzęstem szli po kobiercu z łupin prażonych fistaszków, lecz dalszy ciąg zdania umknął Russellowi. Na stacji Arsenal dzielili na pozór nie mający końca tunel, wiodący na peron, z kilkoma tysiącami innych ludzi, a ich wagon podczas jazdy Piccadilly Line pękał w szwach, póki nie dotarli do King's Cross. Po stosunkowo przestronnym berlińskim metrze sam pociąg sprawiał wrażenie przestarzałego, dusznego i klaustrofobicznego - jeszcze jeden plus po stronie Niemiec.

Wrócili na Strand przez targ Covent Garden i zjedli jeszcze jeden wyborny obiad w restauracji Savoya.

Paul milczał, jak gdyby pochłaniało go przyswajanie sobie wrażeń z ostatnich dwóch dni. Russell pomyślał, że syn w pewien sposób zdaje się być ewidentnie niemiecki. Przypuszczał jednak, że należało tego oczekiwać w Anglii. Chociaż nie spodziewał się tego teraz.

Następnego ranka idąc na śniadanie zatrzymał się w recepcji, żeby zajrzeć do hotelowego rozkładu jazdy pociągów, ABC Railway Guide, a kiedy zjedli, oznajmił Paulowi, że jest jeszcze coś, co chciałby mu pokazać. Pojechali autobusem przez Kingsway i South

ampton Row do Euston i przeszli pod gigantycznym łukiem na perony. Cel ich wizyty już czekał na peronie dwunastym - niebieskosrebrna lokomotywa „Coronation Scot”. Kupił wejściówki na peron i podeszli razem do miejsca, gdzie z tuzin chłopców oddawał hołdy lśniącej, fukającej, opływowej „Princess Alice”.

- Jest piękna - powiedział Paul, i Russell odczuł absurdalny przyływ dumy ze swego kraju pochodzenia. Paul miał rację. Niemieckie nowoczesne lokomotywy epatowały wrażeniem szybkości i mocy, ale ten pociąg posiadał wdzięk, którego tamtym brakowało. „Przynajmniej jeden punkt dla Anglii” - uśmiechnął się Russell w duchu.

Powróciwszy do Savoya spakowali się, po raz ostatni wyjrżeli na Tamizę i dołączyli do Zarah i Lothara w lobby. Samochód przyjechał na czas, przy niedzieli na drogach było pusto, więc zajechali na lotnisko w Croydon prawie dwie godziny za wcześnie. Podczas gdy Paul stał jak skamieniały przy oknie, zapatrzony w samoloty na zewnątrz, Russell przejrzał News of the World szukając wskazówek, co dręczy Brytyjczyków. Dowiedział się, że pewien pastor został napadnięty przez młodą kobietę na wiejskiej drodze oraz że właśnie nadszedł czas, by chronić swoje krokusy przed wróblami. Zajmująca pół strony reklama środka przeciwko zaparciom ukazywała niesamowitą fotografię: jakimś cudem mężczyzna naprawdę wyglądał tak, jakby miał zatwardzenie. I ku wielkiej uldze Russella mecz, który obejrżeli poprzedniego popołudnia, został mocno skrytykowany - zatem przynajmniej ten poziom nie był normą. Lecieli tym samym samolotem oraz z tą samą załogą, co poprzednio. Jednak tym razem chmury znajdowały się niżej, lot przebiegał niespokojniej, a widok był bardziej ograniczony. Jens, czekający na nich na Tempelhof, uściskał Zarah i Lothara, jak gdyby nie widział ich tygodniami, i wylewnie dziękował Russellowi. Zaofiarował się też odwiedzić Paula do domu, ale Russell odmówił, nie chcąc rezygnować z jeszcze pół godziny w towarzystwie syna. Przez ten czas, podczas gdy jechali na zachód, Paul głównie siedział w milczeniu, spoglądając przez okno na swoje rodzinne miasto.

- To się wydaje... no, dziwne - powiedział, gdy skręcili w jego ulicę. - Po tym, jak tam byłem, myśl o wojnie przeciwko Anglii wydaje się... wydaje się głupia.

- Bo tak jest - zgodził się Russell.

Jednak ona i tak nadejdzie. I w pewnym sensie im pręcej tym lepiej. Powiedzmy, że trwałyby cztery lata, tak jak ostatnia. Zakładając, że pozostaną przy poborze w wieku osiemnastu lat, jak obecnie, Paul zostałby powołany w marcu 1945 roku. Żeby do tej pory wojna mogła się zakończyć, musi się zacząć na początku 1941. Nie ma powodu do obaw, powiedział sobie Russell. Hitler nie zechce czekać tak długo.

Niebieski szalik

Po nocy spędzonej z Effi odwiózł ją do studia na wcześnie rozpoczynające się zdjęcia. Była zadowolona, choć nie zaskoczona diagnozą doktora McAllistera. - „Mówiłam, że nic mi nie dolega!”.

Z niechęcią jechała na plan. Była zniechęcona pracą przy „Matce”. Reżyser był jak mechanik; wszystkie grające wraz z nią gwiazdy uważały się - niesłusznie - za dar boży dla sztuki aktorskiej, a obecny na planie doradca z Ministerstwa Propagandy nieustannie usiłował wyjaśniać „społeczną rolę” filmu przez włączanie kwestii, których nawet pawian nie mógłby nie pojąć.

- Chyba powinnam być wdzięczna - powiedziała, gdy wjeżdżali przez bramę na teren wytwórni. - Zapewne przejdę do historii jako jedna z wielkich niemieckich comédiennes.

Russell wrócił na Dworzec ZOO, gdzie kupił sobie śniadanie i gazetę. Nic niezwykłego raczej nie wydarzyło się podczas jego pobytu w Anglii. Ogłoszono poszerzenie Kanału Kilońskiego - najwyraźniej nie był dostatecznie szeroki dla „Bismarcka”. Nieopodal Hitler otworzył Międzynarodową Wystawę Motoryzacyjną i zaprezentował model nowego volkswagena dla każdego. Za dziewięćset pięćdziesiąt marek - równowartość około pięćdziesięciu brytyjskich funtów - przeciętny Niemiec miał otrzymać mały pięciomiejscowy wóz, którego dostawy rozpoczną się za jakieś piętnaście miesięcy. Po uczestniczeniu w tych narodzinach, Führer wziął udział w pogrzebie jakiegoś tajemniczego karyneckiego Gauleitera - być może w 1923 roku ten człowiek trzymał go za rękę, kiedy zaczęły latać kule. Z pewnością zmarły otrzymał cały nazistowski ceremoniał - wszędzie swastyki, czarne sztandary z runicznymi symbolami, szeregi kolumn z płonącymi zniczami, by oświetliły mu drogę w zaświaty.

Na Neuenburgerstrasse Frau Heidegger czekała, żeby wmusić weń kawę. Była podekscytowana jego wrażeniami o braku gotowości Brytyjczyków do wojny, co całkiem bystrze uznawała zarówno za zmniejszenie możliwości wybuchu wojny jak i zwiększenie szansy na wygraną Niemiec, jeżeli do niej dojdzie. Przed udaniem się na górę, by wziąć się do pracy, Russell zatelefonował do Unswortha do ambasady brytyjskiej. Usłyszał, że Conway się kontaktował oraz że zostały złożone petycje do odpowiednich instytucji. Russell pomyślał o odwiedzeniu Wiesnerów, lecz postanowił z tego zrezygnować. Tak naprawdę nie miał im nic do powiedzenia, a instynktownie czuł, że bezpieczniej będzie ograniczyć wizyty do wyznaczonych lekcji.

Spędził większą część z kolejnych czterdziestu ośmiu godzin pracując w swoim

pokoju nad czwartym artykułem dla *Prawdy*, który miał nadzieję dostarczyć w ten weekend w Poznaniu, oraz nad szkicem do części cyklu „Zwyczajni Niemcy” - o twórcach i artystach. Jego jedyna podróż zawiodła go do zakładów Greiner w Wedding, jednego z głównych ośrodków w Rzeszy wytwarzających pojazdy dla wojska. Spodziewając się podejrzliwości i prawdopodobnej odmowy, udał się prosto do biura Frontu Pracy i został niemal rozbawiony zgotowanym mu serdecznym przyjęciem. Ależ oczywiście, niemiecki robotnik jest rozdarty między umiłowaniem pokoju a pragnieniem uzbrojenia Ojczyzny przeciwko jej wrogom.

Jakaż ludzka istota by nie była? I ma się rozumieć, że Herr Russell może rozmawiać z robotnikami o ich odczuciach. Reszta świata powinna otrzymać wszelkie możliwe szanse na zrozumienie zarówno niemieckiego łaknienia pokoju, jak i determinacji narodu, by bronić swoich praw i swoich ludzi.

Po tym wstępie rozmowy z kilkoma grupami robotników w stołówce okazały się wręcz rozczarowaniem. Większość z nich była małomówna, czego można się było spodziewać, zaś ci, którzy gotowi byli mówić, nie mieli nic zaskakującego do powiedzenia. To praca, i tyle. Jak zwykle, płaca była marna, czas pracy za długi, kierownictwo bardziej utrudniało niż pomagało. Front Pracy przynajmniej słuchał, nawet jeżeli tylko udawał, że może zaradzić potencjalnym problemom. Otwarte dyskusje z załogą były nieskończenie bardziej preferowane niż brak aktywnej współpracy, na przykład opieszałość w pracy lub jakikolwiek rodzaj oporu, który mógłby prowadzić do sabotażu. Czytając między wierszami w tych wypowiedziach oraz oceniając po wyrazach twarzy rozmówców, Russell uznał, że poziom braku współpracy był zapewne znaczny, choć nie wpływał poważnie na wydajność ani jakość produkcji, zaś prawdziwy opór stanowił nieznaczny margines. Domyślał się też, że kiedy wybuchnie wojna, oba jeszcze zmaleją.

We środę rano w drodze do Wiesnerów wstąpił do ambasady. W chwili, gdy ujrzał twarz Unswortha, już wiedział, co się stało.

- On nie żyje, czyż nie?

- Oficjalna wersja mówi, że się powiesił - powiedział Unsworth. - Przykro mi.

Russell usiadł. Ogarnęła go fala smutku - całkowicie bezproduktywnego smutku.

- Kiedy? - spytał. - Czy powiedziano rodzinie?

Unsworth wzruszył ramionami.

- Dziś rano otrzymaliśmy ten list z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. - Podał mu papier. - Odpowiedź na naszą petycję z piątku.

Na wiadomość składało się jedno zdanie: „W odpowiedzi na państwa zapytanie z 18 lutego, z żalem informujemy, że więzień Wiesner odebrał sobie życie, przypuszczalnie z

poczucia winy za swoją zbrodnię”.

Russell pomyślał, że Wiesner nie żył już dwa dni po jego wizycie.

Najpewniej zatłuczony na śmierć. Być może to błogosławiona ulga.

Ale nie dla jego rodziny.

- Zakładamy, że rodzina została poinformowana - ciągnął Unsworth.

- Dlaczego? - spytał Russell, oddając mu list. - Ponieważ wypadałoby, żeby tak zrobili?

Unsworth skinął głową, chyba pojmując, co Russell ma na myśli.

- Co z wizami? - Russell chciał wiedzieć. - Teraz już nic ich tutaj nie trzyma. I z pewnością...

- Powiedziano mi, że decyzje w sprawie następnej grupy zostaną podjęte jutro po południu. Jeżeli przyjdiesz w piątek rano, to mam nadzieję, że będę miał dla ciebie jakieś dobre wieści. Russell zszedł po schodach i minął na Unter den Linden kolejkę ludzi starających się o wize. Znalazłszy się z powrotem za kierownicą hanomaga tylko siedział w bezruchu, spoglądając w stronę Bramy Brandenburskiej i odległych drzew w Tiergarten.

W końcu, prawie jak lunatyk, włączył bieg i ruszył, okrążając Pariserplatz i kierując się z powrotem wzdłuż Unter den Linden w kierunku Alexanderplatz i Neue Königstrasse. Co się mówi osobie, której mąż albo ojciec właśnie został zamordowany za grzech polegający na tym, że pochodził z jakiejś konkretnej rasy? Co można powiedzieć? Wszędzie dokoła niego berlińczycy krzatali się zajęci swoimi zwyczajnymi sprawami, chodząc, jeżdżąc, robiąc zakupy i rozmawiając, zaśmiewając się z dowcipów i uśmiechając do przyjaciół. Jeżeli słyszeli o Sachsenhausen, to bez wątpienia wyobrażali sobie schludne rzędy baraków oraz jakąś w pełni zasłużoną, ciężką pracę dla kryminalistów i zbrojników przebywających tam, by zadowolić państwo. Nie widzieli, jak człowiek, którego znali i lubili, zostaje sponiewierany i odarty z ludzkiej postaci, żeby zadowolić innych.

A on nie mógł opowiedzieć tej historii bez ściągnięcia za to kłopotów na głowę Jensa. A nawet gdyby mógł, to nie miał dowodów na poparcie swoich przypuszczeń. Naziści stwierdziliby, że zbrodnia taka jak Wiesnera z łatwością może sprowokować wrogie reakcje ze strony jego aryjskich strażników, oraz że przebrzydły Żyd po prostu wybrał łatwą drogę ucieczki, otrzymawszy kilka w pełni zasłużonych siniaków. W czym problem, powiedzieliby. Każdy zachowywał się tak, jak przystało jego rasie, a świat może się przejmować jednym Żydem mniej.

Na ulicy przed domem Wiesnerów siedział w samochodzie, odcinając moment prawdy. Po drugiej stronie jezdni stał zaparkowany inny samochód. Miał otwarte okna, a z

przodu dwóch mężczyzn o znudzonych twarzach siedziało i paliło papierosy. Russell uznał, że wyglądają na Kripo, i że zapewne zostali wypożyczeni na usługi Gestapo, które znane było z tego, iż uważało się za stworzone do wyższych celów niż przyziemne aspekty policyjnej roboty. Cóż, nie istniał przepis zabraniający nauczania żydowskich dzieci angielskiego.

Russell wysiadł, wszedł po znajomych schodach, zastukał do znanych drzwi. Pojawiła się w nich obca twarz. Dość atrakcyjna kobieta z burzą kręconych brązowych włosów i podejrzliwym spojrzeniem.

Pod czterdziestkę, jak zgadywał Russell.

Przedstawił się, i jej twarz się zmieniła.

- Proszę wejść - powiedziała. - Słyszał pan? - dodała.

- O śmierci doktora Wiesnera? Tak. Pół godziny temu w brytyjskiej ambasadzie.

Gdy mówił, Marthe Wiesner wyłoniła się z drugiego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Herr Russell... - zaczęła.

- Nie potrafię wyrazić, jak mi przykro z powodu twojego ojca - powiedział.

Zauważył na drewnianej komodzie dwie stłuczone stołowe lampy, a karnisz zwisał pod dziwacznym kątem.

- Dziękuję - odpowiedziała sztywno. Zdawała się być spokojna, wręcz przesadnie, lecz blask w jej oczach zgasł. - To jest Sarah Grostein - wyjaśniła, przedstawiając kobietę. - To długoletnia przyjaciółka rodziny. Matka jest... Cóż, może pan sobie wyobrazić. Szok był okropny. Dla nas wszystkich, oczywiście. Matka i Ruth w tej chwili śpią.

- Proszę przekazać moje kondolencje - odrzekł Russell. Słyszał, jak puste są słowa wychodzące z jego ust. Zastanawiał się, czy zostawiać Marthe klucz do skrytki bankowej, zwłaszcza w obecności obcej osoby. Zdecydował się tego nie robić. - Muszę porozmawiać z twoją matką - powiedział. - Nie teraz, ma się rozumieć - dodał prędko. - Przyjdę w piątek o zwykłej porze.

Marthe pokiwała głową, i w tej chwili odgłos zawołania dobiegł z drugiego pokoju. Kilka sekund później Eva Wiesner zawołała imię starszej córki.

- Muszę iść - powiedziała Marthe.

- Oczywiście. - Russell zaczął, aż drzwi się zamknęły, zanim zapytał Sarah Grostein, kiedy rodzina usłyszała o śmierci Felixa Wiesnera.

- W sobotę wieczorem - odpowiedziała. - Recz jasna, mnie tu wtedy nie było, ale policja zachowywała się skandalicznie. Mogę zrozumieć, dlaczego Albert stracił głowę.

Russell poczuł ucisk w żołądku.

- Co takiego zrobił?

- Och, nie wie pan? Zaatakował łajdaka z Gestapo, uderzył go jedną z tych lamp. Ten mężczyzna trafił do szpitala. Powiedzieli, że może umrzeć, jednak Marthe mówi, że nie wyglądało to aż tak groźnie. Myślę, że tylko starają się nastraszyć Evę.

- Dokąd zabrali Alberta? - spytał. Zawodzenie przycichło, lecz nie ustawało.

Zaśmiała się z goryczą.

- Nie zabrali. Udało mu się uciec. Popchnął drugiego łobuza na sofę i wybiegł. Wydostał się tylnym wyjściem, tam jest płatanina bocznych uliczek, a ten przytomny miał na tyle rozumu, żeby go nie gonić. Nie znalazłby Alberta i dobrze wiedział, że mógłby stamtąd nie wrócić.

- Gdzie Albert teraz jest?

- Nikt nie wie - odparła, pozostawiając u Russella silne wrażenie, że kłamie. - Wczoraj wrócili - mówiła dalej. - Wrzeszczeli na Evę, żeby im powiedziała, gdzie on jest, czego nie mogła zrobić nawet gdyby chciała. Ale jej nie aresztowali. Może zdawali sobie sprawę, że nie ma nikogo innego, żeby opiekować się dziewczynkami i że będą mieć po uszy roboty papierkowej, jeżeli spróbują je dokądś wysłać.

- Być może - zgodził się Russell. Przyszło mu do głowy, że bardziej prawdopodobne, iż to zainteresowanie losem Wiesnera wyrażane przez Brytyjczyków trzymało Gestapo w ryzach. - Czy może pani przekazać wiadomość Frau Wiesner? Proszę jej powiedzieć... - Zawahał się. - Zamierzałem powiedzieć, że wygląda na to, iż dzieci otrzymają brytyjskie wizy w przyszłym tygodniu czy jakoś tak, ale zdaje się, że Albert nie będzie miał wielkiego pożytku ze swojej. Jeżeli pójdzie do Niemców po wizę wyjazdową, to go aresztują. Jednak dziewczęta powinny móc wyjechać. I być może ich matka również.

- Ona nie zostawi Alberta.

- Może on zdoła ją przekonać.

- Może. Ale Gestapo parkuje przed domem, co raczej utrudnia organizowanie spotkań.

Spojrzał na nią, stojącą ze skrzyżowanymi rękoma i gniewem tłącym się w oczach.

- Czy pani stara się wyjechać? - spytał.

- Nie w tej chwili - odpowiedziała tonem, który nie zachęcał do zadawania dalszych pytań.

- Pójdę już - zakończył. - Wrócę w piątek rano.

Skinęła głową, otworzyła drzwi i zamknęła je za nim. Podeszedł do samochodu, ignorując obserwującą policję, i powoli pojechał Neue Königstrasse w kierunku centrum miasta. Wiedział, że nic więcej nie może zrobić, jednak ta świadomość nie pomagała

złagodzić poczucia gniewu i bezradności, jakie dręczyły go przez resztę tego dnia i następnego. Zanim w piątkowy ranek wkroczył do ambasady brytyjskiej, czuł, że jest gotów eksplodować, co było równie pewne jak to, że zamordowanie kogokolwiek innego niż Hitler tylko pogorszyłoby sprawę.

Brytyjskie wizy wjazdowe dla trojga dzieci Wiesnerów już czekały na biurku Unswortha, lecz sam Unsworth miał na tyle przyzwoitości, by nie okazywać zbytniego zadowolenia z siebie. - Dowiedziałem się, dlaczego odmówiono matce - oznajmił Russellowi. - Nasi ludzie z wywiadu mają na nią niezłą teczkę. Była w Związku Spartakusa. Wiesz, kim byli? Oczywiście, że wiesz. Najwyraźniej oceniają komunistów na dziesięć, a każdemu, kto dostanie powyżej siedmiu, odmawia się imigracji. Eva Wiesnera ma osiem.

Russell był zdumiony.

- Jak świeża jest ta informacja?

- Wcale nie jest świeża. Dossier nie zawiera niczego późniejszego niż z 1919 roku, więc pewnie dała sobie spokój z polityką, kiedy wyszła za męża. Ale to jej nie pomoże. Osiem to osiem, tak mi powiedział ich człowiek...

- TrelawneySmythe?

- Spotkałeś go? Żadnych wyjątków, tak powiedział.

Russell nie wiedział, czy się śmiać, czy płakać.

- To pewnie i tak nie ma znaczenia - odparł, zanim wyjaśnił sytuację Alberta.

Pół godziny później był z powrotem na Friedrichshain. Tym razem Frau Wiesner otworzyła drzwi i zdobyła się na słaby uśmiech, wpuszczając go do środka. Zbywszy jego kondolencje, zaprosiła go, aby usiadł, i zaparzyła kawę.

- Był cudownym człowiekiem - powiedziała. - I nic nie może mu tego odebrać, ani mnie.

Russell dał jej brytyjskie wizy wjazdowe dla trójki dzieci i wytłumaczył, dlaczego jej odmówiono.

Uśmiechnęła się smutno, słysząc to.

- Sądziłam, że musi być jakiś powód - odparła - ale teraz to bez znaczenia. Niech pan to weźmie z powrotem - dodała, podając mu wizę Alberta. - Ktoś inny może zająć jego miejsce.

Russell przekazał jej też klucz do skrytki bankowej oraz kartkę papieru zawierającą dwa adresy.

- To jest bank, w którym znajduje się skrytka, a to mój agent w Londynie, Solly Bernstein. Niech pani każe dziewczynkom nauczyć się tego na pamięć, a później spali -

powiedział. - Sądzę, że chyba będzie bezpieczniej, jeżeli sama zatrzyma pani klucz. Solly ma drugi i mogą z niego skorzystać, kiedy dotrą do Londynu. Wpatrywała się w zapisane słowa, jakby były w jakimś egzotycznym języku.

- Czy widziała się pani z Albertem? - spytał.

Pokręciła przecząco głową.

- Ale nic mu nie jest.

Gdy następnego dnia wczesnym rankiem zostawił Effi w studiu, odprowadził auto z powrotem na jej ulicę i poszedł piechotą na Dworzec ZOO. Mając jeszcze godzinę czasu do odjazdu pociągu do Warszawy, zjadł śniadanie w bufecie, zanim wspiął się na perony dla pociągów odjeżdżających na wschód. Uświadomił sobie, że jest tutaj po raz pierwszy od śmierci McKinleya. Nie miał pojęcia, w którym miejscu Amerykanin trafił pod pociąg, zaś makabryczne poszukiwanie świadczących o tym śladów okazało się próżne. Jeżeli istniało coś, w czym Niemcy celowali, to było to sprzątanie po sobie. Wsunął pięć fenigów do automatu z prażonymi migdałami i poszedł wzdłuż peronu, podjadając wprost ze zwiniętej dłoni. Poranek był mglisty, drzewa w Tiergarten stopniowo bladły, aby w końcu się rozpląnąć.

Stadko gęsi przeleciało nad szklaną kopułą dworca, hałaśliwie skrzecząc, w drodze Bóg wie dokąd - był już koniec lutego, gdzie one leciały? Gdy klucz ptaków zwijał się i rozwijał niczym proporzec na wietrze, Russell przypomniał sobie mewy podczas wodowania „Bismarcka”. Roześmiał się w głos.

Pociąg do Warszawy zajechał i okazał się pusty, jeśli nie liczyć kilku zaledwie osób, które wsiadły w Charlottenburgu. Russell znalazł swoje miejsce jeszcze zanim pociąg dotarł do Friedrichstrasse, a kiedy krańce południowowschodnich przedmieść przesunęły się za oknem, zapadł w drzemkę. Niejasno świadomy, że minęli stację we Frankfurcie nad Odrą, został obudzony przez urzędników do kontroli celnej po obu stronach polskiej granicy, a resztę podróży spędził wyglądając przez okno w wagonie restauracyjnym. Zimowe słońce w końcu rozgoniło mgły; pola żyta i ziemniaków w utraconej pruskiej prowincji ciągnęły się hen w dal, przerywane tylko od czasu do czasu przez gospodarstwo albo polną drogę, niczym osobliwie wijący się strumień.

Pociąg wjechał do Posen - albo do Poznania, jak głosiło mrowie napisów - o kilka minut przed czasem. Russell wziął taksówkę sprzed dworca do hotelu Bazar, gdzie zarezerwował sobie pokój.

- Tylko na jedną noc? - recepcjonista spytał niedowierzająco, jak gdyby uroki Poznania wymagały całych tygodni, by je podziwiać.

- Tylko na jedną - potwierdził Russell, po czym zaprowadzono go do właściwego pokoju na pierwszym piętrze.

Pozostało zaledwie kilka godzin dziennego światła, więc Russell od razu wyszedł na miasto, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby obejrzeć ekspozycję w hallu, dokumentującą przedwojenną rolę hotelu jako siedziby polskiego ruchu narodowego.

Samo miasto, chociaż całkiem ładne, nie wytrzymało porównania z Krakowem. Jego kościoły nie były tak piękne, ulice urokliwe, a Stary Rynek - nie tak imponujący. Gdy Russell wędrował właściwie bez celu po centrum miasta, zauważył tylko kilka wyblakłych niemieckich nazw na ulicach i budynkach, lecz język niemiecki w dalszym ciągu dawał się słyszeć, obok polskiego i jidysz. „Potrzeba by kolejnej wojny”, pomyślał Russell, „żeby zwycięzcy przejęli wszystko”.

Zjadł obiad w hotelowej restauracji. Eskalopki cielęce - zraziki - były znakomite, wino zaskakująco dobre, lecz posiłek nie zdołał rozproszyć jego pogłębiającego się przygnębienia. Nie chodziło tylko o McKinleya i Wiesnera. Nie licząc snu, spędził z Effi ledwie ze dwie godziny od czasu wycieczki na Rugię, zaś na jego kontakt z Paulem od powrotu z Anglii złożyły się tylko dwie przyjazne, lecz krótkie rozmowy przez telefon. I oto znalazł się w Poznaniu o zmierzchu, czekając na Szczepkina, aż odegra jeden ze swoich rytuałów potajemnych spotkań spod znaku płaszcza i szpady. Wrócił do pokoju, wbrew wszelkiej nadziei jednak licząc na zwyczajne pukanie do drzwi. Po jakiejś godzinie usłyszał je, lecz to nie był Szczepkin. Niska kobieta w długiej spódnicy i bluzce minęła go i weszła do pokoju, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć.

- Proszę zamknąć drzwi, panie Russell - odezwała się. Zdecydowanie posługiwała się niemieckim, lecz nie takim, jaki Russell słyszał kiedykolwiek przedtem.

Kobieta miała nierówno rozdzielone jasne włosy, które nie sięgały jej ramion, niebieskie oczy, wąskie wargi i wydatne kości policzkowe. Russell pomyślał, że w innym życiu mogłaby być atrakcyjna, ale w tym po prostu się nie starała. Nie nosiła makijażu, a jej kremowa bluzka pilnie wymagała prania. Russell przypomniał sobie teraz, że widział ją w drugim krańcu jadalni, sprzeczącą się z jednym z kelnerów.

- Johnie Russell - powiedziała w równym stopniu do siebie, co do niego. - Jestem pańskim nowym kontaktem.

- Kontaktem z kim? - zapytał. Trudno było ją sobie wyobrazić w roli prowokatorki z Gestapo, ale skąd on miałby to wiedzieć?

- Nazywam się Irina Borskaja - odpowiedziała cierpliwie. - Jestem tutaj zamiast towarzysza Szczepkina - dodała, rozglądając się po pokoju i znajdując krzesło.

- Czy coś się stało towarzyszowi Szczepkinowi? - spytał Russell.

- Otrzymał inny przydział. A teraz proszę usiąść, panie Russell. I przystąpmy do interesów.

Russell zrobił, jak mu kazano, i poczuł ukłucie żalu z powodu Szczepkina. W myślach ujrzał go na krakowskiej cytadeli: „Naprawdę powinien pan nosić czapkę!”. Ale dlaczego zakładać najgorsze? Może on naprawdę dostał inny przydział. Stalin nie mógł pozabijać wszystkich, którzy kiedykolwiek dla niego pracowali. Wyjął z teczki najnowszy artykuł i podał go kobiecie. Pobież - nie rzuciła okiem na pierwszą stronę i położyła sobie artykuł na kolanach.

- Proszono pana o porozmawianie z robotnikami branży zbrojeniowej. Zrelacjonował swoją wizytę w zakładach Greiner, rozmowy, jakie odbył z urzędnikami Frontu Pracy oraz zwyczajnymi robotnikami. Słuchała uważnie, choć nie robiła notatek.

- Czy to wszystko? - spytała, kiedy skończył.

- W tej chwili tak - odpowiedział. - Skąd jest pani akcent? - zapytał, po części z ciekawości, a po części po to, żeby odwrócić jej uwagę od swoich skromnych wyników.

- Urodziłam się w Saratowie - odpowiedziała. - Nad Wołgą. A teraz do rzeczy, mamy dla pana kolejną pracę...

„Zaczyna się”, westchnął w duchu Russell. „Sedno całej tej zabawy”.

- Musi pan zabrać dla nas pewne papiery od jednego z naszych ludzi i wywieźć je z Niemiec.

„Mowy nie ma”, pomyślał Russell. „Ale odmawiaj grzecznie”, upomniał sam siebie.

- Co to za papiery? - spytał.

- To pana nie dotyczy.

- Dotyczy, jeżeli oczekujecie ode mnie, że je wywiozę.

- To plany dotyczące okrętów - odpowiedziała niechętnie.

Russell wybuchnął śmiechem.

- Co pana tak bawi? - spytała z gniewem.

Opowiedział jej o komentarzu Szczepkina w Gdańsku: „żadnych tych planów okrętów, które zawsze musi odnajdywać Sherlock Holmes”.

Nie ubawiło jej to.

- To nie historyjka o Sherlocku Holmesie. Towarzysz w Kilonii zaryzykował życie, żeby zdobyć kopię dokumentów dotyczących rozmieszczenia niemieckiej floty na Bałtyku.

- A więc dlaczego nie zaryzykuje go jeszcze raz, żeby je wywieźć? - upierał się Russell.

- Jego życie jest coś warte - odparła cierpko i prędko zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. - Jest zbyt cenny, żeby ryzykować - poprawiła się, tak jakby mógł błędnie zrozumieć znaczenie jej słów.

- Zatem dlaczego nie pošlecie kogoś innego, żeby je wydostał?

- Ponieważ mamy pana - powiedziała. - I już ustaliliśmy, że może pan podróżować bez wzbudzania podejrzeń. Czy był pan przeszukiwany po drodze tutaj albo w drodze do Krakowa?

- Nie, ale niczego nie przewoziłem.

Odłożyła artykuł na dywan obok krzesła, założyła nogę na nogę i lewą ręką wygładziła spódnicę na biodrze.

- Panie Russell, czy odmawia pan nam pomocy?

- Jestem dziennikarzem, towarzysko Borskąja. Nie tajnym agentem.

Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, zagłębiła dłoń w kieszeni spódnicy i wyciągnęła trochę pomietą czarnobiałą fotografię. Przedstawiała jego i Szczepkina, wychodzących z katedry na Wawelu. Russell popatrzył na zdjęcie i roześmiał się.

- Łatwo pana rozbawić - powiedziała.

- Tak słyszałem. Jeżeli wyślecie to do Gestapo, mogę zostać wydalony z Niemiec. Jeżeli złapią mnie z waszymi planami okrętów, koniec ze mną. Jak sądzicie, co bardziej mnie niepokoi?

- Jeżeli pošlemy to do Gestapo, na pewno zostanie pan deportowany, na pewno straci pan syna i swoją piękną burżuazyjną przyjaciółkę. Jeśli zaś wykona pan dla nas tę pracę, szanse, że pana złapią, są niemal bliskie zeru. Zostanie pan hojnie wynagrodzony i będzie pan miał satysfakcję, że wspiera światowy socjalizm w jego walce przeciwko faszyzmowi. Według towarzysza Szczepkina, to było niegdyś dla pana ważne.

- Niegdyś. - Niezdarność podejścia rozżłościła go bardziej niż sam szantaż. Wstał z łóżka i podszedł do okna, nakazując sobie spokój. Gdy mu się to udało, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Pomysł, który wydawał się zarówno szalony, jak i frapujący. Odwrócił się do niej.

- Pozwoli pani, że się z tym prześpię - odparł. - Pomyślę o tym przez noc - wyjaśnił, widząc wyraz niezrozumienia na jej twarzy. Skinęła głową.

- O drugiej na Starym Rynku - powiedziała, jak gdyby już wcześniej miała ustalone miejsce i porę.

- To duży plac - zauważył Russell.

- Znajdę pana.

Niedziela była pochmurna, lecz sucha. Russell wypił kawę w jednej z licznych kawiarni przy Starym Rynku, mijając dworzec Garbary poszedł do twierdzy i znalazł sobie ławkę, z której rozpościerał się widok na miasto. Przez kilka minut po prostu siedział tam, rozkoszując się widokiem: mnogością strzelistych wież, rzeką Wartą z jej mostami, dymem unoszącym się z kilku tysięcy kominów.

- „No i proszę, jak wiele może dać pokój na świecie” - mruknął sam do siebie. Pociuszająca myśl, pod warunkiem, że zignoruje się źródło. To z pożegnalnego listu Majakowskiego.

Czy jego własny plan stanowił pośredni sposób na popełnienie samobójstwa?

Paul i Effi tęskniliby za nim. Wolał myśleć, że oboje byliby zdruzgotani, przynajmniej przez jakiś czas. Jednak nie był ani niezbędny, ani niezastąpiony. Paul miał innych ludzi, którzy go kochali, tak samo jak Effi.

Ale wszystko to miałooby znaczenie jedynie w przypadku, gdyby został schwytany. Prawdopodobieństwo, jak pomyślał, zapewne przemawia na jego korzyść. Sowietci nie mieliby żadnych oporów, żeby narazić go na niebezpieczeństwo, jednak ich cenne plany okrętów to co innego - nie zaryzykowaliby ich w przygodzie nie mającej szans powodzenia. Musieli uważać, że to się uda.

Ale cóż oni wiedzieli? Mogły istnieć podstępny nakładające się na inne podstępny; mógł to być jakiś absurdalnie makiaweliczny spisek, jaki NKWD wymyśliło w pijanym widzie w któryś weekend i wprowadziło w życie, zanim ktoś tam wytrzeźwiał. Lub każda z wmieszanych w to osób mogła być niekompetentna. Albo po prostu mogła mieć kiepski dzień.

- „Cholera” - pomyślał. Spodobała mu się myśl, że Rosjanie dostaną plan rozmieszczenia niemieckiej floty na Bałtyku. Podobał mu się pomysł, żeby coś działać, nieważne, jak mała to rzecz, byle tylko nasypać tym łajdakom piasku w tryby.

No i naprawdę chciał uzyskać przysługę, o którą zamierzał poprosić w zamian.

Jednak czy nie oszukiwał sam siebie? Dawał się nabrać na typowe bzdury, bawiąc się w chłopiące zabawy prawdziwą amunicją. Kiedy to poświęcenie samego siebie stało się spaczoną formą egoizmu?

Uzmysłowił sobie, że nie istnieje odpowiedź na żadne z tych pytań. To było jak wyskakiwanie z okna, gdy tylko mgliście pamięta się, które to piętro. Jeżeli to parter, można pewnie stanąć na nogach z bohaterskim uśmiechem. Jeżeli piąte, to zostanie tylko paćka na

chodniku. Albo, co bardziej prawdopodobne, na podwórzu Gestapo.

Życie skupiające się wyłącznie na przetrwaniu to liche życie.

On musiał skoczyć. Potrzebował tego skoku - ze wszelkich możliwych powodów.

Po raz ostatni przez długą chwilę chłonał widok, po czym ruszył z powrotem na dół, w myślach układając szczegóły swojego planu. Restauracja w pobliżu Starego Rynku zapewniła mu talerz zapiekanych pierogów z mięsem, wielką szklanicę śląskiego piwa oraz mnóstwo czasu na wyobrażanie sobie najgorszego. Przed drugą powoli krążył po wielkim i pełnym ludzi placu, mężnie tłumiąc nachodzącą go chwilami chęć, by po prostu zniknąć w jednej z odchodzących od niego ulic.

Pojawiła się tuż obok niego w połowie drugiego okrążenia rynku. Sięgający kostek rozpięty płaszcz odsłaniał tę samą spódnicę i bluzkę. Tym razem, jak mu się zdawało, w jej oczach dostrzegał niepokój.

Zdołała wytrzymać z niezadanyim pytaniem przez jakieś trzydzieści metrów, po czym wypowiedziała je z niemal gniewną obcesowością:

- A więc czy wykona pan dla nas to zadanie?

- Pod jednym warunkiem - odrzekł Russell. - Mam w Berlinie przyjaciela, żydowskiego przyjaciela. Policja go szuka, a on musi wydostać się z kraju. Wy przedostaniecie go przez granicę, a ja zrobię dla was tę robotę.

- A jak niby mamy go pańskim zdaniem przedostać przez granicę? - spytała podejrzliwym tonem.

- Tak samo, jak to zawsze robicie - odpowiedział Russell. - Kiedyś sam byłem w partii, pamiętacie? Znam ludzi z PassApparatu - dodał, odrobinę naciągając fakty. - Każdy wiedział o trasie przerzutowej do Belgii i Czechosłowacji.

- To było wiele lat temu.

- Nie według moich informacji - zablefował Russell.

Milczała przez mniej więcej pięćdziesiąt metrów.

- Istnieje kilka takich tras - przyznała. - Ale nie są bezpieczne. Gdyby były, nie prosilibyśmy pana o wywiezienie tych papierów. Średnio jedna osoba na trzy zostaje złapana.

- W Berlinie to raczej trzy na trzy.

Westchnęła.

- Nie mogę od razu dać panu odpowiedzi.

- Rozumiem. Ktoś będzie się ze mną musiał skontaktować w Berlinie, żeby poczynić ustalenia, co do podróży mojego przyjaciela oraz żeby mi podać szczegóły zadania, jakie chcecie, żebym dla was wykonał. Proszę powiedzieć swoim szefom, że gdy tylko mój

przyjaciel zatelefonuje do mnie spoza Rzeszy, ja odbiorę papiery ze wskazanego miejsca, i je wywiozę.

- Dobrze - odpowiedziała po chwili namysłu. - Lepiej niech pan wybierze punkt kontaktowy w Berlinie.

- Bufet na Dworcu ZOO. W tym tygodniu będę tam codziennie rano. Między dziewiątą a dziesiątą.

Skinęła głową z aprobatą.

- I znak rozpoznawczy. Jakaś książka dobrze się nada.

- „Książkę piechoty”? Nie, połowa klientów może to czytać. Coś po angielsku. - Przywołał w myślach obraz swoich regałów z książkami na Neuenburgerstrasse. - Dickens. „Martin Chuzzlewit”.

- Dobry wybór - zgodziła się, chociaż nie dodała, czy z powodów literackich czy jakichś innych. - Pański kontakt powie, że ma zamiar ją przeczytać, i zapyta, czy jest dobra.

- To będzie on? - spytał Russell.

- Albo ona - odparła.

W poniedziałek o dziewiątej rano siedział w bufecie na Dworcu ZOO z podniszczonym egzemplarzem „Martina Chuzzlewita” zajmującym poczesne miejsce na kontuarze obok filiżanki z mokrą. Nie spodziewał się, że Rosjanie zareagują tak prędko, i nie był rozczarowany - godzina dziesiąta nadeszła i minęła, a żaden kontakt się nie pojawił. Russell zabrał samochód przed ZOO i pojechał przez miasto do Wiesnerów. Obecność policji nie rzucała się w oczy, co zapewne oznaczało, że zwerbowali jakiegoś miejscowego szpicla do rutynowej obserwacji. Gdy wchodził po schodach, zasłona drgnęła, lecz to mógł być zbieg okoliczności.

Poczucie rozpaczliwego bólu ulotniło się z mieszkania Wiesnerów, zastąpione posępną krzątaniną, determinacją, by robić wszystko, cokolwiek wymagało zrobienia.

Twarze zdawały się mówić, że całe pokłady żalu czekają odłożone na później - nie ma potrzeby zużywać go całego naraz. Ale były też dobre wieści, jak poinformowała go Frau Wiesner. Powiedziała, że mają starych przyjaciół w Anglii, w Manchesterze. Doktor napisał do nich kilka tygodni temu i nareszcie przyszła odpowiedź, oferująca dziewczętom tymczasowy dom. Miały bilety na podróż za tydzień od najbliższego czwartku.

- Ja również mogę mieć więcej dobrych wiadomości - powiedział jej Russell. - Mam przyjaciół, którzy być może będą skłonni przemycić Alberta przez granicę.

Matka i córki popatrzyły na niego ze zdumieniem.

- Co to za przyjaciele? - spytała Frau Wiesner.

- Towarzysze - odpowiedział zwyczajnie. „Towarzysze, których oboje opuściliśmy”, pomyślał.

- Ale ja nie miałam pojęcia, że pan...

- Podobnie jak pani, odszedłem dawno temu. Nie mogę się wdawać w szczegóły. Jeżeli jednak uda mi się załatwić sprawę, to czy pani może się pilnie skontaktować z Albertem?

- Tak. - Nadzieja w jej oczach wręcz sprawiała mu ból.

- A czy on mi zaufa, jak pani sądzi?

Uśmiechnęła się, słysząc to.

- Tak, on pana lubi.

- A jeżeli zdołamy go wydostać, to nic więcej tu pani nie trzyma?

- Brak wizy. Nic więcej.

- Wciąż nad tym pracuję.

Tego popołudnia Russell próbował pisać, lecz słowa nie chciały nabierać treści. Gdy nadszedł wieczór, powłókł się do „Alhambry” i przesiedział do końca pompatycznego hollywoodzkiego musicalu, sam do siebie mrużąc pod nosem w ciemnościach zgryźliwe uwagi. Film został wyprodukowany przy budżecie, za jaki można by wykarmić nieduży kraj, lecz na całe szczęście nie rościł sobie żadnych pretensji do budzenia świadomości narodu. Zaś efekt usypiania świadomości był prawdopodobnie przypadkowy. Gdy Russell wyszedł z kina, Ku'damm szykował się na noc, tłoczny od ludzi i samochodów. Russell szedł pomału na zachód, nie mając tak właściwie wyznaczonego celu, zaglądał w okna, przypatrywał się twarzom i zastanawiał się, czy Rosjanie przystaną na jego warunki. Ludzie ustawiali się w ogonki przed teatrami i kinami, strumieniami wylewali się lub napływali do restauracji, a większość z nich śmiała się lub rozmawiała radośnie, przeżywając te chwile najlepiej jak umiała. Policyjny samochód sunął środkiem szerokiej jezdni; jego syrena rozcinała uliczny ruch niczym fale, jednak trudno było zauważyć jakieś jawnie rzucające się w oczy oznaki państwa policyjnego. Russellowi przyszło do głowy, że faktycznie to brak przemocy naprawdę świadczył o tym, co się dzieje. Krew i potłuczone szkło, grupki mężczyzn na rogach ulic, którzy mocno dzierżyli w dłoniach brzytwy i łaknęli rozróby - to wszystko zniknęło. Jedynym łamiącym prawo, kto pozostał na ulicach Berlina, były władze.

Russell wrócił na drugą stronę ulicy, zabrał auto i pojechał do domu.

Wtorek przyniósł powtórkę tego samego: czekanie na próżno przy ladzie w bufecie, zmaganie się ze słowami niczym zongler w grubych rękawicach. Frau Heidegger wydawała się irytująca zamiast ekscentryczna, a Paul wręcz prowokująco zagorzały w swoim opowiadaniu o wycieczce z *Jungvolk* w zeszłą sobotę. Nawet pogoda była kiepska: zimny deszcz padał przez cały dzień aż do wieczora, tworząc na wielu ulicach kałuże wielkie jak jeziora.

Hanomag, jak Russell odkrył, jadąc po Effi, nie posiadał wodoszczelnej podłogi.

Przynajmniej zdjęcia do jej filmu dobiegły końca.

- Dojrzałam błędy w swoim postępowaniu i chcę być już tylko dobrą żoną! - wykrzyknęła, gdy opuścili wytwórnię. - Ale dopiero - dodała w samochodzie - po tym, jak prześpię co najmniej tydzień. W międzyczasie ty możesz wszystko robić za mnie. Później wciąż jeszcze zbierał się, żeby jej opowiedzieć o weekendzie w Poznaniu, kiedy zorientował się, że już zasnęła. Uznał, że dobrze się złożyło. Będzie dosyć czasu na wyjaśnienia, jeśli i kiedy Rosjanie powiedzą „tak”. Gdy spoglądał na jej twarz we śnie, na kąciki znajomych warg jak zawsze leciutko uniesione w sennym uśmiechu, cała ta sprawa wydała mu się kompletnym absurdem.

* * *

Kontakt został nawiązany we czwartek. Wskazówki zegara w bufecie już prawie wskazywały dziesiątą, gdy jakiś mężczyzna pojawił się nad Russellem i niemal wyszeptał umówione zdanie.

- Przejdźmy się - dodał, zanim Russell zdążył wyrecytować pochwały lub coś wręcz przeciwnego o „Martinie Chuzzlewicie”.

Mężczyzna skierował się do drzwi z, jak się wydawało, niepotrzebnym pośpiechem, pozostawiając Russella wlokącego się za nim. Russell pomyślał, że wygląda bardzo młodo, lecz dosyć anonimowo: przeciętny wzrost i budowa, starannie utrzymane włosy i typowo niemiecka twarz. Marynarka przecierała się na łokciach, a buty miały starte obcasy.

Przy wyjściu z dworca mężczyzna skręcił w stronę najbliższej bramy do Tiergarten. Obejrzał się nerwowo za siebie, kiedy już tam dotarli. Russell także się rozejrzał - ulica zdawała się być pusta. Przed nimi, pośród bezlistnych drzew widać było kilku samotnych

spacerowiczów.

- Dzień nie jest najgorszy - odezwał się młodzian, podnosząc wzrok na szare niebo. - Pójdziemy na stację Bellevue, jak przyjaciele na miłej porannej przechadzce po parku.

Weszli między drzewa.

- Jestem Gert - przedstawił się młody mężczyzna. - I ma pan zgodę. Przewieziemy pańskiego przyjaciela przez granicę do Czech, a pan przywiezie nam papiery do Pragi. - Zamilkł, gdyż mijali ich idący z naprzeciwka sznur spacerowiczów: para w średnim wieku z pudłami, młodsza para idąca pod rękę, starszy mężczyzna z dobermanem w kagańcu. Zatrzymał się na moście Lichtenstein nad kanałem Landwehr, by poczęstować Russella papierosem. Jak Russell zauważył z niechęcią, ręka młodzieńca lekko drżała.

Ścieżki wokół Neuersee były prawie opustoszałe, jedynie dwie kobiety z małymi dziećmi radośnie karmiły kaczki.

- Musi pan nauczyć się szczegółów na pamięć - oznajmił Gert tonem kogoś, kto czyta gotową kwestię ze scenariusza. - Pański przyjaciel musi znaleźć się w bufecie na dworcu w Görlitz, w poniedziałek o piątej po południu. Musi mieć na sobie ubiór robotnika i niebieski szalik na szyi. Nie może mieć ze sobą walizki ani żadnej torby. Kiedy mężczyzna zapyta go, czy wie, gdzie jest przechowalnia bagażu, powinien odpowiedzieć: „Tak, ale łatwiej to pokazać niż wytłumaczyć”, i odejść z tym mężczyzną. Zrozumiał pan?

- Tak.

- Zatem proszę powtórzyć, co właśnie panu powiedziałem.

Russell tak zrobił.

- Dobrze. A teraz pańska część. Pana kontakt przebywa w Kilonii. A właściwie w Gaarden, ściśle mówiąc. Musi pan być w barze Germania... to przy trasie tramwaju do Wellingdorf, tuż za głównym wejściem do stoczni Deutsche Werke... o ósmej wieczorem w piątek, dziesiątego. Z tym pańskim „Martinem Chuzzle witem”.

- Jasno dałem do zrozumienia towarzysze w Poznaniu, że nie odbiorę waszych papierów, dopóki nie będę wiedział, że mój przyjaciel jest bezpieczny.

Gert wydał z siebie poirytowane westchnienie.

- Znajdzie się w Czechosłowacji do wtorku rano, w Pradze na popołudnie. Tego dnia powinien pan otrzymać od niego wiadomość. Albo to, albo nasi ludzie zostali schwytani lub zabici wraz z nim. A jeżeli do tego dojdzie, liczymy na to, że uczci pan ich pamięć honorując umowę.

Russell spojrział na niego znacząco.

- Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Oczywiście. A teraz dalej. Zabierze pan papiery z powrotem do Berlina, a później do Pragi najszybciej jak to możliwe...

- W tę niedzielę muszę być w Berlinie - oświadczył Russell.

- Byłoby lepiej, gdyby wyjechał pan wcześniej. W sobotnią noc straża na granicy mają skłonność do mniejszej czujności.

- Przykro mi, ale to będzie musiał być poniedziałek - powiedział Russell. W niedzielę wypadały urodziny Paula.

Gert panował nad sobą z wyraźnym trudem.

- Dobrze - zgodził się, jak gdyby dokonywał wielkiego ustępstwa.

- A jak proponujecie, żebym je przewiózł?

To wyraźnie stanowiło element scenariusza.

- Nie wiemy, ile tam jest dokumentów. Jeżeli mowa o kilku kartkach, można je zaszyć pod podszewką płaszcza albo marynarki. Jeśli jest ich dużo więcej, to nie będzie możliwe. Jeżeli przeszukają pana i pański bagaż, najpewniej je znajdą. Najlepsze wyjście to nie zostać przeszukanym.

- A jak niby mam to zrobić?

- Zapewne nie będzie pan musiał. Przeszukują tylko mniej więcej jedną osobę na dziesięć, a cudzoziemców bardzo rzadko. O ile nie ściągnie pan na siebie uwagi, wszystko powinno pójść gładko. Dalej, kiedy już dotrze pan do Pragi, musi pan zameldować się w Grand Hotelu przy Placu Waclawa. Tam ktoś się z panem skontaktuje. Czy to jasne? A teraz proszę powtórzyć szczegóły pańskiego spotkania w Kilonii.

Russell powtórzył.

- A co, jeśli nikt się do mnie nie zgłosi tego dnia? - zapytał.

- Wówczas wróci pan do Berlina. Jeszcze jakieś pytania? - Wydawało się, że Gert przebiera palcami dłoni schowanych w kieszeniach płaszcza.

Russell nie miał żadnych pytań, a przynajmniej takich, na które mógłby uzyskać odpowiedź. Na dworcu Bellevue rozeszli się każdy w swoją stronę - Gert w podskokach pokonał schody na peron kolejki miejskiej w kierunku wschodnim, zaś Russell spokojnym krokiem przeszedł brzegiem Szprewy do kiosku pod zamkiem Belle vue. Kupił sobie kubek gorącej czekolady, zaniósł ją do stolika od strony rzeki i obserwował, jak długi pociąg z rumorem przejeżdża przez most po jego lewej.

- „Wszystko powinno pójść gładko” - wyszeptał do siebie z bawarskim akcentem Gerta. Martwiło go to „powinno”.

Jego następnym przystankiem była ambasada brytyjska. Zamiast wrócić po samochód,

przeszedł wzdłuż rzeki na Kurfürstenplatz, a następnie wzdłuż Zellen Allee do Bramy Brandenburskiej i zachodniego krańca Unter den Linden. Kolejka przed ambasadą wydawała się dłuższa niż zazwyczaj, zaś atmosfera panująca wewnątrz jak zwykle stanowiła mieszanekę poirytowania i przekonania o własnej wyższości. Poprosił o spotkanie z Unsworthem i został wprowadzony do jego biura. Kiedy już się tam znalazł, przyznał, że tak naprawdę chciał się widzieć z TrelawneySmythe'em.

- Ale nie chciałem tego rozgłaszać w recepcji - wyjaśnił Unsworthowi. - Nie zdziwiłoby mnie, gdyby nasiści umieścili jakiegoś informatora albo dwóch pośród Żydów.

Unsworth wyglądał na nieco wstrząśniętego taką myślą, lecz zgodził się eskortować Russella do drzwi człowieka z MI6. TrelawneySmythe zdawał się być zaskoczony jego widokiem, i odrobinę zakłopotany.

- Wiem, dlaczego pan tu jest, i odpowiedź brzmi: „nie”. Nie możemy robić wyjątków. Russell rozsiadł się.

- Jak rozumiem, ten pokój to bezpieczne miejsce - odezwał się.

- Parę miesięcy temu bardzo dokładnie przeczesaaliśmy cały budynek - odpowiedział z dumą TrelawneySmythe.

Russell spojrzał w górę, prawie spodziewając się ujrzeć mikrofon zwisający z sufitu.

- Jak bardzo Admiralicja byłaby zainteresowana rozmieszczeniem niemieckiej floty na Bałtyku? - zapytał.

TrelawneySmythe nie podskoczył na krześle, co Russell poczytał mu na plus.

Zamiast tego sięgnął po fajkę.

- Bardzo, jak mogę się domyślać. Bądź co bądź, jeżeli jakiś okręt przebywa na Bałtyku, to nie ma go na Morzu Północnym.

- Taki wniosek i mnie się nasunął - powiedział Russell. Uśmiechnął się do mężczyzny po drugiej stronie biurka. - Niech pan nie pyta, jak, ale w pewnej chwili w ciągu najbliższych dwóch tygodni powinienem mieć w rękach takie dokumenty. Nie, żeby je zatrzymać, ma się rozumieć, i nie na długo. Jednak na tyle długo, żeby móc je skopiować.

TrelawneySmythe zapalił fajkę i energicznie wydmuchiwał dym kącikiem ust.

„Technika wyuczona w szkole szpiegów”, pomyślał Russell.

- Oddałby pan ogromne usługi dla kraju - odparł mężczyzna niemal apatycznym tonem.

- Ale nie tylko dla kraju. Jest pewna cena.

- Ach. - Oczy TrelawneySmythe'a zwęziły się. - Chce pan pieniędzy - powiedział tonem rozczarowanego pastora.

- Chcę, żeby pan zrobił wyjątek i zdobył wizę dla Evy Wiesner. A skoro już będzie się pan zajmował tymi rzeczami, to chciałbym amerykański paszport.

To zaskoczyło człowieka z MI6.

- Jak, u diabła, mamy zdobyć panu coś takiego?

- Jestem pewien, że nie będziecie mieć z tym trudności, jeżeli się postaracie. Wie pan, że moja matka jest Amerykanką, więc to nie takie znowu wielkie naciąganie faktów.

- Dlaczego chce pan go mieć?

- Sądziłem, że to oczywiste. Jeżeli wybuchnie wojna w Europie, każdy z brytyjskim paszportem zostanie odesłany do domu. Z amerykańskim paszportem będę mógł zostać.

TrelawneySmythe pykał fajkę, przetrawiając ten pomysł, zaś Russell obserwował, jak jego oczy rozszerzają się lekko, gdy docenił możliwości - gdy zacznie się wojna, MI6 miałyby człowieka w Niemczech!

Co prawda Russell nie miał najmniejszego zamiaru robić dla nich nic więcej, ale tego nie musieli wiedzieć.

- W ciągu najbliższych dwóch tygodni, powiada pan.

- Tak. Ale wizę dla Evy Wiesner chcę do poniedziałku. To da jej czas na uzyskanie wizy wyjazdowej i będzie mogła we czwartek wyjechać z córkami. Z paszportem nie ma pośpiechu - dodał. - O ile dostanę go przed wybuchem wojny.

- Musi pan lubić tę rodzinę - powiedział TrelawneySmythe niemal ludzkim tonem.

- Lubię. Dziewczynki dopiero co straciły ojca i nie ma żadnego powodu, dla którego miałyby też stracić matkę. Odeszła od komunistów dwadzieścia lat temu, na miłość boską. Przecież nie rozpocznie jakiejś rewolucji w Golders Green.

- Mam nadzieję, że nie - odparł cierpko TrelawneySmythe. - W porządku. Mogę zdobyć dla niej wizę do poniedziałku. Zaś paszport... Niczego nie mogę obiecać... Jankesi potrafią stawać okoniem w najdrobniejszych sprawach... ale zrobimy, co w naszej mocy. Nie urodził się pan w Ameryce, nieprawdaż?

- Urodziłem się na środku Atlantyku, jeżeli to pomoże. Jednak na brytyjskim statku.

- A zatem zbytnio nie pomoże. - Teraz mówił prawie przyjaźnie.

- A więc do zobaczenia - powiedział Russell, tłumiąc pokusę, by zachować się po grubiańsku.

W drodze do wyjścia zauważył, że w czytelnicy jest pusto, i poświęcił chwilę, żeby zajrzeć do atlasu. Görlitz leżało około dwustu kilometrów na południowy wschód od Berlina i jakieś dwadzieścia od granicy z Czechami. Były bezpośrednie pociągi z Berlina, jednak jazda zajmowała sporo czasu i zapewne były one sprawdzane, gdy zbliżały się do terenów

przygranicznych. Jeżeli Albertowi udało się bezpiecznie przedostać przez kontrolę biletów na początku trasy, bardzo możliwe, że zostałby przyłapany na jej końcu. Russell sam będzie musiał go zawieźć samochodem.

Istniały dwie oczywiste trasy: mógł się trzymać przez cały czas starej drogi albo wybrać śląską autostradę na południe od Cottbus i tam na nią wjechać. Przypadła mu do gustu myśl o ucieczce z Niemiec Hitlera nową autostradą, jednak z powodów, jakich nie potrafił wytłumaczyć, stara droga wydała mu się bezpieczniejsza. A więc dwieście kilometrów - powiedzmy, że trzy godziny. Lepiej doliczyć dodatkowe pół godziny na wypadek, gdyby złapał gumę. Jeżeli samochód się zepsuje, to już po nich, lecz spędzenie w Görlitz więcej niż paru minut przy skłonności Alberta do mordowania wzrokiem każdego, kto nosił mundur, zdawało się być znakomitym sposobem na popełnienie samobójstwa. Skoro już o tym mowa, samochód okazywał się bardziej godny zaufania niż temperament Alberta.

Russell wyszedł na Unter den Linden, wsiadł do hanomaga i skierował się na wschód. Gdybyż tylko Albert nie miał tak piekielnie żydowskiego wyglądu! Chłopak nie mógł przecież założyć maski, chociaż maska z wierną podobizną Goebbelsa, którą jeden z amerykańskich korespondentów zrobił na zeszłoroczne przyjęcie z okazji Halloween, była zabawna. Jak Russell mógłby ukryć twarz chłopaka? Może czapka zsunięta na oczy. Podniesiony kołnierz i koniecznie niebieski szalik. Okulary? Nic z tego nie pomoże, jeżeli Albert się uprze, żeby dyszeć z wściekłości.

I skąd miałyby go zabrać? Nie z mieszkania, to pewne. Z jakiegoś zatłoczonego miejsca? Tylko jeżeli byłoby to gdzieś, gdzie Żyd nie rzucałby się w oczy. Ciężko teraz o takie miejsca. No i policja będzie go poszukiwać - Żyd, który powalił funkcjonariusza Gestapo lampą stołową, z pewnością trafił na poczesne miejsce na ich listach gończych. Przymuszczalnie zrobili mu zdjęcie w Sachsenhausen i teraz wszystkie posterunki ORPO mają kopie u siebie na ścianie.

Russell zaparkował samochód przy kamienicy Wiesnerów i wszedł na górę. Dziewczynek nie było w domu - zaczęły się żegnać - zaś ich matka wyglądała na wyczerpaną żalem i niepokojem. Russell opowiedział jej o poniedziałkowym spotkaniu Alberta w Görlitz oraz swojej własnej roli jako szofera.

- Proszę mu powiedzieć, żeby dołączył do kolejki po wizy przed ambasadą brytyjską między dwunastą a pierwszą. Jako jeden Żyd pośród kilkuset powinien być niezauważalny. Przyjdę i zabiorę go zaraz po pierwszej. Musi mieć na sobie roboczy strój, nic nazbyt eleganckiego. Ale do stania w kolejce niech weźmie porządny płaszcz. Ludzie starają się wyglądać jak najlepiej, idąc do ambasady.

- Powiem mu.

- Musi tam być - naciskał Russell. - Jeżeli go nie będzie, to koniec. Nie dostaniemy drugiej szansy.

- Będzie tam.

- Sądzę też, że zdobyłem dla pani wizę. Powinna pani móc wyjechać we czwartek, z dziewczynkami.

Sprawiła wrażenie, jakby trudno jej było w to wszystko uwierzyć.

- Czy do tej pory już będziemy mieć wiadomości? O Albercie?

- Powinniśmy mieć - odpowiedział. - Takie czy inne.

Weekend Russella przebiegł według znajomego wzorca, jednak myśli o nadchodzącym tygodniu wciąż nie dawały mu spokoju, chwilami skręcając żołądek w supeł. W końcu nie co tydzień przewoził zbiega uciekającego przed gestapo do komunistycznego podziemia, jechał szukać wojskowych tajemnic w knajpie w dokach i grywał w jakąś śmiertelnie poważną odmianę ciepłozimno z policją graniczną. To nie przypominało tygodnia jak każdy inny, i Russell był przerażony. Sytuacje, kiedy czuł się tak jak teraz, przypominał sobie tylko z okopów, a i to rzadko, tylko gdy kazano mu wyjść na górę. Dlaczego się w to wpakował?

Paul sam był zbyt roztargniony, żeby zauważyć rozkojarzenie ojca. W sobotę obeszlili najlepsze sklepy z zabawkami w Berlinie, żeby Paul mógł podsunąć Russellowi jakieś użyteczne wskazówki, jakimi urodzinowymi prezentami go zaskoczyć. W niedzielę wybrali się na kolejny mecz Viktorii Berlin na stadionie w Steglitz i wyszli z niego zadowoleni z udanego remisu. Paul nadal przeżywał wyprawę do Londynu i koniecznie chciał wiedzieć, kiedy mogą odwiedzić babcię w Nowym Jorku.

- Może w tym roku, w lecie - odpowiedział Russell, zaskakując sam siebie. Ale dlaczego by nie? Były na to pieniądze.

Effi zauważyła. W sobotni wieczór wybrali się na rewię w teatrze komediowym, w której występowali jej przyjaciele, i dwukrotnie musiała go trącać, żeby przyłączył się do owacji. Godzina na dansingu w jednej z sal tanecznych niedaleko Alexanderplatz oderwała jego myśli od wszystkich innych spraw, lecz w drodze do domu na Potsdamerplatz omal nie przejechał na czerwonym świetle.

- Co cię gryzie? - spytała.

Gdy jechali wzdłuż południowego skraju Tiergarten, opowiedział jej całą historię

swoich interesów ze Szczepkinem i Borską, kończąc na żądaniu wywiezienia dokumentów oraz na tym, jak zdał sobie sprawę, że może wykorzystać tę sytuację, aby pomóc Wiesnerom.

- Uwiedziony własnym sprytem - przyznał. - A teraz mam ochotę wykopać sobie bardzo głęboką norę i schować się w niej.

- Jak lis?

- Raczej jak królik.

Wzięła jego prawą dłoń i uścisnęła.

Oglądając się na prawo mógł dojrzeć troskę na jej twarzy.

- Teraz nie mogę się wycofać - powiedział.

- Oczywiście, że nie. Może się tu zatrzymamy? - dodała.

Zaparkował auto pod drzewami i odwrócił się do niej.

- Nie mógłbyś dalej kroczyć tą samą drogą, co przedtem - stwierdziła.

- Co masz na myśli?

Raz jeszcze wzięła go za rękę.

- Wiesz, co mam na myśli - odparła znaczącym tonem.

Wiedział.

Poniedziałek był szaleńczy. Effi nalegała, żeby udać się wraz z Russellem do ambasady („Każdy mówi, że wyglądam na Żydówkę, więc pomyślą, że jestem jego siostrą”), a później dała popis swojej typowej niezdolności zrobienia czegokolwiek na czas. Kiedy już Russell w końcu wsadził ją do samochodu, z kolejnym panicznym skurczem żołądka uświadomił sobie nagle, że zapomniał powiedzieć Evie Wiesner o niebieskim szaliku. Dziesięciominutowe polowanie na coś odpowiedniego w KaDeWu przy Wittenbergerplatz sprawiło, że byli spóźnieni o pięć minut, zaś tramwaj, który wypadł z szyn na Potsdamerplatz, dodał kolejne pięć. Russell oczyma duszy już widział funkcjonariusza Gestapo, który przechadza się wzdłuż kolejki, by raptem się zatrzymać i wskazać palcem na Alberta.

Zostawili auto na Dorotheenstrasse i pieszo dostali się jedną przecnicę dalej na Unter de Linden. Po drugiej stronie szerokiej alei - teraz *lindenfrei* - zobaczyli kolejkę ciągnącą się w górę Wilhelmstrasse aż za róg Adlonu. Nie było widać mundurów, żadnego wyciągniętego palca ani żadnego zamieszania.

Przeszli przez jezdnię na Unter den Linden i podeszli w kierunku ostatnich osób w ogonku. Albert stał jako bodajże dziesiąty od końca, trzymając się blisko kamiennego budynku po swojej prawej, jednak nie starając się specjalnie ukrywać. Kiedy dostrzegł

Russella, po prostu wyszedł z kolejki.

- To beznadziejne - odezwał się do nikogo konkretnego. - Wrócę jutro.

- Szukaliśmy cię - powiedział Russell. - Samochód jest tam - dodał, mówiąc sobie w duchu, że widywał pantomimy o bardziej przekonującym scenariuszu. Miny kilku osób z kolejki stanowiły niemiłe potwierdzenie tej opinii.

Nie było jednak widać ani śladu publiczności, której się obawiali.

We troje wrócili na Dorotheenstrasse.

- Z tyłu - Russell zwrócił się Alberta, wskazując ciasną przestrzeń za przednimi fotelami. Minął trzy przecznice Dorotheenstrasse, skręcił w prawo w znacznie bardziej ruchliwą Friedrichstrasse i udał się na południe w kierunku Hallesches Tor. Wysadził Effi przy stacji kolejki miejskiej.

- Bądź ostrożny - powiedziała, całując go na pożegnanie przez otwarte okno od strony kierowcy. - Zobaczymy się dziś wieczorem. „Mam taką nadzieję”, Russell przyznał w myślach. Spojrzał na Alberta, który teraz siedział obok niego. Chłopak wyglądał na szesnastolatka.

- Ile masz lat? - spytał Russell.

- W zeszłym miesiącu skończyłem osiemnaście.

„W tym wieku ja poszedłem na wojnę”, pomyślał Russell. Tramwaj skręcił tuż przed nim, zmuszając go do ostrego hamowania.

„Skup się”, powiedział sobie. „Wypadek w tej chwili naprawdę miałby fatalne skutki”.

Minęli Tempelhof w chwili, gdy mały samolot poderwał się z ziemi, potem przejechali pod wiaduktem i dalej w kierunku Mariendorfu. Wraz z każdym kilometrem zabudowa stawała się rzadsza. Napotkali samochód policyjny jadący z naprzeciwka; dwaj ubrani po cywilnemu kryminalni gawędzili na przednich siedzeniach, ale to wszystko. Dwadzieścia minut po ruszeniu z Dorotheenstrasse znaleźli się w usianym jeziorcami Mittelmarku, przejeżdżając pod ukończonym odcinkiem autostradowej obwodnicy. „Na razie wszystko gra”, pomyślał Russell.

- Matka przekazała mi wiadomość od ojca - odezwał się Albert, przerywając ciszę. - Co dokładnie powiedział?

Russell powtórzył to, co zapamiętał.

- Strasznie go pobili, prawda? - spytał Albert.

- Tak.

Albert znowu umilkł. Przejechali przez Zossen, gdzie natłok znaków kierował

potencjalnych odwiedzających w stronę kwatery głównej Sztabu Generalnego. Ich oczom ukazał się kompleks budynków, i Russell przyłapał się na tym, że się zastanawia, jakie mapy leżą tego dnia na stołach planistów. Najpewniej Polski, wszyscy wskazują na wschód. Rozmyślał też nad tym, czy Rosjanie stawią opór. Ich działania w Niemczech trudno było uznać za imponujące - młokos, któremu trzęsą się ręce, oraz jakiś mężczyzna w Kilonii, którego utraty nie mogli ryzykować. Gdzie się podzieli wszyscy ci komuniści? Siedem lat temu rozprawiliby się z nazistami - były ich miliony. Niektórzy nadal przyczajeni czekali na właściwy moment, lecz większość, jak podejrzewał, zwyczajnie odwróciła się plecami do polityki. Miał tylko nadzieję, że ktokolwiek czeka w Görlitz, będzie wiedział, co, do diabła, robi.

- Gdzie się zatrzymałeś? - zapytał Alberta, kiedy wyjechali na otwartą przestrzeń.

- Lepiej, żeby pan nie wiedział - odpowiedział chłopak.

- Pewnie tak - zgodził się Russell.

Po raz kolejny zapadła cisza. Russell stwierdził, że Albert wydaje się całkiem spokojny. Prawdę mówiąc, bardziej opanowany od niego. Przynajmniej auto sprawowało się bez zarzutu; silnik mrucał gładko, gdy mknęli przeważnie opustoszałą drogą z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Wszyscy inni wybrali autostradę.

Niebo na południu wydawało się przejaśniać, co sugerowało mroźną, pogodną noc. Czy to dobrze czy źle wróży nielegalnemu przekraczaniu granicy?

Widoczność ułatwiłaby sprawę obu stronom - ścigającym i ściganym. Russell usiłował sobie przypomnieć, jaka to faza księżyca. Nie potrafił.

Albert podniósł numer *Beobachtera* leżący na podłodze między nimi.

- Dlaczego czyta pan ten szmatławiec? - zapytał, przesuwając wzrokiem po pierwszej stronie.

- Żeby wiedzieć, co robią - odparł Russell.

Albert burknął z dezaprobatą.

- A to mi właśnie coś przypomniało - ciągnął Russell. - Jest tam artykuł o kryzysie na Rusi...

- Na Rusi? Gdzie to jest?

- To część Czechosłowacji. Słuchaj, musisz wiedzieć takie rzeczy. Czechosłowacja to coś więcej niż Czesi i Słowacy. Są jeszcze Morawianie i Węgrzy, i Bóg wie, kto jeszcze. I Rusini. Niemcy podjudzają wszystkie te grupy, żeby buntowały się przeciwko rządowi czechosłowackiemu, licząc na to, że sprowokują surowe represje. Kiedy to nastąpi, sami wkroczą triumfalnie, twierdząc, że jedynie oni potrafią przywrócić porządek i ochronić te

biedne prześladowane mniejszości.

- Rozumiem.

- A rząd czeski podjął już działania przeciwko Rusinom. Przeczytaj artykuł. Zobacz, jacy zadowoleni z siebie są Niemcy. „To nie jest postępowanie, jakie którykolwiek rząd mógłby tolerować w sąsiadującym państwie”, i tak dalej. Wręcz widzi się ich, jak zacierają ręce z uciechy. Przygotowują grunt. Dlatego uważnie śledź wiadomości. Nie kręć się po Pradze ani chwili dłużej niż będziesz musiał, bo inaczej stwierdzisz, że Hitler cię dogonił.

- Mam nazwiska ludzi w Pradze - odparł Albert upartym tonem.

- Oni mi powiedzą.

- Dobrze. Ale przypomnij sobie *Kristallnacht* i jakim była zaskoczeniem nawet po pięciu latach prześladowań. Na twoim miejscu najszybciej jak się da kierowałbym się na Węgry. Tam będziesz mógł znaleźć najlepszy sposób na przedostanie się do Anglii.

- Nie planuję podróży do Anglii. Mam zamiar jechać do Palestyny.

- Och - mruknął zaskoczony Russell. - Czy twoja matka wie?

- Oczywiście. Teraz jestem mężczyzną. Muszę zrobić to, co najlepsze dla całej rodziny. Kiedy znajdę pracę i jakieś mieszkanie, będę mógł po nie posłać.

- Imigracja jest ograniczona.

- Wiem o tym. Ale znajdziemy sposób.

- Jeżeli wybuchnie wojna, całkiem ją wstrzymają.

- No to zaczekamy.

Wjeżdżali właśnie do Cottbus, więc Russell skoncentrował się na tym, by nie zwracać niczyjej uwagi na swój samochód. Jednak targowe miasto zdawało się być pogrążone w popołudniowej drzemce, i już po chwili znaleźli się z powrotem na otwartej przestrzeni. Kilka kilometrów dalej przejechali pod śląską autostradą. Na ich drodze nagle się zaroilo, a znak drogowy informował, że od Görlitz dzielą ich dziewięćdziesiąt trzy kilometry. Nie było jeszcze trzeciej. W tym tempie przyjadą o wiele za wcześnie. Potrzebowali przystanku w jednym z tych miejsc widokowych, które Niemcy tak uwielbiali.

„Niemcy”, Russell powtórzył w myślach. Po piętnastu latach mieszkania tutaj, podczas których z każdym rokiem czuł się bardziej niemiecki, proces wydawał się odwracać. Ostatnio miał wrażenie, że czuje się mniej niemiecki z każdym dniem. Ale też nie bardziej angielski. Zatem kim się stawał?

- Dlaczego pan to robi? - zapytał go Albert.

Russell tylko wzruszył ramionami.

- Kto wie?

- Pytam dlatego, że... Rok temu, przed *Kristallnacht*, zwykle się dziwiłem, jak ludzie mogą być tacy okrutni, ale nigdy nie zastanawiałem się, dlaczego ktoś jest życzliwy. Teraz jest odwrotnie. Dostrzegam najróżniejsze powody, dlaczego ludzie są okrutni, ale życzliwość stała się zagadkowa.

Russell uzmysłowił sobie, że chłopak jest o sześć lat starszy niż Paul. Zaledwie sześć lat.

Usiłował wymyślić stosowną odpowiedź na pytanie Alberta.

- Bez względu na powody, i tak dziękuję - powiedział Albert. - Moja rodzina panu dziękuje.

- Myślę, że jest wiele powodów - odparł Russell. - Jedne dobre, inne nie tak bardzo. Niektórych sam nie rozumiem. Lubię waszą rodzinę. Być może po prostu o to chodzi. - „I być może” - pomyślał - „każda, choćby trochę przyzwoita rodzina znajdująca się w sytuacji Wiesnerów wystarczyłaby, żeby mnie zmusić do opowiedzenia się po którejś stronie”.

Przyszło mu na myśl zdanie „Byłem niegdyś dobrym dziennikarzem”, każąc mu się zastanawiać, skąd się wzięło. To nie miało nic wspólnego z dziennikarstwem. Russell pomyślał o dokumentach McKinleya, bezużytecznie ukrytych na poste restante, i w nagłym olśnieniu uzmysłowił sobie rzecz tak oczywistą, że wprost nie mógł uwierzyć, iż ją przeoczył. Skoro ma zamiar ryzykować własne życie i wolność dla jakichś wojskowych tajemnic, to czemu by nie wywieźć także papierów McKinleya? Tylko raz mogli mu uciąć głowę.

Droga pięła się teraz pod górę, a niebo było prawie bezchmurne. Jakies dziesięć kilometrów przed Görlitz Russell znalazł zjazd z punktem widokowym, jakiego szukał - szeroki, wysypany żwirem występ skalny z ładnym widokiem na rzekę. Skwapliwie korzystając z okazji, by rozprostować nogi, obaj wysiedli, a Russell powtórzył ustalony scenariusz spotkania w bufecie w Görlitz.

- Kiedy już zajedziesz do Pragi, pierwszą rzeczą, jaką musisz zrobić... powtarzam, pierwszą rzeczą... jest zatelefonowanie do mnie. Twoja matka nie opuści Niemiec, dopóki się nie dowie, że jesteś bezpieczny.

- Nie podał mi pan żadnego numeru - odpowiedział trzeźwo Albert.

Russell kazał mu go powtórzyć kilka razy, zastanawiając się przy tym, jak długo chłopiec wytrzyma przesłuchanie przez Gestapo. Albert zdawał się wiedzieć, o czym myśli Russell.

- Nie wydam pana - powiedział zwyczajnie.

- Nikt z nas nie wie, co byśmy zrobili w takiej sytuacji.

- Ja nie znajdę się w takiej sytuacji - odparł Albert, wyciągając brudnego Lugera z kieszeni płaszcza.

„O cholera”, jęknął w myślach Russell, rozglądając się na prawo i lewo za zbliżającymi się potencjalnymi świadkami, i warknął: - Odłóż to! - Dzięki Bogu, droga była pusta. - To... - zaczął, ale ugryzł się w język. Jakie miał prawo, by udzielać rad chłopakowi? Albert był już raz w Sachsenhausen, a jego ojciec tam zmarł. Nie było trudno pojąć, dlaczego odejście w huku wystrzałów wydawało mu się lepsze niż powrót tam.

Powoli wypuścił powietrze.

- Musisz zostawić płaszcz u mnie - powiedział. - Czy broń nie będzie się rzucać w oczy w kieszeni twojej kurtki?

- Wsadzę ją za pasek - odparł Albert, i tak też zrobił. Następnie zdjął płaszcz i okręcił się przed Russellem niczym model na pokazie mody. Broni nie było widać.

Znalazłszy się z powrotem w aucie Albert wyciągnął roboczą czapkę z kieszeni porzuconego płaszcza, zaś Russell sięgnął do torby z KaDeWu po niebieski szalik.

- Znak rozpoznawczy - wyjaśnił, i Albert owinął sobie szalik wokół szyi. Przypominał Russellowi Paula podczas wyprawy na łyżwy.

Pojechali dalej. W miarę jak zapadał zmierzch, niebo ciemniało, a góry powoli wyłaniały się nad południową linią horyzontu. Gdy dotarli do przedmieść Görlitz, Russell zdał sobie sprawę, że każdy, kto ma choć odrobinę rozumu, przestudiowałby plan miasta - ostatnim, czego chciał, było pytanie o drogę na dworzec. „Jedź do centrum miasta i wypatruj tablic”, powiedział sobie. „Niemcy są dobrzy, jeśli chodzi o drogowskazy”.

Wybrał jedno z torów tramwajowych i podążył za nimi w kierunku, który wydawał się oczywisty. Minawszy kilka wielkich zakładów przemysłowych pokonali zwężenie drogi pod pięknym łukiem i wjechali na szeroką ulicę biegnącą wśród gęstej, zabytkowej zabudowy. Były tam teatry, pomniki, ogromna fontanna... W każdych innych okolicznościach Görlitz warte byłoby popołudniowej przechadzki.

- Tam! - odezwał się Albert, wskazując znak.

Pojechali długą prostą ulicą w stronę gmachu wyglądającego na dworzec. Mieli rację. Budynek dworca ciągnął się na jakieś sto metrów, zaś wejście do holu z kasami biletowymi znajdowało się pośrodku.

Na lewo od wejścia widać było oświetlone okna oraz parę wydobywającą się z dwóch wielkich otworów wentylacyjnych.

Russell zaparkował auto za ciężarówką dostarczającą paczki na dworzec.

- Bufet - powiedział, wskazując go Albertowi. - Wejście będzie z holu przy kasach.

Była za dziesięć piąta.

Przez kilka sekund Albert tylko siedział, po czym odwrócił się, by uściskać dłoń Russella. Russell pomyślał, że w tej chwili chłopak wygląda na zdenerwowanego.

- Bezpiecznej podróży - powiedział.

Albert wysiadł i nie oglądając się ruszył w kierunku wejścia. Nie było niczego ukradkowego w jego ruchach - jeżeli już, to szedł nazbyt wyprostowany. Wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz i zniknął w wejściu.

„Odjeżdżaj”, nakazał sobie Russell, jednak tego nie zrobił. Siedział i patrzył, a czas upływał. Dwaj mężczyźni w mundurach SA wyszli z budynku, śmiejąc się z czegoś. Jakiś człowiek wbiegł do środka, przypuszczalnie spóźniony na pociąg.

Zaledwie parę sekund później seria fuknięć przeszła w przyspieszony rytm ruszającej lokomotywy.

Oczyma duszy widział siedzącego tam Alberta i zastanawiał się, czy chłopak spróbował zamówić kawę. Jeżeli tak, mógł się spotkać z odmową; jeżeli nie, jakiś żądny władzy kelner mógł starać się go usunąć. Wyobrażał sobie rzucone wyzwanie, wyciągniętą broń, odgłos strzałów i zapamiętałego Alberta wybiegającego z dworca. Russell zastanawiał się, jak miałby postąpić. Zabrać go do auta? W te pędy uciekać z Görlitz z policją na karku? Cóż innego mógłby zrobić? Nagle zaschło mu w ustach.

Albert wyszedł. Towarzyszył mu drugi mężczyzna, niższy i po czterdziestce, o siwiejących włosach i bardzo czerwonym nosie, kręcący głową na boki niczym zwierzę wążące zagrożenie. Obaj podeszli do niedużej półciężarówki załadowanej drewnem, którą Russell zauważył już wcześniej, i zajęli miejsca w szoferce. Silnik ożył i ciężarówka ruszyła ulicą, pozostawiając za sobą jasny ślad spalin wiszący w mroźnym wieczornym powietrzu.

Przechowalnia bagażu

Po opuszczeniu Görlitz Russell wykorzystał najbliższą nadarżającą się okazję, żeby zadzwonić do Effi. W pierwszym barze, w jakim spróbował szczęścia, ćwiczyła orkiestra dęta, lecz mocno przyciskając sobie do uszu słuchawkę i rękę zdołał usłyszeć ulgę w głosie Effi.

- Będę czekać - powiedziała.

Wybrał autostradę na północ od Cottbus, licząc na to, że to przyspieszy podróż, jednak wyrócony pojazd z wojskowego konwoju spowodował coś wręcz przeciwnego. Zanim

Russell dotarł do Friedrichshain, dochodziła już prawie dziewiąta. Frau Wiesner nie zdołałaby otworzyć drzwi w większym pośpiechu nawet gdyby czekała z dłonią na klamce.

- Ktoś go odebrał - oznajmił Russell, i jej wargi ułożyły się w lekko buntowniczy uśmiech.

- Proszę siadać, proszę siadać - zaprosiła go; jej oczy promieniały.

- Ja tylko muszę powiedzieć dziewczynom.

Russell usiadł, zauważając torby z ubraniami spiętrzone pod jedną ze ścian. Domyślał się, że są przeznaczone do rozdania - w żaden sposób nie pozwolono by im zabrać tyle ze sobą. Był ciekaw, czy Wiesnerowie posiadali więcej cennych przedmiotów do wywiezienia, czy też większość majątku rodziny kryła się pod naklejkami w „Osiągnięciach Trzeciej Rzeszy”. Dotarło do niego, że niemieccy Żydzi mieli kilka lat, żeby nabrać doświadczenia w sztuce przemykania rzeczy przez granicę Niemiec.

- Moja wiza też nadeszła - powiedziała Frau Wiesner, wróciwszy do pokoju. - Dziś po południu, dostarczona przez umyślnego posłańca z ambasady brytyjskiej. Musi pan mieć jakichś wpływowych przyjaciół.

- Myślę, że pani ich ma - odparł Russell. - Jestem pewien, że Doug Conway przyłożył do tego ręki - wyjaśnił, cokolwiek nieszczerze. Nie widział powodu, żeby poznała prawdę o jego układach z Iriną Borską i TrelawneySmythe'em. - Jednak jest coś, co być może mogłaby pani dla mnie zrobić - dodał i wytłumaczył jej, o co mu chodzi.

Odpowiedziała, że popyta.

Opuścił ją z obietnicą, że przyjedzie do niej, gdy tylko Albert zadzwoni, i zaklinając ją, by się nie martwiła, jeżeli przyjdzie poczekać dłużej niż dzień.

Wiedział, że jeśli nie otrzymają żadnych wiadomości do czwartku, nie będzie chciała wyjechać, chociaż oboje byli świadomi, że w tym kontekście brak wieści to pewność złych wieści. Po drugiej stronie miasta Effi powitała go gorącym uściskiem i nalegała, żeby usłyszeć każdy szczegół. Później, gdy kładli się do łóżka, Russell dostrzegł nowy scenariusz na toaletce i spytał ją o niego. Odpowiedziała mu, że to komedia.

- Dwadzieścia trzy linijki, cztery zachęcające uśmiechy i żadnych żartów. Te dostali mężczyźni.

Ale przynajmniej ten film był błahy, a „Matka” nauczyła ją doceniać tę cechę.

Następnego ranka Russell zostawił ją w łóżku, radośnie deklamującą swoje kwestie do pustego pokoju, i pojechał do siebie na Neuenburgerstrasse. Nie było widać Frau Heidegger ani też żadnej wiadomości na tablicy, ani od Alberta, ani z Gestapo. Russell poszedł na górę do swojego pokoju i zaczął czytać gazetę, zostawiając uchylone drzwi na wypadek, gdyby

zadzwoił telefon. Gazeta informowała, że Żydom zabroniono korzystania zarówno z wagonów sypialnych jak i restauracyjnych w pociągach Reichsbahn - niechybnie po to, żeby nie śpiąc mogli tym dotkliwiej odczuwać głód. Usłyszał wracającą Frau Heidegger oraz brzęk butelek, gdy stawiała je przy drzwiach swojego mieszkania. Russell uświadomił sobie, że to wtorek - wieczorne spotkanie przy skacie. Gdy Effi nie pracowała, a własne weekendy poświęcał na bawienie się w szpiega, zaczynały mu się mylić dni. Zszedł na dół, by uprzedzić dozorczynię, że spodziewa się telefonu, i zapłacił za to wypiciem jej kawy.

Gdy wrócił na górę, godziny wlokły się z zabójczą powolnością, a jedyne telefony były do Dagmar, pulchnej małej kelnerki z Pomorza, która zajęła pokój McKinleya. Jej samej zaś nie było, co nie należało do rzadkości. Według Frau Heidegger czasami przychodziła o trzeciej nad ranem, zionąc piwem. Russell wymknął się, żeby kupić trochę jajek, podczas gdy Frau Heidegger czuwała, i przyrządził sobie omlet na obiad. Większość pozostałych lokatorów wróciła z pracy, zaś dozorczyńie przybywały jedna po drugiej, z butelkami w rękach, żeby pograć w skata. W miarę, jak wieczorek się rozkręcał, fale wesołości docierały na coraz wyższe piętra, lecz telefon wciąż milczał, a Russell czuł, jak rośnie jego niepokój.

Gdzie był Albert? Czy siedział w jakimś areszcie na granicy, czekając, aż zabierze go Gestapo? A może leżał martwy na jakiejś zamrzniętej górskiej łące? Jeżeli tak, Russell miał przynajmniej nadzieję, że chłopak zdołał zabrać paru drani ze sobą.

Wieczorek karciany zakończył się niedługo po wpół do jedenastej, a kiedy pozostałe dozorczyńie z hałasem wychodziły na ulicę, Frau Heidegger odwiesiła słuchawkę. Russell poszedł do łóżka i usiłował czytać powieść o Johnie Klingu, którą pożyczył mu Paul. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był ranek.

Russell rażnym krokiem poszedł na Hallesches Tor po gazetę i przerzucił strony w poszukiwaniu informacji o szpiegach albo przestępcach schwytych na granicy. Gdy odwieszał słuchawkę, Frau Heidegger wyłoniła się z mieszkania z czerwonymi oczyma, zapraszając na kawę, i oboje wysłuchali porannych wiadomości w jej radiu ludowym.

Führer wydobrał po lekkiej chorobie, która poprzedniego dnia spowodowała odwołanie wizyt w kilku szkołach, lecz żaden młody Żyd imieniem Albert nie został złapany na próbie przedostania się do Czechosłowacji.

Ranek upływał w ślimaczym tempie, przynosząc kolejne dwa telefony do Dagmar i jeden od Effi, która chciała wiedzieć, co się dzieje.

Ledwie Russell odwiesił słuchawkę, gdy znowu rozległ się dzwonek.

- Zapomniałaś o czymś? - spytał, ale w słuchawce usłyszał głos Alberta, niewyraźny, choć niewątpliwie triumfujący.

- Jestem w Pradze - oznajmił, tak jakby stolica Czech była miejscem najbardziej przypominającym raj, w jakim właściciel głosu kiedykolwiek przebywał.

- Dzięki Bogu - odkrzyknął Russell. - Czemu tak długo?

- Przyjechaliśmy dopiero w nocy. Powie pan mojej matce?

- Już do nich jadę. Jutro będą w pociągu.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. I powodzenia.

Russell odwiesił słuchawkę i stał obok telefonu z błogą świadomością ulgi rozlewającą się po napiętych kończynach. Jeden wyjechał, trójkę jeszcze trzeba wyprawić. Oddzwonił do Effi z dobrymi wieściami, po czym wybrał się do Wiesnerów.

Frau Wiesner wyglądała, jakby nie spała odkąd Russell opuścił ją w poniedziałek, a kiedy powiedział jej, że Albert jest w Pradze, zalała się łzami. Obie dziewczynki przybiegły, żeby ją objąć, i także się rozplakały.

Po chwili kobieta otarła oczy i uściskała Russella.

- Ostatnia kawa w Berlinie - powiedziała i posłała dziewczęta, żeby kupiły ciastka w małym sklepiku na rogu sąsiedniej ulicy, gdzie wciąż obsługiwano Żydów.

Gdy tylko znalazły się za drzwiami, oznajmiła Russellowi, że chce go prosić jeszcze o jedną, ostatnią przysługę. Zniknęła w drugim pokoju i powróciła z wielką oprawioną w ramki fotografią męża oraz małą walizką.

- Czy przechowałby pan to dla mnie? - spytała, podając mu fotografię. - To najlepsza, jaką mam, a obawiam się, że zabiorą mi ją na granicy. Następnym razem, gdy przyjedzie pan do Anglii...

- Oczywiście. Gdzie on jest, pani mąż? Czy pochowali go w Sachsenhausen?

- Nie wiem - odparła. - Nie mówiłam panu tego, ale w poniedziałek, po tym, jak przyszła wiza, zebrałam się na odwagę i poszłam do gmachu Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse. Zapytałam, czy mogą oddać mi jego ciało albo czy mogą mi przynajmniej powiedzieć, gdzie jest pochowany. Zadzwonili po jakiegoś człowieka, a on zszedł na dół, żeby się ze mną spotkać. Powiedział, że mój syn może zgłosić się po ciało, ale ja nie. Mówił, że to zgodne z przepisami, lecz ja wiedziałam, że kłamie. Wykorzystywali ciało mego męża jako przynętę, żeby schwytać mojego syna. Niekiedy nazistom wciąż udawało się wprawić człowieka w osłupienie.

- A to - dodała, podnosząc walizkę - jest to, o co pan prosił w poniedziałek. - Położyła ją na stole, nacisnęła zamek, otwierając wieko, i nacisnęła jeszcze raz, ukazując fałszywe dno.

- Człowiek, który ją wykonał, był słynnym rymarzem w Wilmersdorf, zanim nastali naziści, a

po przeprowadzce do Friedrichshain zrobił ich ponad sto.

- I żadna nie została wykryta?

- On tego nie wie. Kiedy Żydzi wyjeżdżają, to już nie wracają. Kilka osób napisało, żeby dać znać, że wszystko dobrze poszło, ale jeżeli nie...

- To nie mieli możliwości napisać - dokończył.

- Właśnie.

Russell westchnął.

- Cóż, tak czy owak dziękuję - powiedział akurat w chwili, gdy dziewczęta wróciły z pudełkiem mieszanych ciastek z bitą śmietaną. Uparły się, żeby Russell wybrał sobie pierwsze, po czym zasiadły przy stole, z lubością zlizując nadmiar kremu z warg.

Kiedy Russell zasugerował, że następnego dnia odwiezie je na dworzec, zobaczył, jaką ulgę sprawił tym Frau Wiesner, i w duchu sklął sam siebie, że prędzej nie uspokoił jej w tej kwestii. Jak inaczej miałyby się tam dostać? Żydom nie wolno było prowadzić aut, a większość taksówkarzy by ich nie zabrała. Przez co pozostawał tylko transport publiczny i wysoce prawdopodobne szykany ze strony współpasażerów. Nie najmiłszy sposób na pożegnanie z krajem.

Jak powiedziała, pociąg odjeżdżał o jedenastej, więc następnego ranka Russell powrócił o wpół do dziesiątej. Dziewczęta ścisnęły się z tyłu ze swoimi małymi torbami, a Frau Wiesner usiadła z przodu z walizką na kolanach. Gdy jechali Neue Königstrasse w kierunku centrum miasta, Russell patrzył, jak wszystkie trzy wyciągają szyje i wypełniają wspomnienia widokami swego znikającego w oddali domu.

Effi czekała przy wejściu na Dworzec ZOO i w pięcioro przeszli na peron dla ekspresu odjeżdżającego na zachód. Świeciło blade słońce, a oni stali zbici w ciasną gromadkę, czekając na przybycie pociągu.

- Nie mówiła mi pani, że Albert wybiera się do Palestyny - Russell powiedział do Evy Wiesner.

- Powinam była - przyznała. - Obawiam się, że nieufność staje się nawykiem.

- A pani? - zapytał.

- Sama nie wiem. Dziewczęta wolą Anglię. Ubiory są lepsze. I gwiazdy filmowe.

- Przyjedzie pan się z nami zobaczyć w Anglii? - Marthe spytała go po angielsku.

- Z pewnością przyjadę.

- I pani też - Marthe zwróciła się po niemiecku do Effi.

- Z radością.

Pociąg do Hoek van Holland zajechał buchając parą, z sykiem i piskiem, aż zatrzymał

się na zatłoczonym peronie. Russell zaniósł walizkę Ewy Wiesner do pociągu i odszukał ich wyznaczone miejsca. Znacznie mu ulżyło, gdy nie zobaczył Gwiazd Dawida na oparciach siedzeń dziewczynek.

Kiedy wszystkie trzy się usadowiły, wyszedł w poszukiwaniu konduktora wagonu, i znalazł go na korytarzu.

- Niech się pan opiekuje tą trójką - powiedział, wskazując na nie i wciskając pięć stumarkowych banknotów do kieszeni kurtki mężczyzny.

Konduktor ponownie spojrzał na panią Wiesner z córkami, zapewne by się upewnić, że to nie Żydówki. Na szczęście Eva Wiesner wyglądała równie aryjsko jak każda inna osoba w pociągu. Russell dołączył do Effi na peronie. Sygnalizator zgasł i pociąg był prawie gotów do drogi. Przeszywający dźwięk gwizdka lokomotywy sprowokował w odpowiedzi wrzask jakiegoś zwierzęcia w pobliskim ZOO, i pociąg ruszył z szarpnięciem. Dziewczęta pomachały, Eva Wiesner uśmiechnęła się, i już ich nie było. Russell i Effi stali trzymając się za ręce i przyglądając się, jak długi pociąg turkocze po żelaznym wiadukcie i znika na długim zakręcie za nim. „Zapamiętaj tę chwilę”, powiedział sobie Russell. „Po to było to wszystko”.

Po szybkim lunchu z Effi w Café Uhlandeck Russell wyruszył do Kilonii. Autostrada Berlin-Hamburg wciąż jeszcze była w budowie, pozostawała jedynie stara droga przez Schwerin i Lubekę, mniej więcej trzysta pięćdziesiąt kilometrów dwupasmową szosą, przez łagodnie pofalowany równinny krajobraz północnych Niemiec. Po trzech godzinach jazdy zaczął się zastanawiać, czy jednak pociąg nie byłby lepszy. Samochód wydawał się bezpieczniejszy, lecz Russell uświadomił sobie, że tylko dlatego, iż dał się nabrać na nierozsądne przekonanie, jakoby w aucie miał większą możliwość ucieczki. Tymczasem w rzeczywistości miał niemal takie same szanse prześcignięcia Gestapo hanomagiem jak aryjski sprinter na przegonienie Jessego Owensa.

Zajechał do Kilonii wkrótce po zmroku. Zatrzymał się na dworcu kolejowym, by w jednym z kiosków kupić przewodnik po mieście, i przestudiował go przy piwie w dworcowym bufecie. Sama Kilonia rozciągała się na północ wzdłuż zachodniego brzegu rozszerzającej się zatoki, która w końcu otwierała się na Bałtyk. Gaarden znajdował się po drugiej stronie zatoki i można się tam było dostać promem albo tramwajem wokół jej południowego krańca. Russell zdecydował się jakiś na hotel w pobliżu dworca - coś nie nazbyt wystawnego, niezbyt podejrzanego, i coś pełnego samotnych biznesmenów wiodących stosunkowo niewinny żywot. Europaischer Hof przy drodze biegnącej wzdłuż dworca spełniał dwa pierwsze kryteria, zaś w ruchliwy dzień mógł spełniać i trzecie. Jednak teraz kilka rzędów kluczy czekających na gości sugerowało, że hotel jest w połowie pusty, i kiedy

Russell spytał o pokój, recepcjonista wydawał się wręcz otumaniony szerokim wyborem. Stańło na pokoju od frontu na drugim piętrze, wychodzącym na szklany dach dworca oraz kolonię mew, która się na nim osiedliła. Hotelowa restauracja nie zdradzała oznak gotowości do otwarcia podwoi, więc Russell powędrował na północ wzdłuż imponującej Holstenstrasse i znalazł przybytek oferujący przyzwoity wybór dań z owoców morza. Po posiłku poszedł na wschód, z grubsza kierując się na port, i trafił na przystań dla pasażerów promu do Gaarden. Prom odbił ledwie chwilę wcześniej i pyrkał przez ciemne wody sunąc w kierunku linii świateł po drugiej stronie, odległych o jakieś pół kilometra. Spoglądając na lewo w głąb raptownie rozszerzającej się zatoki, Russell ujrzał coś, co wyglądało na ogromny okręt wojenny, zakotwiczony na jej środku. Stał przez kilka minut, chłonąc widok, póki lodowaty wiatr nie stał się przeciwnikiem zbyt silnym dla jego płaszcza. Po powrocie do hotelu wypił kieliszek przed snem w pustym barze, położył się do łóżka i zasnął z zaskakującą łatwością.

Obudził się wcześnie i odkrył, że Europaischer Hof uważa śniadania za niepotrzebny luksus. W okolicach dworca było jednak mnóstwo kafejek dla robotników, oferujących gorące bułki i kawę. Przed ósmą Russell jechał przez centrum miasta, kierując się do leżącego na północy przedmieścia Wik, gdzie mieścił się główny port dla statków handlowych. Ukończył już swój artykuł o niemieckich marynarzach, ale Gestapo nie musiało o tym wiedzieć, zaś on potrzebował solidnych podstaw do przebywania w Kilonii.

Przez następne dwie godziny rozmawiał z marynarzami w kawiarniach na nabrzeżu w Wik, zanim przeniósł się na wschodni kraniec Kanału Kilońskiego, który znajdował się nieopodal. Tam przyglądał się, jak szwedzki frachtowiec przepływa przez podwójne śluzy chroniące kanał przed zmianami poziomu wód. Russell przez cały czas gawędził ze starszym, który tam niegdyś pracował i który ciągle przychodził, żeby popatrzeć. Wracając wzdłuż zachodniego brzegu portu Russell miał lepszy widok na okręt wojenny, niż zeszłego wieczora.

Był to niedawno wprowadzony do służby „Scharnhorst”. Jego działa tkwiły skierowane w stronę pokładu, jakby przepaszając za swoje istnienie. Z boku uwiązane były dwa Ubooty. Russell nie był głodny, ale i tak zamówił obiad, a do niego parę piw dla uspokojenia nerwów, zanim ruszył przez Gaarden szlakiem tramwaju do Wellingdorf. Nietrudno było znaleźć bar Germania - tak jak mówił Gert, znajdował się on niemal naprzeciwko głównej bramy stoczni Deutsche Werke - i nie brakowało też miejsca, by zaparkować samochód. Sam bar mieścił się na parterze czteropiętrowego budynku i wydawał się zaskakująco spokojny jak na porę obiadową.

Russell przejechał jeszcze z kilkaset metrów w stronę Wellingdorf, nim zakręcił i

wrócił tą samą trasą do Kilonii. Pamiętając o urodzinach Paula, spędził resztę popołudnia rozglądając się po sklepach w centrum miasta. Dwa wielkie sklepy z zabawkami, jakie znalazł, nie oferowały niczego oryginalnego, i już prawie miał się poddać, kiedy natknął się na mały sklepik żeglarski przy jednej z węższych uliczek. Na jego wystawie pysznił się model „Preussena”, który, jak kiedyś oświecił go Paul, był jedynym kiedykolwiek zbudowanym żaglowcem o kwadratowych żaglach na pięciu masztach. Cena wywołała u Russella bolesny grymas, ale przy bliższych oględzinach model wyglądał jeszcze lepiej niż przez szybę. Paul byłby zachwycony.

Russell ostrożnie zaniósł szklaną gablotkę do samochodu, zrobił co tylko mógł, żeby unieruchomić ją na tylnym siedzeniu i nakrył ją niedużym pledem, jaki kupił na użytek Effi na Rugii. Spojrzał na zegarek - jeszcze pięć godzin do spotkania w barze Germania - i wrócił do Europaischer Hof z nadzieją, że wykorzysta ten czas na drzemkę. Pomimo nieoczekiwanego bonusu w postaci gorącej kąpieli, nie udało mu się zasnąć, więc tylko leżał na łóżku patrząc, jak pokój pogrąża się w mroku. Około piątej włączył światła i wyciągnął notatki, które zrobił rano.

O siódmej poszedł na dworzec naprzeciwko po coś na ząb i kolejne piwo, z zalem rezygnując jednak z tego drugiego. Hala dworcowa pełna była hałaśliwych marynarzy w czapkach z „Scharnhorsta”, zapewne wybierających się na przepustki.

Po powrocie do hotelu zabrał walizkę, oddał klucz i wyszedł do hanomaga. Gdy jechał do Gaarden, droga wydawała się pusta, lecz sam Gaarden szykował się na piątkową noc; światło wylewało się przez otwarte drzwi licznych barów oraz restauracji na brukowane ulice i szyny tramwajowe. Kręciło się sporo marynarzy i mnóstwo kobiet czekających, by spełnić ich zachcianki, lecz nie było widać policji.

Zaparkował pod murem stoczni i przez chwilę siedział w aucie, przypatrując się barowi Germania. Przez otwarte drzwi dobiegały rozmowy i śmiech, a wraz z nimi woń smażonej cebuli. Światło przeświecało zza zasuniętych zasłon we wszystkich oknach na górze oprócz jednego; w jedynym ciemnym oknie można było dojrzeć wychylającego się mężczyznę z podrygującym papierosem sterczącym spomiędzy warg. Russell zdał sobie sprawę, że to burdel. I że jest za trzy ósma.

Czuł, że serce wali mu jak młotem, kiedy wysiadał z hanomaga, sprawdzał, czy auto jest zamknięte i czekał, aż tramwaj przejedzie, zanim przeszedł na drugą stronę ulicy. Bar był wewnątrz większy niż się zdawało z zewnątrz; wzdłuż dwóch ścian ciągnęły się boksy, było też kilka stolików i nieduży parkiet do tańca, gdyby komuś przyszła na to ochota. Był bardziej luksusowy niż Russell się spodziewał, i czystszy. Boksy były obite skórą, kontuar

wypolerowany na wysoki połysk. Zobaczył kilku młodych marynarzy, lecz większość mężczyzn, tak jak Russell, albo zbliżała się, albo osiągnęła już wiek średni. Zdjął płaszcz, usadowił się w jednym z dwóch wolnych boksów i położył na stoliku „Martina Chuzzlewita” tytułem do góry.

- Dobra książka? - spytała go kelnerka. - Chuzzlewit - powiedziała ze śmiechem - a co to za nazwisko?

- Angielskie - wyjaśnił.

- To wszystko tłumaczy. Na co ma pan ochotę?

Zamówił goldwassera i rozejrzał się po sali. Parę twarzy zwróciło się w jego stronę, kiedy wchodził, lecz od tamtej pory nikt nie okazał szczególnego zaciekawienia. Jeden z marynarzy podniósł się z krzesła, swawolnie pociągnął swoją towarzyszkę, żeby wstała, i ruszył do drzwi na ścianie w głębi. Gdy je otworzył, oczom Russella ukazał się początek schodów.

Pojawił się goldwasser, a zaraz po nim damskie towarzystwo. Była mniej więcej w jego wieku, tak szczupła, że właściwie chuda, miała podkrążone oczy i znużony uśmiech.

- Niech mi pan postawi drinka, Herr Russell - zaproponowała przyciszonym głosem, zanim zdążył powiedzieć, że czeka na kogoś innego. Nachyliła się nad stolikiem, położyła dłoń na jego dłoni i szepnęła: - Kiedy wypijemy, pójdziemy na górę i dostanie pan to, po co pan przyszedł.

Zamówił jej drinka, słodkie martini.

- Jestem Geli - powiedziała, od niechcienia głaszcząc jego rękę. - A pan cóż porabia w Kilonii?

- Jestem dziennikarzem - powiedział, przyłączając się do szarady.

- Piszę o poszerzaniu Kanału Kilońskiego.

- Większy zawsze jest lepszy - powiedziała cierpko. - Chodźmy na górę. Widzę, że się pan niecierpliwi.

Poszedł za nią po schodach na górę, przyglądając się, jak rąbek jej czerwonej sukienki ociera się o łydki w czarnych pończochach. Na drugim piętrze znajdowały się cztery pokoje, i co najmniej w jednym z nich hałaśliwie zażywano rozkoszy. Przez otwarte drzwi łazienki mignął mu widok pulchnej blondyny ubranej tylko w czarne pończochy i pas, wycierającej się ręcznikiem.

- Tutaj - wskazała Geli, otwierając drzwi i dając mu znak ręką, żeby wszedł do środka.

- Wrócę za chwilę - dodała, zamykając je za nim.

Było tam okno wychodzące na uliczkę na tyłach oraz sfatygowany dywan, który

zakrywał połowę drewnianej podłogi. Nieosłonięta bańka żarówki oświetlała wielkie niezasłane łóżko, podparte w jednym rogu stosem książek. Na drewnianym zagłówku łóżka ktoś napisał: „Goebbels tu był”, a ktoś inny zostawił dopisek: „A więc tak się zaraziłem”. Russell stwierdził, że to wystarczy, by każdemu się odechciało.

Drzwi otworzyły się i wszedł mężczyzna, a tuż za nim Geli. Był młodszy od niej, choć niewiele. Miał jasne włosy, niebieskie oczy i skórę, która doświadczyła za dużo słońca i wiatru. Nosił marynarski płaszcz.

Ucisnął dłoń Russella i ciężko usiadł na łóżku, sprawiając, że alarmująco zatrzęszczało. Geli stała zwrócona plecami do okna, lekko przycupnąwszy na parapecie, i patrzyła, jak mężczyzna rozpruwa scyzorykiem podszewkę płaszcza. Zajął mu to ledwie parę sekund.

Sięgnął do środka, wyciągnął niewielki plik kartek i podał je Russellowi.

Plik mógł wyglądać na nieduży, lecz składało się na niego ponad trzydzieści kartek tekstu i wykresów, wszystkie przepisane na najcieńszym dostępnym papierze.

- To nie są oryginały - Russell pomyślał na głos.

- Gdyby były, marynarka wiedziałaby, że przepadły - powiedział mężczyzna ze znużeniem, jakby tłumaczył prostą rzecz wyjątkowo tępemu dziecku.

- Czy istnieją inne kopie? - spytał Russell.

- Jedna. Dla pańskiego następcy, jeśli panu się nie uda.

- A wtedy będzie pan potrzebował kolejnej dla jego następcy.

Mężczyzna zaoferował mu niechętny uśmiech.

- Coś w tym rodzaju.

- Czy mogę o coś spytać?

- Wal pan.

- Dlaczego nie wysłać tego przez radio?

Mężczyzna wskazał ruchem głowy papiery.

- Sam pan zobacz. Zanim byśmy to wszystko nadali, każdy oddział namierzania w Niemczech dobijałby się do naszych drzwi. No i nie da się nadać map przez radio, a przynajmniej nie jest to takie proste. - Uśmiechnął się przelotnie. - Dawniej wysyłaliśmy rzeczy pocztą do radzieckiej ambasady w Berlinie, ale się kapnęli. Teraz wszystko otwierają. Wszystko.

Russell złożył papiery na pół i wepchnął je do wewnętrznej kieszeni.

- W samochodzie mam lepszy schowek - wyjaśnił.

- I Bogu dzięki. Słuchajcie, muszę iść, zanim...

Raptem z dołu dobiegł jakiś ryk.

- Przyszli szturmowcy - poinformowała Geli. - Bez obaw - uspokoiła Russella. - Oni nie są tu z pana powodu.

- Pieprzą nasze kobiety, pieprzą nasz kraj i wkrótce będą pieprzyć Europę - powiedział mężczyzna. - Ale w końcu im dokopiemy.

- Raz jeszcze uściśnął dłoń Russellowi i życzył mu powodzenia.

- Później do ciebie zajrzę - powiedział do Geli i wymknął się z pokoju.

- Niech pan zaczeka parę minut - poleciła Russellowi - a ja sprowadzę pana na dół.

To było długie parę minut. Gdy schodzili na dół, jakiś szturmowiec właśnie wchodził na górę, prawie wlokąc za sobą dziewczynę. - Zwolnij, Klaus - zaapelowała do niego Geli. - Nie przyda ci się, jeśli będzie nieprzytomna.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu, jak gdyby to, czy będzie przytomna, nie miało tu nic do rzeczy.

Odgłosy z baru stawały się ogłuszające.

- Tylne drzwi chyba będą lepsze - uznała Geli, i wyprowadziła go przez jasną, chociaż pustą kuchnię. - Na prawo i jeszcze raz na prawo - powiedziała zanim zamknęła za nim drzwi, blokując większość światła. Russell namacał sobie drogę wzdłuż tylnej ściany do rogu, skąd mógł jako tako wypatrzeć słabo oświetloną drogę. Gdy zaczął iść wzdłuż bocznej ściany budynku, u wylotu uliczki zamajaczyła jakaś sylwetka - mężczyzna w wysokich buciorach, w czapce na głowie.

Russell zastygł, a serce łomotało mu w piersi. Mężczyzna szedł w jego stronę, sięgając ręką ku czemuś...

Ku guzikom przy rozporku. Parę metrów dalej, w głębi uliczki obrócił się, wyciągnął penisa i z donośnym sapnięciem posłał gwałtowny strumień białozłotych sików na ścianę. Russell stał jak skamieniały, nie ośmielając się zrobić najmniejszego ruchu i zastanawiając się, czy to się kiedykolwiek skończy. Przebrzmiał długi i smętny odgłos syreny statku w zatoce, a mocz wciąż nie przestawał płynąć, zmuszając mężczyznę do odsuwania stóp od powiększającego się jeziora.

W końcu ciągły strumień się załamał. Szturmowiec zrobił jeszcze kilka posuwistych ruchów ręką na szczęście, upchnął się w spodnie i ruszył do wyjścia z uliczki. Potem sobie poszedł.

Russell pomknął do przodu, mając nadzieję, że umknie, zanim ktoś jeszcze wpadnie na ten sam pomysł. Omal nie wdepnął w kolosalną kałużę, ale udało mu się dotrzeć do końca alejki bez wypadku. Jego samochód stał po drugiej stronie ulicy, bezradnie tkwiąc między

dwiema półciągarówkami, które przywiozły szturmowców. Pospiesznie przeszedł przez jezdnię, wsiadł do auta i uruchomił silnik. Po pięciu czy sześciu manewrach oswobodził samochód zaledwie do połowy. Pokusa grzmotnięcia w ciężarówkę była niemal nieodparta, jednak Russell wątpił, czy gdyby to zrobił, hanomag okazałby się dostatecznie ciężki, by je przesunąć. Pokonując desperację wysuwał auto cał po calu coraz dalej na drogę. Już prawie mu się udało, kiedy kilku szturmowców wyszło z baru na ulicę i zaczęło do niego wołać. Miał właśnie spróbować ostatniego szarpnięcia, by zarysowując metal wydostać się na wolność, gdy dotarło do niego, że tamci zwijają się ze śmiechu. Osaczyli go dla zabawy. Otworzył okno i zrobił kwaśną minę, uznając ich błyskotliwe poczucie humoru. Jeszcze trzy manewry i nareszcie był wolny. Zawrócił hanomaga przed ich nosem, unosząc rękę w triumfalnym geście. Jadąc na południe w kierunku centrum Gaarden, mógł ich widzieć w tylnym lusterku, wesoło machających na pożegnanie. Czekają na niego łóżko w hotelu, ale nie wydawało się dostatecznie daleko. Russell zdał sobie sprawę, że pragnie wydostać się z Kilonii, i to najprędzej jak to możliwe. Była dopiero dziewiąta - jeszcze dosyć czasu, żeby znaleźć pensjonat w jakiejś małej miejscinie, gdzieś między tym miejscem a Lubeką.

Wybrał jedną z dróg do Lubeki biegnących dalej na północ, a kiedy wyjechał za miasto, znalazł szerokie pobocze, na którym mógł się zatrzymać. Nastawiając ucha, czy nie usłyszy nadjeżdżających pojazdów, włączył światła w samochodzie, otworzył fałszywe dno walizki i umieścił papiery w środku. Miał zamiar tej nocy skopiować je dla Brytyjczyków, lecz żeby zrobić kopię całości potrzebowałby całego weekendu. Musiał dokonać wyboru. I tak nie będą o tym wiedzieli.

Jakieś dziesięć kilometrów dalej natknął się na miasteczko i pensjonat, jakiego szukał. Właściwie było to niewiele więcej niż wiejska gospoda, ale kobieta, która ją prowadziła, ochoczo zaoferowała mu pokój.

- Należał do mojego syna - powiedziała nie wyjaśniając, gdzie się podział. Rozmaite chłopięce drobiazgi i książki sugerowały, że spodziewano się jego powrotu.

Gdy tylko Russell zamknął się w pokoju, wyjął papiery spod fałszywego dna i przebiegł je wzrokiem. Zawierały to, co według Iriny Borskajej miały zawierać - szczegółowe podsumowanie obecnego i planowanego rozmieszczenia niemieckiej marynarki na Bałtyku.

Większość kluczowych informacji zdawała się skupiać w trzech mapach, które towarzyszyły tekstowi, więc Russell zabrał się za ich kopiowanie. Pomyślał, że Brytyjczycy powinni być wdzięczni za wszystko, cokolwiek zdoła im dać.

Mapy były ogromnie szczegółowe i ukończenie pracy zabrało mu prawie cztery godziny. Miał wrażenie, że dopiero co zasnął, kiedy gospodyni zapukała do jego drzwi,

proponując śniadanie. Rzeczywiście, była dopiero siódma rano. Jednak śniadanie było smaczne, a słońce wyłoniło się już zza horyzontu. Jak się okazało, syn gospodyni wstąpił do marynarki.

Russell wyruszył w drogę do Berlina zaraz po dziewiątej. Papiery i kopie leżały schowane pod fałszywym dnem, a sama walizka tkwiła wetknięta pod przyciągającym wzrok modelem „Preussena”. Właściwie nie było takiej potrzeby - nie czekały na niego żadne blokady na drodze, żadne punkty kontrolne ani nadgorliwi małomiasteczkowi policjanci palący się, by znaleźć jakieś uchybienie w samochodzie z berlińskimi tablicami rejestracyjnymi. Niedługo po pierwszej Russell zaparkował hanomaga przed Dworcem ZOO, wyciągnął walizkę i podenerwowany zaniósł ją do przechowalni bagażu.

- Ładny dzień - powiedział urzędnik, odbierając walizkę i wręczając mu kwit z numerem.

- Jak na razie - zgodził się Russell.

Zadzwoił do Effi z budki telefonicznej w holu i poinformował ją, że wszystko przebiegło zgodnie z planem. W jej głosie usłyszał taką samą ulgę, jaką sam odczuwał.

- Jadę do domu po jakieś czyste ubranie i żeby kupić jeszcze coś dla Paula - powiedział jej. - Zobaczymy się koło szóstej. Poinformowała go, że mają bilety na rewię w jednym z mniejszych teatrów w pobliżu Alexanderplatz, zaś Russell na próżno starał się wykrzesać z siebie entuzjazm.

- Jestem tylko zmęczony - wytłumaczył. - Do tej pory dojdę do siebie.

Na pewno poczuł się bezpieczniej, gdy walizka została ulokowana w przepastnej przechowalni bagażu na Dworcu ZOO.

Oczywiście, zawsze pozostawał kwit, jednak gdyby wydarzyło się najgorsze, był on na tyle mały, że dałoby się go połknąć. Znalazłszy się z powrotem w samochodzie po raz pierwszy obejrzał model statku przy świetle dziennym i pogratulował sobie wyboru - był naprawdę piękny.

Frau Heidegger również tak uważała i wytrzasnęła skądś jaskrawoczerwoną wstążkę, którą zachowała na taką ewentualność.

Na Russella czekały wiadomości od obu jego agentów: Jake Brandon przysłał sarkastyczny telegram z Nowego Jorku, domagając się egzemplarza, a Solly Bernstein telefonował, żeby mu powiedzieć, iż „jego przyjaciółki” dotarły do Londynu. Wciąż się jeszcze uśmiechał, kiedy znalazł się w swoim pokoju na czwartym piętrze.

Po nader upragnionej kąpieli i przebraniu się włożył jeszcze trochę świeżych ubrań na zmianę do walizki, której zawsze używał, i zaniósł ją do samochodu.

Obiad w Wertheimie zakończył się niespiesznym spacerem po dziale z zabawkami i zakupem kolejnych dwóch prezentów, którymi Paul wcześniej się zainteresował. Księgarnia przy Leipzigstrasse dostarczyła trzeci. Russell wiedział, że zapewne wydaje za dużo, ale mógł nie mieć kolejnej okazji.

Udało mu się nie zasnąć podczas rewii, lecz nie był w stanie ukryć przerażenia, kiedy Effi zaproponowała dancing. Ulitowała się nad nim.

- Wiem, co cię ożywi - oświadczyła, gdy wspinali się po schodach do jej mieszkania, i miała rację. Po wszystkim pokazała mu, co sama kupiła dla Paula: wspaniałą encyklopedię o zwierzętach, którą zachwycał się podczas ich ostatniej wizyty w sklepiku przy ZOO.

Następnego ranka dołączyli do tłumu kilkuset innych berlińczyków na chodniku na Ku'damm, szczelnie opatuleni przed zimnym wiatrem, szeleszcząc gazetami przy stoliku przed kawiarnią, popijając kawę i skubiąc ciasto.

„I tak właśnie powinno być”, pomyślał Russell, „zwyczajni Niemcy robiący zwyczajne rzeczy, cieszący się swoimi zwykłymi cywilizowanymi rozrywkami”.

Jednak jego gazeta ukazywała inny obraz. Podczas gdy on wałęsał się po Kilonii, Czesi stracili cierpliwość do wspieranych przez Niemców Słowaków, rozwiązali ich lokalny rząd i aresztowali premiera. Beobachter piał z oburzenia: jakież naród mógłby się godzić na tak poważne niepokoje tuż za swymi granicami? Niemiecka interwencja jakiegoś rodzaju wydawała się nieunikniona, ale przecież zawsze tak było. Jeżeli separatyści wygrają, Czechosłowacja się rozpadnie; jeśli nie otrzymają tego, czego pragną, ich kampania po prostu będzie trwała dalej.

Każdy możliwy rozwój sytuacji stworzy wystarczające zamieszanie, żeby przysłużyć się celom Hitlera.

Gdy podniósł wzrok znad gazety, bywalcy ulicznej kafejki nie wydawali mu się już tacy zadowoleni ze swoich zwyczajnych rozrywek. Wyglądali na spiętych, zmęczonych i niespokojnych. Wyglądali tak, jakby nad głową zawisła im wojna.

Po obiedzie z Effi pojechał do Grunewald, zostawił prezenty, odebrał syna i wyściskał go z okazji urodzin. Dwadzieścia minut później zabrali Thomasa z Lutzow i udali się na Plumpe. Syn Thomasa, Joachim, w zeszłym tygodniu rozpoczął swój Arbeitsdienst i właśnie naprawiał drogi w dolinie Mozeli.

Pogoda dopisała, ale drużyna okazała się niezdolna do sprawienia Paulowi urodzinowego prezentu. Przegrali 2:0 i mieli szczęście, że nie wyżej. Przygnębienie Paula nie trwało długo - zanim ujechali połowę drogi do domu, on już myślał tylko o zbliżającym się przyjęciu i zapomniał o podłej zdradzie Herthy.

Effi była już na miejscu, kiedy zajechali, pogodnie rozmawiając z czternastoletnią córką Thomasa, Lotte. W ciągu następnej godziny pojawiło się około tuzina przyjaciół Paula, przyprowadzonych przez rodziców - sami chłopcy. Niektórzy w najlepszych niedzielnych ubraniach, a inni - z powodów znanych chyba tylko rodzicom - w mundurkach *Jungvolk*. Ich zabawy okazały się zaskakująco brutalne, lecz to, jak przypuszczał Russell, stanowiło element tego samego przygnębiającego sposobu myślenia. Przynajmniej nie zastąpili przypinania ogona osiołkowi „przypinaniem nosa Żydowi”. Na razie. Postanowił, że napisze artykuł o dzieciach do cyklu „Zwyczajni Niemcy”. Kiedy już wróci z Pragi. Jednak Paul zdawał się być szczęśliwy i lubiany, co warte było docenienia. Dorośli - Ilse i Matthias, Thomas i jego żona Hanna, Russell i Effi - siedzieli razem w ogromnej kuchni, popijając znakomite wino Matthiasa. Uśmiechali się, śmiali i przepijali do siebie nawzajem, ale rozmowa dotyczyła minionych lepszych czasów, tego, jak to było kiedyś. W pewnej chwili patrząc na Ilse, gdy słuchała kogoś innego, Russell w duchu ujrzał ją taką, jaka była piętnaście lat temu w Moskwie, z oczyma roziskrzonymi nadzieją na lepszy świat. Teraz wszyscy tutaj cofali się przed przyszłością, lękając się spojrzeć przed siebie.

Mieli swoją własną bankę zawieszoną w czasie, ale na jak długo? Wieczór dobiegł końca, przybliżając jutrzejszy dzień. Po pogratulowaniu sobie nawzajem tego, jak świetnie przyjęte zostały ich prezenty, oboje z Effi milczeli przez większą część drogi do domu. Właśnie skręcali w jej ulicę, gdy Effi nagle zaproponowała, że pojedzie z nim do Pragi.

- Nie - odpowiedział. - Nie ma sensu, żebyśmy oboje podejmowali ryzyko. - Wyłączył silnik. - I ty jesteś Niemką, sądziliby cię za zdradę. W moim przypadku mają więcej opcji.

- Niby jakie?

- Och, nie wiem. Może wymienienie mnie na jednego ze swoich szpiegów.

- Albo rozstrzelanie.

- Wątpię. Ale sądzę, że twoja obecność sprawiłaby, że bardziej bym się denerwował. I łatwiej mógłbym się czymś zdradzić. Wpatrywała się w jego twarz i wydawało się, że usatysfakcjonowało ją to, co ujrzała.

- W porządku - odparła. - Ale wiesz, to nic przyjemnego tak czekać przy telefonie.

- Wiem.

Na górze zauważył scenariusz leżący na jej toalecie, i przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

- Czy możesz zdobyć dla siebie drugi egzemplarz? - zapytał.

- Czemu nie. Mogłabym powiedzieć, że pierwszy spaliłam w ataku rozpaczy. Ale dlaczego?

- Pomyślałem, że wezmę go ze sobą do walizki. Kamuflaż. I przydałby się jeden z twoich fotosów.

Przyniosła fotografię - zdjęcie ukazujące głowę i ramiona, zrobione dwa lata wcześniej.

- Twoja twarz rozproszy każdego - powiedział.

Było jeszcze ciemno, gdy Russell obudził się i leżał przez chwilę, wsłuchując się w oddech Effi i rozkoszując się ciepłem jej ciała. O wpół do ósmej zmusił się do wstania z łóżka, umył się i ubrał w łazience, a w końcu zbudził Effi, żeby się pożegnać - ponieważ nalegała, żeby koniecznie to zrobił. Objęła go ramionami w sennym uścisku, po czym zsunęła nogi z łóżka i wygięła plecy, przeciągając się. Gdy schodził po schodach, ona stała w nocnej koszuli przy uchylonych drzwiach, posyłając mu całusa na drogę. Berlin już budził się do kolejnego dnia pracy. Na autostradzie Avus panował znaczny ruch, ale tylko w jednym kierunku, i Russell dojechał do Poczdamu sporo przed dziewiątą. Po zaparkowaniu hanomaga w pobliżu głównej poczty przy Wilhelmplatz, bez pośpiechu zjadł śniadanie w kafejce obok. Gazety, tak jak się spodziewał, upajały się niedolą Czechów.

Dziesięć po dziewiątej pojawił się przy stanowisku poste restante i podpisał pokwitowanie na znajomą kopertę. Wracając do hanomaga czuł się jak człowiek, któremu właśnie wręczono tykającą bombę.

„Nie ma się czym przejmować”, pomyślał. Niedługo będzie miał dwie.

Jazda z powrotem trwała dłużej i było już po dziesiątej, kiedy skręcił z Ku'damm i zobaczył szklany dach Dworca ZOO otoczony przez budynki po obu stronach Joachimsthalerstrasse. Zaparkował niedaleko bramy do Tiergarten, z której swego czasu skorzystali on i Gert, włożył złożoną kopertę do wewnętrznej kieszeni płaszcza, podniósł walizkę i poszedł z powrotem ku najbliższemu wejściu na dworzec.

Do przechowalni bagażu czekał ogonek ludzi, ale nic nie wskazywało na obecność policji czy kogokolwiek podejrzanie się kręcącego. Kiedy nadeszła jego kolej, Russell podał kwit, patrzył, jak urzędnik znika, i czekał, że odezwie się tysiąc syren. Jakieś dziecko w kolejce za nim nagle zapiszczało, a on aż podskoczył. Pociąg z łoskotem przetoczył się im nad głowami, lecz dach się nie zawalił. Urzędnik powrócił z walizką, wziął od Russella opłatę i wręczył mu bagaż.

Następnym przystankiem była męska toaleta. Kabiny były ciasne i wejście do którejś z dwiema walizkami wymagało strategicznego planowania na poziomie, który prawie go

przerastał. Wtłoczył się do środka, zamknął za sobą drzwi i na chwilę usiadł na sedesie, żeby ochłonąć i odzyskać resztki spokoju ducha, jeśli udało mu się jeszcze jakieś zachować. Ścianki nie sięgały do samego sufitu, jednak obie sąsiednie kabiny były puste, przynajmniej w tej chwili. Russell wstał, położył mniejszą walizkę na sedesie i otworzył ją. Po odsłonięciu fałszywego dna wyjął trzy skopiowane mapy, zastąpił je papierami McKinleya i ponownie zamknął podwójne dno. Później nastąpiła krótka potyczka, podczas której szamotał się, usiłując otworzyć drugą walizkę w pozostałej mikroskopijnej wolnej przestrzeni, jaką kabina miała do zaoferowania. Połowa zawartości wylądowała na podłodze, jednak w końcu wszystko zostało przeniesione do mniejszej walizki, która teraz stosownie się zapełniła. Po upewnieniu się, że trzy mapy znajdują się w kieszeni jego płaszcza, Russell zamknął obie walizki, otworzył drzwi i wygramolił się z kabiny.

Pracownik przechowalni bagażu zdziwił się, widząc go znowu, ale przyjął pustą walizkę bez słowa komentarza i wręczył mu nowy kwit. Na peronie powyżej Russell zaczekał na kolejkę miejską jadącą na zachód, myśląc o tym, że to właśnie tutaj zginął McKinley i to tutaj Frau Wiesner z córkami zostawiła Hitlera za sobą. Na dalszym peronie jakiś mężczyzna ze złością potrząsał automatem z prażonymi migdałami, zupełnie tak samo, jak to robił inny mężczyzna rankiem w dniu powrotu Russella z Gdańska.

Jego pociąg zajechał na peron i pojechał dalej, objeżdżając północny kraniec Tiergarten, parokrotnie przekraczając Szprewę podczas trwającej trzy przystanki podróży na Friedrichstrasse. Russell wyszedł przez rzadziej używane drzwi na parking i energicznym krokiem pomaszerował w kierunku ambasady. Odgłos jego kroków na chodniku brzmiał nadzwyczaj głośno, a każdy samochód, który się nie zatrzymywał, zdawał mu się być jak gwiazdkowy prezent. Przechodząc przez Unter den Linden w połowie ulicy podjął decyzję, że jeżeli ktokolwiek mu teraz zagrozi, rzuci się pędem do drzwi ambasady i już nigdy więcej nie wyjdzie. Ale nikt go nie zatrzymywał. Tak jak poprzednio, zapytał recepcjonistkę o Unswortha, a Unswortha o TrelawneySmythe'a. Ten ostatni spojrzał na trzy mapy, jakby nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- Gdzie je pan zdobył? - koniecznie chciał wiedzieć.

- Od pewnego towarzysza w Kilonii - tyle tylko wyjawiał mu Russell. - Jednorazowa okazja - dodał. - Następnym razem nie będzie.

- Jak mogę mieć pewność, że są autentyczne?

- Chyba nie może pan. Ale są. A wasi ludzie na pewno mają swoje sposoby, żeby potwierdzić przynajmniej część z tego.

- Możliwe.

Russell znacząco spojrział na zegarek.

- Muszę zdążyć na pociąg.

- A gdzie to się pan wybiera tym razem? - spytał TrelawneySmythe niemal przyjaźnie.

- Praga.

- Ach, dołączy pan do komitetu powitalnego Adolfa.

- Mam nadzieję, że nie.

Wstąpił do Unswortha, żeby się pożegnać, i usłyszał prawie to samo.

- A brytyjskie gwarancje dla Czechosłowacji? - Russell spytał z sarkazmem.

- Bez Słowacji nie ma Czechosłowacji - odpowiedział Unsworth. - A tym samym nie ma gwarancji.

- Zgrabnie - mruknął Russell.

- Bardzo - zgodził się Unsworth.

Na ulicy Russell zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

- Anhalter Bahnhof - powiedział do kierowcy.

Wyglądało na to, że on i Hitler zmierzają w tym samym kierunku.

Pociąg do Pragi odjeżdżał w południe i według rozkładu miał dotrzeć do stolicy Czech tuż przed siódmą. Russell wsiadł do niego, czując ucisk w żołądku, a obiad obfitujący w alkohol w wagonie restauracyjnym bynajmniej mu nie pomógł.

Południowe wydania gazet przyniosły informację, że słowacki premier, monsignor Tiso, otrzymał „zaproszenie” do Berlina. Podczas ostatnich dwóch dni zdawał się wykazywać zaskakujący brak zapału, by wywrócić Czechom ich wózek z jabłkami, i Führer niechybnie nie mógł się doczekać, żeby udzielić mu przyjacielskiej rady. Russell domyślał się, że w którymś momencie ich pociągi się miną. Będzie wypatrywał w oknach mijanego pociągu z naprzeciwka - z premierem, któremu życie niemiłe.

A skoro o tym mowa... Pocieszał się, że Frau Wiesner i jej córki przebywają w Londynie, że prawie wcale nie przeszukuje się cudzoziemców, i że przyszły żywot ma ponoć być lepszy od tego. Zdusił w sobie chwilowy impuls, żeby wysiąść z pociągu w Dreźnie, na ostatniej stacji przed granicą. Gdyby to zrobił, Sowietci zapewne przybyliby go szukać z morderczymi zamiarami. I nawet nie mógłby ich za to winić - umowa to umowa.

Podczas gdy pociąg sunął krętą trasą przez dolinę górnej Łaby w kierunku granicy, Russell układał sobie w myślach kompendium takich możliwych wyjaśnień dla materiału

znajdującego się w jego walizce z podwójnym dnem, że nawet ćmiącemu skręty Neville'owi Chamberlainowi trudno byłoby w nie uwierzyć. Jak powiedział Gert, liczy się to, żeby nie zostać przeszukanym.

Gdy pociąg zwolnił przed kontrolą graniczną, serce zaczęło mu łomotać. Zatrzymali się w szerokim wąwozie, który podwójne tory dzieliły z grzmiącą i spienioną rzeką. Po obu stronach upstrzone plamami śniegu ściany doliny pięły się ostro do góry, a długi, niski budynek, mieszczący biura służb emigracyjnych i celnych, był częściowo zawieszony nad rozhukanymi wodami.

Rzeka wykluczała ucieczkę w jednym kierunku, zaś wysokie ogrodzenie pod napięciem za torami przekreślało jakiegokolwiek nadzieje na umkniecie w drugą stronę. „Jak szczury w labiryncie”, pomyślał Russell, „tylko jedna droga do wyjścia”.

Megafony zwieszające się ze słupów ze szperaczami nagle ożyły. Wszyscy pasażerowie byli proszeni o opuszczenie pociągu i ustawienie się w kolejce na wąskim pasie asfaltu wzdłuż torów. Jak oszacował Russell, w kolejce stanęło około dwustu osób, i wchodziły do budynku w zadowalającym tempie. „Tylko szybki rzut oka na dokumenty”, pomyślał, „i dalej w drogę”. Obok niego pociąg szarpnął do przodu, gotowy do zabrania swoich pasażerów po drugiej stronie. Bez jego kojącej obecności Russell nagle poczuł się bezbronny.

W końcu mógł zajrzeć przez wejście. Umundurowani funkcjonariusze zasiadali za dwoma biurkami, podczas gdy inni kręcili się w głębi, wypatrując potencjalnej zwierzyny. Jeszcze dalej dwa dwuosobowe zespoły stały za stołami, przeszukując torby i walizki. Pojawiła się pierwsza przeszkoda. Funkcjonariusz spojrział do paszportu Russella, a potem na jego twarz.

- Nazwisko? - zapytał, a umysł Russella na ułamek sekundy przerażająco odrętwiał.

- John Russell - odpowiedział, jak gdyby wcale się na tym nie skupiał.

- Data urodzenia?

To było łatwiejsze.

- 8 sierpnia 1899.

- Dziękuję - odparł urzędnik, i oddał Russellowi paszport. Russell poszedł dalej, ostrożnie unikając wszelkiego kontaktu wzrokowego. „Zignorujcie mnie”, zanosił w duchu błagania do celników za stołami.

Na próżno.

- Pan - zwrócił się do niego najbliższy. - Proszę otworzyć walizkę.

Russell położył ją na stole, marząc o tym, by ręce mu nie drżały, gdy z trzaskiem

otwierał walizkę. Mężczyzna i jego jasnowłosy kolega przez moment wpatrywali się w wierzchnią warstwę ubrań, po czym kolega zaczął je rozkopywać rękoma.

- Co to jest? - zapytał, wyciągając scenariusz Effi. - „Dziewczyna z gór”?

- To scenariusz filmu - wyjaśnił Russell. - Moja dziewczyna jest aktorką - dodał. - W środku jest jej zdjęcie.

Kolega wyjął je i obaj mężczyźni dobrze się przyjrzeni.

- Widziałem ją w czymś - odezwał się pierwszy.

Jego partner potarł sobie brodę kciukiem i palcem wskazującym.

- Ja też.

- Pamiętam - ciągnął pierwszy mężczyzna. - Była żoną tego faceta, którego zabili czerwoni...

- „Konieczne poświęcenie” - podsunął usłużnie Russell.

- O, właśnie. I ona jest pana dziewczyną?

- Ehe.

- Szczęściarz z pana - powiedział drugi, odkładając fotografię na miejsce i zamykając walizkę.

Russell jeszcze nigdy w życiu nie słyszał piękniejszego trzaśnięcia.

- Wiem - odpowiedział z uśmiechem pełnym wdzięczności.

Z walizką w ręku wyszedł przez otwartą bramę, z trudem zwalczając chęć, żeby podskakiwać i tańczyć.

Pociąg wjechał na praski dworzec Masaryk dwadzieścia po siódmej. Na ulicach wyglądało to bardziej jak północ - były ciemne i przeważnie opustoszałe, tak jakby wszyscy mieszkańcy miasta schronili się w domach, skuleni przy radiodbiornikach. Russell jeszcze nigdy nie widział tak pustego Placu Waclawa, nawet o czwartej nad ranem.

Przynajmniej Grand w pełni funkcjonował; jego mówiący wieloma językami personel oraz secesyjny wystrój stanowiły wyzwanie dla każdej inwazji barbarzyńców.

Russell zatrzymywał się tam wcześniej dwukrotnie, raz pod koniec lat dwudziestych i drugi raz we wrześniu zeszłego roku, kiedy Chamberlain i Daladier w Monachium lizali buty Hitlerowi. Spytał recepcjonistę, czy w ciągu ostatnich siedmiu godzin wydarzyło się coś o kluczowym znaczeniu, i usłyszał, że nie. Przypuszczał, że monsignor Tiso wciąż był w drodze do Berlina.

Pokój Russella mieścił się na pierwszym piętrze z tyłu. Poza brakiem atrakcyjnego

widoku wydawał się całkiem odpo wiedni. Jednak w tej chwili, po przeżyciach na granicy, nawet chlewik wydałby mu się odpowiedni pod warunkiem, że znajdowałby się w Czechosłowacji. Cisnął zamkniętą walizkę na łóżko i zszedł na dół, żeby zjeść obiad.

Hotelowa restauracja także zdawała się być o wiele mniej uczęszczana niż zazwyczaj, ale pieczony karp, pierogi z owocami oraz białe wino z południowych Moraw były pyszne. Pasowałby po tym spacer, jednak Russell niechętnie z tego zrezygnował - jego pociąg odjeżdżał o 11:40 następnego dnia, a on nie mógł się doczekać, żeby Rosjanie odebrali swoje papiery. Myśl o tym, że musiałyby je wrzucić do Wełtawy, była dla niego nie do zniesienia.

Nie musiał długo czekać. Tuż przed dziesiątą odpowiedział na znajomo brzmiące pukanie do drzwi i zobaczył Irinę Borską niespokojnie zerkającą w głąb korytarza.

- Proszę wejść - powiedział bez potrzeby; kobieta już dała nura pod jego wyciągniętą ręką i weszła do pokoju. Miała na sobie tę samą długą ciemnoszarą spódnicę, ale inną bluzkę. Jej włosy wydawały się odrobinę jaśniejsze i tym razem na jej wąskich wargach odznaczał się skromny ślad czerwonej szminki.

- Papiery - odezwała się, siadając na krześle.

- Was też miło widzieć - odrzekł Russell, otwierając walizkę.

Wyrzuciwszy swój dobytek na łóżko, otworzył fałszywe dno, wyjął plik kartek, który odebrał z Gaarden, i podał jej.

- A to co? - zapytała, gdy kładł kopertę zawierającą materiały McKinleya na nocnym stoliku.

- Historia, nad którą pracuję.

Obrzuciła go wzrokiem zdradzającym niedowierzanie, ale nic nie powiedziała. Po szybkim przejrzeniu planów marynarki, sięgnęła za bluzkę i wyjęła spięty zwitek banknotów, szwajcarskich franków. O wysokich nominałach.

- Obiecaliśmy, że zostanie pan dobrze opłacony - powiedziała, jak gdyby strofując go za wszelkie ewentualne wątpliwości, jakie mógłby żywić w tej kwestii.

- Dziękuję - odparł. - Interesy z wami to była przyjemność.

- Nie ma potrzeby, żeby ta przyjemność się skończyła - odpowiedziała.

- Mamy inne zadania...

- Nie - uciął stanowczo Russell. - Mieliśmy prostą umowę: wy pomogliście mojemu przyjacielowi wydostać się z Niemiec, ja przywiozłem wasze papiery do Pragi. Jesteśmy kwita. Życzę Związkowi Radzieckiemu powodzenia, ale nie na tyle, żeby za niego umierać.

- Dobrze więc - zgodziła się, podnosząc się z krzesła i układając sobie papiery w rękę. Fakt, że najwyraźniej nie miała przygotowanego miejsca, aby je ukryć, nasunął Russellowi

wniosek, iż jej pokój znajdował się niedaleko.

- Jeżeli takie są pańskie odczucia - powiedziała mu - to my to rozumiemy. I dziękujemy za to, co pan zrobił.

Wręcz zdumiony łatwością, z jaką przyjęto jego rezygnację, Russell otworzył kobiecie drzwi.

- Kiedy pan wyjeżdża? - spytała.

- Jutro rano.

- A więc udanej podróży. - Wystawiła głowę na zewnątrz, rozejrzała się na lewo i prawo, po czym ruszyła korytarzem w stronę schodów. Całe spotkanie nie trwało dłużej niż pięć minut.

Przed zejściem na dół następnego ranka Russell napisał krótki list do redaktora naczelnego gazety McKinleya w San Francisco, wyjaśniając, jak wszedł w posiadanie papierów oraz oferując własne krótkie podsumowanie ich znaczenia. Po śniadaniu w hotelowej restauracji poszedł za róg na pocztę główną przy Jindriiskiej, kupił i zaadresował wielką kopertę oraz zapytał o najszybszy możliwy sposób dostarczenia przesyłki.

- Już jej nie będzie, zanim on się tu zjawi - zauważył urzędnik, odczytując myśli Russella. - Popołudniowy samolot do Paryża - dodał tytułem wyjaśnienia.

Zadowolony Russell wrócił do hotelu Grand, zabrał walizkę i wymeldował się. Do odjazdu pociągu miał jeszcze dużo czasu, ale podobał mu się dworzec Masaryk i podobała mu się myśl, żeby być bliżej domu.

Jak się okazało, nie miało to znaczenia, ponieważ i tak nie miał już w pociągu miejsca siedzącego ani nawet stojącego. Dwa wagony, w tym jego, zostały zajęte przez prezydenta Háchę i jego rozdętą świtę. Jak Russell zrozumiał z rozmów różnych pracowników kolei, czeski prezydent również został „zaproszony” do Berlina, a choroba serca nie pozwoliła mu lecieć samolotem. Russell otrzymał zapewnienie, że dwa dodatkowe wagony zostaną dodane do nocnego pociągu, jednak wyglądało na to, że nikt nie jest w stanie odpowiedzieć, dlaczego nie mogły zostać dołączone do tego. „No cóż”, pomyślał Russell, „istnieją gorsze miejsca na spędzenie dnia niż Praga”. Jak prezydent Hácha i jego słabe serce mieli się wkrótce przekonać.

Russell zostawił walizkę w przechowalni bagażu, wsiadł w tramwaj, który zawiózł go z powrotem do centrum miasta, i spędził następne dwie godziny przechadzając się po wschodnim brzegu rzeki. Czeska flaga nadal powiewała na umocnieniach słynnego zamku,

ale na jak długo? Najwyżej kilka dni, jak sądził Russell, zaś mieszkańcy miasta zdawali się z nim zgadzać. Gdy wracał przez starówkę, rozglądając się za miejscem na zjedzenie obiadu, zauważył gwałtownie wydłużające się kolejki w jednej piekarni za drugą. Wieści o wycieczce Háchy najwyraźniej obiegły miasto.

„No i stało się”, pomyślał Russell. Koniec jakichkolwiek trwałych nadziei na pokój. W żaden sposób nie dało się przedstawić tego jako elementu jakiegoś szczytnego planu sprowadzenia Niemców do domu, do Rzeszy. Hitler zrzucił maskę. Pytanie nie brzmiało już „czy”, tylko „kiedy”.

Widok ortodoksyjnego Żyda na ulicy Národní przypominał mu o Albercie. Russell miał nadzieję, że chłopak dawno wyjechał, ale co ze stu tysiącami Żydów w Czechosłowacji? Co oni robili tego popołudnia? Tłoczyli się na dworcach, pakowali samochody - czy może tylko siedzieli cicho, licząc na to, że wszystko dobrze się skończy, jak wcześniej tyłu niemieckich Żydów? Ten ortodoksyjny Żyd niósł pełną torbę zakupów ze sklepu spożywczego i zdawał się nigdzie nie spieszyć.

Russellowi przyszło na myśl to, co Albert powiedział mu podczas jazdy do Görlitz: że życzliwość stała się cenniejsza i bardziej zagadkowa niż okrucieństwo. I z pewnością trudniej ją było znaleźć. W zapadającym zmierzchu wyszukał jakiś bar i wypróbował kilka różnych czeskich piw. Każde smakowało jeszcze lepiej od poprzedniego.

Wzniósł toast za papiery McKinleya, teraz szczęśliwie spoczywające w jakiejś paryskiej sortowni poczty, i jeszcze jeden za samego McKinleya. W ciągu ostatnich sześciu tygodni od czasu do czasu przyłapywał się na tym, że zastanawia się, dlaczego zabili młodego Amerykanina. Uświadomił sobie, że to niewłaściwe pytanie. To jakby pytać, dlaczego zabili Felixa Wiesnera. Może i mieli, albo sądzili, że mają jakieś konkretne motywacje, lecz prawdziwy powód był znacznie prostszy - bo byli zabójcami. Tym właśnie byli. I tak naprawdę tylko tym.

Mroźne powietrze napływające przez wybitą szybę w oknie taksówki otrzeźwiało go w drodze powrotnej na dworzec, jednak gdy tylko skulił się w przegrzanym pociągu, wkrótce omal nie zasnął. Szarpnięcie ruszającej maszyny obudziło go na tyle, by zdołał rozłożyć siedzenie, a ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była myśl, że powinien był zadzwonić do Effi.

Zaś następnym, co do niego dotarło, było obudzenie się z nagłym uczuciem paniki. Spojrzał na zegarek. Minęły blisko trzy godziny - musieli się już zbliżyć do granicy. Ale, jak sobie powtarzał, to już bez znaczenia. Jego podświadomość najwidoczniej przyłgnęła do minionej podróży z Niemiec.

I raptem coś sobie uzmysłowił. Nigdy nie zamknął fałszywego dna walizki. Po

wyjściu Borskajej tylko przeniósł walizkę na podłogę, a dzisiaj rano po prostu wrzucił do niej z powrotem wszystkie ubrania.

Jęknął na myśl o kolejnym mocowaniu się z walizką w toalecie, ale trzeba to było zrobić. Zdjął walizkę z półki nad siedzeniem i zaniósł ją na tył wagonu. Osłaniając oczy dłońmi i przyciskając twarz do szyby zdołał wypatrzeć rzekę płynącą wzdłuż torów. W toalecie otworzył walizkę, wyrzucił wszystkie ubrania na podłogę i przystąpił do badania fałszywego dna.

Było zamknięte.

Przez chwilę stał, w myślach odtwarzając wydarzenia. Kiedy to zrobił?

Nie zrobił.

Otworzył je i znalazł w środku kilka schowanych kartek.

Podnosząc pierwszą bliżej słabego światła w kabinie odkrył, że zawiera listę nazwisk i adresów - sześć z okolic Ruhry, trzy spod Hamburga. Pozostałe kartki - w sumie dziewięć - wyglądały podobnie. Lista obejmowała bez mała setkę osób ze wszystkich innych rejonów Niemiec.

Kim byli? Nie podano żadnych wskazówek, absolutnie żadnych.

Ale jedno było pewne - Rosjanie chcieli, żeby te nazwiska odkryto. Russell pomyślał, że to dlatego Borskaja pytała go, kiedy wyjeżdża - kartki zostały tu umieszczone w czasie, gdy on jadł śniadanie na dole albo kiedy wysyłał papiery McKinleya. To dlatego tak łatwo przyjęła jego rezygnację. Zaś pieniądze... Stanowiły obosieczną broń. Taka hojność mogła go skłonić do dalszej pracy dla nich, ale gdyby nie, to można ją było obrócić w groźbę - posiadanie takiej ilości zagranicznej waluty byłoby trudne do wyjaśnienia. Dotarło do niego, że nazwiska muszą należeć do niemieckich komunistów, prawdziwych albo wymyślonych. Czy to byli mężczyźni i kobiety, których Stalin chciał przeznaczyć do odstrzału, a którzy pozostawali poza jego zasięgiem? A może to fikcyjna lista, coś, czym można zająć Gestapo, podczas gdy prawdziwi komuniści dalej wykonują swoje zadania? Russell zgadywał, że zawiera po trosze tego i tego. Garstka prawdziwych komunistów, żeby Gestapo uwierzyło, a potem ruszyło fałszywym tropem.

Zadrzał, uświadamiając sobie, jak niewiele brakowało, i dotarło do niego, że pociąg zwalnia.

Zrzucił walizkę na podłogę, szarpnięciem otworzył klapę sedesu i zaczął drzeć kartki na coraz mniejsze kawałeczki. Kiedy już wszystkie trafiły do muszli, sięgnął po uchwyt splotki, przepełniony nagle lękiem, że może nie zadziałać.

Nie zadziałał. Na czole perliło mu się coraz więcej zimnego potu, gdy ponownie

pociągnął za spłuczkę. Wypłynęła nieco wody, ale o wiele za mało.

Rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Dojeżdżamy do granicy - oznajmił jakiś głos po niemiecku.

- Dobrze - odkrzyknął w odpowiedzi. Co miał robić? Spróbować połknąć wszystkie kawałki papieru, a wraz z nimi wszelakie międzynarodowe zarazki, jakie nagromadziła dla niego muszla klozetowa? Wszystko, byle nie to.

Pociąg wciąż zwalniał. Russell rozglądał się za jakimś dostępem do urządzeń toalety, lecz wszystko było poprzykręcane. Jeszcze raz spróbował szczęścia ze spłuczką, kierowany już bardziej nawykiem niż nadzieją, i z powodów znanych jedynie niebiosom muszla została spłukana. Russell stał, napawając się widokiem czystej wody, dopóki słodycz ulgi nie ustąpiła miejsca koszmarowi wizji Gestapowców przeczesujących torowisko w poszukiwaniu wszystkich kawałków, a potem mozolnie sklejających je z powrotem w całość. - Weź się w garść - mruknął do siebie. Podniósł walizkę, zatrzasnął fałszywe dno i zakrył je rzeczami pozbieranymi z podłogi. Wychodząc z toalety przelotnie ujrzał odbicie swojej twarzy w lustrze i pożałował, że tak się stało. Wyglądał jak pomyłony.

Pociąg jeszcze jechał; za oknem przesunął się oświetlony peron punktu czeskiej kontroli granicznej. Padał śnieg, gęste płatki sływały w dół przecinając stożkowe snopy światła.

- Dziś w nocy nie zatrzymujemy się na czeskim punkcie kontrolnym - mówił do jakiejś pasażerki niemiecki kolejarz.

„Nie ma Czechosłowacji, nie ma granicy”, pomyślał Russell. Czy to oznaczało, że nie zatrzymają się także po niemieckiej stronie?

Nic z tego.

Pasażerowie wyszli na peron, długi pas oświetlonego reflektorami asfaltu w morzu ciemności. Gdy Russell dołączał do kolejki, nasunęła mu się nowa i wysoce niemiła myśl. Skoro kartki miały zostać znalezione, to ktoś musiał dać cynk. Skrytka w podwójnym dnie mogła być pusta, lecz to nadal pozostaje fałszywe dno. Jedno wytłumaczenie wydawało się mieć szansę powodzenia, jednak tylko w przypadku, jeśli dyżurujący urzędnicy nie są tymi samymi, z którymi zetknął się dzień wcześniej. Kiedy przesunął się w kolejce z zaśnieżonego peronu do wnętrza budynku, z obawą przypatrywał się twarzom, lecz nie zobaczył nikogo, kogo by rozpoznał.

Urzędnik imigracyjny tylko rzucił okiem na jego paszport i dał znak stojącemu za nim mężczyźnie w cywilnym ubraniu. Gestapo.

- Tędy, Herr Russell - powiedział mężczyzna, nie zaglądając nawet do jego paszportu.

Podszedł do wielkiego stołu, przy którym czekał już inny człowiek ubrany po cywilnemu.

- Niech pan położy walizkę na stole - polecił pierwszy mężczyzna.

Miał dość długie włosy jak na Gestapo i niemal sympatyczną twarz. Gdy otwierał walizkę, Russell zauważył, że jego paznokciom bardzo przydałoby się skrócenie.

- Czy mogę poznać pana nazwisko i stopień? - spytał Russell.

- Ascherl, Kriminalassistent - odpowiedział mężczyzna nie podnosząc wzroku.

Ostrożnie wyjął ubrania i ułożył je w stos na drugim krańcu stołu. Scenariusz Effi znalazł się na samej górze. Następnie gestapowiec obmacał dłońmi wewnętrzne boki walizki, wyraźnie szukając sposobu na dostanie się do skrytki pod fałszywym dnem. Russell przypomniał sobie, że Borskaja stała za nim, kiedy otworzył skrytkę w hotelowym pokoju.

- Jak się ją otwiera? - spytał go Ascherl.

Russell przybrał zdziwiony wyraz twarzy.

- Jest otwarta.

- Ukrytą skrytkę - odpowiedział cierpliwie oficer Gestapo.

Russell starał się wyglądać na jeszcze bardziej zdumionego.

- O czym pan mówi?

Ascherl odwrócił się do podwładnego.

- Nóż, Schneider.

Schneider wyciągnął wielki scyzoryk. Ascherl przez chwilę spoglądał na walizkę, przesunął ręką po jej wewnętrznych ściankach, po czym raptownie ją odwrócił, przycisnął do niej nóż i pracowicie rozpruł dno od jednego boku do drugiego.

- Ta ukryta skrytkę - powiedział, wsuwając tam dłoń. Jego triumfująca mina zrzędła, gdy grzebiąca w schowku dłoń niczego tam nie znalazła. Jeszcze dwa cięcia i mógł już odwinąć kawał wzmocnionej skóry z dna walizki oraz poświecić tam latarką.

- Gdzie to jest? - zapytał cierpliwie.

- Gdzie jest co? - odparł Russell, starając się mówić, jakby był osłupiały.

Większość pozostałych ludzi w sali przyglądała im się teraz, zaciekawiona, jak sytuacja się rozwinie.

- Pozwoli pan, że ujmę to inaczej - powiedział oficer Gestapo.

- Jaki ma pan powód, żeby nosić walizkę z ukrytym schowkiem?

- To proste. Nie wiedziałem, że ona ma coś takiego. Kupiłem ją dopiero wczoraj od jakiegoś Żyda w Pradze. - Uśmiechnął się, jak gdyby wyjaśnienie zagadki właśnie mu się nasunęło. - Łotr pewnie używał jej do szmuglowania kosztowności poza granice Rzeszy.

- Bez wątpienia - zgodził się Ascherl.

Russell wciąż jeszcze zanosił dziękczynne modły za swojej natchnienie, gdy zauważył nową twarz w sali - jednego z celników z poprzedniego dnia. Mężczyzna spoglądał prosto na niego z wyrazem twarzy, który zdawał się wyrażać po części oburzenie, a po części rozbawienie.

- Ale pan jest z Berlina - ciągnął Ascherl. - Pojechał pan do Pragi bez walizki?

- Rozpadła się, kiedy tam byłem. Potrzebowałem nowej. - Russell zebrał się w sobie, czekając na wtrącenie się celnika, lecz nic takiego nie nastąpiło.

- I ten Żyd tak akurat sobie przechodził?

- Nie, tam jest targ, taki jak te, które niegdyś mieli w Berlinie.

Celnik nie spuszczał z niego wzroku, nadal nic nie mówiąc.

Czy to możliwe, żeby nie pamiętał tej walizki z poprzedniego dnia?

- Pański portfel, proszę - powiedział oficer Gestapo.

Russell podał mu portfel i patrzył, jak mężczyzna wyjmuje pieniądze - kilka czeskich banknotów, trochę reichsmarek, zwitek franków szwajcarskich...

- Skąd to pochodzi? - spytał Ascherl.

- Napisałem artykuł dla radzieckiej gazety, a oni zapłacili mi we frankach szwajcarskich. Już parę miesięcy temu. Pomyślałem, że mogą się przydać w Pradze. SD wszystko o tym wie - dodał. - Niech pan spojrzy - powiedział, wskazując na portfel. - Czy mogę coś panu pokazać?

Ascherl oddał mu portfel i Russell wyjął złożony list Sturmbannführera Kleista.

Gdy Gestapowiec go czytał, Russell obserwował jego twarz. Gdyby list znaleziono w tajnym schowku, mógłby zostać zignorowany. Jednak teraz Ascherl miał tylko historię pełną dziur, których nie potrafił załatać. Czy będzie dalej się starał i zaryzykuje podpadnięcie ważniakom z Wilhelmstrasse?

- Rozumiem - powiedział w końcu i podniósł wzrok na Russella.

- Wygląda na to, że wszyscy jesteśmy ofiarami tego samego spisku. Otrzymaliśmy informację... Cóż, nie będę się wdawał w szczegóły. Zdaje się, że czerwoni próbowali pana zrobić.

- Walizka była podejrzenie tania - przyznał Russell.

Po drugiej stronie sali celnik w dalszym ciągu mu się przyglądał, nadal odgrywając Monę Lisę.

- Teraz nie jest wiele warta - stwierdził Ascherl, przypatrując się swojemu rękodziełu. Russell uśmiechnął się.

- Wypełniał pan swoje obowiązki. Tak powinien postępować każdy przyjaciel Rzeszy.

Ascherl uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Mamy inne. Skonfiskowane Żydom. Może zdołamy panu znaleźć inną z ukrytym schowkiem. Schneider?

Asystent Ascherla wszedł do przyległego pomieszczenia i prawie natychmiast powrócił z dwiema walizkami. Russell wybrał mniejszą z nich i zapakował do niej swoje ubrania oraz scenariusz Effi.

Celnik zniknął.

Ale nie na długo. Gdy Russell wyszedł z budynku, mężczyzna go dogonił.

- Ładna walizka - odezwał się.

Russell się zatrzymał.

- Żenię się w przyszłym miesiącu - powiedział celnik, starannie ustawiając się między Russellem a wszelkimi ewentualnymi obserwatorami z budynku, który właśnie opuścili.

Russell wyjął portfel, zdjął klips ze szwajcarskich franków i podał mu je.

- Prezent ślubny?

Mężczyzna uśmiechnął się, z ironią stuknął obcasami i odmaszerował.

Russell poszedł w stronę pociągu. Śnieg padał coraz mocniej, płatki koziółkowały w plamach światła, przylepiając się do migoczącego kabla. Russell czuł, jak pot na jego ciele pomału zamienia się w lód.

Pociąg, jak się zdawało, czekał tylko na niego - gdy wsiadł, rozległ się przeszywający gwizd. Russell brnął naprzód przez kołyszące się wagony, aż opadł na siedzenie z odchylonym oparciem, i wsłuchał się w rytmiczny stukot kół, wiozących go w głąb Rzeszy.

KONIEC

[1] Goldwasser - złota woda, gdańska wódka - mocny likier ziołowokorzenny, minimum czterdziestoprocentowy, którego charakterystycznym elementem są drobne płatki dwudziestodwulub dwudziestotrzykaratowego złota, zawieszane w alkoholu.

[2] Langermarkt - ulica w Gdańsku, dzisiaj Długi Targ, Breitgasse - ulica w Gdańsku -

dzisiaj nie istnieje, Holzmarkt - ulica w Gdańsku, dzisiejszy Targ drzewny, Hauptbahnhof - Dworzec Główny.

[3] Hundegasse - ulica w Gdańsku, dzisiejsza ulica Ogarna.

[4]Langgasse - ulica w Gdańsku, dzisiaj ulica Długa, Brösen - dzielnica Gdańska, dzisiaj Gdańsk-Brzeźno, Potocznie: Złota Brama, prawidłowo: Brama Długouliczna lub Brama ulicy Długiej, Elisabethwall - dzisiejsze Wały Jagiellońskie w Gdańsku, Stadtgraben - ulica w Gdańsku, dzisiejsza ulica Podwale Grodzkie, Langfuhr - dzielnica Gdańska, dzisiaj Gdańsk-Wrzeszcz, Saspe - dzielnica Gdańska, dzisiaj Gdańsk-Zaspa.

[5]*Jungvolk - Deutsches Jungvolk* - obowiązkowa, od 1939 r., organizacja w strukturach *Hitlerjugend*, zrzeszająca chłopców w wieku 10-14 lat. Opierała się na ideologii nazistowskiej. Najważniejsze w organizacji były: bezwzględność wobec Adolfa Hitlera oraz wielka dbałość o tężyznę fizyczną. Członkowie nazywani byli oficjalnie *Jungvolkjunge*, a potocznie *Pimpf*. Po ukończeniu 14 lat chłopcy automatycznie stawali się członkami *Hitlerjugend*.

[6]Flatow - dzisiejszy Złotów.

[7] ORPO - skrót od Ordnungspolizei, Policja Porządkowa - formacja istniejąca w Niemczech w latach 1936-1945, podporządkowana bezpośrednio Heinrichowi Himmlerowi, zwierzchnikowi policji w Niemczech.

[8]*Judenfrei* - Wolny od Żydów - termin używany przez nazistów do określenia danego terenu lub miasta, w którym nie zamieszkują lub nie pracują Żydzi.

[9]Mischlinge - dosłownie (z niemieckiego): kundel.

[10] Horch - niemiecka marka samochodu produkowanego w latach 1901-1945. Słynęły z wysokiej jakości, luksusowo wykończonych wnętrz i innowacyjnej konstrukcji.

[11]Arbeitsdienst - Serwis pracy.

[12] Tłum. M. Goraj, E. Bryll.

[13] BDM - skrót od Bund Deutscher Mädel (Związek Niemieckich Dziewcząt)-sekcja żeńska nazistowskiej organizacji młodzieżowej *Hitlerjugend*.

[14]*Totenkopfverbände* - tzw. Oddziały Trupiej Głównki, stworzone przez Theodora Eicke w 1934 roku specjalne oddziały ss, zajmujące się zarządzaniem i służbą w niemieckich obozach koncentracyjnych.

[15]Mensch - z niemieckiego: człowiek. Także: osoba o wysokich walorach - przede wszystkim uczciwości i honorze.

[16] Tłum. Krzysztof Boczkowski.

[17] Pinta - angielska miara objętości równa 0,568 litra.

